

MARGARET TRUMAN

**MORDERSTWO W CIA**

Przekład: Henryka Stępień i Olga Maria Słuckin

Tytuł oryginału MURDER AT THE CIA



# ROZDZIAŁ 1

*BRYTYJSKIE WYSPY DZIEWICZE, LISTOPAD 1985*

Było ich na pokładzie piętnaścioro: kelnerzy i kelnerki, barman, pomoc kuchenna, pokojówki i ogrodnicy. Większość służby mieszkała na Virgin Gorda i była dowożona łodzią na Drake's Anchorage, jedyny ośrodek wypoczynkowy na Wyspie Moskitów (nazwanej tak nie od dwuskrzydłowego owada, lecz od plemienia Indian kolumbijskich).

Bernadette była zastępczynią kierownika ośrodka. Miała osiemnaście lat, była wysoka, o klasycznej wyspiarskiej, jak tu mówią, „gładkiej skórze” – bardzo ciemnej i aksamitnej – opadających na plecy włosów barwy atramentu i pełnej, krągłej figurze rysującej się pod obcisłą suknią w kolorze kasztanowym; prawdziwa *mantwana*: wyspiarskie określenie atrakcyjnej kobiety. Mówiła świetnie po angielsku i potrafiła doskonale robić wiele innych rzeczy. Jej ojciec, kościsty rybak, każdego ranka wypływał o świcie na płytkie mielizny Murdering Hole w poszukiwaniu tutejszej ryby, zwanej *ladyfish*. Rodzicom Bernadette żyło się ciężko, i mieli nadzieję, że córka nie odziedziczy tego po nich. Była ich jedynym dzieckiem.

Obróciła twarz do wiatru i wróciła myślą do ubiegłej nocy spędzonej z nowym ukochanym. Policzki obryzgała jej woda o intensywnie błękitnej barwie. Życie było teraz piękne. Tydzień temu chodziła przygnębiona, zastanawiając się, czy do końca życia będzie musiała pozostawać w tym samym, choćby nie wiem jak pięknym miejscu. Teraz on tu jest, i przeszłość znów rysuje się w różowych barwach.

Kanadyjski biznesmen, który trzy miesiące temu organizował tu – jak mówił jego przedstawiciel – seminarium dla ważnych osobistości – znów wynajął Drake's Anchorage w tym samym celu, tylko na dwa dni. Ci najważniejsi uczestnicy zostali umieszczeni w dwóch wspaniałych willach z oknami wychodzącymi na plażę. Mniej ważni zajęli dziesięć białych, szalowanych domków na palach, stojących frontem do oceanu, z oknami na cieśninę Gorda. Wszyscy jadali razem na otwartym powietrzu pod dachem z liści palmowych. Kucharz podawał *vol-au-vent* nadziewany ślimakami, pieczeń z delfina z bananami, zachodnioindyjskiego dorsza duszonego w białym winie z przyprawami ziołowymi i wspaniały mus czekoladowy przygotowywany według sekretnego przepisu.

Bernadette przypomniła sobie to, co zostało ustalone przez Kanadyjczyka podczas

jego poprzedniego pobytu. Obie wille były niedostępne dla wszystkich poza jego ludźmi. Miejscowi pracownicy mogli tam przybywać tylko na wyraźne wezwanie. Sprzątanie willi miało się odbywać pod okiem młodych ludzi zakwaterowanych w mniejszych domkach, w czasie, gdy lokatorzy willi szli na śniadanie; ci sami młodzi mężczyźni pilnowali także kelnerów przywożących na wózkach jedzenie i whisky.

Chociaż pierwsza wizyta Kanadyjczyka i jego gości na Wyspie Moskitów była otoczona tajemnicą, zdarzały się nieuniknione momenty nieuwagi uchylające zasłonę tajemnicy – jak na przykład owego dnia, gdy Bernadette zobaczyła na plaży jednego z młodych ludzi siedzącego na leżaku w jaskrawe pasy i czyszczącego rewolwer. Zauważywszy, że dziewczyna patrzy na niego, włożył rewolwer do kabury i śpiesznie wszedł do domku.

Potem przyjaciele Bernadette zauważyli, że inni z jego grupy też noszą rewolwery w futerałach schowanych pod pachą, chociaż bardzo się starają, żeby tego nie było widać. – Biznesmeni – określił ich kucharz. – Powiedziałbym, że bardzo poważni biznesmeni.

Kiedy Kanadyjczyk i trzech pozostali starsi panowie spotykali się w jednej z willi, młodzi ludzie – zawsze w garniturach – siedzieli na tarasach, nie mówiąc nic, lecz widząc wszystko. Wyglądali na sympatycznych chłopców, ale trzymali się tylko w swoim towarzystwie. Jeden z nich był bardziej dostępny i Bernadette rozmawiała z nim miło kilka razy. Był przystojny i miał przyjemny uśmiech. Bernadette podejrzewała, że jego domena to łączność, gdyż często przez małe, przenośne radio rozmawiał z dwoma jachtami zakotwiczonymi opodal brzegu, tymi samymi, które przywiozły trzech z czwórki najważniejszych. Czwarty przybył hydroplanem.

Wyglądało, że radiowiec lubi rozmawiać z Bernadette, a ona flirtowała z nim bez żenady. Kiedyś zapytała go, czemu taka tajemnica otacza spotkania biznesmenów. Zadała to pytanie lekkim tonem, chichocąc, i dotknęła jego ramienia. Uśmiechnął się i odparł spokojnym, rzeczowym tonem: – Zamierzamy wypuścić na rynek nowy produkt, o którym nasi konkurenci bardzo chcieliby dowiedzieć się czegoś więcej. To wszystko. Po prostu stosujemy środki ostrożności.

Bernadette nie spytała o broń, bo to nie była jej sprawa, ale plotkowała na ten temat z resztą personelu dochodząc do wniosku, że ci bonzowie z północy więcej wagi przywiązują do siebie i tego, co robią, niż potrzeba. – Głupi faceci – stwierdziła. Ale jedna rzecz nie ulegała wątpliwości: głupi faceci dawali duże napiwki, i wszyscy na Drake's Anchorage byli radzi widzieć ich znowu.

\* \* \*

Tego dnia jacht wiozący trzech liderów grupy przyплыł kilka minut po drugiej. Pół godziny później wylądował helikopter i wolno pokołował w kierunku długiego, wąskiego hangaru.

Ludzie z łodzi zakotwiczonej na pobliskich wodach widzieli przybycie jachtu i helikoptera, lecz na ogół przyjęli to obojętnie. Na Brytyjskich Wyspach Dziewiczych widok jachtu jest czymś równie pospolitym jak żółtych taksówek na ulicach Nowego Jorku. Tylko jeden człowiek, siedzący na Morganie 46, obserwował przez lunetę ich zjawienie się na wyspie. Zakotwiczył swój jacht wczesnym rankiem w odległości mili od brzegu i zjadł na pokładzie śniadanie. Na *lunch* miał kanapki i termos rumowego ponczu, a teraz nastawił sobie kawę. Obok niego leżał blok papieru zapisany notatkami. Mężczyzna miał na sobie obcięte u dołu džinsy, brązowe tenisówki, koszulkę z napisem EDWARDS YACHT CHARTERS<sup>1</sup> i biały płócienny kapelusz z dużym, miękkim rondem z naszywką: BRITISH NAVY: PUSSER'S RUM<sup>2</sup>, w kolorach niebieskim, czerwonym i żółtym.

Podniósł wzrok na niebo, żeby sprawdzić pogodę. Powrót do bazy na Tortoli będzie powolny. Nie ma sensu stawiać żagli, całą drogę będzie musiał iść na silniku. Zastanawiał się, czy zostać trochę dłużej, lecz doszedłszy do wniosku, że to nic nie da, wciągnął kotwicę, rzucił ostatnie spojrzenie na Wyspę Moskitów, i ruszył z powrotem idąc kursem obok wysepki, na której stała jedna tylko budowla – imponujący, dwupiętrowy dom z betonu otoczony wysokim ogrodzeniem z grubej siatki. W prywatnej przystani kołysał się na lekkiej fali hydroplan i dwie duże, szybkie motorówki.

Mężczyzna na Morganie, ze swoim nazwiskiem na koszulce, uśmiechnął się, gdy jego łódź prześlizgiwała się wolno obok wyspy. Wlał sobie rumu do kawy, podniósł kubek w stronę wyspy i powiedział: „Za wasze zdrowie!” Zaśmiał się, odstawił kubek i wskazując palec prawej ręki wyciągnął w kierunku wyspy.

---

<sup>1</sup> Ang. – Firma Edwards – Wynajem Jachtów. (*Przyp. Hum.*)

<sup>2</sup> Ang. – Brytyjska Marynarka Wojenna – Rum Pussera. (*Przyp. tłum.*)

## ROZDZIAŁ 2

*WASZYNGTON D.C., PAŹDZIERNIK 1986*

– Co nowego z prawami audio do nowej książki Zoltana? – spytała Barrie Mayer wchodząc do swego biura przy Wisconsin Avenue w Georgetown.

Jej zastępca, Dawid Hubler, uniósł głowę znad biurka zawalonego rękopisami i rzekł: – Nie martw się. Będziemy mieli umowy w tym tygodniu.

– Mam nadzieję – odparła Mayer. – Ze sposobu, w jaki wloką tę sprawę i bawią się ze sporządzaniem dokumentów, można by sądzić, że prowadzimy negocjacje o milion dolarów, a nie o głupi tysiąc. Podchodzą do tego, jakby kupowali prawa do poradnika na temat seksu po osiemdziesiątce napisanego przez Ronalda Reagana.

Przeszła do swego pokoju, rzuciła dyplomatkę na wąską kanapę i podniosła rolety. Na dworze było szaro, nieprzyjemnie. Może burza odświeży duszną i wilgotną waszyngtońską atmosferę panującą od kilku dni. Dla Barrie nie miało to zresztą znaczenia. Wyjeżdżała do Londynu i Budapesztu. W Budapeszcie będzie upał, lecz komuniści wynaleźli ostatnio klimatyzację i wprowadzili ją w krajach wschodniego bloku. Przy pewnej dozie szczęścia przez cały czas pobytu będzie mogła mieszkać w „Hiltonie”.

Usiadła za biurkiem i skrzyżowała długie, szczupłe, zgrabne nogi. Miała na sobie ulubiony strój podróżny, spodnie i perłowszary, luźno skrojony zakiet, który się prawie nie gniół. Praktyczne buty w kolorze wiśniowym i zapinana, jasnoróżowa bluzka dopełniały stroju. Hubler wsunął głowę przez drzwi i spytał, czy chce kawy. Był nie tylko człowiekiem bardzo zdolnym i zorganizowanym wewnątrz, ale nie miał nic przeciwko podawaniu kawy szefowej. – Bądź tak dobry – powiedziała. Po minucie wrócił z wielkim, glinianym, niebieskim kubkiem pełnym parującej kawy.

Poprawiła się w wygodnym, skórzanym fotelu, obróciła się w nim i spojrzała na sięgające do sufitu półki z książkami. W ich środkowej części ustawione były książki autorów, których reprezentowała jako ich agentka literacka. W tej chwili miała ich dwudziestu; lista wydłużała się lub kurczyła w zależności od powodzenia pisarzy, ale zawsze mogła liczyć na „żelazny zapas” co najmniej piętnastu, w tym także na Zoltana Rétiego. Ten węgierski powieściopisarz ostatnio wybił się i osiągnął międzynarodowy sukces. Jego książki szły jak woda, w niemałym stopniu dzięki wierze pokładanej w nim przez Barrie Mayer i

dzięki zorganizowanej przez nią wyjątkowo intensywnej promocji jego ostatniego dzieła, zatytułowanego „Pomnik”. Według recenzji w „New York Timesie” ta powieść, opowiadająca o kilku pokoleniach, „dotykała najgłębszych aspektów nie tylko natury Węgrów, lecz istoty ludzkiej w ogólności”.

Czas pracował dla Rétiego i Mayer. Sowieci złagodzili ostatnio ograniczenia dotyczące węgierskich pisarzy i artystów, także w zakresie ich wyjazdów za granicę. Rękopis Rétiego przeszedł prawie nietknięty przez cenzurę Węgierskiej Socjalistycznej Partii Robotniczej przewodzonej przez Jánosá Kádára. W niewinnie brzmiących fragmentach książki Réti zrećnie przemycił krytykę Węgier, od czasu ich „wyzwolenia” przez Związek Radziecki w 1945 roku. Między wierszami można było więcej wyczytać, niż potrafili z nich wyłowić socjalistyczni czytelnicy.

Wydawcy z całego świata rzucili się na „Pomnik”, toteż książka utrzymywała się przez długie tygodnie na liście bestsellerów. Barrie Mayer była uszczęśliwiona, bo włożyła całą siebie w promocję tej powieści. Teraz głównym dylematem była odpowiedź na pytanie, co zrobić z wielkimi sumami pieniędzy, które Réti zarabiał na swoim sukcesie. Wciąż głowili się nad tym; jednym z celów podróży Mayer na Węgry było omówienie sprawy z Rétim i z pewnym wysoko postawionym członkiem węgierskiej Rady Prezydialnej, urzędnikiem, którego, jak twierdził Réti, „dałoby się nakłonić” do obejścia obowiązujących przepisów.

Barrie nie mogła opanować uśmiechu na myśl, co znaczą słowa „dałoby się nakłonić”. Oznaczało to po prostu zwykłą łapówkę, pieniądze wsunięte pod stół, w nowojorskim stylu, odpowiednim węgierskim urzędnikom; kapitalistyczne rozwiązanie socjalistycznego problemu.

W czasie poprzedniej podróży do Budapesztu Barrie została przedstawiona owemu członkowi Rady Prezydialnej, teraz miała się z nim spotkać ponownie. W czasie wstępnych rozmów zachowywał się jak człowiek twardy i nieprzekupny, o Rétim zaś mówił jako o „pisarzu ludu węgierskiego, obojętnym na sukces pieniężny”. Na co Barrie odrzekła: – W takim razie zatrzymamy jego miliony na naszym koncie, aż do czasu zmiany waszej polityki finansowej.

– Mamy ograniczenia co do napływu obcych walut na Węgry – powiedział urzędnik.

– Szkoda – odparła Mayer. – W grę wchodzi miliony amerykańskich dolarów.

Przydałyby się waszej gospodarce – każdej gospodarce.

– Tak, to dobry argument, panno Mayer. Może...

– Może porozmawiamy o tym kiedy indziej. – Podniosła się do wyjścia.

– Mógłbym się zastanowić, jak stworzyć wyjątek w tym wypadku.

Barrie uśmiechnęła się. Czego chciał dla siebie? Mieszkania w nowo budowanych osiedlach na wzgórzach Budy, które Węgrzy mogli uzyskać tylko za twardą walutę? Nowego samochodu w kilka miesięcy, zamiast zwykłego czteroletniego wyczekiwania? Konta w banku szwajcarskim?

– Kiedy pani znowu przyjedzie do Budapesztu? – zapytał.

– Gdy pan... stworzy ten swój wyjątek.

To spotkanie odbyło się przed miesiącem. Urzędnik poinformował Rétiego, że „znalazł sposób, aby pieniądze Rétiego dotarły do Budapesztu”. – Naturalnie, panie Réti – powiedział – musi pan wziąć pod uwagę czas i wysiłek, jaki poświęciłem tej sprawie, nie wspominając o ryzyku, na jakie się narażam.

– Oczywiście – rzekł Réti.

– Oczywiście – powiedziała Barrie Mayer do pisarza, kiedy powtórzył jej słowa urzędnika.

– Oczywiście – rzekła do siebie, popijając gorącą, czarną kawę w swoim waszyngtońskim biurze. Roześmiała się, a jej wzrok powędrował ku innym książkom stojącym na półkach, napisanym przez obcokrajowców. Czy to nie zabawne, pomyślała, jak wszystko w życiu idzie swoim naturalnym torem. Nigdy nie sądziła, że będzie pracować jako agentka literacka, specjalizując się w obcych pisarzach, a tak się właśnie stało. Najpierw jeden, potem drugi, i wkrótce zdobyła świetną reputację jako osoba szczególnie wrażliwa na potrzeby takich właśnie autorów. Status, jaki dzięki temu zyskała w kręgach wydawniczych i w Waszyngtonie, gdzie znalazła się na listach osób chętnie zapraszanych na przyjęcia, nawet do obcych ambasad, dawał jej satysfakcję. Musiała też dużo podróżować, co działało na nią stymulująco, choć chwilami również męczyło. Ostatnio właściwie żyła na walizkach, a to niektórych irytowało, między innymi jej matkę, która nie próbowała ukrywać niezadowolenia, że tak rzadko widuje swoje jedyne dziecko.

Matka Barrie mieszkała we własnym domu w Rosslyn, dostatecznie daleko, aby nie wpływało to na psychiczną równowagę Barrie, lecz na tyle blisko, aby mogły się od czasu do czasu widywać. Mayer spędziła ostatnią noc u matki, gdzie zatrzymała się ze względu na podróż, którą rozpoczynała następnego ranka. Zjadły dobrą kolację w „Le Lion d’Or”, a później gawędziły prawie do drugiej nad ranem. Barrie była zmęczona; dobrze będzie wsiąść w samolot Pan Amu lecący z Nowego Jorku do Londynu, zagłębić się w fotel pierwszej klasy i drzemać.

Wyjęła z biurka pudełko z perfumowanym różowym papierem listowym i napisała szybko, z rozmachem stawiając litery:

*Wiem, że nie powinnam bawić się w pisanie, bo w stanie, w którym ostatnio jesteś, nie zrozumiesz, dlaczego to robię. No, ale to cała ja, zawsze chętna, żeby spróbować jeszcze raz, i znowu wystawić się na razy. Zraniłeś mnie, a ja proszę o jeszcze. Jesteś zdolny zranić mnie tylko dlatego, że cię kocham. Podejrzewam też, że powodem, dla którego to robisz, jest twoja miłość do mnie. Kobiety i mężczyźni to fascynujące stworzenia.*

*Tak czy owak, właśnie wyjeżdżam i chciałam powiedzieć, że kiedy wrócę, powinniśmy zarezerwować trochę czasu dla siebie, tylko we dwoje, wyjechać gdzieś na parę dni i pogadać. Może tym razem słowa nam nie przeszkodzą. – Wzywają Londyn i Budapeszt.*

*Bądź grzeczny i tęsknij za mną, ty cholerniku.*

Hubler wszedł znowu do pokoju.

– Masz wszystko?

– Chyba tak – powiedziała Mayer. Wsunęła kartki do koperty, zaadresowała ją i włożyła do torebki. – Dzięki twojej pomocy.

– Nie będzie cię przez tydzień?

– Dzień krócej. Zatrzymam się „Pod Jedenastką” przy Cadogan Gardens w Londynie i w „Hiltonie” w Budapeszcie.

Hubler zaśmiał się. – Więc wszystko po staremu?

Mayer uśmiechnęła się, wstała, przeciągnęła się, i zamrugała zielonymi oczyma, żeby zwalczyć senność.

– Czy jest już samochód?

– Tak. Czeka na dole. – Agencja miała stałą umowę z firmą Butler’s Limousine.

– Barrie, mam pytanie.

– Słucham.

– Nie czujesz się dziwnie przed tym spotkaniem z komunistyczną szyczą w Budapeszcie?

– Trochę, ale Zoltan mówi, że nie ma się czym przejmować. – Roześmieli się. – Dawidzie, za dużo ci nagadał.

– Może. Słuchaj, wiem, że znasz się na swojej robocie, ale dawanie łapówek w socjalistycznym kraju może okazać się nie takie łatwe. Mogą podnieść krzyk. Ciągłe to robią.

Mayer uśmiechnęła się szeroko, wzięła z kanapy swoją dyplomatkę, podeszła do Hublera i pocałowała go w policzek. – Jesteś kochany, Dawidzie. I martwisz się jeszcze bardziej niż moja matka, co cię kwalifikuje do księgi rekordów Guinnessa. Nie ma się czym



przejmować, Dawidzie. Zadzwoń, jeśli będę ci potrzebna. Będę telefonować do ciebie od czasu do czasu. Ale, ale, gdzie jest Carol? – Carol Geffin była jedną z dwóch sekretarek agencji. Druga, Marcia St. John, była na urlopie. Pozostali dwaj ludzie z personelu Mayer wyjechali w interesach, jeden do Hollywoodu, żeby dopilnować sprawy praw autorskich do filmu na podstawie powieści Rétiego, drugi był w Nowym Jorku na konferencji.

– Pewnie kolejna wyczerpująca noc w „Buck Stops Here” – zauważył Hubler. Ulubiona dyskoteka Carol Geffin była czasem otwarta do szóstej rano.

Mayer pokiwała głową.

– Powiedz Carol, że musi wybrać – albo praca, albo taniec. Jeszcze jedno spóźnienie i może sobie tańczyć cały dzień, ale za swoje pieniądze, nie za moje. Pomożesz mi?

Hubler zaniósł do auta dyplomatkę i walizkę, którą Mayer zostawiła w portierni.

– Do zobaczenia za tydzień – powiedziała wsiadając na tylne siedzenie samochodu marki „Fleetwood Braugham”.

Kierowca zamknął drzwi, usiadł za kierownicą i ruszył w kierunku lotniska krajowego, na samolot do Nowego Jorku. Spojrzała do tyłu przez szybę i zobaczyła Hublera stojącego przy krawężniku, z ręką wzniesioną w geście pożegnania. Jedną z wielu rzeczy, jakie Mayer w nim lubiła, był jego pogodny charakter. Zawsze był uśmiechnięty, a jego śmiech był z gatunku zaraźliwych. Ale tego dnia daleko mu było do śmiechu. Kiedy tak stał patrząc na oddalające się auto, na jego twarzy malował się ponury wyraz. Zmartwiła się tym, ale trwało to tylko chwilę, bo szybko pochłonęły ją myśli o czekającym ją dniu.

Wyciągnęła przed siebie nogi, zamknęła oczy i powiedziała do siebie: „Znów w tę samą drogę”. Oddała walizkę na bagaż do Londynu, więc mogła teraz złapać taksówkę z lotniska La Guardia do centrum miasta. Wysiadła na rogu Drugiej Alei i 30 Ulicy i poszła wzdłuż niej w kierunku East River, aż doszła do budynku z piaskowca, z biało-czarnymi tabliczkami z nazwiskami lekarzy.

JASON TOLKER – PSYCHIATRA. Zeszła po schodach i zadzwoniła. Kobięcy głos spytał przez domofon:

– Kto to?

– Barrie Mayer.

Zabuczał brzęczyk i Barrie otworzyła drzwi. Weszła do małej, wyłożonej dywanem poczekalni i zamknęła za sobą drzwi. Oprócz niej była tam młoda kobieta, która wyszła z pokoju biurowego i powiedziała „Dzień dobry”.

– Dzień dobry – odpowiedziała Mayer.

– Pani wie, że go nie ma – rzekła pielęgniarka.

– Wiem, konferencja w Londynie. Powiedział, żebym...

– Wiem. To jest tutaj. – Pielęgniarka, z twarzą o grubo ciosanych rysach i cerą ze śladami trądziku młodzieńczego, sięgnęła za biurko i wyciągnęła czarną teczkę z rodzaju używanych przez adwokatów do noszenia akt. Teczka była zapięta na dwa paski i zamknięta na mały zameczek. – Powiedział, że pani wie o tym – dodała pielęgniarka.

– Zgadza się. Dziękuję pani.

Uśmiech rozciągnął dolną połowę twarzy pielęgniarki. – Do zobaczenia – rzekła.

– Do zobaczenia.

Mayer wyszła, w jednej ręce niosąc nowiutką teczkę, a w drugiej dyplomatkę. Zainstalowała się w hotelu „Plaža” w pokoju, który Dawid zarezerwował dla niej z Waszyngtonu, i poprosiła o przysłanie *lunchu* na górę. Do trzeciej przeglądała papiery z dyplomatki, potem zamówiła budzenie na piątą, rozebrała się do naga i zdrzemnęła się. O piątej wstała, wzięła prysznic, ubrała się i taksówką pojechała na lotnisko Kennedy’ego, gdzie w poczekalni wypiła martini i przejrzała jakieś pismo, po czym wsiadła do Boeinga 747 Pan Amu lecącego do Londynu.

– Czy mogę to gdzieś umieścić? – spytał steward, wskazując na teczkę i dyplomatkę.

– Nie, dziękuję. Mam mnóstwo do roboty – odrzekła Mayer uprzejmie.

Wsunęła obie teuczki pod siedzenie przed sobą i usadowiła się wygodnie. Samolot wystartował o czasie. Wypiła kolejne martini, zjadła trochę kawioru i wędzonego łososia, kawałek ukrojonej przy niej na pół surowej wołowiny i ciasto z serem i czarnymi jagodami. Na zakończenie był koniak. Puszczono właśnie film, ale Barrie nie oglądała go. Włożyła przyniesione przez stewarda ranne pantofle i niebieską przepaskę na oczy z zestawu kosmetycznego dostarczonego każdemu pasażerowi pierwszej klasy, wsunęła poduszkę pod głowę, nakryła się niebieskim kocem i szybko zasnęła, z palcami lewej stopy wetkniętymi pod rączkę teczki, którą zabrała z biura doktora Jasona Tolкера.

Kierowca taksówki w drodze z lotniska Heathrow do jej hotelu był starszym człowiekiem i większą przyjemność sprawiała mu rozmowa z pasażerką niż prowadzenie samochodu. Mayer wolałaby jechać w milczeniu, ale człowiek ten był bardzo miły, jak większość starszych taksówkarzy w Londynie. Pomyślała o różnicy między nim i niektórymi nowojorskimi taksówkarzami, którzy bywali nie tylko niegrzeczni i obojętni, ale nawet złośliwi, nerwowi, uparci, przesadnie aktywni i wprost nieludscy ze swym wariackim sposobem jazdy.

– Jesteśmy na miejscu, proszę pani – powiedział kierowca zatrzymując się przed rzędem domów z cegły na Cadogan Gardens. Nie było żadnej tablicy mówiącej, że budynek

mieści hotel, tylko nad drzwiami z lakierowanego drewna, do których podeszła Mayer, widniał numer 11. Zadzwoiła, i w chwilę później portier w białej marynarce otworzył drzwi ze słowami: – Witamy, panno Mayer. Cieszę się, że znów panią widzę. Pani pokój czeka.

Wpisała się do rejestru gości i udała się do apartamentu numer 27, w którym zazwyczaj mieszkała, złożonego z *living roomu*, sypialni i łazienki. Pokoje były wysokie, z białymi sufitami, ściany *living roomu* były w kolorze krwistoczerwonym. Na wiktoriańskie umeblowanie składała się między innymi oszklona biblioteczka, sekretera i toaletka w sypialni, ustawiona przed weneckimi oknami wychodzącymi na prywatny park po drugiej stronie ulicy, oraz wdzięcznie wygięty szezlong i krzesła pokryte złotą materią.

– Czy pani czegoś sobie życzy, madam? – zapytał portier.

– Dziękuję, nie w tej chwili – odrzekła Barrie.

– Może herbatę – o trzeciej?

– Bardzo proszę – powiedziała. – Wyjeżdżam jutro na kilka dni, ale chcę zachować pokój do mojego powrotu.

– Tak jest, madam. Herbata o trzeciej.

Zasnęła, potem oglądała telewizję BBC, pałaszując bułeczki z bitą śmietaną i dżemem, i popijając herbatą. O siódmej zjadła w hotelu „Dorchester” kolację z angielskim literackim agentem, Markiem Hotchkissem, z którym od kilku miesięcy badała pewne możliwości handlowe, i o dziesiątej była z powrotem w łóżku.

Wstała o siódmej, zamówiła śniadanie do pokoju, ubrała się i o ósmej opuściła hotel. Dotarła do Terminal Nr 2 lotniska Heathrow i stanęła w długiej kolejce oczekujących na przejście przez strefę kontrolną prowadzącą do mnóstwa samolotów obsługiwanych przez małe obce linie lotnicze, w tym Węgierskie Linie Lotnicze „Malev”. Znała już tę procedurę. Ileż to razy latała do Budapesztu w ciągu ostatnich dwóch-trzech lat? Piętnaście, dwadzieścia? Straciła rachubę. Jedyne jej księgowy wiedział na pewno. Kolejka na Terminalu Nr 2 była zawsze okropnie długa i powolna; Mayer nauczyła się być cierpliwa.

Spojrzała w górę, na ekran monitora odlotów. Mnóstwo czasu. Starszy mężczyzna stojący przed nią w kolejce spytał, czy zajmie mu miejsce, żeby mógł kupić sobie papierosy.

– Oczywiście – powiedziała. Stojąca za nią kobieta uderzyła ją w piętę kółkiem wózka bagażowego. Mayer odwróciła się. Kobieta uniosła brwi i skierowała spojrzenie w bok.

Kolejka posuwała się stopniowo. Mayer trzymała teczki w rękach, a stopą przesuwiała walizkę po podłodze. Wtem donośny głos dochodzący z prawej strony spowodował, że Barrie i wszyscy w kolejce odwrócili się w jego kierunku. Młody, ciemnoskóry mężczyzna w białej rozpiętej koszuli, czarnych spodniach i skórzanych sandałach wszedł na pojemnik na śmieci i

zaczął głośno protestować przeciwko polityce brytyjskiej w RPA. Dwóch umundurowanych pracowników ochrony lotniska zaczęło przepychać się w jego kierunku. Uwaga wszystkich wciąż była skupiona na nim.

– Barrie. – Nie zareagowała od razu. Ponieważ, jak wszyscy w kolejce, była zwrócona w prawo, stała plecami do kontuarów. Jej imię zostało wypowiedziane z tyłu za nią.

Odwróciła się. Uniosła brwi i zaczęła coś mówić, jakieś imię, powitanie, kiedy ktoś podsunął pod jej nos rękę z metalową tulejką, w której mogło być cygaro. Kciuk dłoni uruchomił włącznik na tulejce, i znajdująca się wewnątrz szklana ampulka rozprysnęła się, a jej zawartość została wdmuchnięta w twarz Mayer.

Wszystko to stało się tak szybko, że początkowo nikt niczego nie zauważył. Barrie upuściła obie teczki na podłogę i przycisnęła ręce do piersi. Silny ból przeszył ją na wskroś. Nie mogła oddychać; znikli wszyscy wokół niej, a całe lotnisko zostało pochłonięte przez białe, oślepiające światło, które przeszło jej głowę spazmem bólu.

– Proszę pani, czy pani...?

Jej twarz zsiniała. Upadła na kolana, palcami usiłując w panice rozerwać ubranie. W szalonym wysiłku jej płuca próbowały zaczerpnąć powietrza, żeby ulżyć sobie w bólu.

– Chodźcie tu, ta pani...

Mayer podniosła wzrok, na twarze ludzi, którzy przykucnąwszy spoglądali na nią ze współczuciem lub przerażeniem. Oczy i usta miała szeroko otwarte, a z jej gardła wydobywały się chrapliwe dźwięki, bezgłośnie błaganie i pytania skierowane do pochylonych nad nią twarzy. Upadła twarzą na twardą podłogę.

Teraz, kiedy ludzie zobaczyli, co się stało z tą wysoką, dobrze ubraną kobietą, która jeszcze przed sekundą stała wraz z nimi w kolejce, podniósł się wielki krzyk. Wrócił mężczyzna, który poszedł po papierosy.

– Co się tu dzieje? – spytał, spoglądając na Mayer rozciągniętą na podłodze Terminalu Nr 2. – Dobry Boże – powiedział. – Niech ktoś jej pomoże.

## ROZDZIAŁ 3

### *BUDAPESZT – DWA DNI PÓŹNIEJ*

– Po prostu nie mogę w to uwierzyć – powiedziała Collette Cahill do Joego Breslina. Siedzieli przy stoliku na tarasie „Gundel”, starej, wielkiej restauracji budapeszteńskiej. – Barrie była... stała się moją najlepszą przyjaciółką. Pojechałam na Ferihegy, żeby ją przywitać po przylocie z Londynu, ale nie było jej wśród pasażerów. Wróciłam do ambasady i zadzwoniłam do tego hotelu na Cadogan Gardens w Londynie, gdzie Barrie zawsze się zatrzymuje. Dowiedziałam się od nich tylko, że rano pojechała na lotnisko. Ci z „Malevu” nie chcieli mi nic powiedzieć. W końcu złapałam znajomego faceta z obsługi naziemnej i on sprawdził listę pasażerów. Barrie była na liście, ale nie wsiadła do samolotu. Wtedy naprawdę zaczęłam się martwić. A potem... Potem zadzwonił Dawid Hubler z jej biura w Waszyngtonie. Z trudem wymawiał jakieś słowa. Zmusiłam go, żeby powtarzał każde zdanie trzy, cztery razy, i... – Cały wieczór walczyła ze łzami i teraz poddała się. Breslin wyciągnął rękę i położył ją na jej dłoni. Siedmioosobowy wędrowny zespół cygański w barwnych strojach zbliżył się do ich stolika, ale Breslin odprawił ich gestem.

Collette usiadła głębiej w krześle i wzięła kilka głębokich oddechów. Wytarła oczy serwetką i wolno pokręciła głową. – Atak serca? To śmieszne, Joe. Ona miała chyba trzydzieści pięć, może trzydzieści sześć lat i była w świetnej formie. Do diabła! To niemożliwe.

Breslin wzruszył ramionami i zapalił fajkę.

– Boję się, że możliwe, Collette. Barrie nie żyje. Niestety, co do tego nie ma wątpliwości. A co z Rétim, jej pisarzem?

– Poszłam do niego, ale nikogo nie zastałam. Jestem pewna, że teraz już wie. Hubler musiał przekazać mu wiadomość telefonicznie.

– Co z pogrzebem?

– Nie było pogrzebu, przynajmniej nic oficjalnego. Zadzwoniłam w nocy do jej matki. Okropnie bałam się tej rozmowy, ale ona zniosła to całkiem dobrze. Powiedziała, że wie, iż Barrie chciała, aby jej ciało spalono od razu w krematorium, bez żadnych modłów czy żałobników; i tak się stało.

– Sekcja zwłok. Powiedziałaś, że została przeprowadzona w Londynie?

– Tak. I tam właśnie stwierdzono, że przyczyną zgonu był atak serca. – Zaciśnęła powieki. – Joe, ja nigdy nie pogodzę się z tym.

Uśmiechnął się i pochylił ku niej. – Zjedz coś, Collette. Za długo nie miałaś nic w ustach. Poza tym sam umieram z głodu. – Przed nimi stały nietknięte talerze z zupą gulaszową. Collette zjadła jedną łyżkę i spojrzała na Breslina, który umoczył kawałek chleba w zawieszistej zupie i delektował się jej smakiem. Cahill była rada, że ma w nim oparcie. Nawiązała wiele przyjaźni od czasu przyjazdu do Budapesztu, ale Joe Breslin był opoką, tak potrzebną w chwilach takich jak ta; może dlatego, że był starszy – miał pięćdziesiąt sześć lat – i że sprawiał wrażenie, iż bawi go odgrywanie roli ojca.

Breslin pracował w ambasadzie amerykańskiej w Budapeszcie od ponad dziesięciu lat. Collette z grupą przyjaciół obchodziła przed tygodniem tę rocznicę w ich ulubionym nocnym lokalu Budapesztu, barze „Miniatura” przy ulicy Budai László, gdzie utalentowany młody pianista, Cygan Nyari Kardy, grał co wieczór wiązanki melodii cygańskich, amerykańską muzykę rozrywkową, węgierskie pieśni miłosne i nowoczesne utwory jazzowe. Bawiono się wesoło aż do zamknięcia baru o trzeciej rano.

– Smakuje ci zupa? – spytał Breslin.

– Tak. Wiesz, Joe, właśnie przyszło mi do głowy, że jest jeszcze ktoś, do kogo powinnam zadzwonić.

– Kto taki?

– Eryk Edwards.

Breslin uniósł brwi. – Dlaczego?

– On i Barrie byli... blisko ze sobą.

– Naprawdę? Nie wiedziałem.

– Rzadko o tym mówiła, ale szalała za nim.

– Nie ona jedna.

Jego uwaga wywołała u niej pierwszy uśmiech tego wieczoru. – W końcu dorosłam do tego, żeby nigdy nie kwestionować związku między ludźmi. Dobrze go znasz?

– Nie, znam tylko nazwisko i wiem, czym się zajmuje. Dziś rano dostaliśmy od niego kilka depesz.

– I co?

– Żadnych rewelacji. Banana Quick żyje i ma się dobrze. Odbyło się drugie spotkanie.

– Na Wyspie Moskitów?

Skinął głową, zmarszczył czoło, pochylił się ku niej i zapytał: – Czy Barrie coś wiozła?

– Nie wiem. – Oboje popatrzyli wokół, żeby się upewnić, że nie są podsłuchiwani. O cztery stoliki od nich Collette zobaczyła mocno zbudowanego mężczyznę siedzącego z trzema kobietami. Powiedziała do Breslina: – To Litka Morovaf, z sowieckiego Wydziału Kultury.

Breslin uśmiechnął się. – Kim on jest teraz, numerem trzy przy tutejszej placówce KGB?

– Numer dwa. Autentyczny czekista. Wścieka się, gdy tytułuję go pułkownikiem. On naprawdę myśli, że wystarczy, iż nie nosi munduru, żeby ludzie nie wiedzieli, jaki ma stopień wojskowy. Świntuch wciąż łązi za mną, żebym poszła z nim na kolację. Ale dosyć o nim. Wracając do Barrie, Joe, ja nie zawsze wiedziałam, czy coś przewoziła, czy tylko przyjeżdżała w interesach związanych z jej agencją. Ostatnio stała się bardzo małomówna, co mnie ucieszyło, bo kiedy zaczynała współpracę z nami, paplała o tym na prawo i lewo niczym pensjonarka.

– Czy przed wyjazdem widziała się z Tolkerem?

– Tego też nie wiem. Zazwyczaj kontaktowała się z nim w Waszyngtonie, ale tym razem miała trochę wolnego czasu w Nowym Jorku i podejrzewam, że się tam spotkali. Nic nie wiem, Joe, a tak chciałabym wiedzieć.

– Może lepiej, że nie wiesz. Zjadłabyś coś?

– Prawdę mówiąc, nie.

– Pozwolisz, że coś sobie zamówię.

– Zamawiaj. Ja coś skubnę od ciebie.

Joe poprosił o *Fogasfile Gundel Modon* – fileciki rybne z dodatkiem czterech jarzyn, i butelkę Egri Bikaver. Niewiele rozmawiali podczas posiłku. Cahill popijała wino i próbowała otrząsnąć się z nękających ją myśli o śmierci Barrie.

Zaprzyjaźniły się w czasie studiów. Collette wychowywała się w stanie Wirginia, studiowała na Uniwersytecie George'a Washingtona i ukończyła tam wydział prawa. W czasie studiów podyplomowych poznała Barrie Mayer, która przyjechała z Seattle, aby na uniwersytecie w Georgetown zrobić magisterium z angielskiej literatury. Spotkały się przypadkowo. Młody adwokat, z którym spotykała się Cahill, urządził przyjęcie w swoim mieszkaniu na Starym Mieście i zaprosił swego najlepszego przyjaciela, który właśnie zaczął „chodzić” z Barrie Mayer. Ten przyprowadził ją na przyjęcie i obie dziewczyny od razu przyłgnęły do siebie.

To, że zostały przyjaciółkami, zaskoczyło obu adwokatów. Różniły się charakterami w tym samym stopniu co wyglądem zewnętrznym. Mayer – wysoka, długonoga, miała

wspaniałe kasztanowe włosy, które lubiła nosić rozpuszczone. Rzadko się malowała. Umiała robić dobry użytek ze swych oczu koloru malachitu, wyrażała całą gamę uczuć to szeroko je otwierając lub mrużąc, to przymrużając jedno oko, podnosząc jedną brew lub zmysłowo przymykając powieki, co jak wiedziała, robiła wrażenie na mężczyznach.

Cahill była niskiego wzrostu i krępej budowy. Od czasu wczesnej młodości miała zaokrąglone kształty, co było powodem bezsennych nocy jej owdowiałej matki. W odróżnieniu od nieco ociężałej Mayer była pełna życia. Jej ciemnoniebieskie oczy były w ciągłym ruchu; wystające kości policzkowe zdradzały szkockie pochodzenie. Sądząc po twarzy można było zawsze spodziewać się u niej wybuchu entuzjazmu albo zdumienia. Lubiała się malować, dodawać koloru policzkom i wargom. Miała czarne włosy („Skąd się to u niej wzięło, na miłość boską?” – pytała często jej matka), krótko obcięte w sposób podnoszący urodę jej ładnie zaokrąglonej twarzy.

Początkowo ich przyjaźń wypływała z jednakowej u obu determinacji zrobienia kariery. Dążyły, rzecz jasna, do różnych celów. Barrie marzyła o tym, żeby kiedyś kierować dużą firmą wydawniczą. Cahill chciała mieć kierownicze stanowisko w administracji państwowej, najlepiej w sądownictwie, może nawet jako pierwsza kobieta – prokurator generalny. Często śmiały się głośno ze swoich aspiracji, ale traktowały je poważnie.

Były w bliskim kontakcie do chwili ukończenia studiów, ale kontakt osłabł, gdy poszły do pracy. Cahill dostała posadę w czasopiśmie prawniczym wydawanym w Waszyngtonie i zajmującym się przygotowywanymi ustawami z dziedziny handlu. Pracowała tam przez rok, a potem, za radą przyjaciela, zaczęła ubiegać się o pracę w instytucjach rządowych, takich jak Departament Sprawiedliwości, Stanu i Centralna Agencja Wywiadowcza. Pierwszą ofertę otrzymała z CIA i przyjęła ją.

– Co takiego? – wybuchnęła Barrie Mayer przy kolacji, gdy Cahill powiedziała jej o swojej nowej pracy.

– Będę pracować w CIA.

– To... to szaleństwo. Czy nic nie czytasz, Collette? CIA to okropna organizacja.

– Oto skutek szkodliwego wpływu środków masowej informacji – odparła Collette z uśmiechem. – Poza tym po szkoleniu wysyłają mnie do Anglii.

Teraz Mayer też się uśmiechnęła. – Widzę, że nie jest to taka okropna organizacja. Co tam będziesz robić?

– Na razie nie mam pojęcia, ale wkrótce się dowiem.

Zakończyły kolację toastem za nową przygodę Collette, a szczególnie za Londyn.

W czasie, gdy Collette Cahill zdecydowała się wejść do „Fabryki Korniszonów”, jak



pracownicy CIA nazywali między sobą Agencję, Barrie Mayer pracowała na podrzędnym stanowisku w redakcji „The Washingtonian”, wiodącym czasopiśmie handlowym okręgu Kolumbii. Powzięcie przez przyjaciółkę tak ważnej decyzji zmobilizowało ją do działania. Odeszła z redakcji i pojechała do Nowego Jorku, gdzie mieszkała u przyjaciół do czasu otrzymania posady asystentki dyrektora jednego z najlepszych wydawnictw. Pracując tam zainteresowała się rolą agenta literackiego w branży wydawniczej i w rezultacie podjęła pracę w średniej wielkości agencji. Okazało się, że praca ta, z jej tempem szybszym niż w wydawnictwie, bardzo jej odpowiada. Lubiła też występować w imieniu klientów agencji. Okazało się, że jest w tym dobra.

Po śmierci założyciela agencji Mayer prowadziła ją przez trzy lata, zanim zdecydowała się założyć własną firmę. Wykluczyła Nowy Jork; zbyt duża konkurencja. Zorientowawszy się, że coraz więcej autorów pochodzi z Waszyngtonu, postanowiła właśnie tam otworzyć „Agencję Barrie Mayer i spółka”. Od początku szło jej świetnie, rosła liczba obsługiwanych przez nią zagranicznych autorów, a towarzyszyła temu również coraz dłuższa lista pisarzy waszyngtońskich.

Pracując daleko od siebie Barrie i Collette nie zerwały kontaktu, od czasu do czasu wysyłając jedna do drugiej kartki pocztowe i listy, i rzadko tylko zastanawiając się, czy kiedykolwiek zaczną się znów widywać.

Po trzech latach w stacji monitoringowej CIA, w byłym budynku BBC pod Londynem, gdzie Cahill prowadziła nasłuch stacji radiowych z krajów bloku sowieckiego i na tej podstawie sporządzała zwięzłe, rzeczowe raporty dla tych z „góry”, zaproponowano jej przeniesienie do jednostki Tajnej Służby w sekcji węgierskiej, działającej pod przykrywką ambasady USA w Budapeszcie. Zastanawiała się nad przyjęciem propozycji; uwielbiała Anglię, i perspektywa dłuższego pobytu we wschodnioeuropejskim państwie socjalistycznym nie pociągała jej specjalnie.

Praca w Tajnej Służbie, wydziale CIA, miała jednak swój urok. Mimo że technika kosmiczna, z jej zdolnością do zaglądania, z wysokości kilometrów, w każdą szparę i zakątek ziemi, zmniejszyła zapotrzebowanie na agentów, wciąż istniały dla nich specjalne zadania; opisy zaś ich wspaniałych wyczynów i intryg, uwiecznione przez autorów powieści szpiegowskich, też wywierały swój wpływ.

Co wbijano jej do głowy w czasie szkolenia w głównej siedzibie w Langley w stanie Wirginia, i na „Farmie”, pięknej posiadłości odległej od Waszyngtonu o dwie godziny jazdy? CIA nie jest, w zasadzie czy wyłącznie, organizacją szpiegowską. Ma ona jedynie niewielką sekcję zajmującą się szpiegostwem, agenci zaś nigdy nie są wykorzystywani do zbierania

informacji, które można uzyskać inną drogą.

Jej instruktor na kursie „Kierowania działaniami szpiegowskimi” cytował tezę z materiałów wywiadu brytyjskiego: „Dobra działalność szpiegowska jest jak dobre małżeństwo. Nic niezwykłego nigdy się w niej nie zdarza. Jest ona mało urozmaicona, i tak być powinno. Nigdy nie stanowi materiału na dobrą powieść”.

Pod szyldem Misji Przemysłowo-Handlowej przy ambasadzie miała pełnić funkcję pracownika do określonych zadań wyszukującego przydatnych członków węgierskich kół politycznych, przemysłowych i inteligenckich, i robiącego z nich agentów pracujących dla Stanów Zjednoczonych, „przeciągającego” ich na stronę amerykańską. Oznaczałoby to powrót do Waszyngtonu na miesiące intensywnego szkolenia, w tym czterdziestoczterotygodniowy kurs języka węgierskiego w Instytucie Służb Zagranicznych.

Czy powinna była przyjąć tę propozycję? Matka przynaglała ją do powrotu z Anglii do domu i do wykorzystania studiów prawniczych w odpowiedni sposób. Cahill sama zastanawiała się nad odejściem z „Fabryki Korniszonów” i powrotem do domu. Ostatnie kilka miesięcy w Anglii były nudne, nie w sensie towarzyskim, ale zawodowym, gdy rozkład jej zajęć stał się łatwy do przewidzenia i monotony.

Nie była to łatwa decyzja. Podjęła ją w pociągu z Londynu, po weekendzie spędzonym na dobrym spektaklu teatralnym, włączędze po *pubach*<sup>3</sup> z przyjaciółmi, których poznała w rozgłośni radiowej „Thames”, i delektowaniu się prawdziwą angielską herbatą u „Brown”.

Przyjmie tę pracę.

Kiedy się wreszcie zdecydowała, ogarnął ją świetny nastrój. Z zapalem zaczęła przygotowywać się do powrotu do Waszyngtonu. Nakazano jej nie rozmawiać z nikim o tej sprawie, poza sprawdzonymi ludźmi z personelu CIA.

– Nawet z matką?

Odpowiedzią był lekki uśmiech zrozumienia na twarzy szefa i słowa:

– Przede wszystkim z matką.

\* \* \*

– Węgrzy będą wam mówić o dwóch rzeczach – powiedział słuchaczom kursu językowego lektor z waszyngtońskiego Instytutu Służb Zagranicznych na swoim pierwszym wykładzie. – Po pierwsze, usłyszycie, że Węgry to bardzo mały kraj. Po drugie, powiedzą

wam, że ich język jest bardzo trudny. Możecie im wierzyć. Oba twierdzenia są prawdziwe.

\* \* \*

*Piątek.*

Zakończył się pierwszy tydzień zajęć językowych Cahill; weekend postanowiła spędzić z matką w Wirginii. Wpadła na Rynek Francuski w Georgetown, żeby jej kupić ulubiony pasztet i ser. Czekala właśnie na zsumowanie zakupów, gdy ktoś za nią wymówił jej imię. Odwróciła się. – Niemożliwe – powiedziała, otwierając szeroko oczy.

– Ależ możliwe – odparła Mayer.

Objęły się, odstały o krok i popatrzyły na siebie, po czym znów się uściślały.

– Co ty tu robisz? – spytała Mayer.

– Chodzę do szkoły. Przenoszą mnie... ale to długa historia. A co u ciebie? Agencja prosperuje? Jak twoje...?

– Życie uczuciowe? – Obie roześmiały się.

– To też długa historia. Dokąd teraz idziesz? Czy możemy wypić razem drinka? albo zjeść kolację? Chciałabym...

– Ja też. Jadę na weekend do domu... to znaczy, do matki. Boże, nie mogę w to uwierzyć. Barrie! Wyglądasz fantastycznie.

– Ty też. Musisz jechać już, w tej chwili?

– Widzisz, ja... Pozwól, że zadzwonię do matki i powiem, że się spóźnię.

– Jedź jutro, wczesnym rankiem. Zanocujesz u mnie.

– Och, Barrie, nie mogę. Ona oczekuje mnie.

– To chociaż jeden drink. Ja stawiam. Umieram wprost z chęci pogadania z tobą. To niesamowite, tak wpaść na siebie. Błagam, tylko jeden drink. Jeśli zostaniesz na kolacji, jestem gotowa odesłać cię do domu samochodem.

– Tak dobrze ci idzie?

– Fantastycznie.

Poszły do „Georgetown Inn”, gdzie Cahill zamówiła dżin z tonikiem, a Mayer koktajl „staroświecki”. Chciały jak najszybciej opowiedzieć sobie naraz wszystko, co dotąd działo się

---

<sup>3</sup> Ang. – pub = piwiarnia. (*Przyp. tłum.*)

z nimi; w rezultacie jednak niewiele z tego, co mówiła jedna, docierało do drugiej. Uświadomiwszy to sobie Mayer powiedziała: – Zwolnijmy tempo. Ty mów pierwsza. Powiedziałaś, że jesteś tu, żeby brać lekcje. Lekcje czego? Po co?

– Dla potrzeb mojej pracy. Jestem – opuściła wzrok na blat baru i dodała z dużym zakłopotaniem. – Właściwie nie wolno mi rozmawiać o tym z... z kimkolwiek formalnie nie związanym z „Firmą”.

Twarz Mayer przybrała poważny wyraz. – Ważna robota szpiegowska, co?

Cahill zbyła tę uwagę śmiechem. – Nie, wcale nie, ale wiesz, jak to jest u nas.

– U nas?

– Barrie, nie zmuszaj mnie do wyjaśnień. Wiesz, o co mi chodzi.

– Pewnie, że wiem.

– Naprawdę?

Mayer usiadła wygodniej i zaczęła bawić się pałeczką do mieszania koktajli. Zapytała:  
– Opuszczasz starą, dobrą Anglię?

– Tak.

– I?

– Będę... Będę pracować w ambasadzie USA w Budapeszcie.

– To cudownie. W ambasadzie? Odeszłaś z CIA?

– Widzisz, ja...

Mayer podniosła rękę. – Wyjaśnienia niepotrzebne. Czytuję gazety.

Cahill przerwała pełne zakłopotania milczenie, jakie zapadło po początkowej euforii. Chwyciła Mayer mocno za rękę i powiedziała: – Dajmy sobie spokój z historyjkami z gatunku „płaszczka i szpady”. Teraz twoja kolej, Barrie. Opowiedz mi o twojej agencji. I o swoim... no, wiesz...

– Moim życiu uczuciowym. – Zachichotały.

– Jest w zastoju, żeby nie powiedzieć gorzej, choć ostatnio były jakieś momenty. Problem polega na tym, że więcej czasu spędzam w samolotach niż gdziekolwiek indziej, co nie sprzyja stałym związkom. Tak czy owak, agencja kwitnie i skoro już o tym mowa, będziemy się prawdopodobnie częściej spotykały w Budapeszcie niż w ciągu ostatnich pięciu lat.

– Dlaczego?

Opowiedziała o swoich ostatnich sukcesach z zagranicznymi autorami, a wśród nich Węgrem, Zoltanem Rétim. – Byłam w Budapeszcie ze sześć czy osiem razy. Uwielbiam to miasto. Jest cudowne, mimo że Wielki Czerwony Brat zagląda ci przez ramię.

- Jeszcze jednego?
- Ja dziękuję. A ty?
- Nie, naprawdę powinnam już iść.
- Zadzwoń do matki.
- Dobrze.

Cahill wróciła od telefonu. – Mama jest taka dobra. Powiedziała: „Poświęć czas swojej drogiej przyjaciółce. Przyjaźń to ważna rzecz”. Cahill powtarzała słowa matki z przesadną powagą.

- Musi być wspaniała. No więc co? Kolacja? Nocleg u mnie? Wybieraj.
- Kolacja, i ostatnim pociągiem do domu.

Wylądowały w „La Chaumiere” na M Street, gdzie Mayer została przywitana jak królowa. – Przychodzę tu od lat – wyjaśniła, kiedy prowadzono je do najlepszego stolika przy kominku. – Jedzenie jest pyszne, a obsługa wie, kiedy zostawić cię w spokoju. Jadłam tu wspaniałe dania i robiłam wyjątkowo dobre interesy.

Kolacja przeciągnęła się w długi wieczór spędzony na nieśpiesznych zwierzeniach, w czym pomogła druga butelka wina. Odeszła jej potrzeba bombardowania się wzajemnie szczegółowymi opowieściami o ich życiu, i rozmowa zesłała na spokojną wymianę pełnych refleksji myśli wygłaszanych w wygodnych fotelach.

- Opowiedz mi o Eryku Edwardsie.

– Co jeszcze można powiedzieć? Poleciałam na BWD<sup>4</sup> na spotkanie z autorem, który ostatnio odniósł duży sukces. Poza tym, nigdy nie marnuję szansy na Karaibach. No więc ten autor zabrał mnie na całodzienny rejs wynajętym jachtem prowadzonym przez Eryka. Od razu przypadliśmy sobie do gustu; wiesz, Collette, jedna z tych błyskawicznych reakcji. W rezultacie spędziłam z nim cały tydzień.

- To trwa dalej?

– W pewnym sensie. Nie jest to łatwe, gdy ja wciąż jestem w rozjazdach, a on siedzi tam, na Karaibach; ale na pewno coś nas wciąż łączy.

- To dobrze.
- No i...

Cahill spojrzała na nią, siedzącą przy stoliku oświetlonym świecą, i uśmiechnęła się. – Ale, ale... Chciałaś mi coś koniecznie powiedzieć.

- Eryk Edwards ci nie wystarczy?

---

<sup>4</sup> BWD – skrót, Brytyjskie Wyspy Dziewicze. (*Przyp. tłum.*)

– Wystarczyłyby, gdybyś nie dała do zrozumienia, że jest coś poważniejszego. No, mów, pani agentko literacka. Ten ostatni pociąg niedługo odjeżdża.

Mayer rozejrzała się po restauracji. Tylko dwa inne stoliki były zajęte i obydwie daleko od nich. Oparła się łokciami o stolik i powiedziała: – Doszłusowałam do was.

Twarz Cahill pozostała nieprzenikniona.

– Stałam się jedną z was.

Cahill zaświtało, że przyjaciółka może mieć na myśli CIA, ale ponieważ wydało się jej to bezsensowne – i ponieważ nauczyła się być ostrożna – nie podjęła tematu. Zamiast tego powiedziała.

– Barrie, czy mogłabyś mówić jaśniej?

– Oczywiście. Pracuję dla „Fabryki Korniszonów”. – Słowa te wypowiedziała radosnym tonem.

– To znaczy... w jakim charakterze?

– Jestem kurierem. Oczywiście to praca dorywcza, ale przez ostatni rok robiłam to mniej więcej regularnie.

– Po co? – Było to jedyne sensowne pytanie, które przyszło Cahill do głowy w tym momencie.

– Bo mnie poproszono i... podoba mi się ta robota, Collette, czuję, że robię coś pożytecznego.

– Płacą ci?

Mayer roześmiała się. – Pewnie. Co byłaby ze mnie za agentka, gdybym nie umiała załatwić sobie dobrych warunków?

– Chyba nie potrzebujesz pieniędzy?

– Oczywiście że nie, ale czy ktoś kiedykolwiek miał ich za dużo? A do tego nie objętych podatkiem. Chcesz więcej szczegółów.

– Tak i nie. Jestem naturalnie zafascynowana tą nowiną, ale naprawdę nie powinnaś o tym mówić.

– Tobie? Jesteś sprawdzona.

– Wiem, Barrie, ale to nie są sprawy na pogaduszki przy kolacji i winie.

Mayer przybrała skruszony wyraz twarzy. – Nie wydasz mnie, co?

Collette westchnęła i rozejrzała się za kelnerem. Kiedy już ją zauważył, powiedziała do Mayer.

– Barrie, zepsułaś mi weekend. Spędzę go zastanawiając się nad dziwnymi, pokrętnymi kolejami losu, jakimi potoczyło się życie mojej przyjaciółki, kiedy mnie zabrakło,

żeby ją chronić.

Stały przed restauracją. Wieczór był rześki i bezchmurny. Ulice wypełniły się zwykłym tłumem weekendowym kierującym się ku Georgetown, co sprawiało, że jego mieszkańcy załamywali ręce i zaczęli myśleć o sprzedaży swoich domów.

– Wracasz w poniedziałek? – spytała Mayer.

– Tak, ale większość czasu będę spędzać za miastem.

– Na „Farmie”?

– Barrie!

– No więc?

– Muszę się trochę podszkolić. Nie mówmy więcej o tym.

– W porządku, ale przyrzeknij, że zadzwonisz, jak tylko będziesz miała wolną chwilę. Mamy jeszcze mnóstwo do nadrobienia.

Ucałowały się i Collette przywołała taksówkę. Weekend spędziła u matki rozmyślając o Barrie Mayer i rozmowie w restauracji. To, co powiedziała przyjaciółce, było prawdą. Barrie zepsuła jej weekend. Wróciła do Waszyngtonu w poniedziałek rano, z niecierpliwością oczekując następnego spotkania, żeby usłyszeć dalszy ciąg opowieści o „drugim życiu” Barrie Mayer.

\* \* \*

– Ta restauracja to już nie to, co dawniej – powiedział Joe Breslin kończąc posiłek. – Pamiętam, kiedy „Gundel” była...

– Joe, jadę do Londynu i Waszyngtonu – przerwała mu Cahill.

– Po co?

– Ustalić, co wydarzyło się Barrie. Nie mogę tak tu siedzieć obojętnie, wzruszyć ramionami i pogodzić się ze śmiercią przyjaciółki.

– Może to właśnie powinnaś zrobić, Collette.

– Siedzieć tutaj?

– Tak. Może...

– Joe, wiem dokładnie, o czym myślisz i jeśli to, co myślisz, ma jakikolwiek związek z prawdą, to nie wiem, co zrobić.

– Collette, nie wiem nic o śmierci Barrie, ale wiem, że angażując się brała pod uwagę wiadome ryzyko, bez względu na to, w jakim stopniu była zaangażowana... Od czasu Banana

Quick zrobiło się gorąco. Gra idzie o dużo większą stawkę, a gracze stali się bardziej widoczni i bardziej podatni na ciosy. – Po czym śpiesznie dodał szeptem. – Akcja została przyspieszona. Wszystko odbędzie się szybciej, niż planowano.

– Myślisz, Joe, że mogłaby to być mokra robota ruskich? – Użyła stosowanego w rosyjskim wywiadzie na określenie przelewu krwi i morderstwa słowa, które przyjęło się we wszystkich kręgach wywiadowczych.

– Niewykluczone.

– Albo?

– Albo... spróbuj zgadnąć. Pamiętaj, Collette, że mogło być dokładnie tak, jak orzekli lekarze brytyjscy, po prostu zwykły atak serca.

Cahill poczuła ucisk w gardle; starła łzę toczącą się po policzku. – Joe, proszę cię, odwieź mnie do domu. Poczułam się nagle bardzo zmęczona.

Kiedy wychodzili z „Gundelu”, oficer sowieckiego wywiadu, siedzący przy stoliku z trzema kobietami, pomachał do Collette i powiedział: – *Wsiewo choroszewo, madame Cahill.* – Był pijany.

– Dobranoc i panu, pułkowniku – odrzekła.

Breslin odwiózł ją do jej mieszkania na Huszti ut w Budzie, po modniejszej stronie Dunaju, do jednego z wielu mieszkań wynajmowanych przez ambasadę Stanów Zjednoczonych dla swojego personelu. Choć bardzo małe i na trzecim piętrze, było jasne i miało dobrą wentylację a także unowocześnioną kuchnię najlepszą ze wszystkich, jakie mieli jej przyjaciele z ambasady w swoich służbowych mieszkaniach. Był tam też telefon – rzecz, na którą obywatele węgierscy czekali latami.

Pulsujące czerwone światełko wskazywało, że Cahill ma dwie wiadomości nagrane na automatycznej sekretarce. Przewinęła taśmę i usłyszała znajomy głos, angielszczyznę z silnym węgierskim akcentem:

*Collette, tu Zoltan Réti. Jestem w Londynie. Całkiem zaszokowała mnie wiadomość o Barrie. Nie, to nie jest słowo na określenie tego, co czuję. Przeczytałem o tym w tutejszej gazecie. Przybyłem tu na konferencję, jutro wracam do Budapesztu. Jestem taki zmartwiony, że straciłaś bliską przyjaciółkę, to także moja strata. To straszne. Do widzenia.*

Cahill zatrzymała automat przed wysłuchaniem drugiej wiadomości. Londyn? Czy Réti nie wiedział, że Barrie miała przylecieć do Budapesztu? Jeśli nie, i jeśli ona wiedziała, że



go tu nie będzie – musiała lecieć w sprawach CIA. Ale to byłoby wbrew dotychczasowej praktyce. Nigdy nie przybywała do Budapesztu, jeśli on nie był pretekstem do wizyty, która zresztą nie budziła podejrzeń. Był jej klientem, a fakt, że akurat był Węgrem i mieszkał w Budapeszcie, ułatwiał tylko jej drugie, tajne zadanie przewożenia materiałów dla Centralnej Agencji Wywiadowczej i stwarzał dla tej działalności dobrą przykrywkę.

Włączyła drugą wiadomość.

*Collette Cahill, nazywam się Eryk Edwards. Nie znamy się, ale byłem bardzo blisko z Barrie i ona często mówiła o pani. Właśnie dowiedziałem się, co się z nią stało i poczułem, że muszę skontaktować się z kimś, kimkolwiek, kto był jej bliski i zrozumie, co czuję w tej chwili. Prawda, że to nagłe odejście tej pięknej i utalentowanej kobiety wydaje się niemożliwe? Kobiety, która...*

Tu nastąpiła przerwa i Cahill miała wrażenie, że mówiący próbuje się uspokoić.

*Mam nadzieję, że nie weźmie mi pani za złe długiej i chaotycznej przemowy, ale, jak już powiedziałem, chodziło mi o dotarcie do jej przyjaciółki i rozmowę z nią. Mieszkam na Brytyjskich Wyspach Dziewiczych, ale może...*

Połączenie zostało przerwane. „Sekretarka” zarejestrowała już tylko przerywane buczenie.

Jego telefon sprawił, że zaczęła zadawać sobie dalsze pytania. Czy nie zdawał sobie sprawy, że ona będzie wiedziała, kim on jest, że mieszka na Brytyjskich Wyspach Dziewiczych, że jest tam agentem CIA, którego główne zadanie było związane z Węgrami? Czy po prostu zachował się jak profesjonalista? Prawdopodobnie tak. Nie mogła winić go za to.

Zrobiła sobie herbaty, włożyła nocną koszulę, postawiła kubek na małym stoliku obok łóżka i wśliznęła się pod kołdrę. Podjęła decyzje w trzech sprawach: natychmiast poprosi o urlop, żeby pojechać do Londynu i Waszyngtonu; odnajdzie wszystkich, którzy przyjaźnili się z Barrie, dając chociaż ulgę swoim uczuciom; i, od tej chwili, będzie brała pod uwagę możliwość przedwczesnego zgonu jej przyjaciółki, Barrie Mayer, na atak serca, przynajmniej do momentu pojawienia się czegoś namacalnego, co dowiedzie, że było inaczej.

Zapadła w sen, płacząc bezgłośnie, ale przedtem chrapliwym, niskim głosem wypowiedziała w przestrzeń pytanie: – Co się stało z Barrie? Co stało się naprawdę?

## ROZDZIAŁ 4

*Collette: Skontaktuj się ze mną, jak tylko przyjedziesz. Joe.*

Kartka z tą wiadomością była przyklejona do telefonu w jej biurze na drugim piętrze ambasady. Wypiła kawę i poszła przez hall do biura Breslina. – Wejdz – powiedział. – Zamknij drzwi.

Wypił łyk swojej kawy, która – o czym wiedziała Cahill – zawierała porządną porcję *aqua vitae*<sup>5</sup>, dowodu przyjaźni kolegi z ambasady Stanów Zjednoczonych w Kopenhadze, który zawsze przywoził butelkę w swoim bagażu dyplomatycznym.

– O co chodzi? – zapytała.

– Chcesz się przejść?

– Jasne. – Nie proponował tego z potrzeby ruchu. To, co miał do powiedzenia, było ważne i poufne, a Breslin był znany ze swej chorobliwej niechęci do prowadzenia takich rozmów wewnątrz ambasady.

Zeszli po szerokich schodach wyłożonych wytartym, czerwonym chodnikiem, i przez drzwi sterowane elektronicznie przez młodą kobietę w recepcji, minawszy pracownika ambasady węgierskiej, który sprawdzał jakiegoś interesanta przy pomocy wykrywacza metalu, wyszli na zalaną słońcem Szabadság tér i Plac Wyzwolenia.

Gromadka uczniów stała u stóp ogromnego pomnika-obelisku poświęconego sowieckim żołnierzom, którzy wyzwolili miasto. Na ulicach było rojno od ludzi idących do pracy albo w stronę Váci utca, przyległego do niej pasażu handlowego, gdzie obowiązywał zakaz wjazdu samochodów. – Chodź – powiedział Breslin. – Pójdziemy w stronę parlamentu.

Idąc nabrzeżem Dunaju doszli do zwieńczonego kopułą neogotyckiego budynku parlamentu z osiemdziesięcioma ośmioma posągami przedstawiającymi węgierskich monarchów, wodzów i sławnych wojowników. Breslin spojrzał na nie i uśmiechnął się. – Chciałbym być tutaj, kiedy oni naprawdę mieli parlament – rzekł. Od czasu, gdy Sowieci przejęli władzę, parlament funkcjonował, ale był nim tylko z nazwy. Faktyczne decyzje były podejmowane w prostokątnym budynku trochę dalej w górę rzeki, gdzie MSZMP – Węgierska Socjalistyczna Partia Robotnicza – miała swoją siedzibę.

Przyglądając się statkom na Dunaju Cahill spytała: – Co chcesz mi powiedzieć?

---

<sup>5</sup> Łac. woda życia – tu: whisky. (*Przyp. tłum.*)

Breslin wyjął z kieszeni fajkę, napełnił ją tytoniem i przytknął do niego zapalnik.

– Nie sądzę, żebyś musiała prosić o urlop dla ustalenia, co się stało z twoją przyjaciółką Barrie.

– O czym ty mówisz?

– Zgodnie z tym, co Stan powiedział mi dziś rano, zostaniesz poproszona, żebyś zajęła się tym służbowo. – Stanley Podgorsky był szefem jednostki CIA działającej poza ambasadą. Mniej więcej połowa z około dwustu Amerykanów zatrudnionych w ambasadzie to byli podlegli mu ludzie CIA.

– Dlaczego ja? – zapytała Cahill. – Nie mam odpowiedniego przeszkolenia wywiadowczego.

– A dlaczego nie? Ilu znasz w „Firmie” wyszkolonych detektywów? – Uśmiechnęła się na te słowa. – Wiesz jak to się robi, Collette; ktoś zna kogoś, kto został skompromitowany, i wobec tego dostaje zadanie, taki „błyskawiczny detektyw”. Wydaje mi się, że tym razem padło na ciebie.

– Bo znałam Barrie?

– Właśnie.

– I nie był to atak serca?

– Z tego co słyszałem – nie.

Poszli w stronę grupy robotników, którzy przy pomocy pneumatycznych wiertarek udarowych zrywali starą nawierzchnię nabrzeża. Kiedy zbliżyli się do nich na tyle, że nawet bardzo czuły mikrofon o dalekim zasięgu nie zdołałby rozróżnić ich słów w tym ogłuszającym hałasie, Breslin powiedział: – Collette, ona przewoziła coś, i to musiało być bardzo ważne.

– I to coś zniknęło?

– Tak.

– Masz jakieś podejrzenia?

– Jasne. To był albo ktoś z nas, albo oni. Jeśli oni – mają w ręku materiały, a my jesteśmy w panice... Jeżeli my – ktoś z naszych ludzi ma to, co było w jej teczce, i może rozgląda się, jakby tu sprzedać to drugiej stronie. – Pociągnął z fajki i dodał: – Albo...

– Albo chciał mieć materiały, które wiozła Barrie, z innych powodów, osobistych, może go obciążały; coś w tym sensie.

– Tak, coś w tym sensie.

Zmrużyła oczy od słońca, które wychyliło się zza szybko przesuwanej się chmury i rzekła: – Joe, przyszliśmy tu nie tylko po to, żebyś mnie uprzedził, iż Stan może mnie

poprosić o zajęcie się śmiercią Barrie. Powiedział ci, żebyś mnie wybadał, prawda?

– Sformułował to w znacznie krótszych słowach.

– Zrobię to.

– Naprawdę? Bez wahania?

– Tak, bez wahania. Chciałam i tak zrobić to na własną rękę. W ten sposób nie stracę urlopu, jaki mi się należy.

– Masz praktyczne podejście do spraw.

– Za długo pracuję w „Fabryce Korniszonów”. Ja mam mu powiedzieć czy ty?

– Ty. Nie mam z tym nic wspólnego. Ostatnia rada, Collette. Ani Stana, ani tych przy biurkach w Langley, naprawdę nie obchodzi, jak zmarła Barrie. Dla nich był to atak serca. To znaczy wiedzą, że tak nie było, ale ona się nie liczy, liczy się teczka.

– Co w niej było? Od kogo?

– Może Stan ci powie, chociaż wątpię. Wiesz przecież. „Ograniczony dostęp do informacji”.

– Jeśli mam ustalić, kto to zrobił, to muszę mieć dostęp do informacji.

– Może tak, może nie. To zależy od Stana i ludzi w Langley. Niech oni ustalą zasady działania, a ty nie wychodź poza nie. – Spojrzał na nią znad okularów dla podkreślenia wagi swych słów.

– Będę się ich trzymać, i dzięki, Joe. Idę od razu zobaczyć się ze Stanem.

Podgorsky zajmował biuro, na którego drzwiach była tabliczka z napisem „Naprawa maszyn do pisania”. Wiele biur CIA na terenie ambasady miało podobne tabliczki, które, jak sądzono, zniechęcały przypadkowych gości. Tak też było zazwyczaj.

Stanley siedział za zniszczonym biurkiem ze śladami wypalonymi przez cygara zostawione na brzegu blatu. Niski i krępy, miał bujną siwą czuprynę, z której był niezmiernie dumny. Cahill lubiła go, i to od pierwszego dnia pobytu w Budapeszcie. Był bystry i twardy, ale przy tym uczuciowy, co rzutowało na jego stosunek do wszystkich jego współpracowników.

– Rozmawiałaś z Joem? – zapytał.

– Tak.

– Uważasz, że to ma sens?

– Chyba tak. Byłyśmy bliskimi przyjaciółkami. Miałam wyjść po nią na lotnisko.

Pokiwał głową, chrząknął i zabębnił palcami o biurko. – Miałas po nią wyjść dla nas?

– Nie, z powodów czysto osobistych. Nie wiedziałam, czy przywiezie coś, czy nie.

– Rozmawiała kiedykolwiek z tobą o tym, co robiła?

– Trochę.

– Ale nie na temat tej podróży.

– Nie. Nigdy nie wdawała się w szczegóły co do jej przyjazdów tutaj. Mówiła tylko o spotkaniach z klientami jej agencji, na przykład Zoltanem Rétim.

– Nie ma go tu.

– Wiem. Dzwonił do mnie wczoraj wieczorem z Londynu i zostawił wiadomość mojej automatycznej sekretarce.

– Dziwi cię, że go tu nie ma?

– Prawdę mówiąc, tak.

– Miała spotkać się z nim i jakąś grubą rybą partyjną w sprawie zezwolenia dla Rétiego na przekazywanie mu dochodów z jego książek wydawanych na Zachodzie.

– Ile to miało kosztować?

Podgorsky zaśmiał się. – Tyle ile *papakha*; potrzebował na kupno mieszkania na jednym z tych osiedli na wzgórzu albo na to, żeby szybko nabyć nowy luksusowy samochód.

– Wszystkie dłonie są jednakowe.

– Tak, i to, czym i jak się je smaruje. – Jego twarz zachmurzyła się. – Ponieśliśmy dużą stratę, Collette.

– To, co wiozła, było aż tak ważne?

– Uhm.

– Co to było?

– „Ograniczony dostęp do informacji”.

– Ale ja muszę wiedzieć, jeśli mam się dokopać do przyczyny jej śmierci.

Pokręcił przecząco głową. – Nie teraz, Collette. Zadanie jest dokładnie określone, żadnych niejasności. Jedziesz do domu na urlop i nawiązujesz kontakt z każdym, kto ją znał. Rozpaczasz, nie możesz uwierzyć, że twoja przyjaciółka nie żyje. Dowiadujesz się, ile zdołasz, i przekazujesz to człowiekowi w Langley zajmującemu się sprawą.

– Co za cynizm. Mnie naprawdę obchodzi, co się stało z moją przyjaciółką.

– Tego jestem pewien. Słuchaj, nie musisz tego robić. To nie twoja dziedzina, ale proponuję, żebyś sześć razy pomyślała, zanim odmówisz. Jak już powiedziałem, gra idzie o dużą stawkę.

– Banana Quick? Kiwnął twierdząco głową.

– I naprawdę dostaję urlop?

– Tak będzie w księgowości, gdyby komuś zachciało się powęszyć. Wynagrodzimy ci to później. Obiecuję.

- Kiedy mam zacząć?
- Wyjeżdżasz jutro rano.
- Nie mogę. Wiesz, że mam spotkanie z Horgaszem.
- Faktycznie. Kiedy?
- Jutro wieczorem.

Podgorsky zastanowił się chwilę i spytał: – Czy to takie ważne?

– Nie widziałam się z nim od sześciu tygodni. Zostawił wiadomość w jednej ze skrzynek kontaktowych, że coś ma. Wszystko zostało ustalone, nie da się zmienić.

- Więc spotkaj się z nim i jedź następnego dnia rano.
- Dobrze. Coś jeszcze?

– Tak. Działaj spokojnie. Szczerze mówiąc, próbowałem sprzeciwić się twojej kandydaturze do tego zadania. Byłyście za bliskie sobie. Bliska przyjaźń zazwyczaj przeszkadza. Spróbuj zapomnieć, kim była i skoncentruj się na sprawie. Teczka. Tylko to wszystkich obchodzi.

Wstała i powiedziała: – Stan, naprawdę nienawidzę tego miejsca.

- Starego, poczciwego Budapesztu? – Roześmiał się głośno.
- Wiesz, o co mi chodzi.
- Pewnie, że wiem. Wszystko przygotowane do rozmowy z Horgaszem?
- Myślę, że tak. Korzystamy z nowego miejsca spotkań.
- Nie podoba mi się to miejsce. Powinienem być bardziej stanowczy i nie zgodzić się, kiedy nam je zaproponowano. Za blisko zbyt wielu innych spraw.

– Mnie to nie przeszkadza.

– To dobrze. Jesteś dobra w robocie, Collette.

– Jestem pracownikiem. Powiedziałaś, że jadę na urlop, co znaczy, że nie będę miała statusu służbowego. To utrudni sprawę.

– Nie, nie utrudni. Jedyne, jaką dałby ci taki status, to dostęp do naszych ludzi. Nie potrzebujesz ich. Nie mają żadnych odpowiedzi. Szukają ich dopiero.

– Chcę pójść śladami Barrie. Najpierw pojedę do Londynu.

Wzruszył ramionami.

– Chcę porozmawiać z lekarzami, którzy robili sekcję zwłok.

– Nic ci to nie da, Collette. Korzystali ze sprawdzonego personelu.

– Z Brytyjskiej Tajnej Służby Wywiadowczej?

– Prawdopodobnie.

– Stan, w jaki sposób ją zabito?

– Nie mam pojęcia. Może kwas pruski, jeśli to byli Ruscy.

– My go też używamy, prawda?

Zignorował pytanie wykonując powolny, skomplikowany rytuał przycinania, zwilżania i zapalania cygara.

– Collette, zapomnij o brytyjskich lekarzach – powiedział poprzez obłok niebieskiego dymu.

– Mimo to chcę najpierw pojechać do Londynu.

– Dobra pora roku. Nie za wielu turystów.

Otworzyła drzwi, odwróciła się i zapytała: – Jak idzie naprawa maszyn do pisania?

– Słabo. Zbyt dobre produkują obecnie. Uważaj na siebie i bądź w kontakcie.

Resztę dnia, większą część nocy i cały następny dzień spędziła na przygotowaniach do spotkania z człowiekiem o pseudonimie Horgasz, po węgiersku „rybak”. Był wielką zdobyczą Collette Cahill od czasu jej przybycia do Budapesztu. Naprawdę nazywał się Árpád Hegedüs i był wysoko postawionym psychologiem w węgierskiej sekcji wywiadowczej KGB.

\* \* \*

Cahill poznała Árpáda Hegedüsa w pierwszym tygodniu pobytu w Budapeszcie, na przyjęciu dla grupy psychologów i psychiatrów zaproszonych do wygłoszenia odczytów na węgierskiej konferencji naukowej. Wśród zaproszonych była trójka Amerykanów, a jednym z nich był doktor Jason Tolker. Cahill poczuła z miejsca antypatię do Tolkera, ale nie zaprzętała sobie tym głowy, dopóki Barrie Mayer nie zwierzyła się jej, że właśnie on zwerbował ją do współpracy w roli kuriera CIA. – Nie lubię go – powiedziała Cahill przyjaciółce, na co Mayer odrzekła: – Swojego psychiatry nie musi się lubić. – Mayer była jego pacjentką przez rok, zanim zaczęła pracować w Centralnej Agencji Wywiadowczej.

Árpád Hegedüs był nerwowym, czterdziestosześcioletnim mężczyzną niskiego wzrostu, noszącym koszule ze zbyt ciasnymi kołnierzykami i za obszerne, nie doprasowane garnitury. Był żonaty i miał dwoje dzieci. Wiedzę psychologiczną zdobył głównie w Klinice Neurologiczno-Psychiatrycznej na Balassa utca w pobliżu mostu Petöfięgo, który łączy obie strony Wielkiego Bulwaru, Budę i Peszt. Władze sowieckie zainteresowały się nim, kiedy przygotował i przeprowadził serię testów psychologicznych dla pracowników na newralgicznych stanowiskach, w celu ujawnienia cech ich charakteru mogących w rezultacie doprowadzić do niezadowolenia, a może nawet do zdrady. Zabrano go do Moskwy, gdzie



spędził rok w WASA, sowieckiej wojskowej szkole wywiadowczej stanowiącej specjalny wydział cieszącej się wysokim prestiżem Wojskowej Akademii Dyplomatycznej. Błysnął tam intelektem, został przydzielony do Sowietsoj Kolonii, agendy KGB odpowiedzialnej za kontrolowanie lojalności grup sowieckich obywateli przebywających za granicą, w tym wypadku na Węgrzech. Na tym polegała jego praca, kiedy Cahill poznała go na przyjęciu, choć oficjalnie był on członkiem kadry profesorskiej w jego węgierskiej *alma mater*.

Cahill natknęła się na niego jeszcze kilka razy w następnych miesiącach. Pewnego wieczoru, kiedy jadła samotnie kolację w śródmiejskiej piwiarni „Vigadó”, podszedł do jej stolika i zapytał, czy mógłby się przysiąść. Rozmawiało im się przyjemnie, bo Hegedüs mówił dobrze po angielsku, uwielbiał operę i amerykański jazz; zadawał jej wiele pytań na temat życia w Stanach Zjednoczonych.

Cahill nie przywiązywała żadnej wagi do tego przypadkowego spotkania. Dopiero w dwa tygodnie później przyczyna jego prób zbliżenia stała się oczywista.

Był sobotni rano. Collette poszła pobiegać i dotarła do byłego pałacu królewskiego na Zamkowym Wzgórzu. Barokowy pałac został kompletnie zniszczony podczas drugiej wojny światowej, lecz w ramach odbudowy został przekształcony w ogromne muzeum i centrum kultury mieszczące też Węgierską Galerię Narodową. Cahill często buszowała po muzeum, które stało się dla niej oazą spokoju.

Właśnie stała przed ogromnym, średniowiecznym malowidłem religijnym, kiedy podszedł do niej jakiś mężczyzna. – Panno Cahill – powiedział cicho.

– A, dzień dobry, panie Hegedüs. Miło pana znowu widzieć.

– Lubi pani obrazy?

– Tak, bardzo.

Stanął obok niej i utkwiał wzrok w obrazie. – Chciałbym z panią pomówić – rzekł.

– Słucham pana.

– Nie teraz. – Rozejrzał się po galerii, zanim powiedział, tak cicho, że ledwie go usłyszała: – Jutro wieczorem o jedenastej, przy kościele Św. Marii Magdaleny na Kapisztranter.

Cahill patrzyła na niego ze zdumieniem.

– Z tyłu, za wieżą. O jedenastej. Będę czekał tylko pięć minut. Dziękuję. Do widzenia.

– Cahill patrzyła, jak szedł przez dużą salę odwracając głowę za mijanymi obrazami. Jego niska, krępa postać kiwała się niezdarnie.

Natychmiast wróciła do swego mieszkania, wzięła prysznic, przebrała się i poszła do Stana Podgorsky'ego.

Drzwi otworzyła jego żona. – Cześć, Lil – powiedziała Cahill. – Przepraszam za to najście, ale...

– Spędzamy sobotni wieczór w domu typowo po węgiersku – odrzekła Lil. – Pięknie ciasteczka, a Stan czyta tajny numer „Playboya”. Taki węgierski weekend na zwolnionych obrotach.

– Muszę z tobą pomówić – zwróciła się Cahill do Stana w małym, zagraconym pokoju wypoczynkowym. – Zdarzyło mi się coś, co może okazać się ważne.

Wyszli na spacer i Cahill opowiedziała mu o spotkaniu w muzeum.

– Co wiesz o nim? – zapytał.

– Niewiele, oprócz tego, że jest psychologiem w szpitalu.

– I... człowiekiem KGB – powiedział Podgorsky.

– Wiesz to na pewno?

– Na pewno, nie tylko KGB; jest też związany z SK, grupą ludzi mających oko na wszystkich przebywających tu Rosjan. Jeśli daje nam sygnał, Collette, to może to być jakaś jego gra – albo może on być cholernie cenny dla nas. Nie, Chryste, to za słabo powiedziane. Mógłby być złotem, czystym złotem.

– Ciekawe, dlaczego wybrał właśnie mnie – zauważyła Cahill.

– To nieistotne. Spodobalaś mu się, wyczuł w tobie kogoś, komu może zaufać. Któż to wie? Ważne jest to, żebyśmy poszli tym tropem w przewidywaniu, że mogłby przejść na naszą stronę albo że już przeszedł, nie czyniąc przy tym niczego, co mogłoby go spłoszyć. – Spojrzał na zegarek i powiedział. – Słuchaj, idź do domu i zapakuj do małej torby rzeczy, jakich możesz potrzebować na jedną noc poza domem. Spotkamy się za dwie godziny w ambasadzie, jak tylko skontaktuję się z kilkoma osobami, które są nam potrzebne w tej sprawie. Przyjedź do ambasady okreśną drogą. Upewnij się, że nikt cię nie śledzi. Czy ktoś wyglądał na zainteresowanego twoją rozmową z nim w muzeum?

– Prawdę mówiąc, nie sprawdzałam tego, ale on na pewno. Był kłębkim nerwów.

– To dobrze. Miał do tego niezły powód. A więc za dwie godziny; i bądź przygotowana na maraton.

Następne trzydzieści sześć godzin było intensywne i wyczerpujące. Przed udaniem się na plac Św. Jana Capistrano Cahill wysłuchiwała pełnej informacji na temat Arpada Hegedüsa, dostarczonych przez oddział kontrwywiadu placówki CIA, którego zadaniem było kompletowanie danych personalnych wszystkich osób pracujących w Budapeszcie dla drugiej strony.

Szary rosyjski czterodrzwiowy ZIM z dwoma agentami wyjechał z zadaniem jechania

za Collette zdążającą na umówione spotkanie z Hegedusem. Zasady, których miała się trzymać, były proste i niepodważalne.

Nie wolno jej było nic od niego przyjąć, nawet kawałka papieru, pudełka od zapalek, absolutnie nic. Chodziło o uniknięcie typowej pułapki szpiegowskiej, kiedy to dostaje się dokument od drugiej strony i natychmiast jest się aresztowanym za szpiegostwo.

Jeśli cokolwiek wzbudziłoby jej zastrzeżenia (cokolwiek! podkreślił Podgorsky), miała zakończyć spotkanie i dojechać do rogu, o dwa bloki dalej, skąd zabierze ją samochód. Ta sama zasada obowiązywała na wypadek, gdyby przyszedł nie sam.

Mały specjalny rewolwer produkcji Charter Arms, kaliber 38, schowany w kieszeni jej płaszcza, miał tam pozostać, chyba że okaże się absolutnie niezbędny do własnej obrony. Gdyby zaistniała taka konieczność, dwaj agenci w ZIM-ie, z ręcznymi pistoletami maszynowymi M-3 z tłumikiem, przyjdą jej z pomocą.

Miała nie zobowiązywać się do niczego wobec Hegedusa. To on zaproponował spotkanie, a jej rolą było wysłuchać, co on ma do powiedzenia. Jeśli dałby do zrozumienia, że chce stać się podwójnym agentem, miała wyznaczyć następne spotkanie w punkcie kontaktowym, który ma być właśnie likwidowany. Nie było sensu zdradzać mu lokalizacji czynnego punktu, dopóki nie było pewności co do jego intencji.

Cahill przystanęła przed małą kawiarnią, w niewielkiej odległości od gotyckiego kościoła. Była wdzięczna za jej istnienie w tym miejscu. Wzięła kilka głębokich oddechów, żeby uspokoić gwałtowne bicie serca. Jej zegarek wskazywał 22.50. Hegedüs powiedział, że będzie czekać tylko pięć minut. Nie mogła się spóźnić.

Minął ją szary ZIM. Agenci patrzyli wprost przed siebie, ale widzieli ją kątem oka. Ruszyła sprzed kawiarni i podeszła do kościoła, który był wciąż w ruinie, oprócz starannie odrestaurowanej wieży. Przyszła jej do głowy głupia myśl – chciałaby, żeby była mgła i żeby spowiła wszystko wokół, nasilając atmosferę tajemniczości wokół spotkania szpiega ze szpiegiem. Ale mgły nie było, tylko bardzo jasna, budapeszteńska noc. Księżyc był niemal w pełni i rzucał jaskrawe światło na uliczki i wysoki kościół.

Weszła na tyły kościoła, przystanęła, rozejrzała się wokół, ale nie zobaczyła nikogo. Może nie przyjdzie. Podgorsky wspomniał o takiej ewentualności.

– Przeważnie rezygnują ze strachu – powiedział. – Albo może go załatwią. Już rozmawiając z tobą, Collette, wiele ryzykował, i możesz go już więcej nie zobaczyć.

Miotają nią sprzeczne uczucia. Miała nadzieję, że Hegedüs nie przyjdzie, to znowu że przyjdzie. Ostatecznie o to chodziło w jej nowej robocie dla CIA w Budapeszcie, żeby znaleźć właśnie takiego kogoś i zrobić z niego kontr szpiega, skutecznie działającego na

szkodę swoich szefów. Wprost nie do wiary, że stało się to tak szybko i przyszło tak łatwo, że... Jej ojciec zawsze mawiał: „Życie to jest to, co się dzieje w czasie, gdy człowiek robi inne plany”.

– Panno Cahill.

Na dźwięk jego głosu przebiegł ją dreszcz. Chociaż czekała na niego, nie była przygotowana na usłyszenie jego głosu, żadnego głosu. Oddychała ciężko, bojąc się odwrócić.

Hegedüs wyszedł z cienia rzucanego przez kościół i stanął za nią. Odwróciła się powoli. – Panie Hegedüs – powiedziała niepewnym głosem. – Przyszedł pan.

– *Igen*, jestem tu, i pani też.

– Tak, ja...

– Będę się streszczał. Z własnych powodów chcę pomóc pani i pani krajowi. Chcę pomóc Węgrom, mojemu krajowi, uwolnić się od naszych obecnych najeźdźców.

– Jaka to pomoc?

– Informacja. Wiem, że stale potrzebujecie informacji.

– To prawda – powiedziała. – Zdaje pan sobie sprawę z ryzyka, na jakie się pan naraża?

– Oczywiście. Bardzo długo nad tym myślałem.

– A co pan chce w zamian? Pieniądzy?

– Tak, ale to nie jest mój jedyny motyw.

– Będziemy musieli porozmawiać o pieniądzach. Nie jestem upoważniona do... – Pożałowała, że to powiedziała. Jest rzeczą bardzo ważną, aby zaufał jej całkowicie. Fachowiec nie sugerowałby mu, że będzie musiał rozmawiać z innymi.

Nie wyglądało, żeby te słowa go odstraszyły. Spojrzał w górę, na wieżę kościoła i rzekł z uśmiechem: – To był piękny kraj, panno Cahill. Teraz to jest... – Głębokie westchnienie. – Nieważne. Proszę. – Wyjął z kieszeni płaszczka dwie kartki papieru i wyciągnął je w jej stronę. Instynktownie sięgnęła po nie, lecz zaraz cofnęła rękę. Jego twarz wyrażała zdziwienie.

– Hegedüs, nie wezmę teraz nic od pana. Będziemy musieli znowu się spotkać. Czy pan się zgadza?

– A mam jakiś wybór?

– Tak, może pan przemyśleć swoją ofertę i wycofać ją.

Roześmiał się gorzko. – Piloci dochodzą w locie do punktu, z którego nie ma odwrotu. Kiedy go przekroczą, muszą lecieć dalej, aż do końcowego punktu przeznaczenia – lub do

katastrofy. Ze mną jest tak samo.

Cahill wolno i wyraźnie wymówiła adres wybranego punktu kontaktowego. Podala mu dzień i godzinę: dokładnie za tydzień o dziewiątej wieczorem.

– Przyjdę i przyniosę to, co wzięłem ze sobą na to spotkanie.

– Muszę pana jeszcze zapytać, czy zdaje sobie pan sprawę z potencjalnych konsekwencji pańskiego postępowania?

– Panno Cahill, nie jestem głupcem.

– Nie, nie chciałam sugerować, że...

– Wiem, że pani nie chciała. Nie jest pani tego rodzaju osobą. Wiedziałem to od chwili, kiedy się poznaliśmy, i dlatego skontaktowałem się właśnie z panią.

– Doceniam to, panie Hegedüs, i oczekuję niecierpliwie naszego następnego spotkania.

Ma pan adres?

– Tak, mam. *Viszontlátásra!* – Zniknął w cieniu.

Nie wiadomo dlaczego pomyślała, że rzucone przez niego zwykłe „Do widzenia”, to za mało.

Jeśli spotkanie pójdzie gładko, to miała nie wsiadać do ZIM-a, ale wrócić do swojego mieszkania publicznymi środkami transportu. W pół godziny po jej przybyciu rozległo się pukanie do drzwi. Otworzyła. Był to Joe Breslin. – Cześć, właśnie przechodziłem tędy i pomyślałem, że może zaproszę cię na drinka.

Uświadomiła sobie, że jego wizyta jest dalszym ciągiem tego, co wydarzyło się koło kościoła. Włożyła płaszcz i poszli do kawiarni na świeżym powietrzu, gdzie dał jej kartkę:

*Powiedz mi, co zaszło, bez wymieniania nazwisk ani wdawania się w szczegóły. Mów w przenośni – o bejsbolu, balecie, czymkolwiek.*

Podczas gdy opowiadała o przebiegu spotkania z Hegedüsem, Breslin zapalił fajkę i wykorzystał zapalną, żeby – niby przypadkiem – podpalić skrawek papieru, który jej wręczył przed chwilą. Oboje patrzyli, jak papier zmienia się w popiół w popielniczce.

Kiedy skończyła, spojrzął na nią, uśmiechnął się swoim charakterystycznym półuśmiechem, dotknął jej dłoni i powiedział.

– Doskonale. Wyglądasz jednak na skonaną. Te sprawy nie zajmują zbyt wiele czasu, ale wysysają z człowieka siły. Wypijesz *hosszulépés*, a potem odwiozę cię do domu. Jeśli ktoś nas śledzi, to pomyśli, że przeżywamy typowy, gwałtowny, kapitalistyczny romans.

Stłumiony śmiech Cahill przeszedł w chichot. – Joe, po tym co przeszłam, powinniśmy raczej zamówić *fröccs*. – Ten koktajl zawierał dwie trzecie wina i jedną trzecią wody sodowej. Proponowany przez niego miał odwrotne proporcje.

\* \* \*

Teraz, dwa lata po tym wydarzeniu, przygotowywała się do kolejnego spotkania z „Rybakiem”. Ile ich było – piętnaście, dwadzieścia, może więcej? Rzecz jasna, że przebiegały coraz łatwiej. Ona i jej szpieg stali się dobrymi przyjaciółmi. Tak miało się to skończyć według podręcznika postępowania z „miejscowymi” agentami. Jako pracownikowi zajmującemu się sprawą Árpáda Hegedüsa płacono, jej, żeby myślała o wszystkim, co mogłoby go skompromitować, stanowić dla niego zagrożenie; o wszystkim, co potencjalnie mogłoby narazić jego i jego misję. Musiała pamiętać o wielu regułach przywoływać je na pamięć, ilekroć powstawała jakaś nowa sytuacja.

Reguła Numer 1: Agent, jako taki, jest zawsze ważniejszy od wszelkiej informacji, jaką jest w stanie dostarczyć. Należy zawsze patrzeć na sprawę perspektywicznie, a nie z punktu widzenia natychmiastowych korzyści.

Reguła Numer 2: Nigdy nie rób nic, co poruszyłoby jego sumienie. Nigdy nie proś o więcej niż to, co jego sumienie pozwala mu dostarczyć.

Reguła Numer 3: Pieniądze. Niewielkie i dostarczane regularnie. Zmiana w zasadniczym trybie życia daje do myślenia drugiej stronie. Spraw, żeby się uzależnił od tych pieniędzy. Żadnych premii za dostarczenie szczególnie ważnej informacji, bez względu na to, z jak wielkim ryzykiem wiązałoby się jej zdobycie. Między innymi nie zdradzaj, jak ważna może być dana informacja.

Reguła Numer 4: Czujnie reaguj na jego nastroje i nawyki. Bądź mu przyjacielem. Wysłuchaj go do końca. Poradź, kiedy trzeba, wysłuchaj jego wyznań, pomagaj mu w unikaniu kłopotów.

Reguła Numer 5: Nie strać go.

To spotkanie zostało zaaranżowane w sposób podobny do wszystkich innych. Kiedy Hegedüs miał coś do przekazania, wbijał czerwoną pinezkę w słup ogłoszeniowy za rogiem w pobliżu jego domu. Słup był sprawdzany każdego dnia przez węgierskiego listonosza będącego od lat na liście płac CIA. Jeśli zobaczył pinezkę, w ciągu dziesięciu minut dzwonił pod specjalny numer w ambasadzie amerykańskiej. Osoba odbierająca telefon mówiła:

„Międzynarodowy Komitet do Spraw Dzikiej Przyrody”, na co listonosz miał odpowiedzieć: „Wybieram się w ten weekend na ryby i chciałbym wiedzieć, jaka będzie pogoda”. Potem miał szybko odłożyć słuchawkę. Osoba, która przyjęła telefon, zawiadamiała Stana Podgorsky’ego, Collette Cahill albo technicznego koordynatora placówki, będącego równocześnie zastępcą szefa, Harolda „Rudego” Sutherlanda, mężczyznę potężnej budowy z przerzedzonymi rudymi włosami, stopami, które już przed laty odmówiły posłuszeństwa pod ciężarem jego ciała i który miał słabość do czerwonych szelek i kolejowych ręczników z papieru. „Rudy” był geniuszem w elektronice. Był odpowiedzialny za podsłuch i podgląd wideo w placówce budapeszteńskiej, w tym za skomplikowany system rejestrujący w punkcie kontaktowym, gdzie spotykali się Cahill i Hegedüs.

Uzgodniono, że spotkanie odbędzie się dokładnie tydzień od dnia zauważenia pinezki we wcześniej ustalonym czasie i miejscu. Na ostatnim spotkaniu Cahill poinformowała Hegedüsa o zmianie w lokalizacji punktów kontaktowych, co on przyjął bez zastrzeżeń do wiadomości.

Cahill przybyła na godzinę przed Hegedüsem. Przetestowano urządzenia nagrywające i fotografujące, a Cahill przejrzała notatki przygotowane przez nią i innych ludzi z placówki. Zajmująca się Hegedüsem pracownica biura w Langley, w stanie Wirginia, podała szereg ŻAD, żądań wywiadu, których spełnienia oczekiwano od tego najbliższego spotkania. Wszystkie one dotyczyły operacji znanej pod nazwą Banana Quick. Przede wszystkim uzyskania informacji, co wiedzą Sowieci na ten temat. Cahill przekazała to żądanie Hegedüsowi na ich poprzednim spotkaniu, a on obiecał dowiedzieć się, czego tylko będzie mógł.

Árpád Hegedüs wszedł do pokoju i zachichotał radośnie na widok stołu zastawionego jego ulubionymi potrawami, dostarczonymi tego popołudnia: *libamáj* – gęsią wątróbką; *rántott gombafejek* – pieczarkami usmażonymi w kuchni przez „Rudego” Sutherlanda tuż przed przybyciem Hegedüsa, tacą z serem *Palpusztai, Marvanysajt* i specjalnym węgierskim serem śmietankowym z papryką i kminkiem, który nazywał się *körözött*. Na deser był kopiasty talerz *somlói galusha*, pokrojonego w małe kawałki ciasta biszkoptowego oblanego czekoladą z bitą śmietaną – Hegedüs wprost je uwielbiał. Do picia był burbon. Wcześniej podawano wódkę, ale za którymś razem powiedział, że woli amerykański burbon, więc „Rudy” Sutherland poprosił Langley o dostarczenie skrzynki Blantona, marki, którą Sutherland, jako znawca whisky, uważał za najlepszą. Decyzję tę poprzedziła godzinna dyskusja w ambasadzie za zamkniętymi drzwiami na temat, jaki rodzaj burbona należy przemycić na Węgry i, jak często bywało, zrobiła się z tego cała operacja nazwana „Projekt

Abe” od Abrahama Lincolna i jego wczesnej działalności jako producenta burbona.

– Dobrze wyglądasz, Árpádie – powiedziała Cahill.

Uśmiechnął się. – Nie tak dobrze jak ty, Collette. Włożyłaś moją ulubioną sukienkę. – Zapomniała, że na poprzednim spotkaniu prawil jej komplementy na temat niebieskoszarej sukni, którą dziś znowu miała na sobie. Podziękowała mu i wskazała ręką na barek w rogu pokoju. Podeszedł do niego, zatarł ręce i rzekł. – Wspaniale. Cieszę się zawsze z góry na te wieczory z panem Blantonem prawie tak samo, jak na spotkanie z tobą.

– Pod warunkiem, że to ja mam wciąż najważniejszą, można by rzec: największą moc<sup>6</sup> – powiedziała. Nie zrozumiał, o co jej chodzi, więc mu wyjaśniła.

– Ach tak, moc. Moc jest zawsze ważna. – Nalał sobie pełną szklankę i wrzucił do niej kostkę lodu ze srebrnego kubelka, powodując przelanie się bursztynowego płynu. Hegedüs przeprosił za to, Cahill zignorowała jego słowa i nalała sobie soku pomarańczowego, prawie tak samo trudnego do zdobycia w Budapeszcie jak burbon.

– Jesteś głodny? – zapytała.

– Zawsze – odrzekł, a jego oczy rozblęły jakby od blasku świec na stole. Usiadł i nałożył sobie pełny talerz jedzenia. Cahill wzięła odrobinę i usiadła naprzeciw niego.

Hegedüs rozejrzał się po pokoju, jakby dopiero teraz zdał sobie sprawę, że jest w nowym miejscu. – Wolałem poprzedni dom – powiedział.

– Przyszedł czas na zmianę – odparła Cahill. – Wszyscy robimy się nerwowi przebywając zbyt długo w jednym miejscu.

– Wszyscy oprócz mnie.

– Tak, wszyscy oprócz ciebie. Jak sprawy?

– Dobrze... źle. – Machnął tłustą ręką nad talerzem. – To będzie nasze ostatnie spotkanie.

Serce Cahill zamarło. – Dlaczego? – spytała.

– Przynajmniej na jakiś czas. Mówi się o wysłaniu mnie do Moskwy.

– Po co?

– Któż wie, jak pracuje mózg rosyjski i do czego służy. Moja rodzina już się pakuje, ma odlecieć za trzy dni.

– Nie będziesz z nimi?

– Nie od razu. Przyszło mi do głowy, że wysłanie ich może znaczyć coś innego. – Wyraziła zdziwienie unosząc brwi, więc dodał. – Zdarzało się to ostatnio innym. Wysyłają

---

<sup>6</sup> Ang. – proof = moc napoju alkoholowego (zawartość alkoholu) (*Przyp. tłum.*)



rodzinę do Rosji, facet zostaje i myśli, że do nich dołączy, ale to nigdy nie następuje. – Połknął dwa grzybki, popił je burbonem, oparł łokcie o stół i pochylił się do przodu. – Sowici tu, na Węgrzech, popadają co dzień w coraz większą paranoję.

– Na jaki temat?

– Na jaki? Bezpieczeństwa, przecieków do was. Trzymanie rodzin w Rosji to sposób na kontrolowanie niektórych... jakby to powiedzieć... niektórych niepewnych osób.

– Czy uważają cię teraz za niepewnego?

– Myślałem, że nie, ale ta wysyłka mojej rodziny i gadanie o tym, że i mnie trzeba przenieść... Kto wie? Mogę? – Wskazał na swoją pustą szklaneczkę.

– Oczywiście, ale wrzuc najpierw łód – odrzekła lekkim tonem. Coraz bardziej martwiło ją jego picie. Ostatnio wypił prawie całą butelkę; wychodząc był całkiem pijany.

Wrócił do stołu, popijając ze świeżo napełnionej szklanki. – Mam coś dla ciebie, Collette. Jak nazwałaś ostatnio swoją prośbę o informację? ŻĄD?

– Tak, żądanie. Co masz?

– Wiedzą więcej, niż sądzą twoi ludzie.

– Na temat Banana Quick?

– Tak. Ta wyspa, którą zajęli, spełnia swoją rolę. Zainstalowali na niej najlepszy sprzęt inwigilacyjny i skaptowali tubylców, którzy sprzedają im informacje na temat waszej działalności.

Rosjanie wydzierżawili prywatną wyspę w archipelagu Brytyjskich Wysp Dziewiczych od jej właściciela, brytyjskiego multimilionera, potentata budowlanego, któremu powiedzieli, że wyspa będzie służyć wysoko postawionym sowieckim urzędnikom jako ośrodek wypoczynkowo-rekreacyjny. Kiedy dowiedziano się o tym w Departamencie Stanu USA, na pośpiesznie zwołanej naradzie z CIA poproszono właściciela, aby sprawę ponownie przemyślał, lecz ten odmówił. Umowa została podpisana i Rosjanie wprowadzili się na wyspę.

Wywiady, stanowy i centralny, dokonały dalszej oceny sytuacji. Konkluzja była następująca: Rosjanie nie są w stanie sprowadzić na czas wystarczająco czulego sprzętu ani wykwalifikowanego personelu, aby skutecznie śledzić operację Banana Quick. Nie mają też na miejscu odpowiedniej liczby agentów, żeby stworzyć efektywnie pracującą grupę obywateli-szpiegów.

– Masz jakieś szczegóły? – spytała Cahill.

– Naturalnie. – Wyciągnął kartki papieru z kieszeni pogniecionej, czarnej marynarki i podał je Collette. Rozłożyła je na stole i zaczęła czytać. Kiedy skończyła pierwszą stronę,

spojrzała na niego i cichutko gwizdnęła. – Sporo wiedzą, co?

– Tak. Te meldunki nadeszły z posterunku na wyspie. Uznałem, że to jest wszystko, co mogę bezpiecznie wynieść i zabrać tu ze sobą. Podrzucę je rano. Przeczytałem jednak wiele więcej i postarałem się z tego zapamiętać, ile się da. Mam zaczynać?

Cahill spojrzała na ścianę, w której ukryto kamery i magnetofony. Chociaż Hegedüs wiedział o ich istnieniu i często żartował na ten temat, urządzenia te pozostawały niewidoczne dla jego oczu – ich widok nie stanowiłby dla niego ani bodźca, ani inspiracji. Ponagliła go, żeby zaczął mówić, zanim wypity burbon nie zmaści mu pamięci.

Mówił, pił, jadł przez trzy godziny, wciąż coś sobie przypominając. Cahill skupiała uwagę na wszystkim, co mówił, i robiła dla siebie notatki, mimo że wiedziała, iż każde jego słowo jest rejestrowane. Zapis rzadko wykazywał niuanse. Dopytywała się o szczegóły, nie dawała przestać mówić, kiedy on zaczynał mieć już dość, chwaliła go, przymilała się, gładziła i zachęcała.

– Jeszcze coś? – zapytała, kiedy usiadł wygodnie i zapalił papierosa z uśmiechem satysfakcji na grubych wargach.

– Nie, to chyba wszystko. – Podniósł nagle palec wskazujący w górę i usiadł prosto.

– Nie, myślę się, jest jeszcze coś. Pojawiło się nazwisko człowieka, którego znasz.

– Czyje nazwisko? Ja go znam?

– Tak. Psychiatra, który jest związany z twoją „Firmą”.

– Masz na myśli Tolкера? – Była wściekła na siebie, że wymieniła to nazwisko. Może nie o niego chodziło. Jeśli nie, to podała drugiej stronie nazwisko lekarza pracującego dla CIA. Ulżyło jej, kiedy powiedział: – Tak, to ten. Doktor Jason Tolker.

– I co?

– Nie jestem zupełnie pewien, Collette, ale wspomniano o nim przelotnie w związku z jedną z depech na temat Banana Quick z naszego punktu nasłuchowego na wyspie.

– Czy na pewno? To znaczy, czy była mowa o tym, że on...

– Nie powiedziano nic konkretnego, ale ton głosów, kontekst, w jakim mówiono, nasunął mi podejrzenie, że doktor Tolker może być nastawiony... przyjaźnie.

– Do was. Do Sowietów.

– Tak.

W czasie tego spotkania Cahill zapomniała o Barrie. Teraz jej obraz wypełnił pokój. Nie bardzo wiedziała, jak zareagować na to, co powiedział Hegedüs, więc milczała.

– Boję się, Collette, że robi się ze mnie zbyt kosztowny przyjaciel dla ciebie i twoich ludzi. Popatrz, prawie wykończyłem butelkę.

Powstrzymała się przed powiedzeniem, że to nic nowego i zamiast tego rzekła: – Butelkę można zawsze zastąpić inną. Ale nie ciebie, Árpédie. Powiedz, jak twoje sprawy osobiste?

– Będzie mi brak rodziny, ale... może to odpowiedni moment, żeby ci coś wyznać.

– Mów śmiało.

– Myślałem o tym ostatnio i czuję, że może nadchodzi moment, abym stał się jednym z was.

– Przecież jesteś. Wiesz dobrze. – Patrzyła, jak kręci przecząco głową. Uśmiechał się.

– Mówisz o przejściu na naszą stronę?

– Tak.

– Árpédie, trudno mi coś powiedzieć na ten temat. Kiedy wspomniałeś o tym poprzednio, powiedziałam ci, że nie zajmuję się tymi sprawami.

– Ale obiecałeś, że pogadasz z „górá” o takiej możliwości.

– Tak, rozmawiałam. – Nie chciała mu zdradzić, że dyskusja na ten temat z Podgorskim i dwójkiem ludzi z Langley zakończyła się kategoryczną odmową. Uważali, że Árpád Hegedüs jest dla nich cenny tak długo, dopóki pozostaje w węgierskiej i radzieckiej hierarchii i może dostarczać informacji ze źródeł wewnętrznych. Jako zdrajca będzie bezużyteczny. Oczywiście, gdyby to miało ocalić go w przypadku wykrycia przez przełożonych jego powiązań z CIA, sytuacja byłaby zupełnie inna. Cahill została jednak wyraźnie poinstruowana, że powinna zrobić wszystko co w jej mocy, żeby wyperswadować mu ten krok i utrzymać jego dalsze usługi jako agenta.

– Rozumiem, że nie wzbudziło to entuzjazmu – powiedział.

– Nie o to chodzi, Árpédie, po prostu...

– Jestem więcej wart tu, gdzie jestem.

Westchnęła i oparła się o plecy krzesła. Było naiwnością z jej strony sądzić, że nie domyśli się sam prawdziwego powodu odmowy. Pracował dla KGB, organizacji, która w swej grze stosowała te same reguły i działała z tych samych pobudek, zgodnie z tą samą filozofią.

– Nie martw się, Collette. Ja naprawdę rozumiem i zamierzam dalej funkcjonować jak dotychczas. Niemniej jednak i ja, i moja rodzina bylibyśmy spokojniejsi, gdybyśmy wiedzieli, że w razie potrzeby istnieje taka możliwość.

– Doceniam twoją wyrozumiałość, Árpédie. Jeszcze raz Pomówię o tym z naszymi.

– Jestem ci wdzięczny. Jak to wy mówicie – „strzemiennego”? Wypiję jednego, a potem w drogę, i do domu.

– Ja też się napiję.

Siedzieli w milczeniu, popijając swoje drinki. Uśmiech zniknął z twarzy Hegedüsa; zastąpił go smutek, który wydłużył mu rysy.

– Starasz się nie okazywać, jak bardzo martwi cię wyjazd twojej rodziny do Moskwy – zauważyła.

Skinął potakująco głową, z oczyma utkwionymi w szklance. Westchnął, podniósł wzrok na Cahill i rzekł: – Nigdy nie opowiadałem ci o mojej rodzinie, o moich kochanych dzieciach.

Collette uśmiechnęła się. – Rzeczywiście, wspomniłeś tylko, że masz kochaną, piękną córkę i dobrego syna.

Uśmiech przemknął po jego zasepionej twarzy. – Mój syn jest geniuszem. To wyjątkowo bystry chłopak, wrażliwy, z duszą artysty. – Pochylił się ku niej i powiedział z nagłym ożywieniem: – Collette, gdybyś widziała, jak on rysuje i maluje. Piękno, jest w tym zawsze takie piękno; a wiersze, które pisze, poruszają mnie do głębi.

– Musisz być bardzo z niego dumny – rzekła Collette.

– Dumny? Tak. Ale martwię się o jego przyszłość.

– Czy dlatego że...

– Że w Rosji będzie miał niewielkie szanse na rozwinięcie swych talentów. Przyszłość mojej córki nie rysuje się tak ciemno. Jest ładna, wyjdzie za mąż. Ale dla niego... – Potrząsnął głową i dokończył swego drinka.

Cahill miała ochotę podejść i objąć go. Początkowe myśli o szowinizmie, któremu dawał wyraz, złagodziło zrozumienie społeczeństwa, w którym żyli on i jego rodzina.

Po chwili namysłu powiedziała: – Twojemu synowi byłoby lepiej tu, na Węgrzech, prawda?

– Tak, mamy więcej swobód, ale kto wie, kiedy to się skończy? Najlepiej byłoby mu w Ameryce. Nie jestem wierzący, Collette, ale czasem modlę się, żeby mojemu synowi dane było dorastać w Ameryce.

– Árpádie, już ci powiedziałam, że spróbuję...

Przerwał jej, bo chciał mówić dalej: – Gdy po raz pierwszy zaoferowałem wam swoje usługi, opowiedziałem o tym, jak Sowieci zniszczyli moje ukochane Węgry, o odrazie, jaką wzbudza ten system, i o tym, jak bardzo ten cudowny kraj został przez nich na zawsze zmieniony. – Westchnął głęboko, opadł na krzesło i kiwał głową potakując swoim myślom. – Nie byłem całkiem szczery, Collette. Przyszedłem do was, bo chciałem znaleźć sposób, żeby moja rodzina – mój syn – dostał się do Ameryki. Zamiast tego chłopak jedzie do Moskwy.

Cahill wstała. – Árpádie, dołożę wszelkich starań, zrobię co tylko będzie w mojej mocy, żeby pomóc ci zrealizować twój plan. Nie mogę nic obiecać oprócz solidnych starań.

On także wstał i wyciągnął do niej rękę. Ucisnęła ją. – Dziękuję ci, Collette. Wiem, że zrobisz, co obiecałaś. Muszę iść, zasiedziałem się.

Dała mu pieniądze i odprowadziła do drzwi. Powiedziała: – Árpádie, bądź ostrożny. Proszę cię, nie ryzykuj.

– Nie ma obawy. – Spojrzał za siebie, na środek pokoju. – Czy taśma i kamery są wyłączone?

– Chyba tak. Już po przedstawieniu.

Skinął ręką, żeby wyszła do przedpokoju i szepnął, ustami niemal dotykając jej ucha: – Zakochałem się.

– Co takiego?

– Poznałem ostatnio cudowną kobietę i...

– Nie wiem, czy to dobrze – powiedziała Cahill.

– Dobrze, źle – cóż, stało się. Jest bardzo piękna. Spotykam się z nią.

Collette nie bardzo wiedziała, co powiedzieć. – A co z twoją rodziną, Árpádie? Mówiłeś, że tak ich kochasz.

Uśmiechnął się nieśmiało, jak mały chłopiec złapany na gorącym uczynku. Przeszepkiwał z nogi na nogę unikając jej spojrzenia. Wreszcie podniósł na nią wzrok i powiedział: – Miłość przybiera różne postacie, Collette. Nie jest to z pewnością jakieś socjalistyczne wypaczenie. – Przekrzywiwszy głowę czekał na odpowiedź.

– Powinniśmy wkrótce znowu się spotkać i przedyskutować tę sprawę – powiedziała Cahill – a tymczasem specjalnie uważaj na siebie. Z nikim nie rozmawiaj o tym, co robisz. Z nikim, Árpádie.

Roześmiał się gardłowo. – Mamy dla siebie tak mało czasu, że nie rozmowa nam w głowie, *Köszönöm*. Collette.

– To ja tobie dziękuję, Árpádie.

– Do następnego razu, kiedy na słupie pojawi się pinezka. *Viszontlátásra*.

\* \* \*

Reguła Numer 6: Zrób, co w twojej mocy, żeby powstrzymać swojego agenta od romansu, przynajmniej z kimś innym.

## ROZDZIAŁ 5

Collette Cahill wysiadła z samolotu „Malevu” na lotnisku londyńskim, znalazła budkę telefoniczną i nakręciła numer. Telefon odebrała kobieta. – Numer Jedenaście, Cadogan Gardens.

– Nazywam się Collette Cahill. Byłam przyjaciółką Barrie Mayer.

– Ach, tak, co za tragedia, tak mi przykro.

– Tak, wszyscy jesteśmy wstrząśnięci. Właśnie przyleciałam do Londynu na kilka dni urlopu. Czy macie jakieś wolne pokoje?

– Tak, mamy kilka apartamentów. O Boże.

– Co się stało?

– Numer 27 jest wolny, ulubiony pokój panny Mayer.

– Rzeczywiście, często o nim wspominała. Chętnie się w nim zatrzymam.

– Czy nie będzie pani przeszkadzało...

– Że będę mieszkać tam, gdzie ona? Nie, wcale nie. Będę za godzinę.

Pierwszą godzinę spędziła siedząc w wiktoriańskim salonie i wyobrażając sobie, co Barrie robiła w Londynie ostatniego dnia i wieczora swego życia. Oglądała telewizję? Była na spacerze w prywatnym parku po drugiej stronie ulicy? Czytała, dzwoniła do przyjaciół, drzemała, chodziła po uroczych, cichych uliczkach Chelsea i Belgravii? Kupowała prezenty dla rodziny? Te rozważania były zbyt smutne. Zeszła na dół do głównego salonu i zaczęła przeglądać pisma i gazety. Potem skinęła na jednego z portierów.

– Słucham madam?

– Byłam bliską przyjaciółką panny Mayer, tej, co mieszkała w pokoju numer 27, która niedawno zmarła.

– Biedna panna Mayer. Lubilem, jak u nas gościła, prawdziwa dama. Bardzo nam tu wszystkim przykro z powodu tego, co się stało.

– Czy zauważył pan coś szczególnego w jej zachowaniu w dniu przybycia do hotelu na dzień przed jej śmiercią?

– Szczególnego? Nie, chyba nie. O trzeciej podałem jej herbatę... zaraz, tak, na pewno było to o trzeciej po południu w dniu jej przyjazdu. Zarezerwowaliśmy dla niej stolik na ten wieczór w restauracji hotelu „Dorchester”.

– Na ile osób?

– Dwie. Tak, na dwie. Mogę to sprawdzić.

- Nie trzeba. Pojechała taksówką, czy ktoś po nią przyjechał?
- Pojechała limuzyną.
- Limuzyną?
- Naszą. Jest do dyspozycji gości przez całą dobę.
- Czy wróciła limuzyną z „Dorchesteru”?
- Nie wiem, proszę pani. Nie byłem w pracy tego wieczora, ale mogę zapytać?
- Mógłby pan?
- Oczywiście.

Wrócił po kilku minutach i powiedział: – Według tego, co pamiętają, panna Mayer wróciła tamtego wieczoru taksówką tuż przed dziesiątą.

- Sama?

Opuścił wzrok na podłogę. – Nie wiem, proszę pani, czy to nie będzie niedyskrecja.

Cahill uśmiechnęła się. – Ja nie wtykam nosa w cudze sprawy. Byłyśmy po prostu tak bliskimi przyjaciółkami. Jej matka w Stanach prosiła mnie, żebym się jak najwięcej dowiedziała o ostatnich chwilach jej córki.

- Naturalnie, rozumiem. Zaraz zapytam.

Wrócił po chwili i powiedział: – Była sama. Oznajmiła, że idzie od razu spać i zamówiła budzenie. To było, o ile pamiętam, rano tego dnia, kiedy wyjeżdżała na Węgry.

- Tak, do Budapesztu. Proszę powiedzieć, czy była tu policja i wypytywała o nią?
- O ile wiem, to nie. Oni przyszli i zabrali jej rzeczy z pokoju i...
- Jacy oni?

– Przyjaciele, chyba koledzy z pracy. Musiałaby pani zapytać o to kierowniczkę, rozmawiali z nią. Zabrali wszystko, i w dziesięć minut już ich nie było. Ten drugi... było ich trzech... został jeszcze co najmniej godzinę. Pamiętam, powiedział, że chciałby posiedzieć tam, gdzie panna Mayer przebywała przez ostatnie godziny, i podumać. Biedny człowiek, bardzo mu współczułem.

- Czy któryś z nich podał swoje nazwisko?

– Czuję się jak na prawdziwym przesłuchaniu – powiedział bez złości, ale z pewnym rozdrażnieniem, co sprawiło, że Cahill wycofała się.

– Tylu ludzi znało i kochało ją, że nie zachowujemy się normalnie. Przepraszam, nie miałam zamiaru zadawać panu tylu pytań. Porozmawiam z kierowniczką trochę później.

Odwzajemnił uśmiech. – Nie ma sprawy, madam. Rozumiem. Może mnie pani pytać o wszystko.

- Och, chyba już dość tych pytań. Czy ci mężczyźni, którzy przyszli po jej rzeczy,

podali jakieś nazwiska?

– Nie przypominam sobie. Może coś tam bąknęli pod nosem, ale... Tak, jeden z nich mówił, że był współpracownikiem panny Mayer. O ile pamiętam, powiedział, że nazywa się Hubler.

– Dawid Hubler?

– Nie wydaje mi się, żeby podał imię, proszę pani.

– Jak wyglądał? Niskiego wzrostu, śniady, gęste czarne kręcone włosy, przystojny?

– Niezupełnie tak, o ile pamiętam. Raczej wysoki i jasnowłosy.

Cahill westchnęła i powiedziała: – No cóż, bardzo panu dziękuję. Chyba wrócę na górę i zdrzemnę się.

– Może coś pani przynieść? Herbatę o trzeciej?

Tak jak Barrie, pomyślała Cahill. – Nie, o czwartej – odrzekła.

– Dobrze, proszę pani.

Zadzwoniła do Dawida Hublera kilka minut przed podaniem zamówionej herbaty. W Waszyngtonie dochodziła jedenasta.

– Dawidzie, mówi Collette Cahill.

– Cześć, Collette.

– Dzwonię z Londynu, Dawidzie. Mieszkam w tym samym hotelu, gdzie zawsze zatrzymywała się Barrie.

– Jedenastka przy Cadogan. Co tam robisz?

– Próbuję ułożyć sobie to wszystko w głowie. Wzięłam urlop i jadę do domu. Pomyślałam, że zajrzę tu po drodze.

Telefon milczał.

– Dawidzie?

– Ach, przepraszam cię. Myślałem o Barrie. Nie mogę w to uwierzyć.

– Byłeś w Londynie po jej śmierci?

– Ja? Nie. Czemu pytasz?

– Ktoś w hotelu sądził, że to ty mogłeś być mężczyzną, który zabrał z pokoju jej rzeczy.

– To nie ja, Collette.

– Czy coś z jej rzeczy zostało odesłane do biura?

– Tylko teczka.

– Jej teczka. Czy ta, którą zwykle nosiła?

– Jasne. A co?



– Nic. Co w niej było?

– Papiery, ze dwa rękopisy, czemu pytasz?

– Nie wiem, Dawidzie. Po twoim telefonie o tym, co się stało, moja głowa przestała pracować. A co u was? W agencji macie pewnie kompletny chaos.

– Trochę, ale nie jest tak źle, jak można by sądzić. Barrie była niesamowita, zresztą sama wiesz. Zostawiła wszystko w idealnym porządku, do najmniejszego szczegółu. Wyobraź sobie, co zrobiła dla mnie.

– Co?

– Objęła mnie swoim testamentem. Zostawiła mi pieniądze z ubezpieczenia, taką polisę dla głównego spadkobiercy. Faktycznie przekazała mi agencję.

Zaskoczyło to Cahill na tyle, że nie wiedziała, co powiedzieć. Hubler przerwał ciszę mówiąc: – Collette, to nie znaczy, że zostawiła mi ją całą. Jej matce przypadną pewne korzyści, ale Barrie ustawiła sprawy tak, że będę kierował agencją przez co najmniej pięć lat i będę miał udział w zyskach. Zatkalo mnie, gdy się o tym dowiedziałem.

– Postąpiła wspaniale.

– Raczej w sposób typowy dla niej. Kiedy wracasz do Waszyngtonu?

– Za dzień lub dwa. Wpadnę do was.

– Koniecznie, Collette. Zjemy razem obiad albo kolację. Mamy tyle do obgadania.

– Z przyjemnością. Słuchaj, wiesz może, z kim ona mogła się widzieć tu, w Londynie, zanim... zanim to się stało?

– Pewnie, że wiem. Z Markiem Hotchkissem. Byli umówieni na kolację w dniu jej przylotu.

– Co to za jeden?

– Brytyjski agent literacki. Barrie lubiła go, nie wiem dlaczego. Moim zdaniem to świnią, i powiedziałem jej to, ale z jakiegoś powodu wciąż rozmawiała z nim o połączeniu firm. Widzisz, Collette, przy całej inteligencji Barrie byli tacy, co umieli nią manipulować. Hotchkiss jest jednym z nich.

– Może wiesz, gdzie mogłabym go tu znaleźć?

– Naturalnie. – Podał jej adres i numer telefonu. – Ale bądź z nim ostrożna, Collette. Pamiętaj, powiedziałem „świnią”, *cochon*.

– Dzięki, Dawidzie. Do rychłego zobaczenia.

W chwili gdy odkładała słuchawkę, do drzwi zapukał portier. Otworzyła mu. Postawił tacę z herbatą na stoliku i wyszedł zostawiając ją siedzącą w głębokim fotelu wybitym materiałem w kolorze złota. Miała na sobie jasnyniebieski szlafrok. Przez nieszczęsnie

zasunięte białe zasłony wpadały smugi popołudniowego słońca kładąc się na podniszczonym, orientalnym dywanie zajmującym środek pokoju. Promień światła padł na stopę Collette; pomyślała o Barrie, tak zawsze dumnej ze swoich stóp, delikatnie wysklepionych, o długich, szczupłych, doskonale proporcjonalnych palcach. Spojrzała na swoją stopę, krótką i niezgrabną. Uśmiechnęła się, a potem roześmiała się na głos. – Boże, jak myśmy się różniły – powiedziała nalewając sobie herbaty i smarując słodką bułeczkę dżemem wiśniowym i gęstą jak masło śmietaną.

Kiedy zadzwoniła, Mark Hotchkiss właśnie wychodził z biura. Przedstawiła się i spytała, czy mógłby z nią zjeść kolację.

- Obawiam się, że nie, panno Cahill.
- A śniadanie?
- Mówi pani, że jest pani przyjaciółką Barrie?
- Tak, byłyśmy najlepszymi przyjaciółkami.
- Nigdy nie wspomniała o pani.
- Czy był pan z nią na tyle blisko, że mogłaby?

Jego śmiech był wymuszony. Powiedział: – Może moglibyśmy spotkać się jutro rano. Niedaleko pani, na Sloane Square, jest przyzwoity lokal, zaraz za rogiem – kawiarnia na tyłach sklepu General Trading Company. O dziewiętej?

- Świetnie. Do zobaczenia jutro.
- Panno Cahill.
- Słucham?
- Pani wie, że Barrie i ja weszliśmy w spółkę, tuż przed jej śmiercią?
- Nie, nie wiedziałam, ale wiem, że ta sprawa była omawiana. Czemu pan wspomina o tym teraz?

- A czemu nie teraz?
- Bez powodu. Będzie pan mógł powiedzieć mi wszystko na ten temat jutro rano. Cieszę się na to spotkanie.

– No, to na razie. Miłego wieczoru. Niech się pani dobrze bawi w Londynie. Tegoroczny sezon teatralny jest całkiem dobry.

Odwieszając słuchawkę pomyślała, że zgadza się z Dawidem Hublerem. Hotchkiss jej się nie spodobał. Zastanawiała się, jaka cecha jego osobowości skłoniła Barrie do wejścia z nim w spółkę, jeśli było to prawdą.

- Zadzwoniła do recepcji i spytała, czy mogliby załatwić dla niej bilet do teatru. Na co?
- Wszystko jedno – odparła – na coś wesołego.

Kurtyna poszła w górę o wpół do ósmej, i kiedy przedstawienie angielskiej farsy „Bez hałasu” zakończyło się, Cahill bolały ze śmiechu boki. Na czas przedstawienia zapomniała o nieprzyjemnej przyczynie przyjazdu. Zgłodniała zjadła lekką kolację w restauracji przy Neal Street i wróciła do hotelu. Poprosiła o koniak z lodem do pokoju i usadowiwszy się wygodnie popijała go powoli, aż oczy zaczęły jej się kleić. Położyła się do łóżka i zapadając w sen miała uczucie absolutnego, można by rzec martwego spokoju, panującego na ulicy i w hotelu.

## ROZDZIAŁ 6

Cahill zjawiała się punktualnie w kawiarni General Trading Company. Znak firmowy przedsiębiorstwa mówił o tym, że jest ono dostawcą towarów dla co najmniej jednego dworu królewskiego. Usiadła przy stoliku na otwartym powietrzu na tyłach kawiarni. Był słoneczny i ciepły poranek. Płaszcz przeciwdeszczowy, narzucony na wełniany kostium w kolorze wrzosu, okazał się dostatecznie ciepły na tę pogodę. Czekala popijając kawę i obserwując małe ptaszki gromadnie zlatujące się do nie przykrytych cukiernic z kostkami ciemnego nierafinowanego cukru. Spojrzała na zegarek. Hotchkiss był już spóźniony dwadzieścia minut. Postanowiła poczekać jeszcze dziesięć. Punktualnie o wpół do dziesiątej przeszedł przez sklep i wszedł na taras. Był wysoki i kościstej budowy. Na czubku głowy miał łysinę okoloną długimi włosami zaczesanymi do tyłu, wyglądem przywodzącą na myśl – nie, Dawidzie, nie świnię – pomyślała – a kaczy kuper. Był ubrany w granatową dwurzędową marynarkę z oznaką klubową naszytą na górnej kieszeni, szare spodnie, jasnobrązowe buty firmy Clark, jasnoniebieską koszulę z białym kołnierzykiem i jedwabny ciemnoczerwony krawat. Pod pachą trzymał wypchaną, zniszczoną skórzaną teczkę, a przez ramię miał przewieszony równie zniszczony trenz.

– Panna Cahill – przemówił energicznym tonem, w uśmiechu ukazując mocno żółte zęby. Cahill od razu zauważyła, że paznokcie wyciągniętej ku niej dłoni są za długie i do tego brudne.

– Pan Hotchkiss – odpowiedziała, ujmując jego dłoń końcami palców.

– Przepraszam za spóźnienie, ale o tej porze są potworne korki. Wypiła pani już kawę, to dobrze.

Powstrzymując uśmiech Cahill patrzyła, jak Hotchkiss sadowi się w białym metalowym krześle z żółtą tapicerką. – Nie za chłodno? – zapytał. – Może lepiej byłoby wewnątrz.

– Och nie, tu jest tak miło.

– Jak pani sobie życzy.

Młoda kelnerka, przywołana przez niego wyszukany gestem, przyjęła zamówienie na kawę i ciastka. Kiedy odeszła, usiadł wygodnie, podparł brodę rękami i powiedział: – No więc jesteśmy tu, oczywiście, żeby mówić o Barrie Mayer; biedactwo, niech spoczywa w spokoju. Mówi pani, że się przyjaźniłyście?

– Tak, bardzo.

– Nigdy nie wspominała o pani, ale przypuszczam, że osoba taka jak Barrie miała wielu przyjaciół, lub przynajmniej znajomych.

– Byłyśmy bliskimi przyjaciółkami – powiedziała z naciskiem Cahill, niezadowolona z jego uwagi.

– Tak, oczywiście. O czym to chciała pani ze mną rozmawiać?

– O pańskich stosunkach z Barrie, o tym, co robiła w nocy poprzedzającej jej śmierć, o wszystkim, co pomogłoby mi zrozumieć.

– Zrozumieć? C o zrozumieć? Biedaczka zmarła na miejscu na atak serca, zakrzep naczyń wieńcowych, z pewnością przedwcześnie, ale Bóg jeden wie, co nas w życiu czeka.

Cahill musiała przypomnieć sobie o swojej „oficjalnej” roli w badaniu życia Mayer. Jest zrozpaczoną przyjaciółką, a nie detektywem, i musi złagodzić swoje zachowanie, dostosować się do tej roli. Powiedziała: – Tak naprawdę interesuję się tym nie tylko dla siebie, ale również przez wzgląd na matkę Barrie. Jesteśmy w kontakcie i ona prosiła mnie, żebym dowiedziała się wszystkiego, co mogłoby... rozumie pan... przynieść jej pociechę. Jadę właśnie do Waszyngtonu, żeby się z nią zobaczyć.

– Z czego pani żyje, panno Cahill? Wiem, że Brytyjczycy nie zadają takich pytań, w przeciwieństwie do was, Amerykanów, którzy pytacie o to już przy pierwszym spotkaniu; ale jestem ciekaw.

– Pracuję w ambasadzie USA w Budapeszcie.

– W Budapeszcie! Nigdy tam nie byłem. Czy naprawdę jest tam tak szaro i ponuro, jak się słyszy?

– Wcale nie. To cudowne miasto.

– Z tymi żołnierzami z czerwonymi gwiazdkami.

– Po jakimś czasie przestaje się ich zauważać. Przed śmiercią Barrie był pan z nią na kolacji.

– Zgadza się, w „Dorchesterze”. Mimo że właścicielami są Arabowie, mają tam wciąż najlepszego w Londynie szefa kuchni.

– Nie wiedziałam o tym.

– Proszę pozwolić się zaprosić. Dziś wieczorem?

– Dziękuję, ale nie mogę. W jakim nastroju była Barrie tamtego wieczoru? Co mówiła, robiła? Czy wyglądała na chorą?

– Tryskała zdrowiem, panno Cahill. Czy mogę mówić do pani po imieniu? Naturalnie proszę mi mówić „Mark”.

– Naturalnie. – Roześmiała się. – Dobrze, mów mi Collette. Mówiłeś, że wyglądała na

zdrową. A czy była szczęśliwa?

– Ogromnie. Przecież staliśmy się od tego wieczora współnikami. Kipiała wprost radością.

– Wspominałeś przez telefon, że weszliście w spółkę. Rozmawiałam z Dawidem Hublerem z waszyngtońskiego biura Barrie. Nie miał pojęcia, że doszło aż do tego.

– Dawid Hubler. Nie lubię być niedyskretny, ale muszę przyznać, że ten pan nie jest moim ulubieńcem. Prawdę mówiąc uważałem, że był kamieniem u szyi Barrie. Powiedziałem jej to.

– A ja lubię Dawida. Z tego, co słyszałam od Barrie, wyglądało, że też bardzo go lubiła i że miała ogromny szacunek dla jego umiejętności zawodowych.

– Będąc świetna w interesach, Barrie Mayer była przy tym bardzo łatwowierna.

Cahill przypomniała sobie, że Hubler mówił dokładnie to samo. Powiedziała do Hotchkissa.

– Mark, czy wiesz, że Barrie zostawiła testament i co jest tam na temat Dawida Hublera?

– Nie. – Roześmiał się głośno, ukazując żółtawe zęby. – Ach, masz na myśli to nonsensowne postanowienie, że w wypadku jej śmierci Hubler ma kierować biurem w Waszyngtonie. To tylko rzucony mu ochłap. Teraz, kiedy agencja – cała agencja – przechodzi na mnie, sprawa przyszłości pana Hublera ma niewiele wspólnego z tym bezwartościowym kawałkiem papieru.

– Dlaczego?

– Ponieważ umowa zawarta przeze mnie i Barrie anuluje wszystkie wcześniejsze postanowienia. Uśmiechnął się z zadowoleniem i znowu podparł brodę rękami. Kelnerka podała kawę i ciastka. Hotchkiss podniósł w górę swoją filiżankę. – Za cudowną, utalentowaną i piękną kobietę, Barrie Mayer, i za ciebie, panno Collette Cahill, jej droga przyjaciółko. – Wypił łyk kawy, po czym zapytał: – Czy naprawdę jesteś zajęta dziś wieczorem? W „Dorchesterze” jest bardzo dobra orkiestra taneczna i, jak już mówiłem, w dzisiejszych czasach upadku sztuki kulinarnej szef ich kuchni nie ma sobie równego w Londynie. Na pewno nie masz czasu? – Przekrzywił głowę i uniół jedną z krzaczastych brwi.

– Na pewno, ale dziękuję za zaproszenie. Podpisaliście z Barrie jakiś dokument tamtego wieczora?

– Tak.

– Czy mogłabym... wiem, że to nie moja sprawa, ale...

– Obawiam się, że nie jest to dla mnie odpowiedni moment, żeby ci go pokazać. Nie

dowierzasz mi?

– Ależ skąd. To znowu tylko chęć dowiedzenia się o wszystkim, co Barrie robiła przed samą śmiercią. Czy odwoziłeś ją na lotnisko następnego ranka?

– Nie.

– Myślałam, że...

– Podwoziłem Barrie do hotelu i wtedy widziałem ją po raz ostatni.

– Taksówką?

– Tak. Doprawdy, zaczynam myśleć, że jesteś może bardziej zainteresowana tą sprawą, niż byłaby bliska przyjaciółka.

Cahill uśmiechnęła się. – Portier w hotelu powiedział mi to samo. Wybacz mi. Przez zbyt wiele lat pytałam popadających w tarapaty Amerykanów, gdzie mogli zgubić swoje paszporty.

– Czy tym się zajmujesz w ambasadzie?

– Między innymi. No cóż, Mark, miło było pogadać z tobą.

– Mam nadzieję, że dowiedziałaś się czegoś. Niedługo będę w Waszyngtonie, żeby uporządkować sprawy w agencji. Wiesz już, gdzie się zatrzymasz?

– U mojej matki. Mieszka za miastem.

– Świetnie. Zadzwoń do ciebie.

– Może skontaktujesz się ze mną przez Dawida Hublera? Będę z nim spędzać dużo czasu.

– Och, zdaje się, że niechcący wszedłem na czyjeś zupełnie prywatne podwórko.

– Skądże znowu. – Wstała. – Dziękuję ci.

On także wstał i ujął jej dłoń. Oboje spojrzeli na rachunek, który kelnerka położyła na stole. – Ja stawiam – powiedziała Cahill, wiedząc, że to właśnie chciał usłyszeć.

– Ależ nie, to byłoby...

– Proszę. Ja zainicjowałam to spotkanie. Może zobaczymy się w Waszyngtonie.

– Mam szczerą nadzieję.

Hotchkiss wyszedł. Przechodząc przez ogromny sklep Cahill zatrzymała się, żeby kupić po drodze komplet oryginalnych serwetek pod nakrycia obiadowe dla matki i książkę dla siostrzeńca. Doszła pieszo do hotelu i stamtąd zadzwoniła kolejno do lekarzy, którzy robili sekcję zwłok Barrie. Ich nazwiska dostała od „Rudego” Sutherlanda przed wyjazdem z Budapesztu. Zastała tylko doktora Willarda Hymesa. Przedstawiła się jako najlepsza przyjaciółka Barrie Mayer i poprosiła o spotkanie.

– W jakim celu? – zapytał. Miał młody głos.

– Żeby uspokoić siebie i jej matkę.

– Panno Cahill, pani wie, że nie wolno mi rozmawiać o wynikach sekcji zwłok z nikim oprócz odpowiednich władz.

Władz „Fabryki Korniszonów”, pomyślała Cahill. – Rozumiem, doktorze Hymes, ale nie zdradziłby pan żadnej tajemnicy, gdyby mi pan opowiedział, w jakich okolicznościach odbyła się sekcja, jaka była pańska nieoficjalna, osobista reakcja na Barrie, jak wyglądała; takie i podobne sprawy.

– Nie, panno Cahill, nie może być o tym mowy. Dziękuję za telefon.

Cahill szybko powiedziała: – Zmartwiły mnie te odłamki szkła znalezione na jej twarzy.

– Słucham?

Cahill mówiła dalej. Sporo czytała o przypadkach, kiedy użyto kwasu pruskiego dla „wykończenia” agentów po obu stronach. Jedną z cytowanych oznak, wskazujących na jego użycie, są mikroskopijne odłamki szkła wdmuchnięte w twarz ofiary wraz z kwasem. – Doktorze Hymes, miała odłamki szkła w twarzy.

Zgadywała, ale trafnie. Zaczynał kilka razy, zanim wykrztusił z siebie: – Kto pani mówił o szkle?

To było wszystko, czego potrzebowała, czego chciała. Powiedziała: – Wspólny znajomy, który był na lotnisku i widział ją zaraz po zgonie.

– Nie wiedziałem, że ktoś był z nią.

– Czy pan był na lotnisku?

– Nie. Przywieziono ją tutaj, do kliniki, i...

– Doktorze Hymes, naprawdę jestem wdzięczna za tę rozmowę. Poświęcił mi pan dużo czasu. Wiem, że matka Barrie doceni to.

Odłożyła słuchawkę, usiadła przy małym biurku przy oknie i wypisała listę nazwisk na hotelowym papierze firmowym:

*WIEDZIELI, ŻE BARRIE PRZEWOZI MATERIAŁY DLA CIA:*

*Dr Jason Tolker*

*Stanley Podgorsky*

*„Rudy” Sutherland*

*Collette Cahill*



*Oficer dyżurny w Langley*

*Dr Willard Hymes*

*Mark Hotchkiss???*

*Dawid Hubler???*

*Matka Barrie???*

*Eryk Edwards???*

*Zoltan Réti???*

*KGB???*

*INNI???*

Inni mężczyźni Barrie. – Inni w jej agencji. – Inni w placówce budapeszteńskiej. – Cały świat.

Spojrzała na wypisaną listę, podarła papier na drobniutkie kawałeczki i spaliła je w popielniczce. Zadzwoiła na dół i powiedziała dyżurnemu szefowi recepcji, że wyjeżdża następnego ranka.

– Mam nadzieję, że udał się pani pobyt – powiedział kierownik.

– Och tak, bardzo – odrzekła Cahill. – Jest tu tak uroczo, jak zawsze mi opowiadała panna Mayer.

## ROZDZIAŁ 7

### *TORTOLA, BRYTYJSKIE WYSPY DZIEWICZE*

Dwusilnikowy samolot odrzutowy Linii Lotniczych BWD z San Juan wylądował na Beef Island i pokołował do małego terminalu. Wsiadło z niego trzydziestu pasażerów. Był wśród nich Robert Brewster i jego żona, Helena. Oboje wyglądali na zmęczonych i zmizerniałych. W San Juan nastąpiło opóźnienie, a na pokładzie samolotu było gorąco; małe wiatraczki, zainstalowane na górnych, otwartych półkach bagażowych kabiny pasażerskiej, mogły tylko poruszać ciepłe i wilgotne powietrze.

Brewsterowie przeszli przez kontrolę celną i paszportową, po czym skierowali się w stronę żółtego mercedesa zaparkowanego za terminalem. Helena Brewster wsiadła do wozu, a jej mąż powiedział do kierowcy-tubyłca: – Zaraz wracam. – Znalazł budkę telefoniczną, wyjął kartkę papieru i wykręcił zapisany na niej numer. – Chciałbym mówić z Erykiem Edwardsem – powiedział do kobiety, która odebrała telefon. – Wiem, że jesteście teraz razem na kolacji.

Po kilku minutach odezwał się Edwards.

– Eryku, tu Bob Brewster.

– Cześć, Bob. Właśnie przyleciałeś?

– Tak.

– Miałeś dobrą podróż?

– Niespecjalnie. Helena kiepsko się czuje, a ja jestem wykończony. Ten upał.

– Tydzień przyjemnego odpoczynku tutaj na pewno was podreperuje.

– Na pewno. Cieszymy się, że cię znowu zobaczymy.

– Ja też. Musimy się umówić.

– Może moglibyśmy spotkać się dziś wieczorem na drinka. Pojedziemy do hotelu, odświeżymy się, i...

– Wiesz Bob, dziś wieczorem jestem zajęty. Może jutro? Mam wolny dzień. Popłyniemy na przejazdzkę. Na mój koszt.

Brewsterowi było wszystko jedno; nie miał siły się sprzeczać. Powiedział: – Nie mogę decydować za Helenę. Zadzwoń do mnie rano. Zatrzymaliśmy się w „Prospect Reef”.

– Pozdrów ode mnie kierownika – odrzekł Edwards. – To mój przyjaciel, może

postawi wam drinka na powitanie.

– Dobra. Zadzwoń o ósmej.

– Za wcześnie. Będę późno w domu.

– Eryku.

– Słucham?

– Wszystko bardzo się ostatnio pokomplikowało.

– Naprawdę? Pewnie dlatego jesteście oboje z Heleną tacy zmęczeni. Proste życie jest dużo mniej męczące. Pogadamy o tym jutro.

Eryk Edwards wrócił do oświetlonego świecami stolika w restauracji „Cukrownia”, należącej do niewielkiego ekskluzywnego ośrodka wypoczynkowego nad zatoką Apple. Naprzeciwko niego siedziała wysoka, okazała blondynka w wieku około trzydziestu pięciu lat. Miała na sobie białą jedwabną suknię z dużym dekoltem. Jej mocno opalona skóra silnie kontrastowała z suknią, podobnie jak białe zęby z ciemną skórą wyspiarki. Uzyskanie tego koloru zajęło jej wiele godzin siedzenia w słońcu. Wygląd jej skóry, szczególnie nad pierśiami, wskazywał, że koło sześćdziesiątki robi się szorstka i twarda.

Kobieta miała długie paznokcie pomalowane jaskraworóżowym lakierem i duże pierścionki na palcach, a na każdej ręce po dziesięć cienkich złotych bransoletek.

Edwards był ubrany w białe drelichowe spodnie, białe sportowe pantofle włożone na gołe stopy i purpurową koszulę rozpiętą do pępka. Miał włosy blond, spłowiałe od słońca, lekko kręjące się nad czołem, uszami i szyją. Ich kolor tak doskonale stapiał się z siwizną na skroniach, jakby to połączenie było dziełem doświadczonego charakteryzatora z Hollywoodu. W regularnych, jakby ciosanych rysach jego opalonej twarzy była pewna twardość sprawiająca, że nie można było nazwać go ładnym. Wiedza o życiu i nadmiar wypitego alkoholu nadawały spojrzeniu jego szarych oczu jakiś wyraz głębi.

Eryk Edwards był przystojny, bez względu na kryteria. Siedząca naprzeciwko niego Morgana Wilson, zapytana ostatnio przez kogoś, co o nim sądzi, odpowiedziała: – To najwrażliwszy, najbardziej pociągający okaz samca, jakiego znam. A znałam ich paru w moim życiu.

Edwards uśmiechnął się do kelnera, kiedy ten zabierał miseczki po zupie bananowej przyprawionej *curry*, specjalności restauracji. Zamówił kolejny poncz na rumie, wyciągnął rękę przez stół i przesunął palcami po wierzchu dłoni Morgany. – Zawsze wyglądasz pięknie. Ale dzisiaj jesteś oszalamiająca – powiedział.

Była przyzwyczajona do tego rodzaju komplementów, więc odrzekła po prostu: – Dziękuję, kochanie.

Nie mówili wiele, jedząc z apetytem *entrées*: świeżo przyrządzony makaron w sosie z limon z czerwonym kawiolem i rybę z rusztu z masłem koperkowym. Nie mieli sobie wiele do powiedzenia. Ich celem nie była wymiana myśli, a tylko wytworzenie atmosfery, która sprzyjałaby grze miłosnej. Nie było to dla niej czymś nowym. W ciągu ostatnich czterech czy pięciu lat spędzili ze sobą wiele intymnych wieczorów.

Morgana poznała Edwardsa w czasie wycieczki na BWD z mężem, dobrze prosperującym nowojorskim adwokatem od rozwodów. Wynajęli jeden z jachtów Edwardsa na całonocną przejażdżkę. Mąż wrócił do Nowego Jorku po kilku zaledwie dniach pobytu na wyspach, zostawiając Morganę, żeby wygrzewała się na słońcu przez parę dodatkowych dni. Spędziła je z Edwardsem na jednym z jego jachtów.

Rozwiodła się po sześciu miesiącach, a Edwards był podany w sądzie jako złapany *in flagranti*. – To idiotyczne – powiedział jej. – Wasze małżeństwo i tak się rozpadło. – Było to prawdą, ale jego nieodparty urok na pewno odegrał w tym rolę.

Widywali się nie częściej niż trzy, cztery razy w roku, zawsze podczas jej wizyt na BWD. Z tego, co wiedziała, Edwards rzadko bywał w Nowym Jorku; ale i tak nigdy nie dzwonił do niej, kiedy tam przyjeżdżał. Miał inne, z którymi się wtedy kontaktował.

– Gotowa? – spytał, kiedy zjadła lody i wypila kawę.

– Zawsze – odparła.

Budzik przy łóżku Edwardsa wyrwał ich ze snu o szóstej następnego ranka. Morgana usiadła, skrzyżowała ramiona na obfitych nagich piersiach i wyduła wargi. – Za wcześnie – powiedziała.

– Przykro mi, kochanie, ale mam dzisiaj kurs. Muszę zaprowiantować jacht i zrobić parę innych rzeczy przed przybyciem moich gości. – Miał senny głos, chrapliwy od zbyt wielu wypalonych papierosów.

– Wrócisz wieczorem?

– Myślę, że tak, chociaż kto wie. Czasem zakochują się w łódce i chcą spędzić na niej noc.

– Albo zakochują się w tobie. Zabierzesz mnie?

– Nie. – Wstał z łóżka i przeszedł przez dużą sypialnię depcąc po ubraniach rozrzuconych na podłodze. Patrzyła na niego, stojącego przed jednym z dwóch ogromnych łukowatych okien. Pierwsze promienie słońca tworzyły interesujące wzory na jego szczupłym, nagim ciele.

– Muszę jutro jechać – powiedziała tonem małej dziewczynki, który zawsze działał mu na nerwy.

– Tak, wiem. Będzie mi ciebie brakowało.

– Naprawdę? – Podeszła do niego i razem patrzyli przez okno z jego willi na wzgórze w dół, na Road Harbour, gdzie trzymał swoje jachty. „Edwards Yacht Charters” była małym przedsiębiorstwem w porównaniu z firmą „Mooring’s”, dzierżącą na wyspie prym wśród wynajmujących jachty przybyszom, ale niezłe prosperującym dzięki nowatorskiej kampanii reklamowej opracowanej dla niego i zrealizowanej przez jednoosobową agencję w Nowym Jorku. W chwili obecnej Edwards był właścicielem trzech jachtów: Morgana 46, Gulfstara 60 i najnowszego nabytku projektu Frersa, 43-stopowego skipa. Znalezienie dla nich klientów w sezonie nie było rzeczą trudną. Trudno było natomiast znaleźć uczciwych i doświadczonych kapitanów i ich zastępców.

Morgana obróciła go tak, że stanęli twarzami do siebie, i objęła go ramionami. Była wysoka; Edwardsowi, który miał ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, sięgała czubkiem głowy do nosa. Ciepło promieniujące z jej nagiego ciała i wilgotny, słodki zapach seksu w jej włosach przenikały go silnymi falami. – Naprawdę muszę już iść – powiedział.

– Ja też. Wracam za sekundę – odrzekła idąc w stronę wyłożonej kamiennymi płytkami łazienki bez dachu. Gdy wróciła, był z powrotem w łóżku i czekał na nią.

\* \* \*

Kiedy Edwards przybył na jacht, jego mechanik – chudy Tortolijczyk nazwiskiem Walter – prawdziwa złota rączka – był już na pokładzie. Wyspiarska muzyka *kareso* grzmiała z wielkiego przenośnego magnetofonu. Edwards zajrzał do maszynowni. – *Laam*, pracuję nad tym silnikiem całą noc – powiedział Walter.

Edwards zaśmiał się i odparł przedrzeźniając go: – *Laam*, nic mnie to nie obchodzi i nie dostaniesz ani grosza ekstra. Co ty na to, mój cwaniaczku?

Walter odpowiedział śmiechem i zamknął pokrywę silnika: – A co, jeśli łódka nie będzie dziś szła, jak trzeba? Co ty na to, mój bogaty szefie?

– *Laam*, czy „o Boże”, albo co ty tam zwykle mówisz, nie rób mi tego, i ścisz to cholerne radio.

Takie dobrotliwe pokpiwanie z siebie nawzajem było czymś normalnym. Edwards wiedział, że Walter zrobi wszystko, żeby go zadowolić, a Walter nie wątpił, że Edwards go docenia i da mu zarobić dodatkowo.

Edwards zadzwonił do Roberta Brewstera i umówił się z nim na przystani o dziesiątej.

Brewster przybył ubrany w bermudy, białą rozpiętą koszulę, białe tenisówki i czarne skarpetki wywinięte na kostki. Przez ramię miał przewieszoną białą płócienną torbę lotniczą. Miał nieopalone nogi; po raz pierwszy w tym roku wystawiał je na słońce.

– Dzisiaj bez sprzętu do nurkowania, co? – powiedział Walter do Edwardsa obejrzawszy sobie nowego gościa.

– Tak, dzisiaj bez – odparł Edwards. – Gdzie Jackie?

– Widziałem ją w barku. Zaraz przyjdzie. – Jackie była dziewczyną z Tortoli, którą Edwards czasami wykorzystywał jako załogę na mniejszych jachtach. Była chętna, energiczna, dobra jako żeglarz i prawie kompletnie głucha. Porozumiewali się przy pomocy prymitywnego języka migowego, który sami opracowali. Przyszła kilka minut później. Edwards przedstawił ją Brewsterowi, który wyraźnie źle się czuł stojąc na pokładzie.

– Ona nic nie słyszy – powiedział Edwards.

– Czy moglibyśmy wyruszyć? – rzekł Brewster. – Chcę wrócić do Heleny.

– Jasne. Ciągłe źle się czuje?

– Tak. To przez ten upał.

– Lubię upał – powiedział Edwards. – Człowiek wtedy się poci z właściwego powodu.

Ruszajmy.

Piętnaście minut później, po wypłynięciu z kanału, Edwards z pomocą Jackie postawił żagiel. Kiedy wszystko, co trzeba, zostało zrobione, zwrócił się do Brewstera, który usiadł obok niego koło steru.

– Co się dzieje? – zapytał. – Co miałeś na myśli mówiąc, że życie bardzo się skomplikowało?

Brewster uśmiechnął się do Jackie, która przyniosła z kambuza parujący kubek kawy. Edwards pokręcił przecząco głową, kiedy i jemu zaproponowała kawę, i dał jej gestami do zrozumienia, że chciałby zostać z gościem sam. Skinęła potakująco głową, wyszczerzyła do Brewstera zęby i zeszła po drabince do kambuza.

Brewster spróbował kawy, zrobił grymas i powiedział: – Za gorąca i za mocna, Eryku... ale nie chcę, żebyś pomyślał, że to aluzja do twego zachowania. No, dobra, co się tu dzieje?

– Z czym?

– Z Banana Quick.

– Ach, z tym. – Zaśmiał się i obrócił korbę windy, żeby napiąć luźny żagiel. – Jeśli o mnie chodzi, to wszystko jest wspaniale z Banana Quick. Słyszałeś coś innego?

– Nie tyle chodzi o to, co słyszałem, Eryku, ile o to, co widać gołym okiem. Śmierć

panny Mayer wytrąciła z równowagi wiele osób.

- Nikogo bardziej niż mnie. Byliśmy blisko ze sobą.
- Wszyscy wiedzą o tym i właśnie to zastanawia ludzi w Langley.
- Co ich zastanawia? Jaka była w łóżku?

Brewster pokręcił głową i odwrócił się plecami do Edwardsa. – Eryku, coś nie bardzo ostatnio z twoim sprytem – powiedział poprzez delikatny świst wiatru i chlupot wody o kil.

Edwards musiał pochylić się ku niemu, żeby go słyszeć. Nagle Brewster odwrócił się i powiedział mu prosto w twarz: – Co Barrie Mayer wiozła do Budapesztu?

Edwards odchylił się do tyłu i zmarszczył brwi. – Skąd do diabła mam wiedzieć?

– Bo widzisz, Eryku, w Langley uważają, że właśnie ty mógłbyś wiedzieć najlepiej. Przyjechała tu przed samą śmiercią, żeby się z tobą zobaczyć, prawda?

Edwards wzruszył ramionami. – Była ze dwa dni, jeśli dobrze pamiętam.

– Dokładnie tydzień. Chcesz jej rozkład zajęć?

– Masz nas też na video, jak się kochamy?

Brewster zignorował jego słowa. – A potem ty znikasz.

– Znikam dokąd?

– To ty mi powiedz. Londyn?

– Faktycznie wpadłem tam na jeden dzień. Miałem... – Uśmiechnął się. – Miałem umówione spotkanie.

– Z Barrie Mayer?

– Nie. Nie wiedziała, że tam jestem.

– To dziwne.

– Czemu?

– Wydawało nam się, że masz poważne zamiary.

– Źle wam się wydawało. Byliśmy bliskimi przyjaciółmi i kochankami. I na tym koniec.

Brewster zagryzł wargi. – Nie chcę być nieuprzejmym gościem, Eryku, lepiej jednak posłuchaj, co ci powiem. Istnieje duża obawa, że Banana Quick mogło zostać narażone na szwank przez Barrie Mayer. Z twoją pomocą.

– Bzdury. – Edwards wskazał w kierunku prywatnej wyspy, na której Rosjanie mieli jakoby zainstalować swój sprzęt radarowo-nasłuchowy. – Chcesz, żebyśmy tam wpadli i spytali, co sływać?

Brewster przesunął się ku burcie jachtu i utkwiał zmrużone oczy w wyspie. Edwards podał mu lornetkę. – Nie przejmuj się – powiedział. – Przywykli do tego, że zaglądam im w

gardła. Widzisz tę instalację na dachu? Pewnie słyszą nas lepiej, niż my siebie nawzajem. – Zaśmiał się. – Ta zabawa staje się co dzień śmieszniejsza.

– Tylko dla takich ludzi jak ty, Eryku. – Brewster podniósł lornetkę do oczu i obserwował przesuwaną się wyspę. Potem opuścił lornetkę i powiedział: – Chcą, żebyś wrócił do Waszyngtonu.

– Po co?

– Na... rozmowę.

– Nie mogę, Bob. Teraz jest tu szczyt sezonu. Jakby to wyglądało, gdybym...?

– Pod koniec tygodnia, Eryku; i nie opowiadaj mi o szczycie sezonu. Jesteś tutaj, bo cię tu umieszczono. Twoja cudowna łódka, jak i pozostałe, należą do twojego pracodawcy. Masz być z powrotem do końca tygodnia. Chcą też, żebyśmy – ty i ja – spędzili tu razem przed wyjazdem trochę czasu, omawiając sprawy.

– Jakie sprawy?

– Co ostatnio dzieje się w twoim życiu, stan twojej tutejszej misji, z kim się spotykasz...

– Na przykład Barrie Mayer?

– Między innymi.

– Jak to się stało, Bob, że cię tu przysłali? Jesteś gryzpiórkiem... czyżby akcja pod nazwą „ocena pracowników”, lub coś równie nonsensownego?

– Helena i ja postanowiliśmy przyjechać tu na urlop, i oni doszli do wniosku, że...

– Nie, to oni wymyślili, że ty i Helena powinniście przyjechać tu na urlop i, jak już będziecie, przeprowadzić te rozmówki. Czy nie jest właśnie tak?

– To nie ma znaczenia. Fakty są takie, że jestem tutaj, że oni wymagają, a ty masz się temu podporządkować. Czy ty myślisz, Eryku, że „Firma” zainstalowała cię tu, na Brytyjskich Wyspach Dziewiczych, bo cię lubi, bo uważa, że ci się coś od niej należy? Zdołałeś zrobić coś, co ja uważam za mistrzowskie pociągnięcie... nie, nazwijmy to po imieniu – największe świństwo, jakie ktokolwiek zrobił kiedykolwiek Agencji.

Tym razem uśmiech Edwardsa był bardziej wymuszony.

– Eryku, ile nasi wyłożyli, żebyś mógł tu wystartować? Pół miliona, siedemset pięćdziesiąt?

– Coś koło tego.

– Nie bardzo się to opłaca.

– Opłaca? – parsknął Edwards. – Pokaż mi jakąkolwiek działalność Agencji, która się opłaca. Poza tym, jak to wyliczyć?



Brewster patrzył prosto przed siebie.

– Czyj to był pomysł, żeby użyć BWD jako bazy dla Banana Quick? – Nie czekał, aż Brewster mu odpowie. – Jakiś geniusz z Langley postanowił pokierować stąd wschodnioeuropejską operacją. Mówisz mi o opłacalności. A prawda jest taka, że gdy już podjęto decyzję, trzeba było zainstalować tu kogoś do obserwacji i wybór padł na mnie.

– Byłeś tutaj przed Banana Quick.

– Rzeczywiście, ale zaczynam podejrzewać, że Banana Quick było już na etapie planowania, kiedy postanowiono mnie tu wysłać. Jaki był pierwotny powód? Żeby się upewnić, że te rajskie wyspy nie są infiltrowane przez brzydkich facetów? Uśmiełem się z tego, Bob. Tak naprawdę oni chcieli mieć na oku naszych brytyjskich kuzynów.

– Za dużo mówisz, Eryku. To też ich martwi. Działasz zbyt samodzielnie, zaprzyjaźniasz się ze zbyt wielu osobami, za dużo pijesz...

– W jakiej roli, do cholery, przysłali cię tu, jako kapelana „Firmy”? Robię, co do mnie należy, i robię to dobrze. Przez dwanaście lat robiłem brudną robotę, kiedy wy wałkoniliście się w klimatyzowanych biurach Langley; i dalej ją robię. Powiedz im to.

– Sam im powiesz pod koniec tygodnia.

Edwards spojrzął w górę na czyste bezchmurne niebo, po którym szybko przesuwały się białe baranki chmur. – Masz dość?

– Właśnie zaczynało mi się to podobać – odparł Brewster.

– Łapie mnie choroba morska – powiedział Edwards.

– Chcesz pastylkę? Wziąłem jedną przy śniadaniu.

– Słońce cię przypala, Bob.

– Spójrz na siebie, pierwszy kandydat na raka skóry. – Obaj mężczyźni patrzyli przez chwilę na siebie. – Opowiedz mi o Barrie Mayer – powiedział Edwards.

– Co tu jest do opowiadania? Nie żyje.

– Czyja to sprawka?

– Matki Natury. Zablokowana tętnica sercowa, krew przestaje płynąć, serce woła o pomoc, nie dostaje jej i przestaje pompować.

Edwards uśmiechnął się. Z kambuza wynurzyła się Jackie i spytała gestami, czy czegoś im nie potrzeba. Edwards zwrócił się do Brewstera. – Głodny? Mam tu coś niecoś.

– Chętnie. Może być cokolwiek.

– *Lunch*. – Edwards przekazał gestami polecenie szczupłej Mulatce. – I przynieś termos. Jest pełen ponczu na rumie – dodał zwracając się do Brewstera. – Możemy się razem upić i pobawić się w szczerłość.

– Za wcześnie, jak dla mnie.

– Ja wcześnie wstałem. Barrie Mayer, Bob. Czemu spytałeś, co wiozła? Powinieneś zapytać jej szefa. To ciągle ten psychiatra, Tolker.

– To mnie martwi.

– Co?

– Że wiesz, kim był jej szef. Co jeszcze ci powiedziała?

– Cholernie mało. Nigdy nie pisnęła słowem, że podjęła się działać jako kurier, aż do chwili, gdy...

– Gdy co?

– Kiedy ktoś powiedział jej o mnie.

– Że jesteś w „Firmie”.

– Tak.

– Kto to powiedział?

Edwards wzruszył ramionami.

\* \* \*

Edwards wrócił myślą do tej nocy, kiedy Barrie Mayer powiedziała mu, że wie, iż nie jest on jedynie borykającym się z przeciwnościami losu właścicielem i kapitanem jachtów do wynajęcia.

Przyjechała na BWD na tydzień urlopu. Ich romans trwał od ponad roku i udało im się spędzić ze sobą sporo czasu, biorąc pod uwagę dzielącą ich odległość. Mayer przylatywała na BWD, kiedy tylko mogła, a Edwards był kilka razy u niej w Waszyngtonie. Raz spotkali się też w Nowym Jorku; spędzili również przedłużony weekend w Atlancie.

Kiedy tego dnia zobaczył ją wysiadającą z samolotu, wezbrało w nim to samo silne uczucie, jakie w nim zawsze wzbudzała. Miał w życiu wiele kobiet, ale tylko nieliczne robiły na nim podobne wrażenie. Jego pierwsza żona tak na niego wpływała. Druga też, gdy się nad tym zastanowić, ale żadna od tamtej pory. Żadna od... do czasu Barrie Mayer.

Przypomniał sobie, że Barrie była owego dnia w szczególnie figlarnym nastroju. Gdy spytał w samochodzie, w drodze do jego willi, co jest tego powodem, odparła.

– Mam ci do powiedzenia pewien sekret.

Na pytanie, jaki, odrzekła, że musi to zachować na „bardzo specjalną chwilę”.

Ta chwila zdarzyła się tamtej nocy. Wypłynęli na jednym z jego jachtów, zakotwiczyli

w zatoczce, rozebrali się i wskoczyli do przejrzystej, ciepłej wody. Skończywszy pływać – więcej tam było ściskania się w wodzie niż pływania – wrócili na jacht i kochali się. Potem on przyrządził homary. Siedzieli po turecku na wyszorowanym do białości pokładzie, nadzy, stykając się kolanami, z palcami rąk ociekającymi stopionym masłem, z żołądkami pełnymi rozgrzewającego i wywołującego nieustanne wybuchy śmiechu rumu.

Postanowili spędzić noc na jachcie. Znowu się kochali i kiedy potem leżeli obok siebie, Eryk zapytał: – No dobra, cóż to za strasznie wielka tajemnica, którą chcesz mi zdradzić?

Barrie zdrzemnęła się na chwilę i jego słowa gwałtownie ją przebudziły. Zamruczała jak kot i dotknęła jego uda. Powiedziała: – *Eurosky* – czy jakieś inne słowo, ale tak cicho, że nie zrozumiał, co ona mówi. Kiedy nie zareagował, odwróciła się na bok, podparła głowę ręką, spojrzała mu w twarz i rzekła: – Jesteś szpiegiem.

Zmrużył oczy, ale wciąż nic nie mówił.

– Pracujesz dla CIA. Dlatego mieszkasz tu na BWD.

– Kto ci to powiedział? – zapytał cicho.

– Przyjaciel.

– Jaki przyjaciel?

– To nieważne.

– Dlaczego ktoś miałby ci to powiedzieć?

– No, bo... wiesz, opowiadałam... tej osobie... o tobie i o mnie, i...

– Co o tobie i o mnie?

– Że się spotykamy, i że ja... naprawdę chcesz to usłyszeć?

– Tak.

– Że się w tobie zakochałam.

– Ho!

– Wygląda, że jesteś tym bardziej zmartwiony niż tym, że wiem, jak zarabiasz na życie.

– Może. Czemu ten przyjaciel w ogóle o tym mówił? Czy on mnie zna?

– Tak. To znaczy nie osobiście, ale wie o tobie.

– Dla kogo pracuje twój przyjaciel?

Poczuła się nieswojo, nie spodziewała się takiego intensywnego wypytywania. Spróbowała załagodzić nastrój, mówiąc ze śmiechem: – Uważam, że to cudowne. Niemądre, cudowne i zabawne.

– Co w tym zabawnego?

– To, że teraz jest coś, co interesuje nas oboje. Bo przecież ciebie nie obchodzi moja agencja literacka, a mnie twoje łódki, poza przyjemnością przebywania na nich z tobą. – Na słowa „interesuje nas oboje” Edwards uniósł pytająco brwi.

– Ja też pracuję dla CIA.

Opuścił brwi. Usiadł prosto i patrzył na nią, aż powiedziała: – Pracuję jako kurier, tylko dorywczo, ale za to dla „Firmy”. – Zachichotała. – Wolę nazwę „Fabryka Korniszonów”, bo jest... – spostrzegłszy, że on nie podziela jej wesołości, zmieniła ton i powiedziała: – Mogę mówić z tobą o tym, bo...

– Z nikim nie możesz o tym mówić.

– Eryku, ja...

– Barrie, co ty sobie myślisz, do jasnej cholery, że to zabawa w złodziei i policjantów, służąca temu, żeby uczynić twoje życie bardziej emocjonującym?

– Nie, Eryku, wcale tak nie myślę. Czemu się tak złościysz? Myślałam, że robię coś dobrego dla mojego kraju. Jestem z tego dumna, nie mówiłam o tym nikomu, oprócz ciebie, i...

– I twojego przyjaciela.

– Tak.

– A twój przyjaciel powiedział ci o mnie.

– Tylko dlatego, że wiedziała, że się widzimy.

– To jest kobieta?

– Tak, ale to nie ma znaczenia.

– Jak się nazywa?

– Myślę, że w obecnych okolicznościach...

– Kto to jest, Barrie? Zdradziła bardzo ważną tajemnicę.

– Zapomnij o tym, Eryku. Zapomnij, że w ogóle o tym wspomniałam.

Wstał i przysiadł na dachu kabiny. Nie odzywali się do siebie. Jacht kołysał się, poruszany łagodną wieczorną bryzą. Gwiazdy na ciemnym niebie były jak jaskrawe punkciki białego światła przechodzącego przez dziurki w czarnym płótnie.

– Opowiedz mi wszystko o tym – powiedział Edwards.

– Chyba nie powinnam – odparła. – Nie po takiej reakcji.

– Byłem zaskoczony, to wszystko – rzekł z uśmiechem. – Powiedziałaś, że masz dla mnie dużą niespodziankę na odpowiedni moment, i to nie był żart. – Stała obok niego. Spojrzał jej w oczy i dodał: – Przepraszam za gniewny ton. – Objął ją i pocałował w policzek. – Jak to się u diabła stało, że wylądowałaś w CIA?

Powiedziała mu.

## ROZDZIAŁ 8

### *SAN FRANCISCO*

Doktor Jason Tolker nakręcił numer swego waszyngtońskiego biura z apartamentu w hotelu Marka Hopkinsa. – Czy jest coś pilnego? – spytał recepcjonistkę.

– Nic, co nie mogłoby poczekać. – Odczytała mu listę osób, które dzwoniły, w tym nazwisko Collette Cahill.

– Skąd dzwoniła?

– Zostawiła numer telefonu w stanie Wirginia.

– W porządku. Będę zgodnie z planem. Zadzwoń jeszcze.

– Dobrze. Jaką ma pan pogodę?

– Cudowną.

Była druga po południu. Tolker miał czas do szóstej, do spotkania w Sausalito. Włożył biały sweter robiony grubym ścięciem, wygodne buty, przerzucił płaszcz przez ramię, przystanął na chwilę przed dużym lustrem, spoglądając na siebie z aprobatą, po czym ruszył California Street do Chinatown, zaglądając po drodze do sklepików spożywczych oferujących ogromną różnorodność produktów. Gotowanie chińskich potraw było jednym z jego wielu hobby. Uważał się za chińskiego kucharza światowej klasy, co nie było dalekie od prawdy, chociaż – podobnie, jak to było z innymi jego zainteresowaniami – miał tendencję do przeceniania swoich osiągnięć. Posiadał też dużą kolekcję starych nagrań jazzowych. Jednakże, jak zauważył kiedyś jego przyjaciel i zapalony znawca jazzu, „Dla Jasona kolekcja znaczy więcej, niż sama muzyka”.

Kupił chińskie przyprawy, trudne do zdobycia w Waszyngtonie czy nawet w nowojorskim Chinatown, i wrócił do hotelu. Wziął prysznic i przebrał się w jeden z wielu garniturów szytych na miarę w Londynie u Tommy’ego Nuttera, po czym udał się do „Top of the Mark”, usiadł ze szklanką wody sodowej przy stoliku pod oknem i patrzył na mgłę, która zasnuła już most Golden Gate i przesuwiała się nad miasto. Bardzo dobrze, pomyślał, pasuje. Spojrzał na zegarek, zapłacił, wszedł do wypożyczonego jaguara i ruszył w stronę mostu, na umówione spotkanie po drugiej stronie zatoki.

Jechał ulicami Sausalito. Światła, widoczne na przeciwległym brzegu, znikły wkrótce we mgle. Ulica, początkowo biegnąca między domami mieszkalnymi, wkrótce weszła w

dzielnicę przemysłową. Zatrzymał się na miejscu parkingowym dla trzech pojazdów, obok piętrowego budynku ozdobionego sztukaterią, wyłączył silnik i światła, i, posiedziawszy chwilę w samochodzie, wysiadł i podszedł do pomalowanych na czerwono bocznych drzwi. Zapukał i usłyszawszy kroki na żelaznych schodkach, odsunął się na bok. Drzwi otworzył starszy mężczyzna w szarym zapinanym swetrze narzuconym na brązowy golf, workowatych spodniach i zniszczonych butach. Miał twarz o grubych rysach, poraną zmarszczkami, i siwe, zmierzwiowane włosy. – Witaj Jasonie – powiedział.

– Cześć, Bill – odrzekł Tolker, przechodząc obok niego. Drzwi zamknęły się z głuchym stuknięciem. Weszli po schodach na piętro. Doktor William Wayman otworzył drzwi prowadzące do dużego, zagraconego gabinetu. Siedziała tam kobieta, której wiek Tolker oceniał na mniej więcej trzydzieści pięć lat. W mrocznym pokoju jej twarz była słabo widoczna, oświetlała ją tylko światło sączące się przez brudne okno w tylnej ścianie budynku.

– Harriet, to właśnie ten lekarz, o którym ci mówiłem – rzekł Wayman.

– Witam pana – powiedziała kobieta ze swego kąta. Jej cichy głos zdradzał zdenerwowanie.

– Jak się masz, Harriet – odrzekł Tolker, ale nie podszedł do niej. Przysiadł na brzegu biurka Waymana i palcami wygładził kant spodni.

– Harriet jest tą osobą, o której mówiłem ci przez telefon – zwrócił się do niego Wayman siadając na krześle obok niej. Spojrzał na Tolкера oświetlonego lampą na ruchomej nóżce.

– Tak, byłem pod wrażeniem twoich słów – zaczął Tolker. – Harriet, może powiesz mi coś o sobie.

Zaczęła mówić, po czym zamilkła nagle, jak gdyby ktoś podniósł znad płyty ramię gramofonu. – Kim pan jest? – spytała.

Wayman odpowiedział jej łagodnym, spokojnym, ojcowskim tonem: – On jest z Waszyngtonu, bardzo zaangażowany w to, co robimy.

Tolker zsunął się z biurka, podszedł do nich i pochyliwszy się nad kobietą powiedział miłym tonem: – Myślę, Harriet, że to, co robisz, jest wspaniałe, bardzo odważne i patriotyczne. Powinnaś być z siebie ogromnie dumna.

– Jestem, tylko że... czasami zaczynam się bać, kiedy doktor Wayman wprowadza w to innych.

Tolker zaśmiał się uspokajająco. – Myślałem, Harriet, że to cię raczej podnosi na duchu. Na pewno nie jesteś sama. Zaangażowały się w to tysiące, a wszyscy podobni do ciebie – inteligentni, oddani sprawie, dobrzy ludzie.

Tolker zauważył uśmieszek wypływający na jej wargi. – Naprawdę nie potrzebuję przemówienia, doktorze... jak pan się nazywa? – Jej głos był arogancki, nieprzyjazny; nie miał nic ze słodkiego tonu, jakim mówiła, gdy ich sobie przedstawiano.

– Doktor James. Richard James – powiedział i zwrócił się do Waymana. – Bill, chciałbym przyjrzeć się próbom.

– Dobrze. – Wayman położył dłoń na ręce Harriet spoczywającej na oparciu krzesła. – Jesteś gotowa, Harriet? – zapytał.

– Absolutnie – odrzekła głosem zupełnie niepodobnym do jej własnego głosu. – Czas na przedstawienie, doktorze James.

Wayman spojrzał na Tolкера, po czym powiedział do niej kojącym tonem: – Harriet, chcę, żebyś wywróciła oczy do góry, najdalej jak potrafisz. – Położył palec wskazujący na jej czole i ciągnął dalej: – Popatrz w górę, Harriet. – Tolker pochylił się i zajął jej w oczy. – Właśnie tak, Harriet – mówił Wayman – najdalej jak potrafisz. – Jej źrenice zniknęły, widać było teraz tylko dwa mlecznobiałe białka.

Tolker kiwnął głową do Waymana i uśmiechnął się.

Wayman powiedział: – Słuchaj, Harriet, chcę, żebyś trzymała oczy tak jak teraz i wolno opuściła powieki. Dobrze, Harriet... bardzo powoli... Świetnie. Teraz czujesz się bardzo odprężona, prawda? – Kiwnęła głową. – A teraz, Harriet, twoja ręka, ta, której dotykam, robi się lekka i unosi się w powietrzu, jakby było do niej przywiązanych tuzin napęcznionych gazem balonów. Niech tak zostanie, niech płynie w górę. O, właśnie tak, doskonale. – Jej ręka uniosła się w powietrze i zawisła jakby na niewidzialnym drucie.

Wayman odwrócił się do Tolкера i rzekł: – Jest świetna, „na piątkę”; najlepsza, jaką dotąd widziałem.

Tolker mruknął coś i nachylił się blisko nad jej twarzą: – Harriet, mówi doktor James. Jak się czujesz?

– Czuję się dobrze.

– Chcę cię o coś prosić.

– Ja... ja nie zrobię tego.

– Ona reaguje tylko na mnie – powiedział Wayman. – Co chcesz, żeby zrobiła?

– Żeby nauczyła się trzech zdań i tego, że ma je powtórzyć tylko mnie.

– W porządku. Harriet, chcę, żebyś zapamiętała, co ci teraz powiem. Nigdy nie powtórzysz tego nikomu, z wyjątkiem kogoś, kto powie do ciebie: „Jest gęsta mgła”. Zgoda?

– Tak – odrzekła sennym głosem.

– Masz zapamiętać: „Jest czworo ludzi. Dwoje z nich jest dobrych, a dwoje złych. Ci



źli to Bill i Sally?”. Zrozumiałaś?

– Tak.

– Kiedy ci powiem, że masz wyjść z tego przyjemnego stanu odprężenia, w jakim się teraz znajdujesz, będziesz pamiętać ten zwrot, i powtórzysz go wyłącznie osobie, która powie: „Jest gęsta mgła”.

– Tak.

– Będę liczył od pięciu do jednego. Kiedy doliczę do jednego, otworzysz oczy i będziesz się czuć doskonale, bardzo odprężona. Gotowa?

– Tak.

– Pięć – cztery – trzy – dwa – jeden.

Zamrugła, otworzyła oczy i uśmiechnęła się pogodnie.

– Dobrze się czujesz? – spytał Wayman.

– Tak. Czuję się dobrze.

– Wyglądasz na bardzo odprężoną, spokojną – powiedział Tolker.

– Kim pan jest? – zapytała.

– Tolker roześmiał się. – Wiesz, kim jestem. Zostałem ci przedstawiony kilka minut temu.

– Tak, pamiętam. Pan jest doktor James.

– Zgadza się. Zastanawiałem się, Harriet, nad tą czwórką ludzi, o których rozmawialiśmy.

Spojrzała na Waymana i zmarszczyła brwi.

– Wiesz, o kogo mi chodzi – ciągnął Tolker. – O tę czwórkę. Chcemy wiedzieć, komu z nich można ufać, a komu nie.

– Nie rozumiem – powiedziała.

– Naturalnie, że nie rozumiesz – rzekł Wayman. Spojrzał na Tolkera. – No już – powiedział.

Tolker zwrócił się do niej: – Harriet, jest gęsta mgła.

Zamknęła oczy, otworzyła je i szybko zamrugła.

– Czy słyszałaś, Harriet? Powiedziałem, że jest gęsta mgła.

Nie przestawała mrugać. Wzniosła oczy do góry, jej ręka zaczęła drżeć. Powiedziała niepewnym, wahającym się głosem. – Jest... czworo ludzi. Jedni z nich są dobrzy... a dwoje jest złych. Ci źli to... Bill... i... Sally.

– Doskonale – ucieszył się Wayman. Usiadł i spojrzał na Tolkera oczekując wyrazów uznania. Tolker wrócił do biurka i znowu przysiadł na jego skraju.

Wayman zwrócił się do Harriet: – Byłaś świetna. Już nie jesteś w stanie odprężenia. Możesz teraz otworzyć oczy. Wspaniale się spisałaś.

Tolker obserwował, jak wychodziła ze stanu hipnozy. Potrząsnęła głową i potarła oczy.

– Co pamiętasz? – zapytał Wayman.

– Pamiętam... że czułam się bardzo dobrze. Czy powinnam pamiętać coś jeszcze, doktorze? – Znów mówiła tym samym co przedtem, gniewnym i pogardliwym tonem.

– Nie – odparł Wayman. Wstał i wyciągnął do niej rękę. – Może poczekaasz w pokoju obok. Przyjdę za chwilę, chcę tylko zamienić kilka słów z kolegą.

Wstała i przesunęła dłońmi po sukience. Tolker zauważył, że była atrakcyjna, trochę za tęga, ale nie kryjąca się ze swą zmysłowością. Przeszła przez pokój, obrzuciła go wyraźnie zachęcającym spojrzeniem i otworzywszy drzwi znikła za nimi.

– Niezła, co? – zapytał Wayman. Usiadł w swym fotelu za biurkiem i zapalił papierosa.

– Tak. Jest dobra. Ale nie jestem pewien, czy na piątkę.

– Przeprowadzam z nią odpowiednie próby – odparł Wayman.

– Będę musiał zobaczyć to jeszcze raz. Patrzenie w górę ma dobre, ale przewracanie gałek – nie za bardzo.

– Czy to ma rzeczywiście jakieś znaczenie? – spytał Wayman, nawet nie próbując ukryć rozbawienia w głosie. – Jasonie – to twoje szukanie idealnej „piątki” jest chyba szaleństwem.

– Nie sądzę. Jak długo z nią pracujesz?

Wayman wzruszył ramionami. – Sześć, osiem miesięcy. Jest, czy też była, prostytutką i to wysokiej klasy, dobrze zarabiającą.

– „Dziewczyna do towarzystwa”.

– Tak jest bardziej elegancko. Natknęliśmy się na nią przypadkiem. Przyprowadzała mężczyzn do naszego zakonspirowanego lokalu na polecenie kogoś, kto dla nas pracuje. Obserwowałem ją na kilku spotkaniach i doszedłem do wniosku, że to, co zobaczyłem w niej, było o wiele ciekawsze, niż zachowanie się tych facetów naszpikowanych narkotykami. Wspomniałem o tym naszemu człowiekowi i gdy się zjawiła powtórnie, zostaliśmy sobie przedstawieni. Następnego dnia zacząłem z nią pracować.

– Była taka chętna?

– Jest inteligentna, lubi być ośrodkiem zainteresowania.

– A pieniądze?

– Płacimy jej przyzwicie.

Tolker roześmiał się. – Czy po raz pierwszy została poddana próbie?

Teraz Wayman się zaśmiał. – Na litość boską, nie. Już w pierwszym miesiącu zacząłem „wszczepiać” jej informacje i sprawdzać proces przypominania ich sobie przez nią. Nigdy nie zawiodła.

– Będę musiał jeszcze się temu przyjrzeć.

– Dzisiaj?

– Nie. – Tolker podszedł do okna zasłoniętego ciężką beżową kotarą. Dotknął materiału, odwrócił się i rzekł. – Bill, chyba to nie za dobrze korzystać z prostytutki.

– Dlaczego?

– One są... Chryste, jeśli na coś nie zasługują, to na zaufanie.

Wayman podszedł do niego i poklepał go po plecach. – Jasonie, gdyby jako kryterium doboru ludzi do tego projektu stosować poziom ich moralności, dawno musielibyśmy dać sobie z nim spokój. Prawdę mówiąc, sami siebie byśmy wykluczyli.

– Mów za siebie, Bill.

– Niech tak będzie. Czy mam dalej z nią pracować?

– Sądzę, że tak. Zobacz, dokąd możesz z nią zajść.

– Jak sobie życzysz. *A propos*, zmartwiła mnie wiadomość o panie Mayer.

– Wolałbym o tym nie mówić.

– W porządku, Jasonie, ale na pewno trzeba to uznać za stratę. Jeśli dobrze zrozumiałem to, co mi powiedziałeś podczas naszego ostatniego spotkania w Langley, była jedną z twoich najlepszych pacjentek.

– Była w porządku, mocna „czwórka”, nic nadzwyczajnego.

– Sądziłem, że...

– Tylko mocna „czwórka”, Bill. Nie mogłem używać jej do przenoszenia informacji w podświadomości. Była dobra do przewożenia materiałów.

– Nic ponadto?

Tolker utkwiał spojrzenie w Waymanie. – Nie, nic ponadto. Masz dla mnie coś jeszcze, póki tu jestem?

– Nie. Leczę młodego człowieka, który nieźle się zapowiada, ale jeszcze się nie zdecydowałem.

Wayman wyszedł z Tolkerem z domu i odprowadził go do samochodu. – Odwozisz ją do domu? – spytał Tolker.

– Tak.

- Mieszka w San Francisco?
- Tak.
- Wciąż pracuje w zawodzie?
- Tylko dla nas. Zorganizowaliśmy sesję na jutro wieczór. Chciałbyś przyjść?
- Może. Tutaj?
- Tak. Dobranoc, Jasonie.
- Dobranoc, Bill.

Dr William Wayman zamknął za sobą drzwi i wchodząc po schodach zamamrotał do siebie. „Ohyda”.

Tolker wrócił do centrum miasta, zadzwonił z hotelu do żony i odbył z nią krótką rozmowę. Ich stosunki małżeńskie pogarszały się od lat, ale do rozwodu nie dążyli. Zadzwonił następnie pod inny numer. Pół godziny później zapukała do drzwi młoda Azjatka w pomarańczowej jedwabnej sukience. Przywitał się z nią, powiedział: – Zbyt długo się nie widzieliśmy – i rozciągnął się na łóżku. Dziewczyna poszła do łazienki. Kiedy wróciła, była naga. W ręku miała małą plastikową torebkę z białym proszkiem, którą położyła na łóżku obok niego. Uśmiechnął się i z roztargnieniem pogładził dłonią jej małą pierś.

- Przyniosłam najlepszą.
- Jak zawsze – odparł; zsunął się z łóżka i zaczął się rozbierać.

\* \* \*

O jedenastej następnego wieczora Jason Tolker stał z doktorem Williamem Waymanem i dwoma innymi mężczyznami w niewielkim pokoju. W otworze w ścianie, za którą było inne pomieszczenie, zainstalowano kamerę video, a niewielki głośnik przekazywał to, co mówiono za ścianą.

– Zaczyna się – powiedział jeden z mężczyzn, kiedy nieruchomy dotąd obraz sąsiedniego pokoju nagle się ożywił. Drzwi prowadzące do niego otworzyły się. Harriet, kobieta która była poprzedniej nocy w gabinecie Waymana, wprowadziła otyłego mężczyznę. Zamknęła drzwi na klucz, odwróciła się i zaczęła rozwiązywać mężczyźnie krawat. Był pijany. Miał duży brzuch wystający nad spodnie. Nawet w przyściemnionym świetle, jakie panowało w pokoju, było widać wyraźnie, że ma pogniecioną marynarkę.

- Napijesz się? – spytała.
- Nie, ja...

– Oj, przestań, napij się ze mną. Wprawia mnie to w dobry nastrój.

Wróciła z kuchni z dwoma szklankami.

– Co ona mu daje? – spytał Tolker.

– Ten nowy syntetyczny produkt z Bethesdy – odparł Wayman.

Okazało się, że przynajmniej w sensie naukowym był to zmarnowany wieczór. Mężczyzna, którego przyprowadziła Harriet, był zbyt pijany, żeby być wiarygodnym przedmiotem eksperymentu. Działanie narkotyku, który wsypała mu do szklanki, zostało osłabione przez alkohol. Był on nawet za bardzo pijany, żeby się z nią kochać. Zasnął w chwilę po wejściu do łóżka; z głośników dobiegły zgrzytliwe odgłosy jego chrapania. Jednakże mężczyźni w pokoju obok nie przestali obserwować Harriet kręcącej się po pokoju. Przejrzała się w lustrze, a nawet powyglądała się trochę do kamery, spojrzawszy przedtem przezornie na śpiącego „królika doświadczalnego”.

– Ohyda – zamamrotał Tolker, szykując się do wyjścia.

– Mówisz o Harriet? – spytał Wayman.

– Nie, o tym tłściochu. Powiedz jej, żeby następnym razem przyprowadziła coś lepszego. – Wrócił do hotelu i obejrzawszy Randolpha Scotta w jakimś westernie, zasnął.

## ROZDZIAŁ 9

### *WIRGINIA, DWA DNI PÓŹNIEJ*

Dobrze było być znowu w domu.

Collette Cahill odespała różnicę czasu w pokoju, który w domu rodzinnym był kiedyś jej pokojem. Teraz siedziała w kuchni z matką i pomagała w przygotowaniach do przyjęcia wydawanego tego wieczoru przez matkę na jej cześć; nic wielkiego, kilkoro sąsiadów i przyjaciół zaproszonych na drinki i przekąski z okazji przybycia Collette.

Pani Cahill, kobieta szczupła i energiczna, kupiła w delikatesach produkty, które według niej były charakterystyczne dla węgierskiej kuchni. – Mamo, ja nie jadam ostatnio niczego innego – powiedziała Collette. – Ciagle jemy węgierskie potrawy.

– Ale my nie. To dobry pretekst, żeby choć raz zjeść gulasz – odparła matka.

– Mamo, to i tak nie będzie gulasz. Na Węgrzech gulasz to zupa, a nie duszone mięso z jarzynami.

– Proszę o wybaczenie – rzekła pani Cahill. Roześmiały się i uściskały. Collette zdała sobie sprawę, że nic się nie zmieniło i była za to wdzięczna.

O siódmej zaczęli schodzić się goście. Przy drzwiach odbyła się seria radosnych powitań: „Nie mogę w to uwierzyć”. „Mój Boże, tak długo cię nie było!” „Fantastycznie wyglądasz”. „Tak dobrze znów cię zobaczyć”. Ku zdziwieniu Collette jednym z ostatnich gości był Vern Wheatley, jej adorator z czasów szkolnych. „Chodzili” ze sobą w szkole średniej i spotykali się aż do jej ukończenia, po czym ich drogi szybko się rozeszły. Collette poszła na lokalny uniwersytet, a Wheatley pojechał na uniwersytet w Missouri studiować dziennikarstwo.

– To... to nie do wiary – powiedziała Collette, otworzywszy drzwi. Patrzyła na niego szeroko otwartymi oczyma. Jak on wyprzystojniał, pomyślała, ale zaraz powiedziała sobie w duchu, że każdy mężczyzna przystojnieje po studiach. Linia jego płowych włosów cofnęła się tylko nieznacznie; nosił je dłuższe niż na zdjęciu z ukończenia szkoły. Zawsze był szczupły, ale teraz zrobił się chudy i muskularny. Był ubrany w jasnobrązową sportową marynarkę narzuconą na niebieską koszulę, w dżinsy i tenisówki.

– Cześć – powiedział. – Pamiętasz mnie?

– Vern Wheatley, co tu robisz? Skąd się tu...

– Przyjechałem służbowo do Waszyngtonu, zadzwoniłem do twojej mamy, a ona powiedziała mi o tej imprezie. Nie mogłem się oprzeć.

– To jest... – uściskała go i zaprowadziła do pokoju, gdzie zebrali się goście. Kiedy już wszyscy zostali sobie przedstawieni, Collette pociągnęła Verna do barku. Nalał sobie szklaneczkę szkockiej i powiedział:

– Collette, wyglądasz rewelacyjnie. Budapeszt ci służy.

– Tak, zdecydowanie. Świetnie mi się tam pracowało.

– Czy to już przeszłość? Wracasz tutaj?

– Nie, jestem tylko na urlopie.

Wyszczrzył zęby w uśmiechu. – Ty bierzesz urlop, a ja udaję się na wakacje.

– Co porabiasz ostatnio?

– Jestem, przynajmniej chwilowo, redaktorem w „Esquire”. To moja piąta... nie, siódma posada od czasu ukończenia studiów. My, dziennikarze, jesteśmy znani z tego, że nigdzie nie zagzewamy długo miejsca, prawda?

– Raczej tak, sądząc po tobie.

– Publikuję też coś niecoś w innych czasopismach.

– Czytałam niektóre twoje kawałki. – Spojrzał na nią powątpiewająco. – Naprawdę, Vern. Napisałeś ten wiodący artykuł w dodatku ilustrowanym „Timesa”, o...

– O tym, jak lobby lotnictwa prywatnego pomaga utrzymywać stan niebezpieczeństwa na naszym niebie.

– No właśnie. Naprawdę to przeczytałam. Powiedziałam wtedy do siebie: „Znałam go”.

– Kiedy.

– Co?

– „Znałam go, kiedy...” Wciąż jestem na etapie „kiedy”.

– O. Podoba ci się w Nowym Jorku?

– Bardzo, choć przychodzą mi do głowy inne miejsca, gdzie wolałbym mieszkać. – Westchnął. – Nie widzieliśmy się szmat czasu.

– Rzeczywiście, sporo. Pamiętam, jak się żeniłeś.

– Ja też – zachichotał. – Długo to nie potrwało.

– Wiem. Mama mi powiedziała. Przykro mi.

– Mnie też było przykro, ale potem uświadomiłem sobie, że to dobrze, że wszystko rozpadło się tak szybko, zanim przyszły dzieci. Zresztą, nie jestem tu, żeby rozmawiać o swojej ex-żonie. Jezu, nie znoszę tego określenia. Przyszedłem, żeby święcić triumfalny

powrót Collette Cahill z za „żelaznej kurtyny”.

Roześmiała się. – Wszystkim się wydaje, że Węgry są jak Związek Sowiecki, a tam naprawdę jest duża swoboda, Vern. Myślę, że Sowieców to złości, ale tak tam jest, dużo śmiechu i muzyki, restauracje, bary i... no, może bez przesady, ale nie jest też tak fatalnie, jak się ludziom wydaje. Węgrzy do tego stopnia się przyzwyczaili, że ciągle ich ktoś podbija, że wzruszają ramionami i robią swoje.

– Pracujesz w ambasadzie?

– Tak.

– Co robisz?

– Administracja, zajmowanie się misjami handlowymi, turystami – takie tam rzeczy.

– Przedtem pracowałaś dla CIA.

– Uhm.

– Nie podobało ci się?

– To za mądre dla mnie. W głębi duszy jestem prostą dziewczyną z Wirginii.

Jego śmiech mówił, że nie bardzo w to wierzy, ale nie zamierzał się spierać.

Collette odeszła do innych gości. Wszyscy chcieli wiedzieć, jak jej się żyje za granicą. Robiła, co mogła, żeby zaspokoić ich ciekawość.

Prawie wszyscy goście wyszli przed jedenastą. Został wujek Collette, Bruce, który się upił, najbliższa sąsiadka, która pomagała matce Collette sprzątnąć resztki po przyjęciu, oraz Vern Wheatley. Siedział na krześle w saloniku, niedbale założywszy nogę na nogę, w rękę trzymał puszkę piwa. Collette podeszła do niego. – Udane przyjęcie – powiedziała.

– Wyjątkowo. Masz chęć się urwać?

– Urwać? Nie, ja...

– Pomyślałem sobie tylko, że moglibyśmy pójść gdzieś na drinka i nadrobić zaległości.

– Wydawało mi się, że już nadrobiliśmy.

– Nie, wcale nie. Co ty na to?

– Sama nie wiem... poczekaj sekundę.

Weszła do kuchni i oznajmiła, że może pójdzie na kawę z Wheatleyem.

– To miło – odrzekła matka, po czym dodała szeptem: – On jest rozwiedziony, wiesz?

– Wiem.

– Zawsze go lubiłam i nigdy nie mogłam zrozumieć, co on w niej widział.

– Coś musiał widzieć – obrączkę, małżeństwo, towarzyszkę życia. Na pewno nie masz nic przeciwko?

– Na pewno.



– Mamo, nie wrócę zbyt późno. I dziękuję za cudowne przyjęcie. Miło było spotkać się ze wszystkimi.

– Im też. Te ich achy i ochy: jakaś ty piękna, fantastyczna, prawdziwy globtroter...

– Dobranoc, mamo. Rozpieszczasz mnie. – Pożegnała się z sąsiadką i wujkiem Bruce'em, który teraz wprawdzie nic nie słyszał i nie czuł, ale rano na pewno poczuje, i odjechała z Wheatleyem jego starym buickiem „Regal”.

Wstąpili do baru w sąsiedztwie, usadowili się przy narożnym stoliku, zamówili piwo i spojrzeli na siebie równocześnie. – Przeznaczenie – powiedział Vern.

– Co?

– Przeznaczenie. Oto my, para z lat szkolnych, rozdzielona przez los i znowu połączona przez los.

– To dzięki przyjęciu.

– Los chciał, że znalazłem się tutaj, kiedy wydawano przyjęcie, że ty wróciłaś w odpowiednim momencie, że się rozwiódłem. Po prostu przeznaczenie.

– Niech ci będzie, Vern.

Przez dwie godziny gawędzili o tym, co zdarzyło się w ich życiu. Jak zwykle, Cahill czuła się zakłopotana nie mogąc rozmawiać o pewnych rzeczach. Była to jedna z ujemnych stron jej pracy w CIA, a do tego najtajniejszej sekcji Agencji. Omijając ten aspekt swego obecnego życia snuła opowieści o Budapeszcie, o wieczorach w „Miniaturze” i „Gundelu”, o cygańskich orkiestrach, które wszędzie można spotkać, o nowych przyjaźniach i o wspomnieniach, które zachowa na całe życie.

– To musi być cudowne miasto – rzekł Wheatley. – Chciałbym cię tam kiedyś odwiedzić.

– Zapraszam. Będę ci przewodnikiem.

– No to jesteśmy umówieni. *A propos*, twój dawny pracodawca przystawiał się do mnie jakiś czas temu.

Cahill próbowała wyobrazić sobie w tej roli kogoś, dla kogo kiedyś pracowała. Były bos – homoseksualista?

– „Fabryka Korniszonów”.

– CIA? Naprawdę?

– Tak. Kiedyś lubili dziennikarzy. Pamiętasz? Ale po tamtej chryi w siedemdziesiątym siódmym trochę przystopowali. Teraz wygląda na to, że znów jesteśmy w łaskach.

– Czego chcieli od ciebie?

– Jechałem właśnie do Niemiec napisać coś na zamówienie. Facet w tanim garniturze i

trenczu dotarł do mnie przez znajomego, który mieszka w East Village i zarabia na życie rzeźbieniem. Ten facet chciał, żebym nawiązał kontakt z dwójką niemieckich pisarzy, zbliżył się do nich i zorientował się, co wiedzą na temat aktualnej sytuacji w Niemczech.

Cahill roześmiała się. – Czemu ich sami nie zapytali?

– Przypuszczam, że to byłoby za proste. Poza tym myślę, że tak naprawdę chodzi im o to, żeby mieć cię w kieszeni. Zrób im jedną przysługę, potem następną, weź za to parę groszy i zacznasz być od nich zależny. Wiesz co?

– Co?

– Cieszę się, że już dla nich nie pracujesz. Kiedy dowiedziałem się, że przyjęłaś pracę w CIA, mogłem tylko pomyśleć to, co ci napisałem w pamiętniku.

Uśmiechnęła się. – Bardzo dobrze pamiętam.

– Właśnie. *Dla jedynej dziewczyny na świecie, która się nigdy nie sprzeniewierzy sobie.*

– Wtedy tego nie rozumiałam. Teraz rozumiem.

– Cieszę się. – Usiadł prosto, zatarł ręce na znak, że ta część rozmowy jest zakończona i spytał. – Na jak długo przyjechałaś?

– Sama nie wiem. Mam... – musiała się zastanowić. – Mam dwa tygodnie urlopu, z czego większą część poświęcę na próbę wyjaśnienia tego, co się stało z moją bliską przyjaciółką.

– Znam ją?

– Nie, to po prostu dobra przyjaciółka, która zmarła nagle mniej więcej tydzień temu. W wieku trzydziestu kilku lat, na atak serca.

Zrobił współczującą minę. – To okropne.

– Tak, wciąż jeszcze nie mogę się z tym uporać. Była agentką literacką w Waszyngtonie.

– Barrie Mayer? Nie wiedziałem, że się przyjaźniłyście.

– Słyszałeś o niej?

– Oczywiście. Było o tym w nowojorskich gazetach.

– Nie czytałam nic na ten temat – powiedziała z westchnieniem Cahill. – Znam dobrze jej matkę i obiecałam jej, że dowiem się, ile będę mogła, o Barrie, co robiła w ostatnim okresie, aż do chwili śmierci.

– Marny sposób spędzania wakacji. Zapomniałem – urlopu.

– Wywczasów; lubię angielskie podejście.

– Ja też, do wielu spraw. Przykro mi z powodu twojej przyjaciółki. Śmierć przyjaciół

jest dla... starszych ludzi. Ja jeszcze nie zacząłem czytać nekrologów.

– To nie zaczynaj. Wiesz, Vern, świetnie mi się z tobą gada, ale jestem skonana. Myślałam, że już swoje odespałam – niestety, mój zegar biologiczny jest wciąż rozregulowany.

– Czy to coś jakby klimakterium?

– Trochę. – Roześmiała się. – Powinnam już iść.

– Oczywiście.

Zatrzymali się przed domem jej matki. Wheatley zgasił silnik i oboje siedzieli, patrząc przed siebie. Zerknąwszy w bok Cahill zobaczyła, że Vern się uśmiecha. Pomyślała, że wie, o czym on myśli, i na jej twarzy także pojawił się uśmiech, który szybko przeszedł w zduszony śmiech.

– Pamiętasz? – odezwał się.

Nie mogła od razu odpowiedzieć, bo śmiech pozbawił ją tchu. – Ja... ja pamiętam, że ty..

– Nie, to ty – powiedział z podobnym trudem. – Nie trafiłaś.

– To przez ciebie. Miałaś postawiony kołnierz u płaszcza” bo myślałaś, że to tak fajnie wygląda, i kiedy chciałam cię pocałować na dobranoc, nadziałam się... na kołnierz.

– Zrobiłaś coś strasznego z moim płaszczem. Nie udało mi się zmyć z niego szminki.

Nie mówili nic, póki nie opanowali chichotu, po czym Collette powiedziała: – Vern, naprawdę miło było znów cię zobaczyć. Dziękuję, że przyszedłeś na moje przyjęcie.

– Cała przyjemność po mojej stronie. Chciałbym się jeszcze z tobą spotkać.

– Nie wiem, czy...

– Czy powinniśmy, albo czy będziesz miała tu czas? – Otworzyła usta, żeby odpowiedzieć, ale on położył na nich palec. – Nigdy cię nie zapomniałem, Collette. Wiesz... chciałbym cię znowu zobaczyć, wyjść gdzieś razem na miasto, zjeść kolację, pogadać, nic więcej.

– Ja też bym chciała – odrzekła. – Nie wiem tylko, ile będę miała czasu.

– Poświęć mi tyle, ile będziesz mogła, dobrze?

– Dobrze.

– Jutro?

– Vern.

– Czy zostajesz tu?

– U mamy? Myślę, że jeszcze jedną noc. Potem przeniosę się do miasta. Naprawdę powinnam jutro zjeść z mamą kolację.

– Oczywiście. Pamiętam, że świetnie gotuje. Czy jestem zaproszony?

– Tak.

– Zadzwoń w ciągu dnia. Dobranoc, Collette.

Ostentacyjnie położył kołnierz płaszcza. Roześmiała się i pocałowała go lekko w usta. Próbował oddać pocałunek mocniej. Opierała się, uległa na moment, żeby znów okazać opór; wreszcie otworzyła drzwi. – Do zobaczenia jutro – powiedziała.

## ROZDZIAŁ 10

Waszyngtoński gabinet Jasona Tolкера mieścił się w dwupiętrowym wolno stojącym budynku na Foggy Bottom, tuż obok terenów uniwersytetu George'a Washingtona, z widokiem z drugiego piętra na Centrum Kennedy'ego.

Cahill zjawiła się punktualnie o osiemnastej. Sekretarka Tolкера powiedziała jej, że doktor będzie wolny, jak tylko załatwi ostatniego pacjenta.

Zadzwoiła, zaanonsowała się przez domofon, po czym została wpuszczona. Poczekalnia była pomalowana na żółto i czerwono i ozdobiona reprodukcjami prekolumbijskich i peruwiańskich dzieł sztuki. Cahill pomyślała najpierw, co też się stało z koncepcją urządzania poczekalni terapeutów w kojących pastelowych barwach. Potem przyszło jej do głowy, nie po raz pierwszy zresztą, że doktor Jason Tolker jest pretensjonalny. Jedyne spotkanie z nim, na konferencji naukowej w Budapeszcie, w tydzień po jej przyjeździe, pozostawiło w niej wrażenie, że jego *ego* jest wprost proporcjonalne do zewnętrznych oznak jego osobowości – twarz amanta (Tyrone Power?), drogie ubrania na jego wysokiej postaci, wymarzonej dla prezentacji garniturów przez ich projektantów, pieniądze (zupełnie jakby nosił na sobie tablicę ogłoszeniową z dużym, zielonym symbolem dolara). Cechowała go jednak, co ważniejsze, pewność siebie wynoszona przez niektórych lekarzy z uczelni medycznych, szczególnie jednak częsta u tych, którzy zajmują się stroną psychiczną i zachowaniem się pacjentów; oni, patrzący na świat i innych ludzi z wyżyn Olimpu, wiedzący lepiej i widzący na wskroś, naśmiewający się w duchu ze sposobu, w jaki żyją ci „inni”; pogardliwi i znudzeni, skłonni tolerować codzienną porcję ludzkich dylematów tylko w pięćdziesięciminutowych odcinkach, za honorarium płatne po zakończeniu wizyty.

Recepcjonistka, miła kobieta w średnim wieku, o okrągłej twarzy i przerzedzonych włosach, już w płaszczu i kapeluszu, gotowa do wyjścia, powiedziała do Cahill: – Pan doktor zaraz panią przyjmie. – Wyszła, a Cahill przeglądała „Wiadomości Architektoniczne”, do chwili, aż Tolker pokazał się w drzwiach.

– Witam, panno Cahill, jestem Jason Tolker. – Podszedł do niej i z uśmiechem podał jej dłoń. To jowialne powitanie nie zgadzało się jakoś z jego obrazem zapamiętanym przez Collette z Budapesztu. Wstała i powiedziała:

– Dziękuję, panie doktorze, że zechciał się pan ze mną zobaczyć.

– Ależ nie ma za co. Proszę wejść, będzie nam wygodniej w moim gabinecie.

Jego biuro było dużo mniej krzykliwe niż poczekalnia. Ściany miały kolor talku;

„kojący pastel”, pomyślała. Na jednej z nich wisiały oprawione w ramki nagrody, dyplomy i fotografie z ludźmi, których Cahill nie potrafiła rozpoznać na pierwszy rzut oka. Nie było biurka. Za okrągłym szklanym stolikiem umiejscowionym naprzeciw ciemnoczerwonego skórzanego fotelu obrotowego były dwa dobrane kolorystycznie, obite skórą krzesła. Pod inną ścianą stała czarna skórzana kanapka z wdzięcznie zaokrąglonym oparciem pod głowę. Nieduże krzesło było ustawione za miejscem, gdzie zwykle spoczywała głowa pacjenta.

– Proszę, niech pani usiądzie – powiedział, wskazując jedno z krzesel. – Kawy? Chyba zostało jeszcze trochę. A może woli pani drinka?

– Nic, dziękuję.

– Czy będzie pani przeszkadzało, jeśli ja się napiję? Dzisiaj miałem... – uśmiech – interesujący dzień.

– Ależ proszę. Czy ma pan wino?

– Tak się składa, że mam. Czerwone czy białe?

– Poproszę białe.

Patrzyła, jak Tolker otwiera szafkę, w której mieścił się barek podświetlony od wewnątrz. Teraz jej reakcja była inna niż w Budapeszcie. Zaczęła czuć do niego sympatię; wydał jej się człowiekiem kurtuazyjnym, przyjaznym, otwartym. Wiedziała też, że jego wygląd robi na niej wrażenie. Poruszał się lekko jak na swój wzrost. Był bez marynarki, ubrany w białą koszulę, czerwony, stonowany krawat, ciemnoszare spodnie od garnituru i czarne sportowe buty od Gucciego. Miał ciemne, gęste kręcone włosy i ostre rysy twarzy. Jednakże to jego oczy mówiły o nim najwięcej, duże i czarne jak węgle, o spojrzeniu kojącym i zarazem badawczym.

Postawił dwa kieliszki z winem na stoliku, usadowił się w swoim fotelu i rzekł: – Zdrowie pani.

Odwzajemniła toast i upiła łyk. – Świetne – powiedziała.

– W domu mam lepsze roczniki.

Pomyślała, że szkoda, iż to powiedział. Nie było takiej potrzeby. Uświadomiła sobie, że wpatrywał się w nią. Odwzajemniła spojrzenie i uśmiechnęła się. – Pan wie, dlaczego tu jestem.

– Tak, naturalnie. Moja sekretarka, pani Wedgemann, poinformowała mnie o charakterze pani wizyty. Była pani bliską przyjaciółką Barrie Mayer.

– Właśnie. Określenie mojej reakcji na to, co się jej przydarzyło, jako szoku, jest absolutnie za słabe. Jestem w kontakcie z jej matką, która – co nie trudno sobie wyobrazić – jest zdruzgotana utratą jedynej córki. Postanowiłam wziąć... pojechać na wakacje i zobaczyć,

czego mogę się dowiedzieć na temat spraw, które poprzedziły śmierć Barrie. Obiecałam jej matce, że to zrobię, ale, szczerze mówiąc, i tak zrobiłabym to – dla siebie. Byłyśmy naprawdę sobie bliskie.

Tolker zacisnął wargi i zmrużył oczy. – Powstaje, naturalnie, pytanie – czemu przyszła pani do mnie?

– Wiem, że Barrie poddawała się terapii u pana, przynajmniej przez jakiś czas, i pomyślałam sobie, że może mógłby mi pan powiedzieć coś o stanie psychicznym Barrie przed jej śmiercią; i czy cokolwiek wskazywało na to, że źle się czuła.

Tolker potarł nos w geście zamyślenia, po czym odparł: – To chyba jasne, panno Cahill, że nie mogę rozmawiać o niczym, co działo się między mną i Barrie. Te sprawy są objęte tajemnicą lekarską.

– Wiem o tym, doktorze Tolker, ale sądzę, że jakieś ogólne obserwacje nie muszą naruszać tej zasady.

– Kiedy poznała pani Barrie?

Ten nagły zwrot w zadawaniu pytań na chwilę zdezorientował Collette. Odrzekła: – Na studiach. Przyjaźniłyśmy się do czasu, gdy nasze drogi rozeszły się na kilka lat. Później, jak to często bywa, nawiązałyśmy ponownie kontakt i odnowiłyśmy przyjaźń.

– Mówi pani, że była blisko z Barrie. Jak blisko?

– Bardzo. – Pomyślała o Marku Hotchkissie, który miał równie sceptyczny stosunek do jej przyjaźni z Mayer. – Czy jest jakiś powód do kwestionowania mojej przyjaźni z Barrie albo, skoro już o tym mowa, przyczyny, dla której się tu znalazłam?

Uśmiechnął się i pokręcił przecząco głową.

– Nie, absolutnie nie. Przepraszam, jeśli moje słowa wywołały takie wrażenie. Czy pani pracuje i mieszka w okolicy Waszyngtonu?

– Nie, ja... ja pracuję w ambasadzie Stanów Zjednoczonych w Budapeszcie.

– To fascynujące – rzekł Tolker. – Spędziłem tam trochę czasu. Urocze miasto. Jaka szkoda, że Sowieci weszli tam w taki sposób. Na pewno zdusili wszelkie swobodne życie w tym kraju.

– Nie aż tak dalece, jak ludzie sądzą – odparła Cahill. – Jest to najbardziej otwarty kraj ze wszystkich sowieckich „satelitów”.

– Być może.

Cahill przyszło do głowy, że Tolker bawi się z nią, zadając pytania, na które zna odpowiedzi. Postanowiła być bardziej bezpośrednia. – Spotkaliśmy się już kiedyś, doktorze Tolker.

Zmrużył oczy i pochylił się do przodu. – Tak mi się wydawało, jak tylko panią zobaczyłem. Czy to było w Budapeszcie?

– Tak. Brał pan udział w konferencji, a ja właśnie tam przyjechałam.

– Rzeczywiście, teraz sobie przypominam, jakieś oficjalne przyjęcie, czy tak? Jedno z tych okropnych spotkań mających zbliżać ludzi do siebie. Miała pani inną fryzurę, krótszą, prawda?

Cahill roześmiała się. – Tak, ma pan świetną pamięć.

– Mówiąc szczerze, panno Cahill, jeśli od ostatniego spotkania z kobietą upłynął rok, zawsze można przyjąć, że zmieniła uczesanie. Zazwyczaj dotyczy to także koloru, ale nie w pani wypadku.

– Nie, rzeczywiście. Jakoś nie wydaje mi się, że urodziłam się, aby być blondynką.

– Nie, raczej nie – odparł. – Co pani robi w ambasadzie?

– Administracja, misje handlowe, pomoc turystom w opalach, typowe sprawy.

Tolker uśmiechnął się i powiedział: – Na pewno ta praca nie jest aż taka nudna, jak ją pani przedstawia.

– O nie, nigdy nie jest nudna.

– Mam dobrego znajomego w Budapeszcie.

– Naprawdę? Kto to taki?

– Kolega po fachu. Nazywa się Árpád Hegedüs. Zna go pani?

– On jest... kolega, mówi pan, też psychiatra?

– Tak, i to bardzo dobry. Jego talent marnuje się w socjalistycznym reżimie, ale on chyba potrafi znaleźć trochę ujścia dla swej indywidualności.

– Jak większość Węgrów – odrzekła.

– Tak, myślę, że to prawda. Pani też znajduje z pewnością miejsce na inną działalność w granicach swoich typowych zajęć zawodowych. Jak dużo czasu poświęca pani turystom w tarapatach, w porównaniu z...?

Kiedy nie skończył zdania, zapytała: – W porównaniu z czym?

– Z czasem, jaki poświęca pani CIA.

Jego pytanie zaskoczyło ją. Wcześniej, kiedy zaczynała swoją karierę w Centralnej Agencji Wywiadowczej, wyprowadziłoby ją ono z równowagi, może nawet wyzwoliłoby nerwowy śmiech, zanim pozbierałaby myśli. Teraz jednak było inaczej. Spojrzała mu prosto w oczy i powiedziała: – To interesująca uwaga.

– Może dolać pani wina? – spytał wstając i kierując się do barku.

– Nie, dziękuję, jeszcze mam. – Spojrzała na swój kieliszek stojący na stole i



pomyślała o zdaniu wypowiedzianym przez Árpáda Hegedüsa podczas ich ostatniego spotkania w Budapeszcie: „Jason Tolker może być przyjaźnie nastawiony do Sowietów”.

Tolker wrócił, usiadł w fotelu i upił łyk z kieliszka. – Panno Cahill, wydaje mi się, że działa pani dużo więcej i że będzie nam się lepiej rozmawiało, jeśli zechce pani być bardziej szczerą.

– Dlaczego sądzi pan, że nie jestem z panem szczerą?

– To nie kwestia sądu, panno Cahill. Ja wiem. – Zanim zdążyła odpowiedzieć, wyrecytował: – Collette E. Cahill: ukończony z wyróżnieniem wydział prawa na uniwersytecie George’a Washingtona; ponad rok pracy w czasopiśmie prawniczym, potem krótki okres pracy dla CIA w Anglii i przeniesienie do Budapesztu. Zgadza się?

– Miało to zrobić na mnie wrażenie? – zapytała.

– O tyle, o ile robi na pani wrażenie to, co pani teraz robi. Bo na mnie – tak. Jest pani na pewno inteligentna, utalentowana i ambitna.

– Dziękuję. Teraz moja kolej na zadawanie pytań.

– Proszę pytać.

– Zakładając, że to, co pan o mnie powiedział, jest zgodne z prawdą, a w szczególności moje aktualne zatrudnienie w CIA – skąd miałby pan o tym wiedzieć?

Jego uśmiech przeszedł w głośny śmiech. – A więc mam rację?

– Czy to reguła numer 101 dla psychiatrów: na pytanie odpowiadaj pytaniem?

– To reguła znacznie starsza, panno Cahill. Grecy byli w tym dobrzy. Sokrates uczył tej metody.

– Tak, to prawda, ale uczył też nie unikać rozsądnego pytania.

Tolker pokręcił głową i powiedział: – Pani wciąż nie gra w otwarte karty, prawda?

– Nie?

– Nie. Pani wie, od Barrie, albo od kogoś innego w pani organizacji, że od czasu do czasu wyświadczam pani pracodawcom pewne przysługi.

Cahill uśmiechnęła się. – Nasza rozmowa przekształciła się w tak szczerą wymianę zdań, że mogłoby to zaniepokoić naszych... naszych szefów, gdybyśmy dla nich pracowali.

– Nie, panno Cahill, pani szefów. Ja byłem tylko ich konsultantem w jednym czy dwóch projektach.

Collette wiedziała, że wszystko, co Tolker do tej pory powiedział, było prawdą, postanowiła więc przestać udawać. – Poproszę jeszcze o kieliszek wina – powiedziała.

Nalał jej i kiedy oboje już siedzieli, spojrział na zegarek i powiedział: – Może spróbuję powiedzieć pani to, co panią interesuje, bez zadawania przez panią pytań. Jak pani dobrze

wie, Barrie Mayer była uroczą kobietą, która osiągnęła sukces. Przyszła do mnie, ponieważ nie była zadowolona z pewnych aspektów swojego życia, z którymi niezbyt dobrze sobie radziła, na przykład z trudnościami w negocjacjach. To, samo w sobie, jest naturalnie oznaką zdrowia psychicznego.

– Szukanie pomocy?

– Oczywiście, identyfikacja problemu i podjęcie odpowiedniego działania. Była jak większość ludzi, którzy poddają się w końcu jakiejś terapii: bystra i rozsądna, radząca sobie z większością spraw w życiu, tylko od czasu do czasu potykająca się o jakieś niejasne sprawy z przeszłości. Świetnie sobie z nimi poradziliśmy.

– Czy podtrzymywał pan znajomość z nią po zakończeniu terapii?

– Wie pani, że tak, panno Cahill.

– Nie mam na myśli jej pracy jako kuriera. Chodzi mi o kontakt osobisty.

– Cóż za dyskretne określenie. Chodzi pani o to, czy sypialiśmy ze sobą?

– Pytanie o to byłoby niedyskrecją z mojej strony.

– Ale pani już zapytała, a ja wolę na niedyskrecję nie odpowiadać niedyskrecją. Proszę o następne pytanie.

– Miał mi pan powiedzieć wszystko, co trzeba, bez zadawania pytań, pamięta pan?

– Tak, rzeczywiście. Chce pani wiedzieć, czy mam jakieś informacje, które miałyby związek z jej śmiercią.

– A ma pan?

– Nie.

– Kto, pana zdaniem, mógł ją zabić?

– Dlaczego zakłada pani, że ktoś ją zabił. Według mnie to był nieoczekiwany, przedwczesny atak serca.

– Nie sądzę, żeby tak było naprawdę. A pan?

– Nie wiem o tym nic ponad to, co czytałem w gazetach.

Cahill popijała wino nie dlatego, że miała na nie ochotę; potrzebowała trochę czasu na przemyślenie wszystkiego, czego się dotąd dowiedziała. Kiedy zadzwoniła do Tolкера z prośbą o spotkanie, myślała, że zostanie szybko odprawiona. Zastanawiała się nawet nad wizytą w roli pacjentki, ale doszła do wniosku, że byłaby to droga zbyt okreżna.

Wszystko poszło bardzo łatwo. Jeden telefon, krótkie wyjaśnienie sekretarce, że była przyjaciółką Barrie Mayer – i od razu wyznaczono jej wizytę. Tolker, rzecz jasna, szybko musiał ustalić, z kim będzie miał do czynienia. Po co to robił? Z jakiego źródła informacji korzystał? Z akt personalnych centrali w Langley? Możliwe, choć mało prawdopodobne.

Nigdy nie podano by tego rodzaju informacji lekarzowi na kontrakcie, luźno tylko związanemu z CIA.

– Panno Cahill, namawiam panią do szczerości, a sam nie jestem szczery.

– Doprawdy?

– Tak. Myślę, że pani tu siedzi i zastanawia się nad tym, jak zdobyłem informacje o pani.

– Prawdę mówiąc, tak.

– Barrie była... cóż, powiedzmy może, że nie była wcieleniem dyskrecji.

Cahill musiała się roześmiać. Przypomniała sobie, jak przeraziła ją niedbale rzucona uwaga przyjaciółki o jej nowej, dorywczej pracy w charakterze kuriera.

– Widzę, że zgadza się pani ze mną – rzekł Tolker.

– Cóż, ja...

– Od kiedy Barrie zgodziła się przewozić materiały dla CIA, stała się zbyt rozmowna. Powiedziała, że to zabawne, bo ma przyjaciółkę, Collette Cahill, która pracuje dla CIA w ambasadzie USA w Budapeszcie. Zaciekawilo mnie to, więc zadałem kilka pytań. Odpowiedziała na wszystkie. Nie chcę powiedzieć, że po prostu paplała na ten temat. Gdyby tak było, zakończyłbym przynajmniej ten aspekt naszej znajomości.

– Rozumiem. Co jeszcze o mnie mówiła?

– Że jest pani piękna, inteligentna i że jest pani najlepszą przyjaciółką, jaką miała w życiu.

– Naprawdę tak powiedziała?

– Tak.

– Pochlebia mi to – rzekła, powstrzymując łzy.

– Chce pani, żebym szczerze powiedział, co myślę o przyczynie jej śmierci?

– Proszę, niech pan mówi.

– Przyjmuję oficjalne orzeczenie po sekcji zwłok, a więc atak serca. Jeśli nie on był powodem zgonu, to zakładam, że towarzysze przeciwnicy postanowili ją wykończyć.

– Rosjanie.

– Albo ktoś taki.

– Nie mogę się z tym zgodzić, nie w dzisiejszych czasach. To nie wojna. Poza tym, cóż takiego mogła Barrie przewozić, że spowodowało to tak drastyczny krok?

Wzruszył ramionami.

– A co wiozła?

– Skąd mogę wiedzieć?

– Myślałam, że pan był jej kontaktem.

– Tak, byłem, ale nigdy nie wiedziałem, co zawiera jej teczka. Dostawałem materiały zapieczętowane i przekazywałem je Barrie.

– Rozumiem, ale...

Tolker pochylił się ku niej. – Proszę posłuchać, panno Cahill. Wydaje mi się, że wykraczamy zbyt daleko poza realną sytuację. Wiem, że jest pani na pełnym etacie w CIA, ale ja – nie. Jestem psychiatrą i z tego żyję, to mój zawód. Kilka lat temu jeden z moich kolegów spytał, czy nie chciałbym zostać lekarzem zatwierdzonym przez CIA. Znaczy to tylko tyle, że jeśli ktoś z Agencji potrzebuje pomocy w mojej specjalności, może bez obawy przyjść do mnie. Są chirurdzy, ginekolodzy-położnicy, kardiolodzy i lekarze wielu innych specjalności, którzy zostali zweryfikowani przez Agencję.

Collette zwróciła ku niemu głowę i spytała: – A bycie kontaktem dla Barrie? To nie wchodzi w zakres pańskiej specjalizacji.

Na jego twarzy pojawił się przyjacielski, uspokajający uśmiech. – Przy jakiejś okazji poproszono mnie, żebym miał oko na każdego, kto spełniałby warunki na kuriera. Barrie je spełniała. Często jeździła za granicę, szczególnie na Węgry, była niezamężna, nie miała żadnych poważnych, mrocznych sekretów, które utrudniłyby weryfikację, lubiła przygody. Doceniała też pieniądze, płacone z ręki do ręki i łatwo zdobywane, na ubrania, meble i inne takie rzeczy. Uważała tę pracę za dobrą zabawę.

Jego ostatnie słowa tak mocno dotknęły Cahill, że aż musiała wziąć głęboki oddech.

– Coś nie tak? – spytał Tolker, zauważywszy ból na jej twarzy.

– Barrie nie żyje. „Dobra zabawa”.

– Ma pani rację. Przepraszam...

– Czy nie czuje się pan... winny, że zwerbował ją pan do czegoś, co spowodowało jej śmierć?

Przez chwilę myślała, że może mu zwilgotnieją oczy. Nie zwilgotniały, lecz w jego głosie zabrzmiała patetyczna nutka. – Często się nad tym zastanawiam. Chciałbym móc wrócić do dnia, w którym zaproponowałem jej przewożenie materiałów dla pani pracodawców, i wycofać tę propozycję – westchnął. Wstał z miejsca i stał wyprostowany, ściskając dłonie, aż palce trzasnęły w stawach. – Ale to niemożliwe, zawsze zresztą powtarzam swoim pacjentom, że zabawa w „co by było gdyby” jest głupotą. To się już stało, Barrie nie żyje i jest mi przykro z tego powodu. Teraz muszę już wyjść.

Odprowadził ją do drzwi gabinetu. Przystanęli i spojrzeli na siebie. – Barrie miała rację – powiedział.

– W czym?

– W tym, że jej przyjaciółka jest piękna.

Spuściła oczy.

– Mam nadzieję, że byłem pomocny.

– Tak, jestem panu wdzięczna.

– Zje pani ze mną kolację?

– Ja...

– Bardzo panią proszę. Na pewno moglibyśmy jeszcze pogadać o Barrie. Teraz czuję się z panią swobodnie. Kiedy pani przyszła, czułem się inaczej; myślałem, że chce pani wywęszyć jakieś plotki, ale niesłusznie. Taka osoba nie byłaby bliską przyjaciółką Barrie.

– Być może – odparła. – A więc zgoda na kolację.

– Jutro wieczorem?

– Dobrze.

– Czy mogłaby pani przyjechać tutaj na siódmą? Mam grupę o szóstej. Po nich jestem wolny.

– Na siódmą? Będę.

Jadąc do domu uświadomiła sobie dwie rzeczy. Po pierwsze, tego wszystkiego, co jej powiedział Tolker, i tak by się dowiedziała. Po drugie, chciała się z nim znowu spotkać. Zaniepokoiła ją ta myśl, bo nie potrafiła skutecznie oddzielić swego ciągłego zainteresowania śmiercią Barrie od fascynacji Tolkerem jako mężczyzną.

– Dobrze się bawiłaś? – spytała matka.

– Tak.

– Zostajesz na jutro w mieście?

– Na kilka dni, mamo. Łatwiej mi będzie załatwiać sprawy. Spotykam się jutro z matką Barrie na *lunchu*.

– Biedaczka. Przekaż jej ode mnie wyrazy współczucia.

– Dobrze.

– Będziesz się widzieć z Vernem?

– Nie wiem. Chyba tak.

– Miło było gościć go wczoraj na kolacji, zupełnie jak za czasów szkolnych, kiedy wciąż tu się kręcił w nadziei, że zostanie zaproszony.

Cahill roześmiała się. – Jest taki miły. Zapomniałam już, jak bardzo miły.

– Widzisz – ciągnęła matka – problem z ładnymi dziewczętami, takimi jak ty, polega na tym, że muszą przebierać i wybierać spośród młodych ludzi, którzy się za nimi uganiają.

Cahill objęła matkę i powiedziała: – Mamo, nie jestem już podlotkiem i nie uganiam się za mną batalion mężczyzn.

Matka odsunęła się o krok do tyłu. Na jej twarzy wykwitł uśmiech. Trzymając Collette na odległość ręki, odparła: – Nie żartuj ze mnie, Collette Cahill. Jestem twoją matką.

– Wiem i jestem za to bardzo wdzięczna. Masz jakieś lody?

– Kupiłam dziś, specjalnie dla ciebie. Rumowe z rodzynkami. Zabrakło im tych o smakach węgierskich.

## ROZDZIAŁ 11

Następnego ranka Cahill pojechała wynajętym samochodem do miasta i zajęła pokój w hotelu „Washington” na rogu Piętnastej i Pennsylvania. Był to przyjemny hotel, choć nie należał do najlepszych w Waszyngtonie. Łączyły się z nim jednak sentymentalne wspomnienia, bo spędziła tu cztery wspaniałe dni czwartolipcowe<sup>7</sup> z przyjaciółmi, którzy dzięki znajomościom zdołali zarezerwować miejsca na tarasie na tę najbardziej urozmaiconą noc w całym roku. Dzięki temu wszyscy mogli oglądać wspaniałe widowiska, jakie jedynie Waszyngton potrafi zorganizować w tę rocznicę narodzin amerykańskiego narodu.

Collette poszła do swego pokoju, powiesiła w szafie zabrane ze sobą ubrania, odświeżyła się i pośpieszyła na pierwsze tego dnia spotkanie, do centrali CIA w Langley w stanie Wirginia.

Osoba, z którą miała się spotkać, była dla niej w okresie szkolenia kimś w rodzaju opiekuna. Hank Fox był szpakowatym, zmizerowanym, zmęczonym życiem weteranem Agencji. Sam miał pięć córek i zajmował się coraz większą liczbą kobiet zatrudnianych przez CIA. Piastował stanowisko koordynatora do spraw szkolenia i metod działania. Nowo zwerbowani często żartowali z niego, nazywając go „księdzem”. Miał w sobie istotnie coś z duchownego – nie biorąc oczywiście pod uwagę piątki jego potomstwa.

Cahill przemknęła drogą przez park obok pomnika George’a Washingtona i dojechała do tablicy z napisem CENTRALNA AGENCJA WYWIADOWCZA. Nie zawsze był tu ten drogowskaz. Jeszcze kilka lat po zbudowaniu siedziby Agencji w końcu lat pięćdziesiątych stał przy szosie jeden tylko znak z napisem: Biuro Dróg Publicznych. Nowy pojawił się po wielokrotnych postulatach Kongresu żądających większej otwartości i jawności działania Agencji. Poza tym niewiele się tu zmieniło.

Skręciła z szosy w drogę wiodącą do dużej działki, na której stały zabudowania CIA. W oddali, oddzielony gęstym lasem, znajdował się modernistyczny, przypominający fortecę obiekt, otoczony wysokim i mocnym ogrodzeniem żelaznym. Collette zatrzymała się, pokazała legitymację dwóm umundurowanym strażnikom i podała cel swojej wizyty. Jeden z nich zatelefonował do kogoś, po czym poinformował ją, że może jechać do następnego punktu kontrolnego. Tam znowu ją sprawdzono, po czym mogła już dojechać do niewielkiego parkingu w pobliżu głównego wejścia.

---

<sup>7</sup> 4 Lipca – rocznica ogłoszenia niepodległości Stanów Zjednoczonych. (*Przyp. tłum.*)

Przy wejściu oczekiwało na nią dwóch młodzieńców atletycznej budowy w granatowych garniturach, z rewolwerami widocznymi pod marynarkami. Mieli krótko przystryżone włosy i nieprzenikniony wyraz twarzy. Nastąpiła kolejna kontrola dokumentów, kiwnięcie głową, po czym jeden z nich przeprowadził Collette przez wejście. Szedł dalej równym krokiem, nieco ją wyprzedzając, aż dotarli do długiego, prostego, pomalowanego na biało tunelu o łukowatym sklepieniu. Podłoga była wysłana wykładziną w kolorze ultramaryny. W tunelu nie było nic oprócz rzucających dziwne cienie świetlików w sklepieniu na całej jego długości. Na samym końcu widać było jasno oświetloną przestrzeń, gdzie dwoje stalowych drzwi do windy odbijało padające na nie światło.

– Cały czas prosto, proszę pani.

Cahill weszła do tunelu. Szła wolno, myślami wracając do czasów, kiedy, jako świeżo zwerbowana, po raz pierwszy zobaczyła ten budynek i po raz pierwszy przeszła tym tunelem. Stąd zaczęło się oprowadzanie po terenie obiektu. Collette zdumiała swoboda przewodnika, młodego człowieka, który, zdaniem Cahill i innych z jej grupy, zachowywał się bardzo nonszalancko, zważywszy złowieszczy wizerunek CIA. Mówił o tym, jak budującej obiekt firmie budowlanej nie powiedziano, ile osób będzie zatrudnionych w budynku i budowlani musieli się tego domyślać z rozmiarów układu grzewczo-klimatyzacyjnego. Układ okazał się niewystarczający i CIA podała przedsiębiorcę do sądu. Oskarżony wygrał sprawę, bo sądowi jego argumenty trafiły do przekonania bardziej niż „bezpieczeństwo narodowe”, na które powoływali się adwokaci Agencji.

Przewodnik powiedział im także, że budowla, wzniesiona kosztem czterdziestu sześciu milionów dolarów, miała pomieścić pod jednym dachem wszystkie wydziały centrali CIA rozrzucone po całym Waszyngtonie i okolicach. Kongres postanowił zgrupować je w jednym miejscu dla uniknięcia rezultatów tego rozproszenia, lecz według słów rozmownego młodziana całe wydziały, które się wprowadziły po ukończeniu budowy, zaczęły się wkrótce wyprowadzać. Kiedy w roku 1968 dowiedział się o tym ówczesny dyrektor, Richard Helms, wpadł we wściekłość i zarządził, że nikt nie ma prawa się ruszyć bez jego osobistego zezwolenia. Jakoś nie odstraszyło to szefów wydziałów, dla których przebywanie pod jednym dachem okazało się nie do zniesienia, a w najlepszym przypadku nudne. Exodus trwał nadal.

Cahill często zastanawiała się, jak kieruje się organizacją, gdzie panuje tego rodzaju dyscyplina, i czy długi język ich młodego przewodnika skrócił jego karierę w Agencji. To nie było FBI<sup>8</sup>, gdzie na porządku dziennym były kontakty ze światem zewnętrznym i

---

<sup>8</sup> FBI (Federal Bureau of Investigation) = Federalne Biuro Śledcze. (*Przyp. tłum.*)



oprowadzanie zwiedzających przez atrakcyjnych młodych mężczyzn i kobiety zatrudnione wyłącznie w tym celu. CIA nie organizowała wycieczek dla ludzi z zewnątrz, a ich przewodnik był z pewnością stałym pracownikiem „Firmy”.

Collette dotarła do końca tunelu, gdzie znowu czekali na nią dwaj młodzi ludzie. – Panna Cahill? – upewnił się jeden z nich.

– Tak.

– Czy mógłbym zobaczyć pani przepustkę?

Pokazała ją.

– Proszę jechać windą. Pan Fox oczekuje pani. – Nacisnął jeden z przycisków i stalowe drzwi otworzyły się szybko i bezszelestnie. Weszła do środka i czekała, aż się zamkną. Wiedziała, że nie ma co szukać przycisku, bo żadnego przycisku nie było. Winda sama wiedziała, dokąd ma jechać.

Kiedy drzwi otworzyły się piętro wyżej, czekał tam na nią Hank Fox. Lat mu wprawdzie przybyło, ale trudno było zauważyć w nim jakieś zmiany, bo zawsze wyglądał staro. Jego pobrużdżona twarz rozciągnęła się w uśmiechu, wyciągnął do niej dwie duże, czerwone, zgrubiałe dłonie. – Collette Cahill, jak miło znów cię widzieć.

– Ciebie też, Hank. Świetnie wyglądasz.

– I świetnie się czuję. W moim wieku albo trzeba dobrze się czuć, albo przynajmniej udawać, że wszystko w porządku. Chodź, czeka na ciebie moja specjalna mieszanka kawy. – Uśmiechnęła się i podążyła za nim szerokim korytarzem, którego białe ściany stanowiły tło dla oprawionych w ramy map dużego formatu.

Cahill zauważyła, że Fox przytył i że jego chód był wolniejszy i bardziej ociężały, niż kiedy ostatnio się widzieli. Jego szary garnitur, którego krój i materiał zdradzał, że został on kupiony w sklepie z ubraniami „Dla wysokich i dobrze zbudowanych mężczyzn” (czytaj: grubasów), wisiał na nim niezgrabnie.

Fox przystanął, otworzył drzwi i puścił Cahill przodem. Wielkie okna jego narożnego biura wychodziły na las. Biurko było zagracone, jak zawsze, a ściany obwieszane zdjęciami, na których widniał Fox w towarzystwie grubych ryb ze świata polityki, z różnych okresów prezydenckich. Największe przedstawiało go ściskającego dłoń uśmiechniętego Harry’ego S. Trumana, na kilka lat przed śmiercią prezydenta. Na biurku stała kolekcja zdjęć żony Foxa i jego dzieci. Stojak na fajki był zapelniony; na przewodach grzewczo-wentylacyjnych biegnących za biurkiem ustawione były na baczność szeregi blaszanych żołnierzyków.

– Kawy? – zapytał.

– Jeśli masz taką dobrą, jak kiedyś.

– Pewnie, że mam. Zmieniło się tylko to, że „dopracowałem się” zbyt szybkiego i nieregularnego tętna. Mój lekarz uważa, że używam za dużo kawy i że powinienem pić bezkofeinową. Poszedłem na kompromis i teraz piję pół na pół: połowa to likier migdałowy z tego specjalnego sklepu z mnóstwem gatunków kawy i herbaty w Georgetown, a druga połowa to kawa bez kofeiny. Nie poczujesz różnicy. – Specjalna kawa Hanka Foxa była znana w Agencji, a zaproszenie na nią oznaczało akceptację i przyjaźń.

– Wspaniała – wykrzyknęła Cahill po pierwszym łyku. – Wciąż jesteś świetny.

– Może w robieniu kawy. Jeśli idzie o inne rzeczy, cóż...

– Zostałeś przeniesiony.

– Tak, właśnie. Kiedy się ostatnio widzieliśmy, miałem swoje biuro w dziale personalnym. Wolałem być tam. Praca tutaj, w „Projektach Różnych”, to zupełnie inny świat. Dyrektor powiedział, że to awans, ale ja już wiem, co to za awans. Pozbywają się mnie powolutku, o co zresztą nie mam pretensji. Jestem już, do diabła, sześćdziesięcioletkiem.

– Młodym sześćdziesięcioletkiem.

– Bzdury! To całe gadanie, że człowiek ma tyle lat, na ile się czuje, to wymysł ludzi bojących się starości. Można czuć się młodo, ale jak się zajrzy do środka, to kości i tętnice powiedzą ci prawdę. – Usiadł w zniszczonym skórzanym fotelu obrotowym, położył nogi na biurku i sięgnął po fajkę. Cahill pozostało tylko wpatrywanie się w podeszwy jego butów, każda ze sporą dziurą. – A więc jedna z moich prymusek wróciła, żeby się zobaczyć ze starzejącym się belfrem. Jak ci idzie?

– Dobrze.

– Joe Breslin powiadomił mnie BiGOD-em, że przyjeżdżasz do kraju. – Fox często używał określeń ze swych wczesnych lat wywiadowczych, mimo że wyszły one już z użycia. Słowo „BiGOD” pochodziło z okresu tajnego planu inwazji Francji w czasie drugiej wojny światowej. Gibraltar był wtedy centrum planowania i wszystkie rozkazy dla oficerów, których tam posyłano, miały pieczęć „do Gib.”, czego odwrotnością był „BiGOD”. Określenie to znalazło szersze zastosowanie; o tajnych operacjach mówiło się, że są bigodowe, a wtajemniczony personel był na liście bigodowej.

– Miał do tego jakiś powód? – spytała Cahill.

– Chciał mnie uprzedzić. Myślałem, żeby zadzwonić do ciebie, ale ty byłaś szybsza. To twój pierwszy wyjazd z Budapesztu?

– Nie. Byłam kilka razy na krótkich urlopiach w krajach europejskich i raz w domu, na pogrzebie mego ulubionego wujaszka, mniej więcej rok temu.

– Wujaszek-pijus?

Roześmiała się. – Mój Boże, ale ty masz pamięć. Nie, Bruce, mój wujek-alkoholik, jest wciąż wśród żywych, mimo przeżartej wątroby i różnych innych rzeczy. Jego obecność w mojej rodzinie omal mnie nie zdyskwalifikowała, prawda?

– Owszem. Ten służbista z weryfikacji personelu wspomniał o tym w czasie postępowania weryfikacyjnego. – Fox beknął, przeprosił i mówił dalej.

– Jeśli posiadanie alkoholika w rodzinie miałyby wykluczać pracę w Agencji, to zostaliby w niej najwyżej tuzin zagorzałych abstynentów, organizujących działalność wywiadowczą dla starej, dobrej Ameryki. – Potrząsnął głową. – Do cholery, przecież tutaj połowa personelu za dużo pije.

Roześmiała się i wypila łyk kawy.

– Chcę cię o coś spytać – powiedział Fox poważnym tonem. Spojrzała na niego i uniosła brwi. – Czy przyjechałaś tu wyłącznie na wypoczynek.

– Oczywiście.

– Pytam, bo wydało mi się dziwne... no, może nie dziwne, ale niecodzienne, żeby Joe użył aż BiGOD-a do uprzedzenia mnie o twoim przyjeździe.

Cahill wzruszyła ramionami. – Och, znasz Joego, Hank, zawsze traktuje mnie po ojcowsku. To było miłe z jego strony. Wie, jak bardzo cię lubię.

– „Lubię”. To miłe słowo dla uszu starego człowieka.

– Starszego pana.

– Dziękuję. Ja też cię lubię i pomyślałem sobie, że cię zapytam na wypadek, gdybyś była oficjalnie w coś zaangażowana i potrzebowała rady rabina z branży.

– Rabin Henry Fox. Wiesz, Hank, jakoś to do ciebie nie pasuje. Książdz, owszem. Czy wciąż cię tak nazywają?

– Dużo rzadziej, od kiedy zostałem przesunięty.

Jego uwaga zdziwiła ją. Sądziła, że został po prostu przeniesiony do innego biura, ale wciąż pracuje na tym samym stanowisku. Zapytała o to.

– Cóż, Collette, wciąż biorę udział w szkoleniu, ale dali mi w opiekę „Termity” i „Larwy”. To projekt „Ośmiornica”.

Cahill uśmiechnęła się. – Nigdy nie wiedziałam – zauważyła – jaka jest różnica między „Termitami” i „Larwami”.

– Tak naprawdę nie ma to znaczenia – odparł Fox. – „Termity” to ludzie z mass mediów, którzy nie popierają komunistów, ale zawsze przyczepią się do czegoś u nas. „Larwy” biorą przykład z „Termitów” i zawsze robią to, co znajduje poklask, a jak wiesz, oznacza to codzienne dokładanie nam, FBI i wszystkim innym organizacjom, które ich

zdaniem stanowią zagrożenie dla praw gwarantowanych przez Pierwszą Poprawkę do Konstytucji. Między nami mówiąc: odbierz im prawo do pisania, co chcą, a odbierzesz temu krajowi jedną z podstawowych wartości, które stanowią jego istotę. W każdym razie mamy ich w komputerze i wprowadzamy wszystko, co napiszą, za i przeciw. – Ziewnął i usiadł wygodniej, założywszy ręce za głowę.

Cahill wiedziała, co Fox miał na myśli mówiąc, że to projekt „Ośmiornica”. Była to nazwa globalnego systemu komputerowego opracowanego w celu tropienia potencjalnych terrorystów. Nazwa ta przyjęła się jako ogólne określenie podobnych projektów opartych na technice komputerowej. Pomyślała o Vernie Wheatleyu. Jest „Larwą”, czy „Termitem”? Wywołało to uśmiech na jej twarzy. Oczywiście nie był ani jednym, ani drugim, jak większość znanych jej dziennikarzy. Wiele osób zatrudnionych w Agencji miało tendencję do stosowania negatywnych określeń dla każdego, kto widział świat inaczej niż oni.

W drodze do Langley zastanawiała się, czy nie powinna być bardziej otwarta wobec Foxa i poruszyć sprawę Barrie Mayer. Wiedziała, że nie byłoby to rzeczą najbardziej wskazaną, przede wszystkim ze względu na zasadę „ograniczonego dostępu do informacji”. Lecz pokusa była silna, a fakt, że Joe Breslin uprzedził Foxa o jej przybyciu, zdawał się uzasadniać większą otwartość. W „Fabryce Korniszonów” było niewiele osób, do których miała zaufanie; Breslin był jednym, Fox – drugim. Błąd! Jedna z zasad mówiła, żeby nie ufać nikomu. A jednak... jak można iść przez życie traktując każdego, z kim się pracuje, jako potencjalnego wroga? Nie można tak żyć. Niezdrowo. W wypadku Barrie Mayer sytuacja była odwrotna. Kto z tych, którym zaufała, obrócił się przeciwko niej? Czy Tolker ma rację, że jej śmierć mogła nastąpić z ręki jakiegoś sowieckiego agenta? Trudno się z tym zgodzić; ale inna zasada wszczepiana z mózg każdego pracownika brzmiała: „Łatwo zapomnieć, że każdego dnia toczymy wojnę z komunistami. Ich celem jest zniszczenie naszego ustroju i naszego kraju, i zawsze należy o tym pamiętać”.

– Wiesz, Collette, o czym właśnie myślałem? – zapytał Fox.

– O czym?

– O dawnych czasach, gdy prezydent Truman tworzył naszą organizację. – Potrząsnął głową. – Dziś nie poznałby jej. Wiesz, że dane mi go było poznać.

Spojrzała na fotografię na ścianie i rzekła: – Pamiętam, mówiłeś o tym na szkoleniu. – O ile sobie przypominała, często o tym mówił.

– To był ktoś. Było to zaraz po tym, jak ci dwaj Portorykańczycy usiłowali go zamordować w pięćdziesiątym. Bardzo się starali, ale spartaczyli robotę, dostali wyroki śmierci; i wtedy, w ostatniej chwili, zjawia się Truman i zmienia te wyroki na dożywocie.

Podziwiałem go za to.

Poza bawieniem się w stolarza, produkcją wina, projektowaniem i wytwarzaniem biżuterii, Hank Fox był znawcą historii, zwłaszcza okresu prezydentury Harry'ego Trumana. W czasie szkolenia oczywiste było, że rola Trumana w utworzeniu CIA w roku 1947 była świadomie gloryfikowana. Cahill nie bardzo rozumiała dlaczego, do czasu, aż Fox to wyjaśnił podczas kolacji z kilkoma jego ulubionymi „nowymi” w tawernie Martina w Georgetown.

Po drugiej wojnie światowej Truman zlikwidował OSS<sup>9</sup>, a uczynił to dlatego, że zdał sobie sprawę, iż w pokojowym, demokratycznym społeczeństwie nie ma miejsca na takie taktyki wojenne jak wojna psychologiczna, polityczna manipulacja i operacje paramilitarne stosowane przez OSS w czasie wojny. Rozumiał jednak potrzebę istnienia organizacji, która koordynowałaby całość informacji wywiadowczych ze wszystkich gałęzi administracji rządowej. Jak sam powiedział: „Gdyby taka organizacja działała w Stanach Zjednoczonych w roku 1941, udany atak Japończyków na Pearl Harbor byłby rzeczą trudną, jeśli nie niemożliwą”.

I tak narodziła się Centralna Agencja Wywiadowcza – dla zbierania, szukania, gromadzenia i analizowania materiałów wywiadowczych, bez angażowania się w żadną inną działalność.

– Jego koncepcja została wypaczona – powiedział do studentów owego wieczora podczas kolacji. – Allen Dulles, który został szefem CIA sześć lat później, uważał, że poglądy Trumana na wywiad były zbyt ograniczone. I wiecie, co zrobił? Wysłał memorandum do senackiego Komitetu Służb Zbrojnych, podważające pogląd Trumana na to, czym miała być CIA.

Fox pokazał studentom kopię tego memorandum:

*Praca wywiadu w okresie pokoju będzie wymagała innych metod, innego personelu i będzie miała raczej odmienne cele... Teraz, gdy demokracja staje twarzą w twarz z komunizmem, musimy uporać się z problemem przeciwstawnych ideologii nie tylko w stosunkach między Związkiem Sowieckim i krajami Zachodu, lecz w wewnętrznych konfliktach politycznych z krajami Europy, Azji i Ameryki Południowej.*

Dulles opracował koncepcję, która miała stać się podstawą prawną dla działalności wywiadowczej i która dała CIA ogromną władzę. Według tej koncepcji „Agencja miałaby

pełnić obowiązki i funkcje inne od tych, jakie Rada Bezpieczeństwa Narodowego zlecałaby od czasu do czasu CIA”. Agencja przestała dzięki temu podlegać kontroli Kongresu. W atmosferze, jaka się wytworzyła, CIA mogła funkcjonować bez żadnej absolutnie kontroli, z obsadzeniem stanowisk i finansowaniem włącznie. Wystarczył podpis dyrektora, aby pieniądze znajdowały się natychmiast; coś, czego Truman nie potrafiłby nawet sobie wyobrazić.

Po tamtej kolacji z Hankiem Foxem Cahill i obecni na niej koledzy dyskutowali na temat jego trochę lekceważącego spojrzenia na Agencję i jej historię. Zobaczyli całą sprawę w innym świetle; dotąd każdy, z kim mieli do czynienia, wydawał się ściśle przestrzegać oficjalnych poglądów; żadnego wolnomyślicielstwa, żadnego pobłażania dla frywolnych czy niedbale rzucanych uwag o treści odmiennej od uświęconej.

– Ostatnio utraciłam bardzo dobrą przyjaciółkę – odezwała się nagle Cahill.

– Współczuję ci. Wypadek?

– Nie ma pewności co do tego. Uznano to za atak serca, ale ona była ledwo po trzydziestce i...

– Pracowała u nas?

Cahill odparła po chwili wahania: – Dorywczó. Była agentką literacką.

Zdjął nogi ze stolika i oparł na nim łokcie. – Barrie Mayer.

– Tak. Wiesz o niej, o tym co się stało?

– Bardzo niewiele. Po jej śmierci plotki poszły w ruch; mówiono, że od czasu do czasu oddawała nam usługi jako kurier.

Cahill milczała.

– Wiedziałaś, że pracuje dla nas?

– Tak.

– Czy przywoziła coś dla ciebie do Budapesztu?

– Nie bezpośrednio, ale tak, przywoziła do Budapesztu.

– Banana Quick.

– Hank, nie jestem tego pewna.

– Pracujesz nad tym ostatnio.

– Tak, zwerbowałam kogoś.

– Słyszałem.

– Naprawdę?

---

<sup>9</sup> OSS – skrót angielski – Biuro Usług Strategicznych. (*Przyp. tłum.*)

– Uhm. Czy wiesz o tym, panno Cahill, czy nie, ale twój węgierski przyjaciel jest tu uważany za najlepszego, jakiego mamy w tej chwili.

Opanowała uśmiech zadowolenia i odparła: – Jest bardzo pomocny.

– To za słabo powiedziane. Śmierć twojej przyjaciółki sprawiła, że wiele osób sięgnęło po krople uspokajające.

– Ze względu na Banana Quick?

– Jasne. To najambitniejsze nasze przedsięwzięcie od czasu Zatoki Świń. Niestety, ma tylko połowę szans tamtego na sukces, a wiesz, czym się okazały „szanse na sukces” wobec fiaska kubańskiego. Harmonogram działań został jednak przyspieszony. To może nastąpić w każdej chwili.

– Hank, nie orientuję się w całości tego przedsięwzięcia. Uzyskuję informacje z mojego źródła i przekazuję je dalej. Jestem tylko śrubką w maszynie, w której działanie owa śrubka nie została wtajemniczona.

– Operacja Servo?

– Słucham?

– Nie słyszałaś o niej?

– Nie.

– Nie szkodzi. Jeszcze jedno dzieło geniusza, których mamy cały batalion. Mam nadzieję, Collette, że śmierć jest rzeczą ostateczną. Bo gdyby nie była, Harry S. Truman przewracałby się w trumnie od dnia, w którym nas opuścił w drugim dniu Bożego Narodzenia w 1972 roku. – Odetchnął głęboko, twarz mu się jakby zapadła, poszarzała. Zaciśnął wargi i powiedział cichym głosem, jakby zabrakło mu energii: – Już nie jest tu dobrze, Collette. W najlepszym razie panuje dezorganizacja i nieefektywność, w najgorszym – zło.

Chciała coś powiedzieć, ale on śpiesznie mówił dalej: – Musisz wybaczyć zmęczonemu staremu zrzedzie. Nie chcę swoim gderaniem przygaszać twego entuzjazmu.

– Proszę cię, Hank, żadnych przeprosin. – Rozejrzała się po biurze. – Czy możemy bezpiecznie rozmawiać?

– Kto to wie?

– Nie przejmujesz się tym?

– Nie.

– Dlaczego?

– To przywilej starości. Mnóstwo rzeczy przestaje mieć znaczenie. Nie zrozum mnie źle, robię swoją robotę. Dostają ode mnie maksimum wysiłku i lojalność. Chcę iść na emeryturę. Kupiliśmy z Janie ładny dom i kawałek ziemi w Zachodniej Wirginii. Jeszcze rok

i przeniesiemy się tam. Dzieciom też idzie dobrze. Kupiliśmy jeszcze jednego psa. To razem trzy. Nasza piątka – Janie, ja i psia trójka potrzebuje Zachodniej Wirginii.

– Hank, to brzmi wspaniale – powiedziała Cahill. – Czy mam już iść?

– A musisz?

– Jestem umówiona na śniadanie w Rosslyn.

– Umówiona. – Uśmiechnął się. – Randka?

– Nie, mam się spotkać z matką Barrie Mayer.

– Jedyne dziecko?

– Tak.

– Ciężka sprawa.

– Tak.

– Chodźmy. Odprowadzę cię. Potrzebuję świeżego powietrza.

Stanęli przy jej wynajętym małym czerwonym aucie. Fox popatrzył na dom, potem na las zasłaniający widok innych budynków. – Rosslyn? Spędziłem tam mnóstwo czasu.

– Naprawdę?

– Uhm. Jedno z centrów komputerowych „Ośmiornicy” przeniosło się do Rosslyn. Ten kompleks jest teraz na pół pusty.

Cahill zaśmiała się na wspomnienie tego, co na ten temat mówił przewodnik grupy zwiedzających. Wspomniała o nim.

– Pamiętam go – rzekł Fox. – Był idiotą, co – jak wszyscy wiemy – nie przeszkadza w dostaniu tu pracy. Był wciąż przedmiotem żartów i szefowi kazano go wyrzucić. Dał mu przez tydzień pięćdziesiąt nagan, a wiesz, co to znaczy. Pięćdziesiąt rocznie powoduje automatyczne zwolnienie. Chłopak naprawdę się załamał. Przyszedł do mnie i błagał, żeby dać mu jeszcze raz szansę. Zrobiło mi się go żal, ale był idiotą. Powiedziałem, że nic nie mogę zrobić i odczepił się. Dziś jest już pewnie milionerem.

– Możliwe. Hank, cudownie było znowu spotkać się z tobą, pomówić o dawnych czasach.

– I ja się cieszę, dziecko, że tu przyszłaś. Zanim odjedziesz, posłuchaj mnie uważnie.

Patrzyła na niego szeroko otwartymi oczyma.

– Bardzo uważaj na siebie. Sprawa Barrie Mayer śmierdzi. Banana Quick też. Będą kłopoty. Uważaj, z kim rozmawiasz, Banana Quick to paskudztwo i wszyscy z tym związani spłyną z brudami do ścieku. – Przyciszył głos. – W Banana Quick jest przeciek.

– Naprawdę?

– I to poważny. Może dlatego twojej przyjaciółki nie ma już wśród nas.



- O nie, Hank, ona by nigdy...
- Nie powiedziałem, że zrobiłaby cokolwiek, ale może za bardzo się zbliżyła do nieodpowiednich ludzi. Rozumiesz?
- Nie, ale mam wrażenie, że nie chodzi ci o uzupełnienie mojej edukacji.
- Zrobiłbym to, Collette, gdybym mógł. Dostałem kopniaka w górę, pamiętasz? „Ograniczony dostęp do informacji”. Niepotrzebny już mi ten dostęp. Uważaj na siebie, lubię cię. I wspomnij Harry’ego Trumana. Skoro mogli załatwić prezydenta Stanów Zjednoczonych, potrafią zrobić to z każdym, nawet z najinteligentniejszymi, pięknymi dziewczynami, takimi jak ty, które chcą dobrze. – Ucałował ją w policzek, odwrócił się i zniknął w budynku.

## ROZDZIAŁ 12

– Miło z pani strony, że pani przysłała – powiedziała pani Mayer do Collette, siedzącej z nią przy stoliku pod oknem u „Aleksandra III” w Rosslyn, tuż za mostem Key Bridge, łączącym Rosslyn z Georgetown. Z tej restauracji na dachu widok na Georgetown i Waszyngton był częściowo zasłonięty przez ostatni z serii wielopiętrowych biurowców i bloków mieszkalnych.

– Jeśli mam być szczerą, pani Mayer, obawiałam się tego spotkania – odparła Collette, przeciągając paznokciem po wykrochmalonej serwecie z białego lnu.

Melissa Mayer położyła dłoń na ręce Collette i rzekła: – Nie powinnaś. To dla mnie tyle znaczy, że jedna z najbliższych przyjaciółek Barrie zadała sobie trud spotkania się ze mną. Ostatnio czułam się bardzo samotna, ale dziś nie.

Jej słowa podniosły Cahill na duchu. Uśmiechnęła się do starszej kobiety nieskazitelnie ubranej w jasnoniebieski kostium z dżerseju, białą bluzkę z koronkowym kołnierzykiem i etolę z norek. Siwe włosy miała szesane do tyłu i ściągnięte w koczek. Cera twarzy wyglądała zdrowo, trochę dzięki fachowo nałożonemu makijażowi. Na szyi miała gruby sznur pereł, w uszach kolczyki z pereł z diamentami. Na powykręcanych przez artretyzm palcach nosiła grube złote pierścionki z diamentami.

– Idąc na spotkanie chciałam tyle pani powiedzieć, ale...

– Collette, naprawdę nie ma wiele do powiedzenia. Zawsze słyszałam, że najsmutniejszą rzeczą jest śmierć dziecka przed jego rodzicami, ale nigdy się nad tym nie zastanowiłam. Teraz wiem, że tak jest. Wierzę jednak w jakiś porządek rzeczy, chociaż nigdy nie jest on doskonały. Dzieci powinny przeżywać swoich rodziców; lecz nie jest to reguła wryta w kamieniu. Rozpaczałam, płakałam, dużo płakałam, ale nadszedł czas, żeby przestać i żyć jakoś dalej.

Cahill potrząsnęła głową. – Zdumiewająca kobieta z pani, pani Mayer.

– Ależ skąd. I proszę mówić do mnie Melissa. Pani Mayer to takie chłodne, tworzy niepotrzebny dystans między nami.

– Racja.

Kelner zapytał, czy ma jeszcze podać drinka. Cahill odmówiła, natomiast pani Mayer zamówiła następny koktajl. Collette zapytała: – Melisso, co stało się Barrie?

Starsza pani zmarszczyła brwi i cofnęła się w fotelu. – Co masz na myśli?

– Czy pani wierzy, że zmarła na atak serca?

– No, cóż, ja... a w co innego mam wierzyć? Tak mi powiedziano.

– Kto pani powiedział?

– Lekarz.

– Jaki lekarz?

– Nasz domowy.

– Czy ją badał, przeprowadził sekcję?

– Nie, ale o ile wiem, otrzymał potwierdzenie od lekarza brytyjskiego. Barrie zmarła w...

– Wiem, w Londynie, ale... ale istnieje pewien powód do kwestionowania orzeczenia, że to był atak serca.

Twarz Mayer stężała. Twardym głosem odparła: – Nie bardzo rozumiem, Collette, do czego zdążasz.

– Ani ja, pani Melisso, ale chciałabym dociec prawdy. Po prostu nie potrafię uwierzyć, że w tak młodym wieku Barrie zmarła na zawał. A pani?

Melissa Mayer sięgnęła do torebki z krokodyłowej skóry, wyjęła długiego papierosa i zapaliła go. Zaciągnęła się z lubością, a potem rzekła: – Wierzę, Collette, że życie obraca się wokół akceptowania rzeczywistości. Barrie nie żyje i ja muszę się z tym pogodzić. Atak serca? I z tym muszę się pogodzić, bo jeśli nie, to będę się zadręczać przez resztę życia. Czy nie możesz tego zrozumieć?

Cahill drgnęła, zdziwiona napięciem w jej głosie. Powiedziała:

– Melisso, proszę mnie źle nie zrozumieć, nie chcę stawiać pytań, które uczyniłyby śmierć Barrie jeszcze bardziej bolesną dla pani. Zdaję sobie sprawę, że stracić przyjaciółkę to nie to samo, co utracić córkę, ale ja też przeżywam udrękę na swój sposób. Dlatego jestem tutaj, żeby zmniejszyć mój ból. Może to egoistyczne, ale tak właśnie jest.

Cahill patrzyła, jak twardy wyraz twarzy starszej kobiety łagodnieje i była to dla niej ulga. Miała coraz silniejsze poczucie winy. Siedzi tu pod fałszywym pozorem z pogrążoną w smutku matką, udając, że jest tylko przyjaciółką, a faktycznie prowadząc śledztwo w imieniu CIA. Ta przekłeta dwoistość, pomyślała. To była sprawa, która w jej pracy najbardziej ją nękała, ta konieczność kłamania, nie mówienia wszystkiego, bycia wszystkim, tylko nie tym, czym się jest naprawdę. Pomyślała, że wszystko opiera się na kłamstwie. To nie był spacer w słońcu; zbyt dużo działo się w cieniu i w tajnych miejscach spotkań; informacje pisane kodem zamiast w normalnym języku angielskim, dziwne nazwy dla przedsięwzięć, ciągle oglądanie się przez ramię, uważanie na swoje słowa i podejrzewanie każdego, z kim się człowiek zetknie.

– Pani Melisso, niech to będzie po prostu przyjemny *lunch* – zaproponowała Cahill. – Niesłusznie postąpiłam wykorzystując to spotkanie dla uspokojenia moich uczuć z powodu śmierci Barrie.

Starsza pani uśmiechnęła się i zapaliła następnego papierosa.

– Barrie zawsze besztła mnie za palenie. Mówiła, że będę przez to żyła dziesięć lat krócej. A teraz siedzę tu, żywa i zdrowa, kurzę jak komin i rozmawiam o mojej uważającej na zdrowie córce, która leży w grobie. – Collette chciała zmienić temat, ale pani Mayer zaprotestowała. – Nie, chcę rozmawiać z tobą o Barrie. Od czasu jej śmierci nie było nikogo, do kogo mogłabym się zwrócić, pomówić otwarcie. Bardzo się cieszę, że jesteś tu i że byłyście sobie bliskie. Wiesz, myślę, że miała zbyt wielu bliskich ludzi. Była bardzo towarzyska, ale... ale przyjaciół nie miała wielu.

Cahill spojrzała na nią pytająco. – Sądziłam, że było odwrotnie. Barrie lubiła się bawić, zawsze pełna życia i radości.

– Myślę, Collette, że było to raczej na pokaz. Widzisz, Barrie borykała się z tyloma sprawami.

– Wiem, że czasem miewała problemy, ale...

Na twarzy Melissy pojawił się uśmiech.

– To było coś więcej, Collette – powiedziała – niż normalne problemy. Boję się, że sama zejdę do grobu obwiniając się za te aspekty jej życia, w których odegrałam jakąś rolę.

Cahill poczuła skrępowanie widząc, że pani Mayer ma wyraźny zamiar mówienia o sekretnych stronach jej współżycia z córką. Ciekawość była jednak równie duża co zakłopotanie, nie uczyniła więc nic, żeby zvekslować rozmowę na inny tor.

Pani Mayer zapytała: – Czy Barrie kiedykolwiek wspominała ci o swoim ojcu?

Cahill zastanowiła się chwilę. – Chyba tak, ale nie pamiętam, w jakim kontekście. Nie, właściwie nie przypominam sobie, żeby coś mówiła na ten temat. – Istotnie, fakt, że w czasie lat ich przyjaźni Barrie Mayer nigdy nie wspominała o ojcu, zastanawiał chwilami Collette. Pamiętała z czasów szkolnych rozmowę z Barrie i kilkoma innymi dziewczętami, o ojcach i ich wpływie na życie córek. Jedynym wkładem w rozmowę ze strony Barrie było kilka sarkastycznych uwag na temat ojców w ogólności. Wieczorem Cahill zapytała ją o ojca i otrzymała krótką odpowiedź. – Nie żyje. – Z tonu Barrie można było wyczuć, że nie chce dalszej rozmowy na ten temat.

Opowiedziała o tym Melissie Mayer, która pokiwała głową i skierowała wzrok na salę restauracyjną, jakby szukając miejsca zaczepienia dla swoich myśli.

– Pani Melisso, nie musimy mówić o tym – odezwała się Cahill.

– Nie, to ja zaczęłam – odparła pani Mayer z uśmiechem. – Ojciec Barrie zmarł, gdy miała dziesięć lat.

– Musiał być jeszcze młody – zauważyła Cahill.

– Tak, był młody... był młody, ale nie odczułyśmy jego braku.

– Nie rozumiem – zdziwiła się Cahill.

– Widzisz, Collette, ojciec Barrie, a mój mąż, był człowiekiem okrutnym i nieludzkim. Wychodząc za niego nie zdawałam sobie z tego sprawy. Byłam bardzo młoda, a on bardzo przystojny. Jego okrucieństwo zaczęło się objawiać po narodzinach Barrie. Nie wiem, czy był zły, że dziecko weszło między nas, czy po prostu miał spaczony charakter, ale był dla niej okrutny, fizycznie i psychicznie.

– To straszne – rzekła Cahill.

– Tak.

– To musiało być okropne i dla pani.

Przez twarz pani Mayer przemknął wyraz bólu. Zagryzła wargi i rzekła: – Straszne było to, że robiłam tak niewiele, żeby go powstrzymać. Bałam się go stracić i wyszukiwałam powody usprawiedliwiające jego zachowanie; wmawiałam sobie, że się zmieni. W rezultacie tylko przedłużałam sprawę. On... my faktycznie zniszczyliśmy Barrie. Żeby nie cierpieć, uciekała w swój mały, prywatny świat. Nie miała wtedy przyjaciół, tak samo w wieku dorosłym – poza tobą, oczywiście, i kilkoma „miłośnikami” – więc stwarzała sobie przyjaciół, wymyślanych, aby dzielili z nią jej prywatny świat, który, Bóg jeden wie, był lepszy od jej prawdziwego życia.

Collette poczuła ucisk w gardle. Wróciła myślami do czasu spędzanego z Barrie, szukając w zachowaniu przyjaciółki oznak, które wskazywałyby na takie dzieciństwo. Ale nic nie przychodziło jej na myśl, poza skłonnością Barrie do zamyślenia się, często w środku ożywionej rozmowy z grupą ludzi. Nie można by jednak nazwać tego dziwnym zachowaniem. Ona sama też tak się niekiedy zachowywała.

Melissa Mayer przerwała tok myśli Cahill:

– Ojciec Barrie odszedł w jej dziewiąte urodziny. Nie wiedziałyśmy, gdzie przebywa. Usłyszałyśmy o nim dopiero po roku, gdy zadzwoniła do nas policja z Florydy. Powiedziano nam, że zmarł na zawał. Nie było nawet pogrzebu, bo ja go sobie nie życzyłam. Został pochowany na Florydzie, nie wiem gdzie. – Westchnęła. – Na pewno jednak przetrwał w pamięci Barrie, a ja nosiłam w sobie winę i wstyd za to, co przeżywała moja córka przez wszystkie te lata. – Jej oczy wypełniły się łzami, które otarła koronkową chusteczką.

Collette poczuła złość na siedzącą naprzeciw niej kobietę, nie tylko za przyznanie się,

że nie zrobiła nic, żeby pomóc córce, ale i za to, że teraz oczekiwała współczucia. Powiedziała sobie jednak zaraz w duchu, że to nie jest fair, i skinęła na kelnera. Zamówiły krem z homarów i sałatę po cesarsku.

Nastrój rozmowy zmienił się zdecydowanie. Melissa chciała, żeby Collette opowiedziała jej o przeżyciach z Barrie, i Collette spełniła jej prośbę, wspominając kilka wydarzeń, które wywołały serdeczny śmiech Melissy.

Po wypiciu drugiego drinka łatwiej jej się śmiać – pomyślała Collette.

Kiedy już zjadły, Cahill zaczęła mówić o mężczyznach w życiu Barrie. Wywołało to uśmiech na twarzy pani Melissy. – Na szczęście doświadczenia z własnym ojcem nie zraziły Barrie do mężczyzn na resztę jej dni. Miała bardzo bujne życie uczuciowe. Ale ty na pewno wiesz więcej na ten temat niż ja. Córki zwykle nie rozmawiają z matkami o tych rzeczach – powiedziała.

Cahill pokręciła głową. – Nie, Barrie nie mówiła mi wiele o mężczyznach w jej życiu, chociaż był jeden, sternik jachtowy z Brytyjskich Wysp Dziewiczych, zajmujący się wynajmem jachtów. – Czekala na reakcję ze strony matki, lecz daremnie. – Eryk Edwards. Nie wiedziała pani o nim?

– Nie. Czy to był jakiś świeży związek?

Cahill potaknęła. – Tak, myślę, że widywała się z nim do dnia swej śmierci. Mówiła mi o swych uczuciach dla niego. Była w nim szaleńczo zakochana.

– Nie, nie słyszałam o nim. Był ten psychiatra, z którym się widywała.

Cahill omal nie wymówiła jego nazwiska, ale ugryzła się w język i zapytała tylko: – Leczyła się u niego?

Matka skrzywiła się. – Tak, przez pewien czas. Byłam bardzo temu przeciwna, temu chodzeniu do obcego człowieka i otwieraniu przed nim duszy.

– Ale – zauważyła Cahill – zważywszy na jej dzieciństwo, to była chyba najlepsza rzecz, jaką mogła uczynić. Czy nie była u żadnego innego lekarza przed kuracją u tego psychiatry? Powiedziała pani, że nazywa się...

– Tolker, Jason Tolker. Nie, nie widziałam takiej potrzeby. Sądzę, że to ja powinnam była poddać się leczeniu, zważywszy na moje cierpienia przez cały tamten czas, ale nie wierzę w psychoterapię. Ludzie powinni umieć sami sobie dawać radę z własnym życiem emocjonalnym, nie sądzisz?

– Chyba tak. Z tego, co mi pani powiedziała, przypuszczam, że Barrie spotykała się z nim także towarzysko.

– Tak, byłam tym przerażona. Wyobraź sobie, chodzić do kogoś takiego przez przeszło

rok i opowiadać mu o swoich najskrytszych tajemnicach, a potem spotykać się z nim. Musiał uważać ją za idiotkę.

Cahill zastanowiła się chwilę i zapytała: – Czy Barrie kochała się w tym psychiatrze?

– Nie wiem.

– Poznała go pani?

– Nie. Barrie kryła się przede mną ze swoim życiem osobistym. Sądzę, że miało to związek z jej dzieciństwem i potrzebą ucieczki od ojca.

– Nie wiem naprawdę nic o innych mężczyznach w życiu Barrie – ciągnęła Cahill – z wyjątkiem chłopców, z którymi chodziła za czasów szkolnych. Jak pani wie, utraciliśmy kontakt ze sobą na pewien czas.

– Tak, był jeszcze ten Dawid Hubler z jej agencji. Myślę, że interesowała się nim.

To była nowina dla Cahill. Zastanowiła się, czy matka się nie myli. Zapytała, czy Barrie spotykała się rzeczywiście z Hublerem.

– O ile wiem, to nie, a swoboda, z jaką przedstawiła go mnie, świadczyłaby o tym, że nie interesował jej jako ewentualny partner. – Nagle wydała się Collette starsza niż na początku lunchu. Powiedziała: – Teraz, gdy Barrie nie żyje, to już przeszłość. Zmarnowane życie. – Wyprostowała się w fotelu, jakby nagle coś sobie uświadomiła. Popatrzyła Cahill prosto w oczy. – Ty naprawdę sądzisz, że Barrie nie zmarła na atak serca?

Cahill wolno potaknęła głową.

– Więc na co? Chcesz powiedzieć, że ktoś ją zabił?

– Nie wiem, pani Melisso. Wiem tylko, że nie mogę pogodzić się z tym, że zmarła z podawanych przez nich powodów.

– Mam nadzieję, Collette, że się mylisz. Wiem, że się mylisz.

– I ja też mam nadzieję. Cieszę się, że mogliśmy zjeść razem *lunch*. Chciałabym pozostać w kontakcie z panią, gdy wrócę do Waszyngtonu.

– Oczywiście. Bardzo mi będzie miło. Przyjdiesz na kolację?

– Tak, z przyjemnością.

Poszły do garażu w podziemiu i stanęły przy cadillaku Melissy Mayer. Cahill spytała:

– Kiedy ostatni raz widziała pani Barrie?

– Wieczorem przed tym wypadkiem. Nocowała u mnie.

– Tak?

– Zjadłyśmy spokojną kolację przed jej wyjazdem w kolejną podróż. Tyle podróżowała; nie wiem, jak udawało się jej zachowywać psychiczną równowagę przy wszystkich tych wyjazdach.

– Tak, jej czas był wypełniony do ostatniej minuty. Czy miała ze sobą u pani swój bagaż?

– Bagaż? Tak, rzeczywiście. Jechała prosto na lotnisko, ale miała zajrzeć po drodze do biura, żeby załatwić jakieś sprawy.

– Co to był za bagaż?

– Normalny, płócienna torba i ładna torebka skórzana przewieszana przez ramię. I, jak zawsze, teczki.

– Dwie?

– Nie, jedna, ta, z którą zawsze jeździła. Kupiłam ją jej na urodziny kilka lat temu.

– Rozumiem. Czy zachowywała się dziwnie tego wieczora u pani w domu? Czy skarżyła się na złe samopoczucie, miała jakieś obawy?

– Ależ skąd. Spędziłyśmy cudowny wieczór. Wyglądało, że była w świetnym nastroju.

Uścisnęły sobie ręce i ruszyły każda w swoim aucie. Z garażu wyjechał równocześnie inny samochód i ruszył za Cahill.

Wróciła do hotelu i zadzwoniła do Dawida Hublera. Umówili się na drinka w „Four Seasons”. Potem zatelefonowała na Brytyjskie Wyspy Dziewicze, uzyskała numer telefonu firmy wynajmu jachtów Eryka Edwardsa i połączyła się z sekretarką, od której się dowiedziała, że pan Edwards wyjechał na kilka dni.

– Rozumiem – rzekła Cahill. – Jak pani sądzi, kiedy wróci? Dzwonię z Waszyngtonu i...

– Pan Edwards jest w Waszyngtonie – odparła młoda kobieta. W jej głosie wyczuwało się lokalny akcent.

– To wspaniale. Gdzie się zatrzymał?

– W hotelu „Watergate”.

– Dziękuję pani, bardzo dziękuję.

– Przepraszam, madam, jak pani nazwisko?

– Collette Cahill. Byłam przyjaciółką Barrie Mayer. – Odczekała chwilę. Jej nazwisko wyraźnie nic nie mówiło dziewczynie.

Odwiesiła słuchawkę, zadzwoniła do hotelu „Watergate” i spytała o numer pokoju pana Edwardsa. Nie było odpowiedzi. – Czy chciałaby pani zostawić wiadomość?

– Nie, dziękuję. Zadzwonię później.



## ROZDZIAŁ 13

Cahill siedziała w wytwornym hallu hotelu „Four Seasons” w Georgetown czekając na Dawida Hublera. Stłumione dźwięki granych przez pianistę lekkich utworów muzyki klasycznej stapały się z przyciszonymi rozmowami przy luźno ustawionych stolikach.

Cahill patrzyła na twarze siedzących przy stolikach dobrze ubranych mężczyzn i kobiet. Były to twarze ludzi mających władzę i pieniądze. Ciemne garnitury, futra, wyglansowane obuwie, skąpe gesty i wygodna pozycja w fotelu. Należą do klanu. Jedni ludzie należą, a inni nie, i ta różnica nigdzie bardziej nie rzuca się w oczy niż w Waszyngtonie.

Czy ludzie wokół niej działają w polityce i w rządzie? Panuje obiegowa opinia, że wszyscy waszyngtończycy pracują w agendach rządowych, tej podstawowej gałęzi miejscowego „przemysłu”. W latach szkolnych wydawało się jej, że każdy potencjalny kandydat na męża pracuje w jakiejś agencji, dla jakiegoś kongresmena lub w jakimś Komitecie zajmującym się działalnością polityczną, i że każda rozmowa zawsze kończy się na polityce. W pewnym momencie zaczęło ją to nudzić i skłoniło do poważnego rozważania możliwości przeniesienia się na inną uczelnię w innej części kraju. Nie uczyniła tego – i sama wyładowała w instytucji rządowej. Co będzie, jeżeli? Idiotyczna zabawa. Rzeczywistość jej, Collette Cahill, to praca dla Centralnej Agencji Wywiadowczej, to utrata przyjaciółki i próba ustalenia tu, w Waszyngtonie, dla siebie samej i dla swego pracodawcy, co faktycznie stało się z jej przyjaciółką.

Czekając na Hublera uświadomiła sobie, że zapomniała o tym drugim powodzie jej obecności tutaj – w najlepszym razie ignorowała go.

Oficjalne polecenie wzięcia „urlopu” i wykorzystania go „nieoficjalnie” dla dowiedzenia się czegoś więcej o śmierci Barrie Mayer zostało jej przekazane w sposób tak zdawkowy, jakby to, co ona ustali, nie miało w gruncie rzeczy większego znaczenia. Wiedziała jednak, że tak nie jest. Wszelkie fakty, mające coś wspólnego ze śmiercią Mayer, wiązały się z Banana Quick, najważniejszą chyba i najbardziej ambitną tajną operacją podjętą kiedykolwiek przez „Firmę”. Fakty, że śmierć Mayer kompromitowała w pewien sposób „Firmę”, a realizacja owej operacji została przyspieszona, spowodowały, że sprawa nabrała pilności – i Cahill odczuła teraz tę pilność.

Pochłonięta myślami o wydarzeniach ostatnich kilku tygodni, a zwłaszcza o tym, co usłyszała od węgierskiego agenta Árpáda i od Hanka Foxa o przecieku w Banana Quick,

straciła rachubę czasu i zapomniała, gdzie się znajduje.

Tolker? Hegedüs wspomniał, że człowiek ten mógłby być „przyjaźnie nastawiony” do drugiej strony. Ale jakie informacje mógł Tolker posiadać na temat Banana Quick, że aż zagrażały całemu projektowi? A jeśli miał takie informacje, to z jakiego źródła?

Barrie Mayer? Było to jedyne źródło mające w oczach Collette cechy prawdopodobieństwa, ale wówczas powstawało inne pytanie – skąd Mayer mogła się dowiedzieć dostatecznie dużo o projekcie?

Eryk Edwards? Możliwe. Byli kochankami, Eryk pracował dla CIA i mieszkał na Brytyjskich Wyspach Dziewiczych.

Jeśli Mayer została zamordowana, bo to, co przewoziła, miało związek z Banana Quick, to kto mógł najwięcej na tym zyskać? Sowieci czy ktoś pracujący dla CIA, albo w CIA, i mający coś do ukrycia?

Spojrzała na zegarek. Hubler spóźniał się już pół godziny. Zamówiła białe wino i powiedziała kelnerce, że idzie zatelefonować. Wykręciła numer agencji Barrie. – Miałam się spotkać z Dawidem w „Four Seasons” pół godziny temu – powiedziała do Marcii St. John, która odebrała telefon.

– Nie wiem, gdzie jest Dawid – odparła St. John. – Wiem, że miał się spotkać z panią, ale zaraz po waszej rozmowie ktoś inny do niego zatelefonował i Dawid wypadł stąd jak olimpijski sprinter.

– Nie powiedział dokąd idzie?

– Niestety, nie.

– No cóż, poczekam jeszcze pół godziny. Jeśli nie przyjdzie, a pokaże się u was, proszę mu powiedzieć, żeby zadzwonił do mnie, do hotelu „Washington”.

– Dobrze, powiem.

\* \* \*

W czasie, gdy Collette wróciła do stolika w „Four Seasons” i spokojnie popijała wino, Dawid Hubler zaparkował swój samochód obok hydrantu w Rosslyn, wysiadł, zamknął drzwi i popatrzył na ulicę. Musiał zmrużyć oczy, a potem zrobić nad nimi daszek z dłoni, bo oślepiły go kłujące promienie jaskrawego słońca zachodzącego na końcu ruchliwej ulicy. Gęsta, brudnawa mgiełka unosząca się w powietrzu wzmagiała jeszcze ten efekt oślepienia. Wymówił na głos adres podany mu w rozmowie telefonicznej, po której tak nagle wybiegł z

biura, mimo że był umówiony z Collette. Sprawdził godzinę na zegarku; przybył dziesięć minut za wcześnie. Po światłach ulicznych na rogu ulicy zorientował się, że od wyznaczonego miejsca, w alei między dwoma bliżej nieokreślonymi biurowcami, dzieli go jeszcze pół bloku.

Minęła go grupa nastolatków. Jeden z nich miał ze sobą przenośny radiomagnetofon, z którego grzmiał rock-and-roll. Hubler patrzył, jak się oddalają, potem odwrócił się i ruszył w kierunku rogu ulicy. Chodnik pełen był ludzi spieszących z pracy do domu. Wpadł na jedną z kobiet, przeprosił, ominął całującą się parę młodych i dotarł do rogu. – Ale ruch – mruknął do siebie. Skręcił w lewo i doszedłszy do połowy bloku znalazł się u wejścia w alejkę. I tu słońce zaświeciło mu prosto w oczy, gdy spróbował zapuścić w nią wzrok. Przekrzywił głowę, opuścił oczy w dół i przeszedł kilka kroków wąską uliczką dla pieszych, która była, albo wydawała się, pusta. Stalowe drzwi tylnych wejść do lokali biurowych były pozamykane. Tu i ówdzie leżały śmieci porządnie zapakowane w worki. Dwa motocykle i rower były przymocowane łańcuchami do przewodu wentylacyjnego.

Hubler szedł dalej, szukając wzrokiem na ścianie z lewej strony dużej czerwonej tablicy z napisem „NIE PARKOWAĆ”. Znalazł ją w połowie alejki, nad małą zatoczką betonową. Pod tablicą była wąska rampa załadownicza z rolkowymi drzwiami z falistej blachy. Wielkie bębny, prawdopodobnie z chemikaliami czy innymi produktami przemysłowymi, były ustawione po pięć w rzędzie i po trzy jeden na drugim, tworząc „kieszonki” niewidoczną z ulic po obu stronach.

Znowu spojrzał na zegarek. Już czas. Obszedł bębny i ruszył ku rampie załadowniczej, oparł o nią ręce i zaczął nasłuchiwać. W alejce było cicho; odległe odgłosy klaksonów na ulicach, dźwięki sygnałów dla niewidomych na przejściach dla pieszych i ożywione rozmowy ludzi z ulgą wychodzących z pracy ledwie tu docierały.

– Punktualnie – odezwał się męski głos.

Z rękami wciąż na rampie Hubler podniósł głowę i zwrócił ją w kierunku, z którego dobiegł go głos. Żrenice jego oczu zwęziły się pod wpływem ostrego światła słonecznego zalewającego alejkę. Mężczyzna, który przemówił do niego, zrobił trzy kroki w przód i gwałtownym ruchem wysunął prawą rękę ku klatce piersiowej Hublera. Sześciocalowa końcówka szpikulca, cienka i ostra jak igła, łatwo przebiła skórę i mięśnie, i wbiła się w serce Hublera – tylko rączka przeszkodziła w przebiciu go na wskroś.

Hubler otworzył szeroko usta i wytrzeszczył oczy. Na jego koszuli pojawiła się czerwona plama. Mężczyzna wyciągnął narzędzie i nachylił się nad twarzą Hublera przyglądając się, jak malarz oceniający mocne pociągnięcie czerwoną farbą po płótnie, rezultatowi swego dzieła. Kolana Hublera ugięły się i jego ciało osunęło się na ziemię.

Morderca śpiesznie przyklęknął przy nim, wyjął portfel z kieszeni jego spodni i wsunął go do kieszeni swego ciemnego płaszcza deszczowego. Wstał, obrzucił wzrokiem oba końce alejki i ruszył pod słońce, już mocno chylące się ku zachodowi.

\* \* \*

Gdy Hubler nie przybywał, Cahill zapłaciła za drinka i wróciła do hotelu. Zastała tam dwie wiadomości, od Verna Wheatleya i od brytyjskiego agenta literackiego, Marka Hotchkissa. Zadzwoiła do mieszkania Dawida Hublera, ale nikt nie odpowiadał. Hotchkiss zawiadamił, że zatrzymał się w odrestaurowanym hotelu Willarda. Zatelefonowała do niego, ale też bez skutku. Dodzwoniła się natomiast do Verna Wheatleya w mieszkaniu jego brata na Dupont Circle.

– Co słychać?

– Nic specjalnego. Może miałybyś czas zjeść ze mną kolację?

– Niestety nie, Vern, a chciałabym.

– Może jutro?

– To mi odpowiada. Jak tam praca zlecona?

– Idzie mi wolno, ale to normalne. Zmuszanie biurokratów, żeby powiedzieli coś konkretnego, przypomina prośbę zatrzaśnięcia drzwi obrotowych. Zadzwonię do ciebie jutro po południu i umówimy się.

– Świetnie.

– Hej, Collette?

– Co?

– Masz dziś randkę?

– Nie powiedziałabym, chyba że randką nazywasz kolację z mężczyzną. Interesy.

– Myślałem, że przyjechałaś do domu na odpoczynek.

– Trochę odpoczynku, trochę interesów. Nic poważnego. Pomówimy jutro.

Odłożyła słuchawkę i skarciła się w myślach za uwagę o interesach. Gdy rozebrawszy się weszła pod prysznic, zapragnęła, aby naprawdę były to wakacje. Może uda się jej urwać gdzieś na tydzień, jak skończy pracować nad sprawą śmierci Barrie. To byłoby świetnie.

Po prysznicu stanęła naga przed lustrem i obejrzała się od stóp do głów. Żadnego chleba, tylko sałatki – powiedziała do swego odbicia, podszczypując talię. Nie miała nadwagi, ale zawsze jej to groziło w razie popuszczenia sobie w jedzeniu.

Wybrała jedną z dwóch zabranych ze sobą sukienek, fiołkowo różową, którą sama zrobiła na drutach w Budapeszcie. Włosy jej urosły i zastanawiała się, czy jej z tym do twarzy. W tej chwili zresztą nie było to ważne; nie miała zamiaru iść tego wieczoru do fryzjera. Włożyła brązowe buty na płaskim obcasie, prosty, złoty łańcuszek i maleńkie kolczyki, prezent od Joego Breslina w pierwszą rocznicę jej przybycia do Budapesztu. Chwyciła torebkę i płaszcz, zeszła do hallu i poprosiła portiera o sprowadzenie taksówki. Nie była w nastroju do jazdy samochodem i szukania miejsca na zaparkowanie.

Zaczęło padać i powietrze zrobiło się chłodne. Była to wina przechodzącego przez Waszyngton frontu atmosferycznego. Portier trzymał nad nią, gdy wsiadała do taksówki, ogromny parasol. Podała kierowcy adres Jasona Tolкера i w kilka minut później weszła do poczekalni. Była szósta czterdzieści pięć i sesja grupowa u Tolкера jeszcze trwała.

Piętnaście minut później uczestnicy sesji przeszli obok Collette. Za chwilę zjawił się Tolker i powiedział z uśmiechem: – Dziś uduchowiona grupa. Trzeba było ich widzieć, jak spierają się ze sobą o drobiazgi i starają się zrozumieć, czemu nie potrafią się porozumieć z kolegami i małżonkami.

– Czy wiedzą, że z pana taki cynik?

– Mam nadzieję, że nie. Głodna?

– Niespecjalnie. Poza tym przybyło mi kilka kilogramów i nie chciałabym, żeby przybyło ich więcej dziś wieczorem.

Obrzucił ją spojrzeniem od stóp do głów. – Jeśli o mnie chodzi, wygląda pani świetnie.

– Dziękuję. – Nie traci czasu, pomyślała. Nigdy nie reagowała na mężczyzn zaczynających w ten sposób; uważała, że na ogół są niedojrzali i brak im pewności siebie. Przemknął jej przez myśl Vern Wheatley i pożałowała, że przyjęła zaproszenie Tolкера na kolację. Obowiązek! powiedziała sobie, uśmiechnęła się i spytała, którą restaurację Tolker proponuje.

– Najlepszą w mieście. U mnie.

– O, chwileczkę, doktorze, ja...

Przekrzywił głowę i powiedział poważnym tonem: – Ocenia mnie pani stereotypowo, panno Cahill, zakładając, że skoro proponuję kolację u mnie, to po niej musi nastąpić scena uwodzenia.

– Przeszło mi to przez głowę.

– Szczerze mówiąc i mnie też, ale jeśli zgodzi się pani zjeść kolację u mnie w domu, to przyrzekam, że nawet gdyby zmieniła pani zdanie, ja nie zrobię pierwszego kroku. Odwiozę panią zaraz po kawie i koniaku. Czy tak będzie w porządku?

– W porządku. Jakie menu?

– Steki i sałata. Jak zrezygnuje pani z przyprawiania sałaty olejem, to straci pani kilo, a może dwa.

Wsiedli do zaparkowanego pod domem jaguara w kolorze szampana. Cahill nigdy nie jechała jaguarem, więc z przyjemnością dotykała skóry siedzeń i wciągała ich zapach. Tolker sprawnie przejechał przez Foggy Bottom, skręcił w Wisconsin Avenue, minął waszyngtońską katedrę i małymi uliczkami dojechał do dzielnicy drogich willi stojących z dala od drogi. Przejechał topolową aleją i zatrzymał się na kolistym zwirowym podjeździe przed dużym kamiennym domem z półokrągłym, pięknie ozdobionym portykiem. Światło w pokojach frontowych sączyło się miękkim, żółtym blaskiem przez zaciągnięte zasłony okien.

Tolker wysiadł i otworzył przed Collette drzwi samochodu. Poszła za nim do drzwi frontowych. Przycisnął brzęczyk domofonu. Kto może być w środku, zastanawiała się. W otwartych drzwiach pojawił się młody Chińczyk w dżinsach, granatowej koszulce z krótkimi rękawami i białych tenisówkach, witając ich ukłonem.

– Collette. To Joel. Pracuje u mnie.

– Witaj, Joel – powiedziała i weszła do dużego przedpokoju. Z lewej strony był pokój wyglądający na gabinet, z prawej jadalnia oświetlona elektrycznymi kandelabrami.

– Chodźmy – rzekł Tolker idąc przodem przez hall do *living roomu*. Przez okna od sufitu do podłogi widać było japoński ogród oświetlony reflektorami i otoczony wysokim murem z cegły.

– Jaki śliczny – powiedziała Cahill.

– Dziękuję, mnie też się podoba. Drinka?

– Tylko mineralną, jeśli można.

Tolker powiedział Joelowi, żeby przyniósł mu kieliszek białego wina z kropelką soku z czarnych porzeczek. Gdy Joel wyszedł, odezwał się do Cahill: – Studiuje na uniwersytecie waszyngtońskim. Daję mu pokój i utrzymanie za pomoc w domu. Jest dobrym kucharzem. Od rana marynował steki.

Cahill podeszła do półek z książkami i zaczęła odczytywać tytuły. Miała wrażenie, że wszystkie traktują o zachowaniu się człowieka. – Godna uwagi kolekcja – zauważyła.

– Przeważnie popularna szmira, ale chcę mieć wszystko z tej dziedziny. Mam naturę kolekcjonera. – Stanąwszy przy niej ciągnął. – Od lat wydawcy nalegają, żebym sam coś napisał. Mówiąc szczerze nie wyobrażam sobie, abym mógł poświęcić aż tyle czasu na cokolwiek.

– Książka. Wyobrażam sobie, że jej napisanie polepszyłoby pańskie samopoczucie; nie

żeby pan...

Roześmiał się i dokończył za nią: – Nie żebym tego potrzebował.

Zaśmiała się także i rzekła: – Wyczuwam, doktorze, że nie brakuje panu poczucia własnej wartości.

– To zdrowo mieć silne *ego*. Ludzie pozbawieni go nie funkcjonują najlepiej w społeczeństwie. Usiądźmy, proszę. Chciałbym dowiedzieć się czegoś więcej o pani.

Pomyślała, że to ona chciałaby dowiedzieć się czegoś tego wieczoru. Usiadła na wdzięcznej kanapce w stylu Ludwika XV, wybitej grubą tkaniną w kolorze krwistej czerwieni, a Tolker na podobnej kanapce naprzeciw niej, za stolikiem obitym skórą. Joel postawił przed nimi drinki, a Tolker powiedział do niego: – Joel, obiad za godzinę. – Chłopak spojrzał pytająco na Cahill, a gdy skinęła przyzwalająco głową, wyszedł. Tolker podniósł kieliszek mówiąc: – Za kolację z piękną kobietą.

– Nie mogę wypić takiego toastu, ale nie będę się spierać.

– Jak widzę, i pani ma zdrowe *ego*.

– Odmienne od pańskiego, doktorze. Ja nigdy nie wznosiłabym toastu za siebie, a pan tak.

– Ale nie zrobiłem tego.

– Nie poczułabym się obrażona, gdyby pan to zrobił.

– Niech będzie. Za piękną kobietę i za przystojnego, świetnego w interesach, inteligentnego i szalenie taktownego dżentelmena.

Musiała się roześmiać. Wstał, puścił taśmę, która napełniła pokój spokojnymi dźwiękami nowoczesnego jazzu granego przez jakieś trio, po czym wrócił na swoje miejsce.

– Po pierwsze, może będzie pani mówić do mnie „Jason” zamiast „doktorze”? – zaproponował.

– Zgoda.

– Po drugie, proszę mi opowiedzieć o swoim życiu i pracy w Budapeszcie.

– Jestem na urlopie – odparła.

– Mówi pani jak prawdziwy pracownik „Firmy”.

– Myślę, że nie powinniśmy w ogóle rozmawiać na te tematy.

– Czemu? Czy to panią denerwuje?

– Nie, po prostu są pewne zasady.

– Zasady. Ja się nimi nie kieruję.

– To pańska wola.

– A pani wola stosować się dokładnie do każdego przecinka i kropki... Collette, nie

siłę się na bezczelność, uważam tylko za rzecz zadziwiającą, cudowną i diabelnie ironiczną, że pani, Barrie i ja jesteśmy związani tak niecodzienną więzią. Niech pani o tym pomyśli. Wy obie, pani i najlepsza przyjaciółka, pracujecie dla wiodącej organizacji szpiegowskiej naszego kraju; pani z poczucia patriotyzmu, czy potrzeby pracy dającej pieniądze i trochę podniety, Barrie – z powodu bliskich stosunków ze mną. Ja zaś, jak już powiedziałem, byłem raz czy dwa konsultantem Agencji. Rzecz godna uwagi, jak się nad tym zastanowić. Większość ludzi przechodzi przez życie nie odróżniając CIA od Audubon Society i nie spotkawszy nigdy kogoś, kto pracuje dla Agencji.

– Mały świat – zauważyła.

– W naszym wypadku okazał się mały, nieprawdaż?

Usadowił się wygodniej na swojej kanapce, założył nogę na nogę i spytał. – Jak dobrze znała pani Barrie?

– Byłyśmy dobrymi przyjaciółkami.

– Wiem, ale jak dobrze znała ją pani, naprawdę znała?

Cahill pomyślała o rozmowie przy śniadaniu z matką Mayer i uświadomiła sobie, że wcale nie znała dobrze swojej przyjaciółki. Powiedziała Tolkerowi o śniadaniu.

– Miała większe zaburzenia, niż pani sądzi.

– W jakim sensie?

– Tym, co nazywamy zespołem zaburzeń w dziedzinie mitów i wierzeń.

– To znaczy co?

– To znaczy, że kierowała się w życiu szeregiem powodujących kłopoty wierzeń wywodzących się z mitów okresu dzieciństwa, nie związanych z normalnymi wzorcami dzieciństwa.

– A jej ojciec?

– Czy jej matka powiedziała pani o tym?

– Tak.

Uśmiechnął się. – Czy powiedziała też o swojej roli w tej sprawie?

– Mówiła, że czuje się winna, ponieważ nie umiała temu zapobiec. Była ze mną bardzo szczerą. Powiedziała, że bała się stracić męża.

Znów się uśmiechnął. – Ona kłamie. Większość problemów Barrie w wieku dorosłym była spowodowana przez jej matkę, a nie ojca.

Cahill zmarszczyła brwi.

– To okropna baba. Niech mi pani wierzy.

– Powtarza to pan za Barrie. Nigdy nie poznał pan jej matki.



– To prawda, ale Barrie była dostatecznie dobrym źródłem. Chciałbym poradzić pani, Collette, aby pani starannie dobierała ludzi z życia Barrie, do których zwraca się o informacje.

– Nie zbieram informacji.

– Powiedziała pani, że chciałyby ustalić, co się z nią działo przed samą jej śmiercią.

– Tak, ale nie nazwałabym tego „zbieraniem informacji”. Po prostu powoduje mnie ciekawość.

– Jak pani sobie życzy. Jeszcze wody mineralnej?

– Nie, dziękuję. Pan oczywiście nie wpisuje siebie na listę osób, do których nie powinnam się zwracać.

– Jasne, że nie. Byłem jej najlepszym przyjacielem... oczywiście poza panią.

– Byliście też kochankami.

– Skoro tak pani mówi. Barrie nie miała trudności z przyciąganiem mężczyzn do siebie.

– Była piękna.

– Tak. Jej problemem było, że nie potrafiła odróżnić dobrych od złych. Wybierała okropnych mężczyzn, przez co samą siebie niszczyła.

– Z wyjątkiem pana.

– Znowu pani trafiła.

– A Eryk Edwards?

– Zastanawiałem się, czy pani wie o tym jej super męskim kapitanie jachtowym.

– Wiem o nim dużo – odparła Cahill. – Barrie bardzo go kochała i dużo o nim mówiła.

– Przepraszam, muszę się napić. – Wrócił po kilku minutach. – Joel smaży już steki.

Pokażę pani dom przed kolacją.

Dom był niezwyklej, kolekcja pokoi z różnych epok, każdy urządony w innym stylu. Pokój sypialny gospodarza składał się z trzech pomieszczeń i był ogromny, urządony nowocześnie w odróżnieniu od pozostałych pokoi w stylu wczesno amerykańskim. Gruby dywan był biały, biała też była narzuta na ogromnym okrągłym łożu ustawionym w środku pokoju niby jakaś rzeźba. Reflektory umieszczone w suficie kierowały na nie całą uwagę. Na jednej ścianie był ogromny ekran telewizyjny i najnowocześniejszy sprzęt audio. Jedynymi meblami poza czarno lakierowanym nocnym stolikiem, z wbudowanym sterowaniem tym sprzętem, były czarne skórzane fotele dyrektorskie rozstawione po pokoju. Nie było w nim śladu rozrzuconych części garderoby, obuwia czy choćby czasopism.

– Inny, prawda?

– Tak, inny od reszty domu. – Wyobraziła sobie Barrie Mayer z nim w tym łóżku.  
– Moje mieszkanie w Nowym Jorku też jest inne. Lubię rzeczy nietuzinkowe.  
– Myślę, że wszyscy lubimy – skwitowała jego słowa wychodząc z pokoju niemal biegiem.

Kolacja przeszła miło, z dobrym jedzeniem i przyjemną rozmową. Oboje unikali mówienia o Barrie Mayer. Tolker opowiadał o swoich zbiorach, zwłaszcza win. Po kolacji zaprowadził Cahill do piwnicy, gdzie w pomieszczeniu z kontrolowaną temperaturą były ustawione tysiące butelek.

Wrócili na górę i weszli do jego gabinetu, który przypominał tradycyjną angielską bibliotekę, z trzema ścianami zajętymi przez książki, elegancką boazerią, dywanem w ciepłych, stonowanych barwach, ciężkimi starymi meblami i kręgami łagodnego światła tworzonego przez lampy ustawione na podłodze przy długiej skórzanej kanapie i skórzanych fotelach. Tolker polecił Joelowi, żeby przyniósł im butelkę koniaku, a potem powiedział, że tej nocy nie będzie go więcej potrzebował. Cahill ucieszyła się, że młody Chińczyk pójdzie już sobie. Było coś niepokojącego w jego obecności i jego stosunku do Tolкера. Ani razu przez cały wieczór nie uśmiechnął się, a gdy patrzył na Tolкера, Cahill widziała głęboki gniew w jego oczach. Na nią, jak wyczuła, patrzył raczej z niechęcią.

– Jest wciąż zamyślony i raczej milczący, prawda? – zauważyła, gdy Tolker nalewał drinki.

Zaśmiał się. – Uhm. To tak, jakby za jedno pieniądze miało się służącego i psa obronnego.

Siedzieli na kanapie popijając z kieliszków. – Czy naprawdę uważa się pani za nie dość szczupłą? – spytał Tolker.

Cahill, wpatrująca się w ciemny, migocący płyn, podniosła na niego wzrok i odparła: – Wiem, że mogę przybrać niepotrzebnie na wadze, jeśli nie będę uważać; kocham jeść i nienawidzę przestrzegania diety. Marna kombinacja.

– Próbowала pani kiedyś hipnozy?

– Nie. Och, kłamię, raz, w szkole. Razem z Barrie.

Był to wieczorek organizacji studenckiej. Któryś z chłopców pochwalił się, że potrafi hipnotyzować, i wszyscy po kolei prosili, żeby wypróbował na nich swoje umiejętności. Cahill była przeciw. Słyszała, jak ludzie bywali nakłaniani przez hipnotyzera do głupiego zachowania się. Oznaczało to rezygnację z panowania nad sobą, a tego nie lubiła.

Mayer natomiast odniosła się do propozycji entuzjastycznie i przekonała Cahill, żeby też spróbowała. W końcu zgodziła się. Usiadły obok siebie na tapczanie i młody człowiek

zaczął machać im przed oczyma pierścieniem na nitce. Gdy mówił, że zaczną czuć senność i odprężenie, Cahill uświadomiła sobie dwie rzeczy: nie czuła się wcale senna i cała sytuacja wydawała jej się zabawna. Mayer natomiast osunęła się na tapczan i zaczęła chrapać. Cahill odwróciła oczy od pierścienia i spojrzała na przyjaciółkę. Hipnotyzer zrozumiał, że z Cahill nie będzie miał pożytku, toteż skoncentrował się na Mayer. Po kilku minutach uspokajającego gadania zasugerował Mayer, że jej ręce są przywiązane do baloników z helem i że uniosą się w powietrze. Cahill patrzyła, jak ręce Mayer zaczęły drgać, a potem wolno uniosły się ku sufitowi i utrzymywały się podniesione przez dłuższą chwilę. Inni zebrani w pokoju obserwowali z napięciem tę scenę. Siedzieli w milczeniu, ciszę przerywał tylko głos hipnotyzera.

– Będę liczyć od jednego do pięciu – powiedział. – Jak powiem „pięć”, obudzisz się, będziesz się czuć świetnie i nie będziesz niczego pamiętała z ostatnich kilku minut. Potem ktoś powie do ciebie – „Balony są piękne”. Gdy to usłyszysz, poczujesz, że ręce robią się znów lekkie i znów wzniosą się w powietrze. Nie będziesz starała się temu przeciwdziałać, bo będzie to przyjemne uczucie. Gotowa? Jeden – dwa – trzy – cztery – pięć.

Mayer otworzyła oczy mrugając powiekami. Uświadomiwszy sobie, że ręce ma uniesione w górę, opuściła je i powiedziała: – Czuję się tak dobrze, bardzo wypoczęta.

Wszyscy zaczęli klaskać i baryłka z piwem znowu stała się ośrodkiem uwagi.

Po dwudziestu minutach przyjaciel hipnotyzera powiedział na jego prośbę do Mayer: – Balony są piękne. – Pozostali goście wiedzieli, że coś będzie się działo i patrzyli na Barrie Mayer. Dziewczyna ziewnęła, na jej twarzy pojawił się uśmiech zadowolenia i ręce powędrowały w górę, w kierunku sufitu.

– Czemu to robisz? – ktoś zapytał głośno.

– Nie wiem. Bo to tak... przyjemnie.

Hipnotyzer nakazał jej, żeby opuściła ręce. – Nie – upierała się. – Nie chcę.

Szybko ją znowu zahipnotyzował, następnie powiedział, że ręce ma normalne i że nie było żadnych balonów wypełnionych helem. Policzył do pięciu, Barrie potrząsnęła głową. I na tym się skończyło.

Później, gdy obie siedziały pijąc kawę w nocnym barku, Collette odezwała się: – Ale z ciebie oszukaniec.

– Co takiego?

– Ta hipnoza i to, że twoje ręce stają się lekkie, i tak dalej. Udawałaś, prawda?

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

– Udawałaś. Nie spałaś ani nie byłaś zahipnotyzowana.

– Nie. Zahipnotyzował mnie naprawdę. W każdym razie ja tak uważam. Niewiele z tego pamiętam, poza uczuciem wielkiego odprężenia. To wspaniałe uczucie.

Collette cofnęła się w fotelu i popatrzyła na przyjaciółkę. – Balony są piękne – powiedziała cicho.

Barrie rozejrzała się po lokalu. – Jakie balony?

Collette westchnęła i dopiła kawę. Wciąż była przekonana, że Barrie udawała ze względu na hipnotyzera.

Kiedy skończyła o tym opowiadać, Jason Tolker powiedział: – Collette, nie powinna pani być taka sceptyczna. To, że na panią to nie działało, nie znaczy, że na Barrie też nie. Ludzie różnią się w swej zdolności wchodzenia w odmienne stany, takie jak hipnoza.

– Barrie musiała być bardzo podatna na hipnozę. Nie do wiary, do czego tamten student potrafił ją nakłonić; chyba że... chyba że współdziałała z nim dla hecy.

– Nie wątpię, Collette, że pani jest nie do zahipnotyzowania – stwierdził Tolker uśmiechając się. – Za dużo w pani cynizmu i obawy o utratę kontroli nad sobą.

– Czy to źle?

– Oczywiście, że nie, ale...

– Czy pan kiedykolwiek hipnotyzował Barrie?

Nie odpowiadał przez chwilę, jakby się zastanawiając, po czym odparł: – Nie, nie robiłem tego.

– Jestem zaskoczona – rzekła Cahill. – Skoro była taka podatna i...

– Nie podatna, Cahill, tylko dobrze reagująca.

– Wszystko jedno. Jeśli tak dobrze reagowała, a pan stosuje hipnozę w swojej praktyce, to można by pomyśleć, że...

– Przekracza pani granicę poufności między pacjentem i lekarzem.

– Przepraszam.

– I pani mogłaby być bardziej podatna na hipnozę, niż pani sądzi. Ostatecznie jedynym pani zetknięciem się z tym problemem był tamten seans z kolegą-amatorem. Może spróbujemy?

– Nie.

– Mogłoby to pomóc pani w unikaniu tuczących potraw.

– Wolę polegać na sile woli, dziękuję.

Wzruszył ramionami, pochylił się ku niej i powiedział: – Chce pani coś odurzającego?

– Co?

– Wedle pani wyboru. Marihuana. Kokaina. Wszystko, co mam, jest w najlepszym

gatunku.

Zaproszenie do wzięcia narkotyku nie było czymś nowym dla Cahill, jednak poczuła się obrażona jego propozycją. – Jest pan lekarzem.

– Lekarzem, który cieszy się życiem. Co pani taka zła? Nigdy pani nie brała?

– Wolę drinka.

– Dobrze. Co podać?

– Miałam na myśli w ogóle. Naprawdę powinnam już iść.

– Czuję, że naprawdę panią obraziłem.

– Obrażona? Nie, raczej chodzi mi o to, że postanowił pan zakończyć ten wieczór w taki sposób. Bawiłam się tak dobrze. Odwiezie mnie pan do domu?

– Jasne. – Jego głos stał się nagle cierpki, a jego twarz zdradzała irytację.

Zatrzymali się przed jej hotelem. Tolker zgasił silnik. – Wie pani, Collette, Barrie nie była taka, za jaką pani ją uważała. Lubiła narkotyki i dość często ich używała.

Cahill odwróciła się i popatrzyła na niego zwężonymi oczyma. – Po pierwsze: nie wierzę w to. Po drugie: nawet, jeśli to prawda, to nie jest to dla mnie ważne. Barrie była wysoka, szczupła, jasnowłosa. Ja jestem niska, ze skłonnością do tycia i mam czarne włosy. Dziękuję za miły wieczór.

– Dotrzymałem obietnicy, prawda?

– Jakiej?

– Że nie będę pani uwodził. Zobaczymy się jeszcze?

– Nie sądzę. – Przez myśl przeleciało jej, że powinna pozostawać z nim w kontakcie jako z ewentualnym źródłem informacji. Dowiedziała się o Barrie rzeczy dotąd jej nie znanych, a to było w końcu celem jej wizyty w Waszyngtonie. Osłabiła odmowę dodając: – Proszę mnie źle nie rozumieć, Jasonie. Jestem ostatnio trochę zagubiona. To prawdopodobnie kombinacja różnicy czasu, smutku z powodu śmierci Barrie i mnóstwa innych rzeczy. Pozwoli pan, że zorientuję się, jak wygląda mój rozkład zajęć na następne kilka dni. Jeśli będę wolna, zadzwonię do pana. Dobrze?

– „Proszę do nas nie dzwonić, sami się z panem skontaktujemy”.

Uśmiechnęła się. – Coś w tym sensie. Dobranoc.

– Dobranoc – jego twarz przybrała znowu twardy wyraz złości. Cahill dostrzegła w niej okrucieństwo, na którego widok wzdrygnęła się.

Wysiadła z samochodu – tym razem nie podszedł, aby pomóc jej wyjść – i ruszyła w kierunku hotelu. Odźwierny, zaskoczony jej nagłym pojawieniem się, energicznie otworzył przed nią drzwi. W drugim końcu hallu recepcji dojrzała Verna Wheatleya. Siedział w

głębokim klubowym fotelu, twarzą zwrócony ku wejściu. Spostrzegłszy ją, poderwał się i podbiegł do niej.

– Vern, co ty tu robisz? – spytała.

– Mam nowiny, Collette, i sądzę, że powinniśmy je przedyskutować.

## ROZDZIAŁ 14

Następnego ranka Cahill siedziała z Vernem Wheatleyem w mieszkaniu jego brata. W telewizji szedł program „Dzień dobry, Ameryko”. Na stoliku leżała poranna gazeta. Wiodący artykuł na pierwszej stronie wyglądał jakby go złożono gigantyczną czcionką; wprost wyskakiwał ze strony ku Cahill.

*Morderstwo agenta literackiego w Waszyngtonie. Ubiegłej nocy, w jednej z alei w Rosslyn, znaleziono zamordowanego Dawida Hublera, lat 34, agenta literackiego z firmy Barrie Mayer i Spółka w Georgetown. Rzecznik Wydziału Policji Rosslyn, sierżant Clayton Perry, powiedział, że morderstwa dokonano prawdopodobnie przy pomocy ostrego narzędzia wbitego w serce ofiary.*

*Według słów rzecznika, przypuszczalnym motywem był rabunek. Przy ofierze nie znaleziono portfela. Zidentyfikowano ją na podstawie wizytówek znalezionych w kieszeni.*

Dalej były jakieś szczegóły o Hublerze. W końcowym ustępie znalazła się wzmianka o śmierci Barrie Mayer: *Agencja, w której pracował Hubler, poniosła ostatnio inną stratę, gdy jej założycielka i prezes, Barrie Mayer, zmarła w Londynie na atak serca.*

Collette, ubrana w szlafrok Wheatleya, usiadła na tapczanie w *living roomie*. Oczy miała utkwione w gazecie. Wheatley chodził po pokoju.

– To mógł być zbieg okoliczności – odezwała się Cahill zgaszonym głosem.

Wheatley stanął przy oknie, wyrżał, przejechał czubkami palców po szybie, odwrócił się i rzekł: – Collette, pomyśl rozsądnie. To nie może być zbieg okoliczności. Oboje w tak krótkim czasie?

W telewizji nadawano lokalne wiadomości, więc skoncentrowali na nich uwagę. Wypadek był drugą co do ważności informacją. Nic nowego, same fakty dotyczące śmierci Hublera – przypuszczenie rabunku – broń w postaci cienkiego, ostrego przedmiotu. Żadnych podejrzanych. „Wracamy do Charlesa Gibsona w Nowym Jorku i jego gościa, byłej gwiazdy rocka, który zwrócił się ku religii”.

Collete wyłączyła telewizor. Nie zmrużyli oka przez całą noc. Najpierw siedzieli w jej pokoju w hotelu, potem, o czwartej rano, pojechali do mieszkania brata Wheatleya, gdzie Vern zrobił kawę. Collette płakała, głównie z żalu za Dawidem Hublerem, ale też trochę ze

strachu. Pomyślała, że jej zapas łez już się wyczerpał, a pozostało suche gardło, pieczenie w oczach i uczucie próżni w żołądku.

– Powiedz mi jeszcze raz, jak się dowiedziałeś o śmierci Dawida.

– To naprawdę zbieg okoliczności, Collette. Byłem właśnie w komendzie policji w Rosslyn i próbowałem sprawdzić niektóre poszlaki związane ze sprawą, nad którą pracuję. I właśnie wtedy nadszedł raport o Hublerze. Dzięki tobie od razu wiedziałem, o kogo chodziło. Dużo o nim mówiłaś podczas twojego przyjęcia tej nocy; że ten facet Hotchkiss utrzymuje, iż stał się właścicielem agencji i co to będzie znaczyło dla Hublera.

– Więc znalazłeś się tam przypadkiem? – W jej głosie zabrzmiało niedowierzenie.

– Właśnie. Jak tylko o tym usłyszałem, przybiegłem szukać ciebie w hotelu.

Wypuściła ustami powietrze i szarpnęła się za włosy. – To przerażające, Vern, takie przerażające.

– Tak, Collette, i właśnie dlatego nie można traktować tego jako jakiegoś głupiego zbiegu okoliczności. Collette, ty nie dałaś wiary temu, że twoja przyjaciółka Barrie zmarła na atak serca, prawda?

– Nigdy tego nie powiedziałam.

– Nie musiałaś. Sposób, w jaki o tym mówiłaś, zdradzał twój pogląd na sprawę. Jeśli masz rację, jeśli została zabita przez kogoś – to śmierć Hublera znaczy o wiele więcej. Czy tak?

– Nie wiem, jak zmarła Barrie. Wynik sekcji zwłok mówił...

– Jakiej sekcji? Kto ją przeprowadził? Mówiłaś, że jakiś lekarz w Londynie. Kim on jest? Czy ktoś związany z jej rodziną potwierdził te wyniki?

– Nie, ale...

– Jeśli śmierć Barrie nie nastąpiła z przyczyn naturalnych, to kto według ciebie mógł ją zabić?

– Do diabła, Vern, nie wiem! Już w ogóle nic nie wiem.

– Jeszcze kawy? – spytał Wheatley.

– Nie.

– Popatrzmy na sprawę rozsądnie – powiedział. – Ten, kto zabił Hublera, mógł zabić i Barrie, prawda? Motyw może mieć związek z agencją, klientem, wydawcą, czy z tym Hotchkissem. Co wiesz o nim?

– Że niezbyt go lubię, że był z Barrie w Londynie na kolacji tej nocy, kiedy zmarła, i że twierdzi, iż wszedł z nią w spółkę.

– Pokazał ci papiery?



– Nie.

– Wiesz może, gdzie on mieszka, gdzie ma biuro w Londynie?

– Mam to zapisane, ale nie ma go tam. Jest w Waszyngtonie.

Oczy Wheatleya rozszerzyły się. – Jest tutaj?

– Tak. Zostawił wiadomość dla mnie. Zatrzymał się w hotelu Willarda.

– Rozmawiałaś z nim?

– Nie, nie było go, kiedy do niego zadzwoniłam.

Wheatley zaczął znowu chodzić po pokoju. Zatrzymał się przy oknie. – Pozwól mi pomówić z Hotchkissem – powiedział.

– Po co?

– Bo mnie to obchodzi.

– Dlaczego? Nie znałeś żadnego z tych dwojga.

– Dzięki tobie mam wrażenie, jakbym ich znał. – Usiadł przy niej i położył dłoń na jej ręce. – Collette, wymelduj się z hotelu i przenieś się tu, do mnie. Brata nie będzie jeszcze przez parę tygodni.

– Myślałam...

– I ja też, ale wczoraj zadzwonił z Afryki. Skończył zleczone prace fotograficzne, ale chciałby zrobić trochę zdjęć na własny rachunek.

Zastanawiała się nad jego propozycją. – Pewnie myślisz, że ja mogę być w niebezpieczeństwie – powiedziała.

Wzruszył ramionami. – Może tak, może nie, ale jesteś też ogniwem łączącym ich oboje. Poznałaś Hotchkissa. On wie, że byłaś blisko z Barrie i że wiesz o jej testamencie ustanawiającym Hublera szefem agencji. Nie wiem, Collette, myślę tylko, że lepiej być bezpiecznym niż potem żałować.

– Vern, to wszystko razem nie ma sensu. Mogłabym wrócić do domu mamy.

– Nie, chcę, żebyś była tu.

Podniosła wzrok na jego szczupłą, jakby rzeźbioną twarz i uświadomiła sobie, że to, co on mówi, to rozkaz, a nie propozycja. Wstała, podeszła do okna i spojrzała w dół, na ludzi na ulicy śpieszących do pracy, niosących teczki i papierowe brązowe torby z kawą i drożdżówkami. Ich widok podziałał na nią kojąco. Byli normalni. To, co działo się z nią, nie było normalne.

Wheatley odezwał się: – Idę wziąć prysznic. Mam dziś przed południem kilka umówionych spotkań. A jakie ty masz plany?

– Nic konkretnego. Muszę załatwić kilka telefonów i...

– I wymeldujemy cię z hotelu. Dobrze?  
– Zgoda. Czy mogę skorzystać z telefonu?  
– Korzystaj, z czego chcesz. I ustalmy coś od razu, teraz. Zostajesz tu, ale to nie znaczy, że musisz spać ze mną.

Musiała się uśmiechnąć. – Czy naprawdę myślałeś, że przyjdzie mi to do głowy?

– Nie wiem, ale chcę, żeby to było jasne.

– Jasne, sir.

– Nie wymądrzaj się.

– A ty nie bądź antifeministą.

– Tak jest, madam. Postaram się.

Usłyszawszy szum prysznicza przeszła do *living roomu*, podniosła słuchawkę i nakręciła numer matki.

– Collette, gdzie byłaś? Dzwoniłam kilka razy do hotelu, ale...

– Nic się nie stało, mamó, po prostu zmiana planów. Opowiem ci wszystko, jak się zobaczymy. Czy coś jest z tobą nie tak?

– Nie, ale dzwonił pan Fox. Bardzo go lubiłaś, prawda?

– Tak. Czego chciał?

– Powiedział, że musisz koniecznie skontaktować się z nim. Obiecałam, że przekażę ci jego prośbę, ale nie mogłam się do ciebie dodzwonić.

– W porządku, mamó, zaraz zatelefonuję do niego. Jakies inne nowiny?

– Nie. Twój wujek Bruce przewrócił się wczoraj wieczorem i złamał rękę.

– To okropne. Czy jest w szpitalu?

– Powinien tam być, ale nie ma o tym mowy. Z powodu picia. Nie może iść do szpitala, bo tam nie wolno pić. Nastawili mu rękę i odesłali do domu.

– Zadzwoń do niego.

– Na pewno się ucieszy. To taki porządny człowiek, tylko to jego picie... To przekleństwo.

– Muszę już kończyć, mamó. Zadzwoń do ciebie później. Aha, chciałam jeszcze powiedzieć, że przez kilka dni będę mieszkać u brata Verna.

– Z nim?

– Vernem? No wiesz...

– Z jego bratem.

– O nie. Jest w Afryce, coś tam dla kogoś fotografuje. Vern będzie tu, ale...

– Pilnuj się.

- Przed Vernem?
- Nie o to chodzi. Ja tylko...
- Będę się pilnować.
- Pozdrów go ode mnie. To miły chłopiec.
- Pozdrowię. – Podała jej numer telefonu mieszkania.

Vern wyszedł spod prysznica owinięty w pasie dużym, puszystym czerwonym ręcznikiem. Mokre włosy spadały mu na czoło.

- Do kogo dzwoniłaś? – spytał.
- Do mamy. Pozdrawia cię.
- Łazienka wolna.
- Dzięki.

Zamknęła drzwi łazienki, powiesiła na nich szlafrok i puściła prysznic. Radio zainstalowane w kabinie prysznica było nastawione na lekką muzykę rockową. Wyciągnęła rękę przez strumień wody i parę, i znalazła stację nadającą „Adagio na instrumenty smyczkowe” Samuela Barbera, grane przez orkiestrę Nowojorskiej Filharmonii. Nastawiła radio głośniej i cofnęła rękę. Stanąwszy przed lustrem starła dłonią osiadłą na nim parę i przyjrzała się sobie.

- Nie panuję – powiedziała. – Nad niczym już nie panuję.

Siła działania muzyki sprawiła, że weszła pod prysznic i stała pod silnym strumieniem gorącej wody, aż ciało oswoiło się z nią, i wtedy podstawiła twarz. W miarę jak pulsujący strumień usuwał jej zmęczenie, zaczęła myśleć o swej decyzji – jego decyzji – pozostania z nim. Może nie powinna. Nie było potrzeby. Nie groziło jej żadne niebezpieczeństwo.

Z roztargnieniem zastanawiała się, czemu Wheatley tak się nią interesuje. Ależ to proste... co za idiotka, że od razu o tym nie pomyślała. Jest w tym materiał na artykuł, może nawet na całkiem spory. Chce mieć ją blisko na wypadek, gdyby mogła się przyczynić do jego napisania przez to, że znała Barrie i Hublera. Niewątpliwie będzie się starała dowiedzieć czegoś więcej na temat ich zgonów, a on może wykorzystać zdobyte przez nią informacje. Nie rozgniewało jej, że może być przez niego wykorzystywana, a raczej uspokoiło.

Z białej, drucianej półeczki wzięła plastikową butelkę z szamponem, nałala trochę na dłonie i zaczęła energicznie wcierać go we włosy. Czynność ta zmniejszyła jej napięcie; poczuła się gotowa do rozpoczęcia nowego dnia. Zadzwoi do Hanka Foxa, potem pójdzie do agencji Barrie Mayer i postara się dowiedzieć, ile się da, od jej pracowników. Musi zadzwonić do Marka Hotchkissa i do Eryka Edwardsa. Będzie to pracowity dzień, ale to ją ucieszyło. Zbyt długo już grzęzła w tym wszystkim miotając się między rolą zmartwionej,

rozżalonej przyjaciółki i prywatnego detektywa. Nadszedł czas, aby połączyć wszystkie wątki, wykonać swe zadanie, wziąć należący się jej tydzień urlopu i wrócić do Budapesztu, gdzie, mimo intryg, miało się poczucie ładu i porządku.

Nie usłyszała, jak otworzyły się drzwi, najpierw na cal, potem szerzej. Wheatley wsunął głowę do łazienki i powiedział cicho: – Collette. – Szum wody i muzyka zagłuszały wszystko.

– Collette – powiedział głośniej.

Wyczuła go raczej, niż usłyszała. Spojrzała przez szklane drzwi i zobaczyła, że stał za nimi. Wciągnęła gwałtownie powietrze; gorąca woda natychmiast wypełniła jej gardło i odebrała głos.

– Collette, mam tu dla ciebie czyste męskie spodenki i skarpety. Czy ci podać?

– Co? Spodenki?

– Tak. Przepraszam, że zajrzałem. – Cofnął się i zamknął drzwi.

Szybko skończyła mycie, wyszła z brodzika i stanęła nieruchomo, z bijącym sercem. Wargi jej drżały. „Spodenki” – powiedziała na głos. „Męskie spodenki”. – Susząc włosy uspokoiła się do tego stopnia, że zaczęła się śmiać. Vern zostawił je wraz ze skarpetkami na koszu do bielizny. Włożyła jedno i drugie, wciągnęła przez głowę suknię, którą miała na sobie poprzedniego wieczoru i przeszła do sypialni, gdzie Vern kończył się ubierać w dżinsy, golf i sportową marynarkę ze sztruksu.

– Dziękuję za majtki i skarpetki – powiedziała. – Nie bardzo pasują do sukni, ale wystarczą do czasu, aż będę mogła wrócić do hotelu.

– Pojedziemy od razu – odparł. – Mam nadzieję, że cię nie przestraszyłem?

– Przestraszyć mnie? Oczywiście, że nie. Myślałam, że robisz pierwszy krok.

– Przyrzekłem, pamiętasz?

Pomyślała o podobnym przyrzeczeniu Jasona Tolкера. Spróbowała włożyć lakierki na grube skarpetki, ale dała spokój i wsunęła w nie bosc stopy. – Nie nadają się dla mnie – powiedziała, rzucając skarpetki na łóżko.

Pojechali do hotelu wynajętym przez nią samochodem, żeby ją wymeldować, i po godzinie byli z powrotem w mieszkaniu. – Muszę iść – oznajmił Wheatley. – Tu masz zapasowy klucz do mieszkania. Zobaczmy się później?

– Na pewno.

– Z kim się dziś spotykasz?

– Idę do agencji Barrie.

– Dobry pomysł. *A propos*, co to za facet, z którym byłaś ubiegłej nocy?

- Och, tylko przyjaciel. Lekarz, przyjaciel rodziny.
- Aha. Jesteśmy umówieni na kolację, prawda?
- Prawda.
- Uważaj na siebie. Może to paranoja z mojej strony, ale na twoim miejscu byłbym ostrożny – powiedział. – Nie ryzykuj.
- Dobrze.
- Nie warto. Ostatecznie morderstwo to nie twoja dziedzina. Bo ty pomagasz zagubionym turystom, prawda?
- Tak. – Rozbawienie i niedowierzenie w jego głosie zirytowało ją. Po jego wyjściu zadzwoniła do Hanka Foxa w Langley.
- Trochę ci to zajęło – zauważył.
- Dopiero teraz dostałam wiadomość. Ubiegłej nocy mama nie mogła mnie znaleźć.
- Jedna z tych nocy, co?
- Bynajmniej. Czemu dzwoniłeś do mnie?
- Musimy porozmawiać. Masz teraz czas?
- Wiesz, ja...
- Postaraj się być wolna. To ważne. Masz samochód?
- Tak.
- Dobrze. Spotkamy się za godzinę na platformie widokowej przy alei Waszyngtona, koło mostu Roosevelta. Wiesz, gdzie to jest?
- Nie, ale znajdę
- Za godzinę.
- Będę na pewno.

## ROZDZIAŁ 15

Collette włożyła szarą spódnicę, buty na płaskich obcasach, zapinaną bluzkę w czerwone i białe pasy i granatowy blezer. W kawiarni za rogiem zjadła jajka na boczku, potem wsiadła do samochodu i pojechała na spotkanie z Hankiem Foxem.

Jadąc aleją przy pomniku George'a Washingtona przestrzegając obowiązującej prędkości, lecz jej myśli galopowały szybciej. Czy Hank Fox wykrył związek między śmiercią Barrie Mayer i Dawida Hublera? Ta ewentualność sprawiła, że myśli jej popłynęły innym torem – Dawid Hubler mógł też być współpracownikiem CIA. Nie przyszło jej to wcześniej do głowy, ale teraz, gdy o tym pomyślała, nie wydało się to zbyt daleko idącą spekulacją. Hubler i Mayer współpracowali blisko ze sobą w agencji, a częste wyjazdy Mayer do Budapesztu i ciągły kontakt z takimi autorami jak Zoltan Réti mogły łatwo stworzyć pole do dyskusji między nimi dwójkiem. Gdyby nawet nie, to i tak współpraca Mayer z CIA musiała pozostawić jakiś konkretny ślad, znajdujący się gdzieś w biurze. Może też Barrie faktycznie wciągnęła Hublera w swoje podwójne życie. Jeśli tak było, to Cahill miała nadzieję, że Barrie uczyniła to z błogosławieństwem „Firmy”. Angażowanie ludzi do pracy dla CIA bez zlecenia szefów nie mogło nie powodować poważnych problemów, dostatecznie poważnych, pomyślała, aby stały się przyczyną śmierci Barrie i Dawida. Słyszała o agentach „wykończanych” przez samą CIA, nie z zemsty czy dla ukarania, jak to ma miejsce w mafiach, lecz jako wygodny sposób trwałej likwidacji przecieków.

Tego ranka ruch był niewielki; tak słaby, że zauważyła zielony samochód osobowy, który ruszył z nią, gdy tylko skręciła w aleję.

Trzymał się w znacznej odległości, lecz spojrzenia rzucane przez nią od czasu do czasu we wsteczne lusterko potwierdzały, że wciąż podąża za nią. Postanowiła, że nie pojedzie na miejsce spotkania podane przez Hanka Foxa, dopóki nie zgubi jadącego za nią samochodu. Dojechała do wspomnianej przez Foxa platformy widokowej, lecz minęła ją, szybko przebiegłszy po niej wzrokiem. Stały tam dwa samochody, czterodrzwiowy jasno granatowy Chevrolet „Caprice” i biały kombi obity drewnem. Młoda kobieta trzymająca dziecko na biodrze prowadziła dalmatyńczyka na smyczy. Miejsce do wyprowadzania psów, pomyślała Cahill wyjeżdżając przez najbliższy wyjazd. Po kilku ostrych skrętach uliczki znalazła znów wjazd na aleję. Spojrzała na zegarek; miała jeszcze dziesięć minut czasu, lecz będzie go potrzebowała na ponowne zjechanie z alei i dotarcie okrężną drogą na miejsce spotkania. Spojrzała w lusterko. Nie było zielonego samochodu. Udało się, pomyślała.

Dokładnie w godzinę po rozmowie telefonicznej z Foxem skręciła na parking. Nie było tam już kobiety z dzieckiem i psem, stał tylko Chevrolet „Caprice”, Cahill zatrzymała się obok niego, wrzuciła „parkowanie” na automatycznej skrzyni biegów, odwróciła się i spojrzała do wnętrza „Caprice”. Przez szybę patrzył na nią Hank Fox. Zauważyła, że w samochodzie był ktoś jeszcze. Zesztywniała; po co go tu przywiózł? Kto to jest? Spróbowała zobaczyć, lecz z powodu odbłasku na oknie dojrzała tylko niewyraźną sylwetkę na siedzeniu obok kierowcy.

Drzwi chevroleta otwały się. Z jednej strony wysiadł Hank Fox, z drugiej Joe Breslin. Collette odetchnęła z ulgą, ale była zaskoczona. Co robi tu Joe Breslin?

Fox usiadł obok niej, a Breslin na tylnym siedzeniu.

– Joe, co za niespodzianka – powiedziała, z uśmiechem odwracając się do niego.

– Tak, dla mnie też – odparł Breslin i zatrzasnął drzwi.

– Jedziemy – powiedział Fox.

– Dokąd? – zapytała Cahill.

– Po prostu na przejażdżkę. Kieruj się w stronę lotniska.

Cahill znów przejechała swoją poprzednią trasą, potem aleją równoległą do Potomacu, kierując się na południe, aż dojechała do lotniska krajowego. Fox polecił jej wjechać na płatny parking. Gdy ustawiła się przy liczniku parkingowym i wyłączyła silnik, powiedział: – Wy oboje idźcie do środka. Ja zostanę w samochodzie.

Weszli na dworzec lotniczy i Breslin poszedł przodem do wejścia na taras obserwacyjny. Zapłacili za wstęp, przeszli przez drzwi i stanęli przy balustradzie. W dole pod nimi znajdowała się rampa dla samolotów i pasy startowe. Rześki wiatr smagał włosy Collette. Zatkąła palcami uszy, żeby przytłumić odgłos wycia silników odrzutowych.

– W sam raz – odezwał się Breslin

– Co?

– W sam raz hałasu wokół nas. – Przysunął się do niej, odwrócił i powiedział prawie do jej ucha. – Zmieniły się plany.

Cahill patrzyła na niego pytająco.

– Co byś powiedziała na trochę wypoczynku w słońcu? – spytał.

– Brzmi pięknie. Miałam właśnie pytać, co z moim urlopem.

– To nie urlop. To zadanie do wykonania. – Zamilkł na chwilę, po czym dokończył: – Chcą, żebyś udała się na BWD.

– Po co?

– Żeby poznać Eryka Edwardsa. Chcą, żebyś zbliżyła się do niego, zobaczyła, co on

tam porabia.

Cahill popatrzyła na pas startowy, z którego Boeing 737 podrywał się w szare niebo. Breslin, z rękami w kieszeniach płaszcza i z wygasłą fajką w zębach, odczekał, aż jego słowa dotrą do niej, a potem wyjął fajkę i pochyliwszy się ku Collette dodał: – Projekt Banana Quick został fatalnie skompromitowany. Musimy się dowiedzieć, jak do tego doszło.

– Edwards jest w Waszyngtonie, a nie na BWD – zauważyła.

– Wiemy o tym, ale wraca tam za parę dni. Chcę, żebyś tutaj nawiązała z nim kontakt i zrobiła, co będzie konieczne, żeby... zdobyć jego zaufanie. Spróbuj uzyskać od niego zaproszenie na Wyspy.

– Chwileczkę – odparła z gniewem – chcesz, żebym się z nim przespała?

– W rozkazach nie ma tego warunku. Mowa w nich tylko...

– Żebym zrobiła, co będzie konieczne, żeby zdobyć jego zaufanie. Nic z tego, Joe. Zaangażujcie do tego jakąś dziwkę. Pełno ich w „Fabryce Korniszonów”.

– Przesadnie na to reagujesz.

– Reaguję za słabo – odparła ostrym tonem.

– Nazwy to jak chcesz, ale jest rozkaz i ty musisz go wykonać. Nie masz wyboru.

– Słyszałeś kiedyś o odejściu z pracy?

– Tak, ale ty tego nie zrobisz. Bo ja tego nie chcę. Nie musisz spać z kimkolwiek; zorientuj się trochę w tym, co on robi, i powiedz nam o tym. On jest zbyt niezależny, za słabo kontrolowany.

– A co, jeśli nie zaprosi mnie na BWD?

– To będzie twoja porażka. Postaraj się, żeby tak się nie stało.

– Skąd macie informacje o przecieku?

Breslin rozejrzał się na boki, zanim odparł: – Od twojego człowieka w Budapeszcie. Árpáda Hegedüsa.

– Na pewno chodzi o Edwardsa?

– Nie wiemy, ale jest logicznym punktem, od którego trzeba zacząć. Jest tam naszymi oczami i uszami. Wiemy, że lubi pić i dużo mówić. Może pije i gada nie z tymi ludźmi, co trzeba.

– Rosjanie wiedzą o wszystkim?

Breslin wzruszył ramionami. – Wiedzą za dużo, to pewne. – Na taras weszli jacyś ludzie i stanęli obok nich. – W kasie Hali Koncertowej w Centrum Kennedy’ego są dwa bilety na jakiś recital baletowy jutro wieczorem – powiedział Breslin. – Idź na ten recital. W czasie przerwy będę na tarasie. Skontaktuj się wtedy ze mną.



Collette westchnęła głęboko i położyła dłonie na balustradzie. – Czemu kazali ci przebyć taki szmat drogi z Budapesztu, żebyś mi to wszystko powiedział? – spytała.

– Czemu robisz wszystkie inne rzeczy, Collette? Poza tym wysłanie mnie wskazuje, że to bardzo ważna sprawa. Kiedy gra idzie o dużą stawkę, starają się wysłać swoich najlepszych. – Uśmiechnął się.

Ona też nie mogła powstrzymać uśmiechu.

– Wysłali cię, bo wiedzą, że potrafisz mnie nakłonić, żebym to zrobiła.

– A potrafiłem?

– Zrobię, co będę mogła. Żadnych obietnic.

– Nie mógłbym prosić o więcej – odparł. Dotknął jej ramienia, odwrócił się i odszedł.

Pół godziny później znaleźli się z powrotem na platformie widokowej. Zanim Fox i Breslin wysiedli z jej auta, Fox zapytał:

– Jak udał się wieczór z Jasonem Tolkerem?

– Wiedziałeś o tym?

– Tak.

– Było dosyć miło. On i Barrie byli w bliskich stosunkach. Chciałam wyciągnąć z niego, ile się da.

– I co? Dowiedziałaś się czegoś?

– Trochę.

Breslin odezwał się z tylnego siedzenia: – Collette, zostawmy to na jutrzejszy wieczór na tarasie. – Klepnął Foxa po ramieniu i powiedział: – Ruszamy.

Wsiedli do samochodu Foxa i odjechali nie oglądając się. Po ich odjeździe Cahill poczuła się samotna i bezradna wobec groźących jej niebezpieczeństw. Ujęła kierownicę od dołu i podniósłszy wzrok zobaczyła swoje oczy we wstecznym lusterku. Wyglądały, jakby nie były jej oczami. Poprawiła lusterko, tak że nie odbijało jej twarzy, włączyła silnik i pojechała, najszybciej jak mogła, pamiętając, żeby co kilka chwil spojrzeć w lusterko. Zielony samochód nie pojawił się.

## ROZDZIAŁ 16

- Eryk Edwards?
- Tak.
- Tu Collette Cahill, przyjaciółka Barrie Mayer.
- Cześć, witam panią. Sekretarka powiedziała mi, że pani dzwoniła. Dostała pani wiadomość ode mnie w Budapeszcie?
- Tak i przepraszam, że nie skontaktowałam się wcześniej, ale byłam zajęta.
- Rozumiem.
- Wciąż nie mogę uwierzyć, że ona nie żyje.
- Wszystkim nam trudno uwierzyć. Barrie dużo mówiła o pani. Chyba była pani jej najlepszą przyjaciółką?
- Byłyśmy sobie bliskie. Może moglibyśmy spotkać się na drinka albo *lunch*, czy coś innego, co panu będzie odpowiadało. Długo zostaje pan w Waszyngtonie?
- Wyjeżdżam jutro. Pani jest na urlopie?
- Tak.
- Co słyhać w Budapeszcie?
- W porządku, poza wiadomością o Barrie. Czy miałby pan czas na *lunch*?
- Niestety, nie. Mam bardzo napięty program.
- Może szybki drink dziś po południu? Jestem wolna cały dzień.
- Chwileczkę, niech się zastanowię... o szóstej? Jestem umówiony na kolację o siódmej.
- To mi odpowiada. – Uświadomiła sobie, że w ciągu godziny nie zdoła go na tyle zainteresować swoją osobą, aby uzyskać od niego zaproszenie na BWD. – Właściwie – powiedziała – mam sprawę do pana, chcę porozmawiać o Barrie, ale także poradzić się co do BWD. Spędzę tam część urlopu i myślałam, że mógłby pan polecić mi dobry hotel, restaurację i takie rzeczy.
- Z przyjemnością. Kiedy pani wyjeżdża?
- Zastanowiła się szybko. – Za kilka dni.
- Dam pani możliwie najlepsze rady, jak spotkamy się wieczorem. Liczymy się z kosztami?
- Trochę, ale nie za bardzo.
- Dobra. Lubi pani pływać jachtem?

Collette nigdy nie była na żaglówce. – Tak – odparła. – Uwielbiam. – Wiedziała, że powinna dodać coś jeszcze. – Ale szczerze mówiąc, nie mam o tym zbyt wielkiego pojęcia. Pływałam tylko kilka razy.

– Pomyślimy, czy da się załatwić dla pani całodzienną wycieczkę. Zajmuję się wypożyczaniem jachtów.

– Wiem. To brzmi... – roześmiała się. – To brzmi cudownie i romantycznie.

– Przeważnie ciężka praca, ale nie muszę przynajmniej chodzić w garniturze i krawacie od dziewiątej do piątej. Ma pani jakąś propozycję co do miejsca dzisiejszego spotkania?

– Niech pan wybiera. Za długo nie było mnie w Waszyngtonie.

– Może mogłaby pani przyjechać tu, do „Watergate”. Trochę by mi to ułatwiło życie. Proszę przyjść do mojego pokoju. Zamówię jakieś drinki. Co pani pije?

– Szkocka z wodą sodową.

– Zrobione. Do zobaczenia o szóstej. Pokój 814.

Pojechała do agencji literackiej Barrie Mayer, gdzie przy biurkach siedziały Marcia St. John i Carol Geffin. Tony Tedeschi, jeden ze współpracowników Barrie, szukał czegoś w szafce z aktami w kącie pokoju.

St. John, szczupła, atrakcyjna Mulatka, która najdłużej pracowała w agencji, przywitała Cahill z powagą.

– Słyszałam – zaczęła Cahill.

St. John potrząsnęła głową. – Najpierw Barrie, teraz Dawid. To nie do wiary.

– Jak się masz, Collette? – powiedział Tedeschi.

– W porządku, Tony. A w y?

– Jakoś się trzymamy. Czy słyszałaś coś nowego na temat Dawida?

– Nie, tylko to, co w telewizji i gazetach. Kiedy pogrzeb?

– Jeszcze nie ustalono – odpowiedziała St. John. – Jak tam Budapeszt?

– Było tam pięknie, kiedy wyjeżdżałam. – Collette spojrzała na drzwi wiodące do prywatnego biura Barrie. Były lekko uchylone i przez szparę zobaczyła czyjąś postać, która przeszła przez pokój i znikła. – Kto tam jest? – spytała.

– Nasz nowy szef – odparła St. John unosząc brwi.

– Nowy szef?

– Mark Hotchkiss.

– Naprawdę? – Cahill podeszła do drzwi i otworzyła je pchnięciem. Hotchkiss, w koszuli, muszce i żółtych szelkach siedział za biurkiem Barrie Mayer. Na kolanach trzymał

stos teczek. Spojrzał znad okularów do czytania i powiedział:

– Zaraz się panią zajmę, panno Cahill – po czym wrócił do przeglądania teczek.

Cahill zamknęła drzwi i stanęła przy biurku. Odczekała chwilę, a potem powiedziała: – Zachowuje się pan co najmniej arogancko.

Podniósł znowu wzrok na nią i uśmiechnął się. – Arogancko? Nie powiedziałbym. Wskutek nieprzewidzianych okoliczności powstała w agencji okropna luka. Działam stanowczo. Jeśli to ma być arogancja, to trudno.

– Panie Hotchkiss, chciałabym zobaczyć umowę o zawiązaniu spółki, z podpisami pana i Barrie.

Uśmiechnął się odsłaniając żółte zęby, zsunął okulary na czubek głowy i usiadłszy głębiej w fotelu Barrie i założywszy ręce na kark, powiedział: – Panno Cahill, nie widzę żadnego powodu, abym miał pokazywać pani cokolwiek. Umowa zawarta między Barrie i mną jest ważna i zgodna z prawem. Jeśli ciekawość pani jest aż tak wielka, to radziłbym zwrócić się do adwokata Barrie... Richarda Weinerja. Chce pani jego adres i numer telefonu?

– Nie, ja... tak, chcę.

Hotchkiss znalazł na biurku kartkę papieru i przepisał jej treść na innym kawałku. – Proszę bardzo – powiedział z uśmiechem satysfakcji na twarzy. – Niech pani zadzwoni do niego. Zobaczysz pani, że wszystko jest w porządku.

– Zadzwonię.

– Skoro to już mamy za sobą – powiedział wstając i podchodząc do niej – przypominam, że mieliśmy zjeść razem obiad tu, w Waszyngtonie. Kiedy by pani odpowiadało?

– Niestety, jestem absolutnie zajęta.

– Szkoda. Jestem pewien, że mamy wiele do omówienia. No cóż, proszę zadzwonić, jeśli zmieni pani zdanie. Chyba będę musiał siedzieć tu dzień i noc, żeby uporządkować sprawę. – Na jego twarzy odmalowało się nagle współczucie. – Tak mi przykro z powodu tego biedaka, Hublera. Nie zgadzaliśmy się co do pewnych spraw, ale widzieć takiego przystojnego młodego człowieka wyeliminowanego tak wcześnie z życia – to doprawdy okropne. Proszę przekazać jego rodzinie wyrazy mego najgłębszego współczucia.

Cahill ogarnęła trudne do zniesienia uczucie frustracji. Nie była w stanie rozmawiać dalej. Odwróciła się szybko i wyszła z biura. Pierwszy zobaczył ją Tedeschi. – I ty też?

– To absurdalne – wybuchnęła Cahill. – Facet wchodzi sobie zwyczajnie i przejmuje wszystko?

– Niestety, chyba tak – odparł Tedeschi. – Ma papierek. Przeprowadził sprawę przez

Dicka Weintera. Weiner mu nie wierzy, ale papier wygląda na prawdziwy. Nie mogę zrozumieć, czemu Barrie miałyby wiązać się z tym palantem... ale wygląda na to, że zrobiła błąd.

– Tak, zrobiła, a my ponosimy konsekwencje – wtrąciła Marcia St. John, która przysłuchiwała się rozmowie.

– Barrie sporządziła testament – powiedziała Cahill. – Przekazała sprawy Dawidowi na wypadek swej śmierci.

Tedeschi potrząsnął głową. – Weiner mówi, że testament jest nieważny. Z jakiegoś prawnego powodu pierwszeństwo ma umowa o spółce, może na skutek sposobu, w jaki została sformułowana, kto to wie? Ja się na tym nie wyznaję.

– Zamierzam zobaczyć się z Weinerem.

– Znasz go? – spytał Tedeschi.

– Nie, ale poznam.

– To miły facet i dobry prawnik, ale tracisz czas. Hotchkiss przejmuje agencję jako żyjący wspólnik. Przepraszam, Collette, ale muszę napisać sprawozdanie o przebiegu mojej pracy.

– Po prostu nie wierzę w to – powiedziała Collette potrząsając głową. Czowała przy tym, że jej słowa są żałośnie bezsilne.

– To życie na wysokich obrotach – zauważyła Carol Geffin.

– Jak to przeżywa rodzina Dawida? – spytała Collette.

– Chyba tak, jak się można spodziewać. Boże, był taki młody. – St. John zaczęła płakać i wyszła do toalety.

Collette jeszcze raz spytała, co z pogrzebem i dowiedziała się, że decyzja zostanie podjęta po południu. Wyszła z biura i z budki telefonicznej zadzwoniła do adwokata Richarda Weintera. Gdy powiedziała, jaki jest jej związek ze sprawą, została natychmiast z nim umówiona.

– To nie może być tak – powiedziała siedząc już naprzeciw adwokata. – Barrie nigdy nie podpisałyby umowy z Hotchkissem, czyniącej go pełnym wspólnikiem, upoważniającej go do przejęcia agencji na wypadek jej śmierci.

– Ja też tak uważam, panno Cahill, lecz dokumenty są, jak się wydaje, w porządku. Szczerze mówiąc nie mogę podejmować żadnych dalszych kroków bez prośby o to ze strony jej rodziny. Musieliby zakwestionować prawdziwość umowy, spowodować analizę grafologiczną, zbadać tło transakcji.

– Ona miała tylko matkę.

– Wiem. Rozmawiałem z nią dziś rano, gdy usłyszałem o Dawidzie Hublerze.

– I?

– Powiedziała, że jest za stara, żeby się angażować w takie rzeczy.

– A rodzina Dawida? Barrie zatroszczyła się o niego w testamencie. Czy nie byłoby w ich interesie wystąpić przeciwko Hotchkissowi?

– Chyba nie. Barrie nie zostawiła mu agencji. Zaznaczyła tylko, że ma w niej pozostać za określonym wynagrodzeniem przez pięć lat. Zostawiła mu też polisę ubezpieczeniową na pięćdziesiąt tysięcy dolarów.

– Kto je dostanie teraz, gdy on nie żyje?

– Agencja.

– Hotchkiss. W ostatecznym rozrachunku, nie bezpośrednio. Pieniądze przejdą do kasy spółki, a spółka to on.

Uderzyła pięścią w biurko i powiedziała: – Najpierw ona, potem Dawid. Nie sądzi pan...?

– Że co? Że Hotchkiss mógł zabić Dawida? Jakże mógłbym tak myśleć, Panno Cahill?

– Ja mogę. I tak właśnie myślę.

– No cóż, przypuśćmy, że... ale Barrie? Ona zmarła z przyczyn naturalnych.

Cahill pokonała chęć powiedzenia mu, że Barrie nie zmarła z przyczyn naturalnych, że została zamordowana, i powiedziała tylko:

– Cieszę się, panie Weiner, że miałam okazję rozmawiać z panem.

– Jeszcze chwilę. Gdyby pani miała jakieś informacje związane z tą sprawą, proszę dzwonić do mnie, w dzień czy w nocy. – Dał jej domowy numer telefonu, ale ona tylko uśmiechnęła się, że go zapisuje. Wiedziała, że nie zadzwoni do niego, ani pod numer domowy, ani do biura. Interesy Barrie Mayer właściwie nie interesowały jej, chyba że Mark Hotchkiss był wmieszany w oba zgony. Zaczęła w to jednak wątpić. Weiner ma rację, Hotchkiss nie jest człowiekiem tego pokroju.

Wciąż jednak pozostawała sprawa tego, w jaki sposób nakłonił on Barrie do podpisania tak bardzo wiążącej umowy o spółce. Czy miał coś na nią? Co by to mogło być? Falszywy trop, zdecydowała Cahill. Zbada go później, po załatwieniu sprawy najważniejszej, pierwszego spotkania z Erykiem Edwardsem.

Wywołało to dalszą serię myśli, kiedy powróciła już do mieszkania wstąpiwszy przedtem do księgarni, żeby kupić przewodnik po Brytyjskich Wyspach Dziewiczych.

Czy Edwards wie, dla kogo ona pracuje? – To w obecnej sytuacji jeden z największych problemów. Kto wie o tym? Tolker wie. Musi przyjąć, że wie także Edwards. Nie zdradził się

z tym w wiadomości, jaką jej zostawił na automatycznej sekretarce w Budapeszcie, ani w trakcie ich krótkiej rozmowy telefonicznej tego ranka. Ale on w i e; w swym działaniu Collette musi wychodzić z tego założenia.

Ciężko było jej przyznać się przed sobą, że w tej sprawie zachowała się beznadziejnie naiwnie. Nigdy nie kwestionowała motywów czy działań takich ludzi jak Joe Breslin, Hank Fox, Stan Podgorsky czy wszyscy inni, z którymi jej stosunki układały się według schematu „ojciec-córka”. W rzeczywistości ludzie ci działali z pobudek, które stały ponad potrzebami i przyszłością Collette Cahill. Byli ludźmi „Firmy”, absolutnie zdolnymi zdradzić każdego bez wyjątku, aby popchnąć naprzód sprawę, dla której zostali zaangażowani, lub ugruntować własne kariery i poziom życia. Niech to diabli – mruknęła parkując samochód i idąc do mieszkania brata Wheatleya. – Jakie to obrzydliwe.

Uczucia te poszły w zapomnienie w trakcie godzinnego studiowania przewodnika turystycznego i układania pytań, jakie chciała zadać Erykowi Edwardsowi na temat swych „wakacji”. Gdy skończyła, było już po południu. Zadzwoiła do Biura Mayer i spytała, czy już coś wiadomo o pogrzebie Dawida.

– Będzie prywatny – powiedziała St. John. – Tylko rodzina.

– Dlaczego?

– Bo tak sobie życzą.

– Kto będzie z rodziny?

– Matka i ojciec, siostra, która przyleci z Portland, kuzyni, może ktoś jeszcze.

– Ty byłaś też jego rodziną, przynajmniej jej częścią.

– Collette, ja tu tylko pracuję. W biurze Barrie siedzi facet, który gada dziwne rzeczy i ma złote kły. Będą chować jednego z najlepszych chłopców, jakiego znałam. Tony tłucze te swoje raporty, jakby to miało być przemówienie do narodu, a Carol zastanawia się, w której dyskotecie będzie dziś najwięcej przystojniaków. Brak mi ciebie, Dawidzie. Poszłabym na pogrzeb, gdyby mi pozwolili. Rozumiesz mnie, Collette?

– Oczywiście. Tak mi przykro. Mogę być z tobą w kontakcie?

Odpowiedział jej pusty śmiech. – Proszę. – Odparła St. John. – Sprawdzaj co dzień, czy ja jeszcze żyję.

Collette odłożyła słuchawkę i skrzyżowała ramiona na piersiach obronnym gestem, bo po ostatnich słowach St. John przeleciał ją dreszcz. Dwa trupy w jednym biurze. Uświadomienie sobie tego sprawiło, że zaczęła ponownie myśleć o wszystkim, co zaszło. Może śmierć Barrie Mayer nie ma absolutnie, ale to absolutnie nic wspólnego ze szpiegami i rządami. Może to tylko zwykłe porachunki finansowe. Może... Może...

Tyle jest tych „może”.



## ROZDZIAŁ 17

Edwards otworzył drzwi. Był w hotelowym szlafroku z aksamitu, z literą „W” na kieszeni na piersiach. – Proszę wejść, panno Cahill, będę gotów za minutę. Udało mi się wygospodarować kilka chwil na mały trening. – Zniknął za drzwiami sypialni zostawiając ją samą w *living roomie* apartamentu.

Na podłodze leżał na ręcznikach mały komplet sztang z czarnym napisem: WŁASNOŚĆ HOTELU „WATERGATE”. Stacja rockowa nadawała najnowsze przeboje dnia. Na meblach były porozrzucone części garderoby.

Ktoś zapukał i Collette powiedziała „proszę wejść”. Kelner, młody Hiszpan, wtoczył wózek do pokoju, ułożył srebrne sztućce i serwetki, i podał Collette rachunek. – Nie jestem... W porządku. – Podpisała nazwiskiem Edwardsa i dała dolara napiwku.

Z sypialni wyszedł Edwards ubrany w spodnie od dresu. Cahill mimo woli zwróciła uwagę na jego nogi, tors – muskularne ramiona i klatkę piersiową, wąską talię, a wszystko w kolorze miedzi. – Przywiózł – zauważył. – Czy jestem pani coś winien?

– Nie. Podpisałam rachunek.

– Dobrze. Pozwoli pani, że skończę się ubierać. Proszę się częstować.

– Czy mogę panu coś nalać?

– Tak, bardzo proszę. Dżin z lodem. Butelka jest tam. – Wskazał na komódkę, na której stała do połowy opróżniona butelka dżinu. Wrócił do sypialni, a Cahill zajęła się drinkami. Po chwili był z powrotem, ubrany w białą jedwabną koszulę z monogramem i żółte mokasy. Podniósł w górę podaną mu przez Cahill szklanekę i powiedział: – Za pamięć Barrie Mayer, wspaniałej kobiety. – Wypił, ona też, lekko się krzywiąc.

– Przykro mi, że muszę się śpieszyć. – Sprzątnął ubrania i pisma z tapczanu, żeby mogli usiąść na nim. – Proszę mi powiedzieć, czy jest coś nowego na temat Barrie?

– Nowego? Nie. Słyszał pan, że jej współpracownik został zamordowany ubiegłej nocy?

– Nie, nie słyszałem. Który współpracownik?

– Dawid Hubler.

– Niemożliwe. Ona go tak lubiła. Został zamordowany?

– Tak twierdzi policja. To stało się w Rosslyn. Ktoś przebił mu serce ostrym przedmiotem.

– Jezus.

– Mówią, że motywem był rabunek, bo nie znaleziono przy nim portfela ani kart kredytowych, ale według mnie to nie dowodzi niczego.

– Nie, ja też tak myślę. Co za ironia, obydwójce giną w tak krótkim odstępie czasu.

Collette potaknęła ruchem głowy.

Patrzając jej prosto w oczy Eryk powiedział: – Brakuje mi Barrie. Mieliśmy się pobrać.

Cahill była zaskoczona. – Planowaliście małżeństwo?

– Może „planowanie” nie jest odpowiednim słowem, ale zdążaliśmy w tym właśnie kierunku. – Jego słowom towarzyszył miły, ujmujący uśmiech, jak uśmiech małego chłopca.

– Po tej wiadomości, jaką przekazałem przez automatyczną sekretarkę, pewnie pani pomyślała, że dzwonił jakiś kolega ze studiów. Czekałem długo na połączenie z Budapesztem, a kiedy wreszcie je dostałem i usłyszałem słowa recytowane przez tę piekielną maszynę, zapomniałem języka w gębie. Byłem bardzo zdenerwowany. Bardzo.

– Wyobrażam sobie – odparła Collette. – Kiedy widział ją pan po raz ostatni?

– Jakiś tydzień przedtem. Prawdę mówiąc mieliśmy parę problemów, czekaliśmy tylko, żeby się wyrwać na kilka dni i uzgodnić pewne sprawy. Barrie planowała wycieczkę na BWD po powrocie z Węgier. Teraz już nie pojedzie.

Cahill w milczeniu napełniła szklanki. Wzięła głęboki oddech i uśmiechnęła się. Pomyślała, że sytuacja, w jakiej się znajduje, nie różni się od wszystkich jej spotkań w ciągu kilku ubiegłych dni. Czy on wie, że ona pracuje dla CIA? Przypomniała sobie, że już sama ustaliła odpowiedź na to pytanie. Wie. Czy wobec tego powinna mówić z nim o wszystkim, o pracy kurierskiej Barrie, o Jasonie Tolkerze, swoim życiu w Budapeszcie, i że wie, co on robi na Wyspach Dziewiczych?

Jeszcze nie teraz, zdecydowała. Jeszcze nie.

– Przechodząc do weselszych spraw – odezwał się Edwards – wybiera się pani na odpoczynek do mojej małej części świata.

– Tak, zgadza się. – Zapomniała o tym aspekcie swojej wizyty.

– Zrobiła pani już jakieś plany?

– Właściwie nie. Zdecydowałam się w ostatniej minucie. Chciałam iść do biura podróży, ale potem przypomniałam sobie o panu. Barrie mówiła, że zna pan BWD lepiej niż ktokolwiek.

– To nieprawda, tym niemniej poznałem je nieźle żeglując po tamtejszych wodach. Życzy sobie pani coś eleganckiego? Proponowałbym Peter Island, Little Dix, Biras Creek. A może wypoczynek bardziej aktywny? The Tradewinds. Bitter End. Szuka pani folkloru? Fisher’s Cove Andy’ego Flaxa, Drake’s Anchorage na Mosquito Island. Duży wybór, i

jeszcze większy między tymi propozycjami.

Wyspa Moskitów, pomyślała, miejsce spotkań na najwyższym szczyblu dotyczących Banana Quick. – Co by pan polecił?

– Zawsze znajdzie się miejsce u mnie.

Czyżby to miało być tak łatwe?

– Albo – dodał – któryś z moich jachtów, jeśli będzie wolny. Przyrzekłem pani całodniową wycieczkę. Mogłaby pani zakwaterować się na jachcie i oszczędzić trochę pieniędzy.

– Bardzo pan uprzejmy.

– Nie proponowałbym tego byle komu. Barrie tyle razy zatrzymywała się u mnie, w moim domu i na jachtach. Byłbym naprawdę zaszczycony goszcząc panią, Collette. Nie mogę obiecać, że będę miał dla pani dużo czasu. To zależy od moich klientów, ale u nas jeszcze nie ma sezonu i – przynajmniej gdy wyjeżdżałem – życie toczyło się wolno. – Wstał i napełnił szklanki. – Jeszcze jedna?

Spojrzała na zegarek. – Pan musi wyjść, a ja mam sprawy do załatwienia. Zastanawiam się, jak mogłabym się zrewanżować za pańską uprzejmość.

– Proszę nie mówić głupstw – odparł, idąc ku drzwiom.

– Gdyby nie wylatywał pan jutro, zaprosiłabym pana do Centrum Kennedy’ego. Zostałam z dwoma biletami na fantastyczny spektakl.

– Niech to licho, bardzo chciałbym pójść – rzekł – ale to niemożliwe. Po południu jestem umówiony u siebie. Znajdzie pani kogoś innego.

Była rada, że odmówił. Zaproponowała mu bilet bez zastanowienia, sądząc, że mogłoby to pomóc w ich szybkim zbliżeniu. Uświadomiła sobie jednak, że w takim razie byłoby jej trudno spotkać się w przerwie z Joem Breslinem. Czy Edwards zna Breslina i Hanka Foxa? Może z nazwisk, ale nie z widzenia. Tacy agenci jak Edwards działają samotnie, rzadko stykając się z ludźmi z kierownictwa. Mają jakiś jeden kontakt w Langley, kogoś do pomocy na miejscu i na tym koniec. Taka to już praca. Inna sprawa – to czy on wie o niej; most, jaki trzeba będzie przejść, gdy...

– Co w ambasadzie? – spytał, gdy stali przy drzwiach.

– Po staremu.

– Wciąż jest pani w tej samej sekcji?

– Tak – odparła, chociaż nie pamiętała, jak się ta sekcja nazywa.

– Kiedy planuje pani przybyć na BWD?

– Myślałam, że może... może w sobotę. – Była środa.

– Wspaniale. Pan Am ma połączenie do San Juan, a stamtąd może pani złapać samolot do BWD. Jest też nowe, bezpośrednie połączenie z Miami.

– Będę raczej lecieć z Nowego Jorku. – Zanotowała sobie w myśli, żeby sprawdzić połączenie z Miami. – Dziękuję za zaproszenie.

– Będę oczekiwał z niecierpliwością. Ma pani mój numer telefonu. Proszę dać znać, kiedy pani przylatuje, wyślę kogoś na lotnisko.

– Jest pan niezwykle uprzejmy.

– To ze względu na Barrie. Do zobaczenia w słońcu za kilka dni.

## ROZDZIAŁ 18

Pierwszy akt spektaklu Teatru Tańca z Harlemu w sali koncertowej Centrum Kennedy'ego zakończył się burzliwymi oklaskami dwóch tysięcy pięciuset zgromadzonych tam widzów. Cahill, siedząca pośrodku dwunastego rzędu, też klaskała z zapalem. Wzięła płaszcz deszczowy z pustego miejsca obok i ruszyła z tłumem wylewającym się do Głównego Foyer, Hallu Stanów i Hallu Narodów. Lejący przed spektaklem deszcz ustał podczas pierwszego aktu.

Podeszła do którychś drzwi wiodących na szeroki taras nad rzeką Potomac i rozejrzała się. Kilka osób, które wyszły na zewnątrz, stało w małych grupkach poprzedzielanych kałuzami. Przy balustradzie po stronie rzeki zobaczyła odwróconego do niej plecami Joego Breslina. Dym z jego fajki rozpląwał się w wilgotnym powietrzu nocy.

Zaszła go od tyłu. – Hallo, Joe.

Nie odwracając się odparł: – Piękna noc. Lubię, kiedy jest zaraz po deszczu.

Stanęła obok niego i oboje patrzyli na rzekę, w stronę lotniska krajowego. Z wyciem przeleciał nad nimi odrzutowiec zniżający się do lądowania. Wysunięte podwozie wyglądało jak szpony ogromnego ptaka sięgające ku konarowi drzewa. Gdy huk silnika ucichł, Breslin spytał: – Podoba ci się spektakl?

– Bardzo. A tobie?

– To nie jest mój ulubiony rodzaj rozrywki, ale ma swoją wartość.

Zaczęła mówić o zespole baletowym, lecz wiedziała, że nie po to tu się spotkali. – Skontaktowałam się z Erykiem Edwardsem – powiedziała.

– I?

– Spotykamy się na BWD w sobotę.

Odwrócił głowę i spojrzał na nią z uśmiechem, uniósł brwi i znów zwrócił wzrok na rzekę. – Szybko działasz – zauważył, jakby z dezaprobatą w głosie.

– Nie miałam trudności – odrzekła. – Barrie przetarła drogę.

– Barrie?

– Ona jest tym, co nas łączy. Nie musiałam go uwodzić. Jesteśmy przyjaciółmi przez wzgląd na nią.

– Rozumiem. Zamieszkaż u niego?

– Tak, w jego domu, albo na którymś z jego jachtów.

– Dobrze. W jaki sposób doszło do waszego spotkania?

– Zadzwoiłam do niego. Zaprosił mnie na drinka w swoim apartamencie w „Watergate”. A właściwie to ja się wprosiłam. Powiedziałam mu, że zamierzam spędzić urlop na BWD i zapytałam, co by mi polecił.

– Dobra taktyka.

– Też tak myślałam. W każdym razie zadziałała. Co dalej?

– To znaczy?

– To znaczy, czego oczekujesz ode mnie, póki jestem tutaj?

Breslin wzruszył ramionami i pyknął fajkę. – Bo ja wiem, cokolwiek, co wygląda interesująco.

– Nie mów tak ogólnikowo, Joe.

– Nie chciałem, żeby tak to zabrzmiało. – Wziął długi, głęboki oddech i potoczył wzrokiem po ludziach na tarasie. Najbliżsi stali około czterech metrów od nich – dwie pary, które podeszły do balustrady, żeby popatrzeć na rzekę. Breslin ustawił się tak, że zwrócony był do nich plecami, a twarzą do Cahill. – Dlaczego zatrzymałaś się u swego byłego przyjaciela?

Cofnęła się usłyszawszy tak bezpośrednie pytanie. – Vern Wheatley? Skąd wiesz o nim?

– Nie tyle o nim, Collette, co o tobie.

– Jestem śledzona?

– Jesteś osłaniana.

– Przed czym?

– Żeby ci nie uczyniono krzywdy.

– Nie podoba mi się to, Joe.

– Powinnaś być wdzięczna. Co z Wheatleyem?

– Co z nim? Chodziliśmy razem do szkoły, to wszystko. Kiedy przyjechałam do domu, mama wydała przyjęcie, na którym on się pojawił. Został tu przysłany przez magazyn „Esquire”.

– Wiem. Czemu mieszkasz z nim?

– Bo... Chryste, Joe, co to ciebie obchodzi?

– Masz rację, Collette, to nie moja sprawa. To sprawa „Firmy”.

– Poddałabym to pod dyskusję.

– Nie wysilaj się.

Patrzył na nią w milczeniu. Collette powiedziała: – To Vern powiadomił mnie, że Dawid Hubler został zabity.

– I przekonał cię, żebyś opuściła hotel i wprowadziła się do niego dla... dla twego bezpieczeństwa?

– Tak, jeśli o to chodzi, tak właśnie było. – Potrząsnęła głową i gwizdnęła. – Rany, Joe, ale mnie pilnują, co? Po co starasz się mnie nakłonić, żebym przestała ufać także Vernowi? Nie ufać nikomu, prawda? Wszyscy to szpiedzy albo podwójni agenci, albo...

Breslin zignorował jej rosnące zdenerwowanie i powiedział beznamiętnym tonem: – Wiesz, że ten twój adorator z czasów szkolnych przybył do Waszyngtonu, żeby zbierać materiał do książki na nasz temat?

Było to jak uderzenie w pierś. – Nie, nie wiedziałam o tym – odparła panując nad głosem.

– Jednostka Hanka Foxa rozpracowuje twój przyjaciela.

– No i?

– Może on chce mieć ciebie blisko jako źródło informacji.

– Wątpię.

– Dlaczego?

– Ponieważ...

– Uważam, że powinnaś zdawać sobie sprawę z tej możliwości.

– Dziękuję. – Nie była dumna z tak lakonicznej odpowiedzi, ale na nic lepszego nie potrafiła się zdobyć.

– Wracając do Edwardsa. Niewykluczone, że to on jest tym przeciekiem w Banana Quick.

– Słyszałam.

– Jeśli tak, to może być niebezpieczny.

– W jaki sposób?

– Fizycznie. Dla ciebie. To druga wiadomość, za którą, moim zdaniem, powinnaś być wdzięczna.

– Oczywiście.

– Możliwe, że został skaptowany przez drugą stronę.

Znowu cios w pierś. – Myślałam, że chodzi tylko o to, że za dużo pije i ma długi język.

– I to jest możliwe, ale nie można nigdy wykluczać możliwości zdrady. Byłoby rzeczą lekkomyślną nie brać pod uwagę takiej ewentualności.

– Na pewno wezmę ją pod uwagę. Jest coś jeszcze, o czym według ciebie powinnam wiedzieć?

– Mnóstwo rzeczy. Ten twój Árpád Hegedüs jest w drodze do Rosji.

- Naprawdę? Zrobili to?
- Tak. Mieliśmy z nim ostatnie spotkanie przed jego odjazdem. Nie było łatwe. Nie chciał rozmawiać z nikim poza „jego panną Cahill”. Udało nam się przekonać go, że w jego interesie jest rozmowa z kimś innym.
- Jak on się czuje?
- Jest kompletnie wykończony, niepewny, co go czeka po powrocie do Matuszki Rosji. Mało brakowało, a rzuciłby wszystko i otwarcie przeszedł na naszą stronę.
- Chciał to zrobić.
- Wiem, przejrzałem zapis jego spotkania ze Stanem. Kobieta, z którą się związał, skomplikowała jego sprawy. Był gotów zdradzić i uciec do nas razem z nią.
- Ale nie zrobił tego.
- Wyperswadowaliśmy mu to.
- Bo jest nam potrzebny. – Te szydercze słowa wyrwały jej się mimo woli z ust.
- Przypuszczamy, że nic mu się nie stanie. Nic nie wskazuje na to, aby był w kłopotach.
- A ta kobieta?
- Jest urzędniczką w węgierskiej fabryce przetwórstwa żywnościowego. Nieprzydatna dla nas.
- Wątpię, czy jeszcze kiedyś zobaczymy Hegedüsa.
- To się okaże. To, co naprawdę ważne, to ta jego uwaga o doktorze Tolkerze, lekko rzucona w ostatniej minucie waszej rozmowy.
- Wiem. Nie miałam okazji pomówić o tym z kimkolwiek przed moim wyjazdem. Sądziłam, że dowiecie się o tym z zapisu.
- Uważamy, że Tolker jest w porządku.
- Dlaczego?
- Bo... bo nigdy nie zrobił niczego, co wzbudziłoby czyjekolwiek wątpliwości. Tym niemniej...
- Tym niemniej był kontaktem dla Barrie Mayer, która z kolei była w bliskich stosunkach z Erykiem Edwardsem, co, zgodnie z Regułą 101, oznacza powiązanie z Banana Quick. Może to Tolker jest tym przeciekiem.
- Może tak, może nie. Obserwujemy go. W tej chwili bardziej interesuje nas jego związek z twoim byłym adoratorem, panem Wheatleyem.
- Poczwała ból od tych ciosów. – Jaki związek? – spytała.
- Wheatley grzebie się w jakimś programie zarzuconym przez nas przed laty.



Projekcie Bluebird?<sup>10</sup> MK-ULTRA?

– Nic mi to nie mówi.

– Była o tym mowa podczas twego szkolenia. Sterowanie mózgiem. Eksperymentowanie z narkotykami.

– Ach tak, coś sobie przypominam. Po co Vern miałby się tym interesować, skoro to czas przeszły?

Breslin przygarbił się pod nagłym, silnym powiewem chłodnego wiatru od rzeki. – Tego właśnie chcielibyśmy się dowiedzieć. Może mogłabyś...?

– Nic z tego.

– Dlaczego nie? On cię wykorzystuje jako źródło informacji dla swoich celów.

– To twoja interpretacja, nie moja.

– Zrób mu przysługę, Collette, i zadaj mu kilka pytań. Pływa na głębokiej wodzie.

– Dlaczego tak mówisz?

– Pomyśl o panu Hublerze.

Cahill zaczęła coś mówić, ale przerwała. Odsunęła się od balustrady i zrobiła kilka kroków w kierunku drzwi wiodących do Centrum Kennedy’ego. Breslin powiedział: – Chodź tu, Collette.

Przystanęła; światła rozbłysły na znak, że drugi akt zaraz się zacznie. Odwróciła się i z rękami w kieszeni blezera i przekrzywioną głową patrzyła na niego zwięzonymi oczyma.

Breslin uśmiechnął się i palcem dał jej znak, żeby wróciła. Spojrzała na swe rozedrgane odbicie w dużej kałuży na tarasie, przeniosła wzrok na niego i wróciła. Następny odrzutowiec, tym razem startujący z lotniska krajowego, nappełnił powietrze hukami.

Kiedy stanęła znowu przy balustradzie, Breslin powiedział: – Dawid Hubler przyszedł na Rosslyn, bo mu powiedziano, że są do zaoferowania materiały o tym, co się dzieje wewnątrz naszej „Firmy”. – Chciała coś powiedzieć, lecz Breslin podniósł palec, żeby ją uciszyć. – Miał się spotkać z kimś na rogu ulicy, gdzie mamy lokal. Ta nie nazwana osoba miała z nim omówić sprzedaż poufnych informacji, które miałyby zostać opracowane w postaci książki, niewątpliwego bestsellera.

Cahill tylko patrzyła na niego mrugając oczyma.

– Ten lokal w Rosslyn to placówka, którą kieruje Hank Fox.

Znowu mrugnięcie. A potem pytanie: – I Dawid został zabity przez osobę, która chciała sprzedać informacje?

---

<sup>10</sup> Ang. – błękitny ptak. (*Przyp. tłum.*)

- Dawid został zabity przez... nie wiemy przez kogo.
- Nie był to napad rabunkowy?
- Raczej nie.
- My? Ktoś z... nas?
- Nie wiem. Twój przyjaciel, Vern Wheatley, był tam, gdy to się stało.
- Poszedł na posterunek policji w poszukiwaniu informacji do książki, którą pisze o Waszyngtonie i...
- Był tam. – Słowa jego zabrzmiały twardo.
- Dobry Boże, Joe, nie sugerujesz chyba, że Vern miał coś do czynienia z zamordowaniem Dawida?
- Collette, dawno przestałem sugerować cokolwiek. Teraz tylko rozważam możliwości.
- Jesteś w tym cholernie dobry.
- Dziękuję. Przy okazji, jeden z klientów Barrie Mayer, Zoltan Réti, przybył, żeby zobaczyć się z nami. – Roześmiał się. – Pomówić o błędach w przekładzie jego książki. Nawiązał kontakt z Ruth Lazara podczas przyjęcia w ramach wymiany kulturalnej i powiedział, że musi z kimś porozmawiać. Zaaranżowaliśmy spotkanie.
- Co powiedział?
- Powiedział, że jest przekonany, iż wysłano go do Londynu na konferencję, gdyż wiadano, że ma się spotkać z Barrie Mayer po jej przybyciu do Budapesztu.
- A to znaczy co?
- To znaczy... że Sowieci nie tylko wiedzieli, że ona przewozi coś ważnego, lecz chcieli, aby nie spotkała się ze swoim kontaktem.
- Myślisz, że to Sowieci ją zabili?
- Nie mam pojęcia.
- Joe.
- Słucham?
- Co przewoziła Barrie?
- O ile wiem, to nic.
- Nic?
- Nic.
- I zabito ją za nic?
- Na to wygląda.
- Wspaniale. To nadaje realną wartość jej życiu.

Znowu zapalił fajkę.

– Musimy iść na salę – powiedziała Cahill. – Zaczynają drugi akt.

– W porządku, Collette. Jeszcze jedno. Zapamiętaj, co ci teraz powiem. Po pierwsze: wybór ciebie dla wyśledzenia przecieku w Banana Quick nie jest wyborem przypadkowym. Masz doskonale powody do zadawania pytań, a teraz dostałaś zaproszenie od jednej z głównych osób będących przedmiotem naszego zainteresowania. Poznałaś Tolкера. Nie zrzucaj tego kontaktu. Mieszkasz z kimś, kto wsadza nos w nasze sprawy, a to znaczy, że masz takie samo doświadczenie do niego, jak on do ciebie. Działaj profesjonalnie, Collette. Daj spokój z osobistymi odczuciami i rób swoją robotę. Zostaniesz nagrodzona.

– Jak?

– Chcesz usłyszeć cyfry? – mruknął.

– Nie, chcę czuć, że potrafię wrócić do rutynowej pracy.

– Do potajemnych spotkań z węgierskimi zdrajcami w punktach kontaktowych?

– Joe, chciałabym pracować od dziewiętej do piątej, jako telefonistka w centrali.

– Wykonaj swoje zadanie, a wtedy będziesz miała, co zechcesz. Powiedzieli mi to.

– Kto?

– Trust mózgow.

– Joe.

– Co?

– Nie znam ciebie.

– Na pewno znasz. Kiedy ta cała sprawa się skończy, wszystko będzie tak, jak dawniej, obiady u „Gundela”, „Miniatura”, namiętne, fałszywe tony skrzypiec. Zaufaj mi.

– Tak mówią w L.A.

– Zaufaj mi. Jestem twoim przyjacielem.

– Spróbuję.

Cahill zrezygnowała z drugiego aktu i wróciła do mieszkania, gdzie czekał Vern Wheatley. Siedział w szortach, z puszką piwa w ręku, bose stopy trzymał na stoliku. – Gdzie byłaś? – spytał.

– W Centrum Kennedy’ego.

– Ach tak? Dobry koncert?

– Recital baletowy.

– To mnie nigdy nie bawiło.

– Vern?

– Co?

– Porozmawiajmy.

## ROZDZIAŁ 19

W sobotę rano, usadowiwszy się w samolocie Pan Amu lecącym do San Juan, Cahill poczuła, że wprost marzy o ucieczce z Waszyngtonu i pobycie na wyspie. Nie miała złudzeń. Jej podróż na BWD była tylko dalszym ciągiem tego wszystkiego, co robiła od powrotu z Budapesztu; mimo to z jakiegoś powodu (może na zasadzie rąbnięcia się młotkiem w stopę dla zapomnienia o bólu głowy) było w tej podróży coś z wakacji.

Nie miała czasu, żeby wpaść do matki przed odlotem, zdążyła jednak przebiec śpiesznie sklepy w poszukiwaniu ubrań na upalną pogodę. Nie kupiła ich dużo – słoneczne wyspy nie wymagały tego – dwa kostiumy kąpielowe, bikini i jednoczęściowy, oba w odcieniach czerwieni, kolorowe wdzianko, białe szorty, sandały, obcisłą białą suknię i jej ulubiony strój, bawełniany dres w kolorze morskiej wody, świetnie dopasowany, w którym czuła się swobodnie. Miała go na sobie tego ranka w samolocie.

Po śniadaniu podanym przez stewarda zrzuciła pantofle, odchyliła oparcie siedzenia i spróbowała zrobić to, co sobie obiecywała – wykorzystać lot na spokojne poukładanie spraw we wnętrzu swojej prywatnej „fabryki myśli”.

Przed odlotem raz jeszcze skontaktowała się z Langley z Hankiem Foxem. W czasie spotkania na tarasie Centrum Kennedy’ego Breslin podał jej do zapamiętania specjalny numer telefoniczny i powiedział, żeby dzwoniła tam codziennie mówiąc do osoby, która się odezwie: Tu biuro dr Jayne’a, poproszę z panem Foxem. Zadzwoiła zgodnie z instrukcją i w chwilę później połączono ją z Foxem, który powiedział tylko: – Nasz przyjaciel wrócił do Budapesztu. Jesteś całkiem gotowa do podróży na południe?

– Tak. W sobotę.

– Dobrze. Na wypadek, gdybyś zatęskniła za krajem i chciałabyś z kimś pomówić, na Pusser’s Landing jest zawsze sporo przyjaciół. Zbierają się w barze na przystani i w restauracji. Między południem a trzecią pokarm dużego ptaka w klatce. Będiesz mogła pogadać, ile zechcesz.

Od czasu rozpoczęcia pracy w CIA odbyła wystarczająco dużo takich zaszyfrowanych rozmów, żeby rozumieć, co faktycznie chciał powiedzieć Fox. Trzymali ptaka w klatce w lokalu o nazwie „Pusser’s Landing”, i jeśli będzie go karmiła w odpowiednim czasie, ktoś z CIA podejdzie do niej. Dobrze było wiedzieć o tym.

– Zadzwoń, jak wrócisz – powiedział Fox. – Będę pod tym numerem.

– W porządku. Dziękuję.

– Pozdrowienia dla doktora Jayne.

– Co? Ach tak, oczywiście. On też cię pozdrawia.

Zwykła uważać to za idiotyczną zabawę, póki nie znalazła się w terenie i nie zrozumiała, co się kryje za tego rodzaju zakodowanymi zdaniami. Ograniczony dostęp do informacji; jeśli nie miało się pewności, że telefon odbierze odpowiednia osoba, nikt podnoszący słuchawkę nie musiał wiedzieć, kto dzwoni. Czasem wpadali z tym w przesadę, zwłaszcza ci, co lubili intrygi, ale to miało sens. W czasie szkolenia doszła do wniosku, że trzeba się z tym pogodzić, bo inaczej niczego nie będzie się nigdy brało poważnie.

Czy Barrie Mayer nie brała tego dość poważnie? Czasem podchodziła do spraw zbyt lekko i Cahill zwracała jej na to uwagę. Czy zażartowała w niewłaściwym czasie, gdy to, co przewoziła, nie miało nic wspólnego z żartem? Czy zlekceważyła konieczność stosowania pseudonimu albo skontaktowała się z kimś bezpośrednio zamiast drogą okrężną?

Możliwość związku między śmiercią Mayer i Hublera była na pierwszym miejscu na liście spraw, które Collette chciała przemyśleć. Dawid Hubler został zabity w alei, przy której była placówka CIA w Rosslyn, prowadzona przez Hankę Foxa. Przypuszczalnie Hubler poszedł tam na spotkanie z kimś z Agencji, kto – on czy ona? – dał do zrozumienia, że byłby skłonny sprzedać informacje, które mogłyby być wykorzystane w książce. Z pewnością zainteresowało to Hublera na tyle, aby dopuścić możliwość wspólnego powodu obu morderstw.

Wyteęzała umysł, żeby wziąć pod uwagę wszystkie ewentualności, ale przeszkadzały jej w tym myśli o sprawie najbardziej ją nurtującej, o ostatnich trzydziestu sześciu godzinach z Vernem Wheatleyem.

Wróciwszy z recitalu baletowego postanowiła zmusić go do rozmowy. Gadali do trzeciej rano. Dla Cahill była to rozmowa frustrująca. Wprawdzie Wheatley mówił z pewną otwartością, nie ulegało jednak wątpliwości, że więcej ukrywa, niż ujawnia.

Collette zaczęła rozmowę od słów: – Vern, chciałabym wiedzieć, co właściwie przygotowujesz teraz dla „Esquire”?

Roześmiał się. – Reguła Numer Jeden – powiedział – to nigdy nie rozmawiać o sprawie, nad którą się właśnie pracuje, bo się ją „rozwadnia”; i kiedy człowiek siada, żeby o niej pisać, okazuje się, że cały zapal minął.

Chciała powiedzieć: Reguła Numer Jeden dla każdego, kto pracuje dla CIA, to trzymać się z dala od dziennikarzy. Nie mogła, rzecz jasna, tego zrobić. Wheatley wiedział tylko, że zostawiła pracę w CIA dla nudnej posadki w ambasadzie Stanów Zjednoczonych w Budapeszcie.

Ale czy w to wierzył? Jeśli podejrzenia Hanka Foxa były słuszne, to Wheatley nawiązał z nią ponowny kontakt nie po to, aby „odgrzać” ich romans, lecz aby znaleźć się blisko potencjalnego źródła wewnątrz CIA, dla czerpania materiału do książki, nad którą teraz pracował.

I znów stanęła przed tym dylematem. Co kto wie o kim? A poza tym, czy powinna wierzyć Hankowi Foxowi? Może Wheatley nie pisze książki o CIA. Chorobliwa podejrzliwość ludzi z Agencji nie była tajemnicą. Byli w niej tacy, co wietrzyli spisek za każdymi drzwiami w Georgetown.

Siedząc tamtej nocy z Wheatleyem w mieszkaniu jego brata zdała sobie sprawę, że musi być bardziej bezpośrednia, jeśli chce wydobyć z niego coś bliskiego prawdy. Skorzystała z okazji i powiedziała: – Vern, słyszałam dziś od kogoś, że nie jesteś w Waszyngtonie po to, żeby pisać o tutejszych przemianach społecznych. Ten ktoś powiedział mi, że grzebiesz się w jakiejś sprawie związanej z CIA.

Roześmiał się i potrząsnął pustą puszką po piwie. – Chyba wypiję jeszcze jedną. Czy coś ci podać?

– Mnie? Nie... chociaż – czy znajdzie się tu trochę whisky?

– Chyba tak. Wiem, że mój brat lubi wypić drinka od czasu do czasu. Czystą?

– Z odrobiną wody.

Skorzystała z jego nieobecności, żeby pójść do sypialni, gdzie się rozebrała i narzuciła szlafrok jego brata. Zmieściłyby się w nim trzy takie jak ona. Podwinęła rękawy i wróciła do bawialni, gdzie czekał na nią jej drink. Wheatley podniósł w górę puszkę z piwem. – Za wrodzoną nieufność między mężczyzną i kobietą.

Cahill, podnosząc odruchowo swoją szklankę, zastygła w ruchu i spojrzała na niego pytająco.

– Wspaniały scenariusz, Collette. Jakiś dowcipniś mówi ci, że jestem tu po to, żeby napisać o CIA. Pracowałeś dla tej instytucji, więc wyobraziłaś sobie, że zjawiam się u ciebie, żeby być blisko „źródła”. To jedyny powód mojego zainteresowania osobą Collette Cahill, która, mam nadzieję, okaże się kopalnią informacji – a teraz ona konfrontuje mnie z nagimi faktami. – Podniósł ręce poddając się. – Twój przyjaciel ma rację.

Wheatley stuknął mocno puszką stawiając ją na stoliku i pochyliwszy się ku dziewczynie powiedział z przesadną surowością: – Zdobyłem informację z wysoce wiarygodnego źródła, że dyrektor CIA ma nie tylko ostry romans z kobietą, członkiem Sądu Najwyższego – nie mogę oczywiście podać jej nazwiska – lecz równocześnie pozostaje w homoseksualnym związku z byłym astronautą przebywającym w pewnej klinice w Peru, u

którego wykryto AIDS.

– Vern, naprawdę nie rozumiem...

– Chwileczkę – przerwał, podnosząc rękę. – Jest jeszcze coś. CIA planuje przewrót w Lichtenbergu, ma stałe połączenie z obydwoma piersiami Dolly Parton oraz planuje morderstwo Abego Hirszfelda, żeby zdobyć kontrolę nad każdym parkingiem w nowojorskim City na wypadek ataku jądrowego. Jak ci się to podoba?

Roześmiała się.

– Hej, Collette, nie ma w tym nic śmiesznego.

– Gdzie leży Lichtenberg? Miałaś na myśli Lichtenstein?

– Miałem na myśli Lichtenberg. To krater na księżycu. CIA nie zawracałaby sobie głowy Lichtensteinem. Oni chcą mieć księżyc.

– Vern, ja rozmawiam z tobą poważnie – powiedziała.

– Czyżby? Wciąż pracujesz dla naszych narodowych straszycieli?

– Nie, ale... Nieważne.

– Od kogo wiesz, że piszę o CIA?

– Nie mogę powiedzieć.

– Taka z ciebie demokratka. To ja mam otworzyć duszę przed tobą, a pani „nie może powiedzieć”. Nie spodziewałem się tego po tobie, Collette. Pamiętasz, co napisałem w twoim pamiętniku?

– Pamiętam – odparła.

– Dobrze. Coś nowego w sprawie twojego przyjaciela Hublera?

– Nie.

– Rozmawiałaś z tym Anglikiem, Hotchkissem?

– Tak. Wpadłam na niego w agencji Barrie. Przejął ją. Jest teraz właścicielem.

– Jak to?

Wyjaśniła mu sprawę umowy o spółce i powiedziała o swoim telefonie do radcy prawnego Barrie.

– Trochę to mi śmierdzi.

– Mnie też, ale widocznie Barrie uznała, że może zawrzeć taką umowę.

– Była taka impulsywna?

– Trochę, ale nie do tego stopnia.

Położył się obok niej na tapczanie i objął ją ramieniem. Przyjemnie było mieć go przy sobie, czuć jego zapach. Spojrzała mu w oczy i zobaczyła w nich czułość i ciepło. Leciutko dotknął ustami jej warg. Chciała zaprotestować, ale wiedziała, że tego nie zrobi. Ta chwila



była zapisana w jej kartach; coś nieuniknionego, co powitała z radością...

\* \* \*

Spali do późnego rana. Collette obudziła się i popatrzyła na Verna, który spał z wyrazem spokoju na pogodnej twarzy i z łagodnym uśmiechem na wargach. Czy grasz ze mną uczciwie? – zapytywała go w myślach. Wszystko, o czym rozmawiali ubiegłego wieczoru, znikło w fali namiętności i rozkoszy, jaką dali sobie nawzajem w łóżku. Teraz słońce wpadało przez okna, namiętność przygasła, myśli zaczęły zaprzętać realne sprawy rozpoczynającego się dnia. Było to deprymujące uczucie; wołała to, co czuła w łóżku, gdzie – jak ktoś kiedyś powiedział – „nie mogą cię zranić”.

Wstała, przeszła przez pokój i usiadła w fotelu. Wydawało się jej, że siedzi tak bardzo długo, faktycznie jednak już po kilku minutach Vern przebudził się, ziewnął, przeciągnął się i usiadł oparty o plecy łóżka. – Która godzina? – spytał.

– Nie wiem. Późno.

Ziewnął ponownie i opuścił nogi na podłogę. Przesunął palcami po włosach i potrząsnął głową.

– Vern?

– Co?

– Wspaniale było w nocy, ale...

Wolno odwrócił do niej głowę i wykrzywił twarz.

– Ale c o, Collette?

Westchnęła. – Nic. Chyba po prostu nie znoszę budzić się. Wyjeżdżam na kilka dni.

– Dokąd?

– Na Brytyjskie Wyspy Dziewicze.

– Po co?

– Zwyczajnie, żeby stąd wybyć. Potrzebuję tego.

– Jasne. Rozumiem cię, ale czemu akurat tam? Znasz tam kogoś?

– Jedną osobę, czy dwie.

– Gdzie się zatrzymasz?

– Ach... chyba na wynajętym jachcie. Załatwia mi to ktoś z przyjaciół.

– Masz bogatych przyjaciół. – Wstał, zrobił skłon do podłogi i znikł w łazience.

Cahill zdała sobie sprawę, że siedzi w fotelu naga. Wzięła szlafrok z podłogi, gdzie

zrzuciła go wieczorem, i zaczęła zaparzać kawę.

Gdy wrócił, powiało od niego chłodem. Był umyty i ubrany. Przejrzał papiery w teczce i ruszył do wyjścia.

– Nie chcesz kawy? – spytała Cahill.

– Nie, muszę iść. Słuchaj, możemy się już nie zobaczyć przed twoim odlotem.

– Nie wrócisz wieczorem?

– Pewnie tak, ale niewykluczone też, że spędzę noc poza miastem. Tak czy owak, miłych wakacji.

– Dziękuję, postaram się, żeby było przyjemnie.

Vern wyszedł.

Nie wrócił wieczorem i to ją zmartwiło. Co zrobiła, że ciepła, czuła noc przeszła w mroźny poranek? Czy dlatego, że wyjeżdża? Był zazdrosny, wyobraził sobie, że na BWD będzie sypiała z kimś innym, ze starym albo świeżym przyjacielem. Wolałaby móc zdradzić mu charakter swego wyjazdu, jednak smutek i frustrację, jakie ją opanowały na chwilę z powodu tej myśli, złagodziła świadomość, że chyba i on nie był z nią szczery.

W sobotę wstała wcześniej i spakowała się. W ostatniej chwili zaczęła szukać jakiejś książki do czytania na drogę. Wszędzie leżały ich stosy. Wzięła sześć ze stolika przy łóżku i obejrzała okładki. Jedna natychmiast przyciągnęła jej oko. Miała tytuł „Hipnotyzm”, a jej autorem był człowiek nazwiskiem G.H. Eastbrooks. Wrzuciła książkę do torby, którą zabierała ze sobą do samolotu, zadzwoniła po taksówkę i ruszyła do Krajowego Portu Lotniczego.

Kiedy steward Pan Amu podał jej filiżankę kawy, wyjęła książkę z torby i otworzyła ją na stronie, na której był krótki życiorys autora. Eastbrooks był naukowcem z uniwersytetu Rhodes; w 1926 roku otrzymał na uniwersytecie harwardzkim doktorat z psychologii wychowania i był profesorem psychologii, specjalizującym się w psychologii patologicznej i przemysłowej na uniwersytecie Colgate. Książka była po raz pierwszy wydana w roku 1947 i ponownie, w wersji poprawionej, w 1957.

Na pierwszych kilku stronach był opisany proces o morderstwo w Danii, gdzie pewien mężczyzna, używając hipnozy, nakłonił innego do popełnienia zbrodni. Główny świadek oskarżenia, dr P.J. Reiter, autorytet w dziedzinie hipnozy, stwierdził, że każdy człowiek może pod hipnozą popełnić każdy czyn.

Kartkując książkę doszła do strony szesnastej, na której Eastbrooks omawiał wykorzystywanie hipnotyzmu w nowoczesnej sztuce wojennej. Przeczytała to uważnie.

– Weźmy przykład sztuki prowadzenia wojny wykorzystującej metodę zwaną „zahipnotyzowanym posłańcem”. Z przyczyn oczywistych sprawa przekazywania wiadomości podczas wojny, i łączności z własnymi siłami armii, jest dla wojskowych przyczyną poważnych problemów. Mogą stosować kody, lecz kod może zostać zgubiony, ukradziony lub, jak to określamy, złamany. Mogą przysyłać wiadomości przez kurierów, lecz biada wiadomościom, jeśli nieprzyjaciel zlokalizuje kuriera. Mogą przekazywać informacje ustnie, jednakże ciężkie tortury w swych niezliczonych postaciach mogą przyczynić się do ich wydobycia. Wojna to niewesoła sprawa, a ludzie są ludźmi. Wynajdujemy więc technikę, która praktycznie jest bezbłędna. Bierzemy dobre medium, powiedzmy w Waszyngtonie, i pod hipnozą podajemy mu wiadomość, jaką chcemy przekazać. Wiadomość może być długa i skomplikowana, ponieważ osoba ta ma świetną pamięć. Powiedzmy, że wojna wciąż się toczy i że przekazujemy tę osobę do Tokio w ramach zwykłego zadania skontaktowania się na przykład z Korpusem Obsługi Technicznej Armii.

Popatrzmy teraz na bardzo ciekawy obraz. Obudziwszy się, osoba ta wie tylko, że jeśli idzie o jej podróż do Tokio, to jedzie tam w zwykłych sprawach nie mających nic wspólnego z Departamentem Wywiadu; lecz w podświadomości kuriera została umieszczona ta bardzo ważna wiadomość. Ponadto załatwiliśmy sprawę tak, że poza nami na świecie jest tylko jeden człowiek, który może zahipnotyzować tę osobę i odebrać wiadomość, a jest nim niejaki major McDonald w Tokio. Przybywszy do Tokio i działając według zalecenia post hipnotycznego osoba ta odszuka majora McDonalda, który zahipnotyzuje ją i odbierze wiadomość.

Przy zastosowaniu tej techniki nie zachodzi obawa, że w momencie nieuwagi kurier powie żonie czy zdradzi publicznie coś, co mogłoby wzbudzić podejrzenia. Jest on kimś z Korpusu Obsługi Technicznej Armii udającym się do Tokio, i to wszystko. Nie ma niebezpieczeństwa wygadania się po pijanemu. Gdyby nieprzyjaciel powziął podejrzenie co do rzeczywistego powodu jego wizyty w Tokio, straci tylko czas stosując tortury. Świadomie ten człowiek nie wie nic, co miałyby wartość dla wroga. Wiadomość została ulokowana w podświadomości i żadne leki czy próby hipnotyzowania nie wydobędą jej, dopóki kurier nie usiądzie przed majorem McDonaldem w Tokio. Hipnotyzm ma różnorodne zastosowania w sztuce wojennej. Jest o tym mowa w jednym z dalszych rozdziałów.

Collette przejrzała ten rozdział, lecz znalazła tam niewiele wiadomości, które mogłyby równać się z tym, co przeczytała na stronie szesnastej. Zamknęła książkę, przymknęła powieki i spróbowała przypomnieć sobie wszystko, co miało związek z hipnozą i z Barrie

Mayer. Ich doświadczenia podczas studiów. Mayer była takim chętnym i dobrym obiektem eksperymentów.

Jason Tolker. Ten z pewnością dobrze zgłębił problem, ponadto był kontaktem dla Mayer. Czy została zahipnotyzowana w swej roli kuriera? Po cóż się tym przejmować? Teoria Eastbrookska wyglądała dokładnie na to, czym była – po prostu teorią.

MK-ULTRA i Projekt Bluebird – te eksperymentalne programy CIA z lat sześćdziesiątych i początku siedemdziesiątych, które stały się przyczyną oburzenia opinii publicznej i Kongresu. Według oświadczeń złożonych publicznie przez Agencję projekty te zostały zarzucone. Czy istotnie? Czy Mayer była po prostu jeszcze jednym obiektem eksperymentowania, który wy dostał się spod kontroli? A może teorie Eastbrookska, dopracowane przez CIA, zostały w jej wypadku wykorzystane w praktyce?

Na moment myśli jej odbiegły od tematu dociekań. Wkrótce będzie potrzebowała hipnozy, żeby się skupić na jednym przedmiocie. Na wspomnienie Verna Wheatleya oczy jej zwilgotniały – lecz zaraz otworzyła je szeroko. Po co Vern miał przy łóżku książkę Eastbrookska? Hank Fox powiedział, że Wheatley grzebie się w zarzuconych jakoby projektach ULTRA i Bluebird. Może Fox ma rację. Może Wheatley wykorzystuje ją jako kanał informacyjny.

– Niech to diabli – mruknęła w kierunku oparcia fotela przed nią. Przeszła się tam i z powrotem między rzędami siedzeń zaglądając w twarze pasażerów, kobiet i dzieci, ludzi starych i młodych, niemowląt śpiących na kolanach matek, młodych par splecionych uściskiem, biznesmenów pochylonych nad rozłożonymi papierami i podręcznymi komputerami, tego całego spektrum latającej społeczności.

Wróciła na swoje miejsce, zapięła luźno pas i po raz pierwszy od czasu, gdy zaczęła pracować dla CIA, pomyślała o jej porzuceniu. Do diabła z nimi i ich zabawami w złodziei i policjantów, z chowaniem się za mętne twierdzenia, że los wolnego świata zależy od ich tajnych działań. To tak jak zniszczyć wioskę, żeby ją uratować. Wydatki jej firmy nie podlegały kontroli przez żadną inną agendę rządową, bo utrzymywanie ich w tajemnicy leżało „w interesie narodu”. Prezydent Truman miał rację pomstując z czasem na zwierzę, które sam wykreował. CIA to było zwierzę, wolne od wszelkich hamulców, buszujące swobodnie w świecie, z ludźmi, których kieszenie były wypełnione tajnymi sumami pieniędzy. Tu kogoś kupić, tam kogoś obalić, obrócić przyzwoitych ludzi przeciwko ich własnym krajom, redukować wszystko do słów kodu i kołnierzy podnoszonych nocą. – Niech to diabli – powtórzyła. Wysyłać ją, żeby się grzebała w życiu innych ludzi, podczas gdy inni z pewnością robili to samo w stosunku do niej. Nie ufać nikomu. Pod każdym kamyczkiem plaży

czyha groźba komunizmu.

Steward zapytał Cahill, czy życzy sobie drinka. – Z przyjemnością – odparła – poproszę „Krwawą Mary”.

Wypiła połowę drinka i myśli jej skierowały się na powód jej wyjazdu na Brytyjskie Wyspy Dziewicze. Tu leży problem, pomyślała. Pewne rzeczy były ważne nie tylko dla Ameryki, lecz także dla ludzi w innych częściach świata. Na przykład na Węgrzech.

Banana Quick.

Nie zorientowano jej we wszystkich aspektach planu – „ograniczony dostęp do informacji” – lecz to, co jej powiedziano, wystarczyło, aby uświadomić sobie, że stawka jest olbrzymia.

Wiedziała też, że kryptonim Banana Quick pochodzi od maleńkiego ptaszka z BWD o nazwie *bananaquit*, i że ktoś z CIA, kogo zadaniem jest nadawanie projektom nazw, postanowił zmienić ją na Banana Quick. *Quit*<sup>11</sup> ma zbyt negatywny wydźwięk, pomyślał pewnie ten facet. Quick<sup>12</sup> brzmiało lepiej, pozytywnie, zapowiadało działanie i tempo, i było bardziej zgodne z własnym wyobrażeniem CIA o sobie. Było dużo śmiechu i kpin, gdy ta historia się rozeszła, ale takie rzeczy często się zdarzały w Centrali. Stawki na arenie międzynarodowej mogły być wysokie, lecz wewnętrzne machinacje często były zabawne.

Zadaniem Banana Quick było rozpalenie masowego powstania Węgrów przeciwko ich sowieckim „opiekunom”. Próba w roku 56. nie powiodła się. Nic dziwnego, była źle obmyślona i przeprowadzona przez źle uzbrojonych idealistów, którzy nie mogli iść w zawody z sowieckimi czołgami i wojskiem.

Teraz jednak, przy poparciu głównych mocarstw – Stanów Zjednoczonych, Anglii, Francji i Kanady – istniała duża szansa na sukces. Klimat był odpowiedni. Sowietom utracili kontrolę nad Węgrami pod względem społecznym i kulturowym. Węgrzy stopniowo zaczęli żyć życiem coraz swobodniejszym, niewiele sobie robiąc z młodych mężczyzn w mundurach z czerwoną gwiazdą na czapce. Co powiedział jej Árpád Hegedüs, gdy spytała, jak odróżnić żołnierza węgierskiego od sowieckiego? Sowietom to ci o tępym wyglądzie – odpowiedział.

Węgry wolno zwracały się w stronę kapitalizmu. Gwałtownie szerzyło się łapówkarstwo i korupcja. Daj komuś w łapę, a będziesz miał nowy samochód w miesiąc zamiast w ciągu sześciu lat. Na modnych wzgórzach powstawały osiedla złożone z eleganckich apartamentów, do kupienia przez każdego, kto dysponował dostateczną ilością

---

<sup>11</sup> Ang. – zrezygnować. (Przyp. tłum.)

<sup>12</sup> Ang. – szybki. (Przyp. tłum.)

nielegalnej gotówki. Otwierano coraz więcej prywatnych sklepów. Ich właściciele też musieli za ten przywilej zapłacić jakiemuś Rosjaninowi w którymś departamencie, a on z kolei kupował sobie własne mieszkanie na wzgórzach.

Banana Quick. Mały ptaszek bujający swobodnie w prostym, urzekająco pięknym krajobrazie BWD. Stan Podgorsky powiedział jej, że na centrum planowania wybrali idylliczną Wyspę Moskitów, bo – mówiąc jego słowami – komu przyszłoby w ogóle do głowy, że w takim miejscu może być przygotowywane masowe powstanie w jednym z krajów wschodniej Europy? – Poza tym zaczyna już nam brakować odległych miejsc na spotkania, chyba że na Antarktydzie czy w Etiopii, a ja sam nie pojechałbym do tych piekielnych dziur.

Któż mógłby szukać na BWD trustu mózgów, przygotowującego powstanie na Węgrzech? – Przede wszystkim Rosjanie. Wydzierzawili prywatną wysepkę, bo wiedzieli, że coś się kroi, bo nie uwierzyli, że przylatujący tu siwowłosi mężczyźni w ciemnych garniturach to kanadyjscy biznesmeni przygotowujący strategie marketingowe dla nowego wyrobu. Sowieci mogli być tym i owym, ale nie byli głupi. Coś się kroiło. Będą też prowadzić grę, kłamać, utrzymywać, że potrzebowali miejsca, gdzie ich znużeni biurokraci mogliby odprężyć się na słońcu. Będą obserwowali. I my też.

Eryk Edwards. Był tam, żeby obserwować. Żeby patrzeć swoją lunetą w ich teleskopy, oko w oko, być zawsze o krok przed nimi: każdy obserwujący wysyłał stąd raporty do tych w ciemnych garniturach w swoim własnym kraju.

Rozgrywki.

– Rozgrywki! – powiedziała na głos dopijając drinka.

Wysiadając z samolotu w San Juan pogodziła się z faktem, że jest graczem w tej rozgrywce i że da z siebie wszystko. A potem zobaczy. Może...

Może już czas wycofać się z interesu.

A tymczasem będzie stosować filozofię swego ojca: „Skoro bierzesz czyjeś pieniądze, to winienesz mu je przyzwocie odpracować”.

## ROZDZIAŁ 20

– Hallo, nazywam się Jackie, pracuję dla pana Edwardsa – mówiła głośno szczupła tubylka.

– Tak, uprzedził mnie, że tu będziesz – odparła Cahill. Edwards powiedział jej też w rozmowie telefonicznej, że dziewczyna, którą wysłał po nią, jest prawie zupełnie głucha. – Mów głośno i niech ona widzi twoje wargi – dodał.

Jackie przyjechała żółtym, rozklekotanym landroverem. Tylne siedzenie było załadowane, więc Cahill usiadła z przodu obok niej. Edwards nie musiał dawać jej instrukcji, jak ma się porozumiewać z Jackie, bo żadnej rozmowy nie było. Dziewczyna gnała lewą stroną drogi z zawziętą determinacją kierowcy samochodu wyścigowego. Wargi miała zaciśnięte, nogą przyciskała gaz do deski, jedną dłoń miała na kierownicy, drugą nieustannie naciskała klakson. Mężczyźni, kobiety, dzieci, psy, koty, kozy, krowy i inne zwierzęta czworonożne uciekały na dźwięk klaksonu lub wpadały pod koła.

Jechały przez strome wzgórza, z których rozciągały się wspaniałe widoki – woda jak paleta malarza, z wszystkimi odcieniami błękitu i zieleni, bujne lasy porastające zbocza gór, a wszędzie na wodzie białe kreski jachtów, dużych i małych, z żaglami postawionymi lub zwiniętymi. Jazda po wąskiej drodze biegnącej na tej wysokości była tak podniecająca, że Cahill chwilami zapierało dech.

Zjechały w dół do Road Town, okrążyły Road Harbour i stromym zboczem, przez kępę drzew dotarły na płaskowyż. Stał tam jedyny dom, parterowy, ze śnieżnobiałymi ścianami i dachem z pomarańczowych dachówek. Przed czarnymi drzwiami garażu stał czarny czterodrzwiowy mercedes.

Collette wysiadła i odetchnęła głęboko. Wiatr od przystani w dole rozwiewał jej włosy, poruszał liśćmi drzewa kapokowego, białego cedru i drzew *manalikara* otaczających dom. W powietrzu, ciężkim od zapachu *hibiskusa* i *bougainvilli* rozbrzmiewał rechot żabek drzewnych. Z gałązki na gałązkę przelatywały *bananaquity*.

Jackie pomogła wnieść bagaże do przestronnego i przewiewnego domu. Ściany pomieszczeń były białe, posadzka z biało żółtych kafelków, a umeblowanie skąpe. Wiatr wpadający przez otwarte okna poruszał powiewnymi żółtymi firankami. W ogromnej klatce, od podłogi do sufitu, znajdowały się cztery wielkie, bajecznie kolorowe papugi. Jedna z nich powtarzała w kółko: *hello, goodbye, hello, goodbye*.

– Tu jest przepięknie – odezwała się Cahill za plecami Jackie, ale przypomniała sobie,

co mówił Edwards, więc stanęła przed nią i powiedziała: – Dziękuję.

Jackie uśmiechnęła się. – On wróci później. Powiedział, żebyś się rozgościła. Chodź. – Zaprowadziła ją do pokoju gościnnego w tylnej części domu, z podwójnym łóżem przykrytym biało-żółtą kapą. Była tam szafka, toaletka, dwa trzcinowe fotele i zdezelowany kufer. – Dla ciebie – powiedziała Jackie. – Muszę iść. On zaraz tu będzie.

– Tak. Jeszcze raz dziękuję.

– *Bye-bye*. – Dziewczyna znikła. Cahill usłyszała, jak landrover zastartował i odjechał.

No cóż, nie najgorzej – pomyślała. Wróciła do *living roomu* i powiedziała coś do papug, potem przeszła do kuchni, otworzyła lodówkę i wyjęła jedną z licznych butelek wody mineralnej, wcisnęła do niej pół limony, wyszła na taras od strony przystani, zamknęła oczy i zamruczała jak kot. Nieważne, co ją czekało, trzeba się cieszyć tą szczególną chwilą.

Usiadła na szezlongu i popijając drinka czekała na Edwardsa.

Trwało to dłużej, niż sądziła. Po godzinie podjechał z hukiem na hondzie. Na pewno pił. To nie znaczy, że widać było po nim, że jest pijany, ale mówiąc lekko się zacinał. Twarz mu płonęła od przebywania na słońcu.

– Hello, hello, *hello* – powiedział, z uśmiechem ujmując jej dłoń.

– Tylko nie mów: *hello, goodbye, hello, goodbye* – zaśmiała się.

– O, poznałaś już moich przyjaciół. Czy przedstawili się jak należy?

– Nie.

– Źle wychowani. Muszę z nimi pomówić. Nazywają się Peter, Paul i Mary.

– A czwarty?

– Nie mogę się zdecydować. Prince, Boy George, jakaś idiotyczna gwiazda rockandrollowa? Widzę, że wzięłaś sobie coś do picia i „limujesz”.

– „Limujesz”?

– Takie tutejsze słowo na leniuchowanie. Czy podróż była przyjemna?

– Tak. Bardzo.

– Dobrze. Obmyśliłem, co zjemy na obiad.

– Świetnie. Umieram z głodu.

Godzinę później wyruszyli jego mercedesem do miejscowej restauracyjki odległej o dziesięć minut jazdy i zamówili lokalne potrawy. Collette zrezygnowała z głównego dania, które on wziął dla siebie: sos, gotowany świński łeb z cebulą, selerami, ostrą papryką i sokiem z limony, i wybrała coś bardziej tradycyjnego – *kallaloo* – gęsty gulasz z krabów, małży i wieprzowiny z piżmianem, szpinakiem i grubo posiekanym czosnkiem, zupę *tannin*, a jako aperitif przed obiadem rum w świeżym, otwartym na ich oczach, orzechu kokosowym.



– Wyśmienite – orzekła, kiedy skończyli jeść, a potem spróbowała herbaty i la busz.

– Najlepsze lekarstwo na kaca, jakie dotąd wynaleziono – powiedział Edwards.

– Może mi być potrzebne – zażartowała Collette.

Roześmiał się. – Myślę, że ja więcej rozlewam dziennie, niż ty wypijasz.

– Chyba tak.

– Przejedziemy się?

Popatrzyła przez okno w ciemność. Czerń przerywały tylko nieliczne drgające światełka na odległych wzgórzach.

– Pięknie o tym czasie na wodzie. Trudno byłoby iść pod żaglami... o tej porze wiatr zawsze przycicha, ale możemy popływać motorówką. Na pewno ci się to spodoba.

Popatrzyła na obcisłą białą suknię, którą miała na sobie. – Niezbyt odpowiednia na żaglówkę – powiedziała.

– Żaden problem – odparł wstając i stawiając na miejsce jej krzesło. – Jest masa tych rzeczy na łodzi. Chodźmy.

W czasie kilku chwil jazdy do miejsca, gdzie stały jachty Edwardsa, Cahill poczuła z przyjemnością, że jest zupełnie odprężona. Było to coś, czego nie odczuwała od bardzo dawna. Z całego serca była za „limowaniem”, jeśli w rezultacie człowiek czuł się tak, jak ona teraz.

Wiedziała, że w znacznym stopniu zawdzięczała to uczucie mężczyźnie za kierownicą, Erykowi Edwardsowi. Co mają w sobie tacy mężczyźni jak on, że przy nich kobieta czuje się ważna i bezpieczna? Dużą rolę grał oczywiście jego wybitnie męski, a jednocześnie nieco nonszalancki wygląd; ale było w tym coś więcej. Chemia? Jakiś proces związany ze zmysłem powonienia? Klimat, słodka woń nocnego powietrza tropikalnego, jedzenie i rum w żołądku? Któż to wie? Na pewno nie Cahill, ale nie przejmowała się tym. Rozmyślanie na ten temat nasilało jeszcze to uczucie.

Edwards pomógł jej wejść na Morgana 46, uruchomił silnik i generator, i zapalił światło w kabinie. – Wybierz, co zechcesz z tego, co jest w skrzyni – powiedział.

Cahill podniosła pokrywę skrzyni i zobaczyła różne stroje damskie. Uśmiechnęła się; poza wszystkim innym praktykował zwabianie kobiet na niespodziewane, nocne wyprawy jachtem. Wyciągnęła szorty z białego welwetu i granatową koszulkę bez rękawów. Edwards poszedł na pokład. Szybko zrzuciła pantofle z nóg, zdjęła suknię i włożyła koszulkę i szorty. Powiesiła suknię na drzwiach łazienki i podeszła do Edwardsa w chwili, gdy odrzucał cumy.

Fachowo manipulując silnikiem i generatorem, Edwards wypłynął z doku i dodawszy gazu wolno przeprowadził dużą, lśniącą łódź obok innych zacumowanych jednostek, aż

znaleźli się na otwartej wodzie. – Teraz kolej na ciebie – powiedział wskazując na ster. Chciała protestować, ale jej przerwał. – Kieruj się tylko na tamtą boję ze światełkiem. Wracam za chwilę. – Poszedł na dziób, a ona wsunęła się za ster, odetchnęła głęboko, żeby opanować zdenerwowanie, a potem uśmiechnęła się i odprężona usiadła na miękkim siedzeniu.

Jej poprzednie uczucie odprężenia było niczym w porównaniu z euforią, jaką teraz odczuwała.

Po kilku minutach Edwards wrócił i wyruszyli na niespieszną przejażdżkę. Płynęli spokojnie wschodnim kursem przez kanał Sir Francis Drake's, obok świateł Tortoli i zarysu „Tłustej Dziewicy”. – Wyspy Virgin Gorda – ich punktów orientacyjnych.

– O czym myślisz? – zapytał cichym głosem.

Na jej twarz wypłynął uśmiech głębokiego zadowolenia. – Myślałam właśnie, że właściwie nie mam pojęcia, jak żyć.

Zachichotał. – Nie zawsze jest tak spokojnie, Collette, na pewno nie wtedy, gdy wynajmuję jacht trzem albo czterem parom, zdecydowanym dobrze się zabawić i chlejącym w tempie, w jakim nadażam podawać im alkohol.

– Na pewno tak bywa – odparła Cahill. – Ale musisz przyznać, że nie zawsze. Masz z pewnością czas na...

– Czas na przejażdżki przy księżycu z pięknymi młodymi kobietami? Tak. I chyba nie masz mi tego za złe?

Odwróciła się i spojrzała na niego. Edwards uśmiechnął się szeroko, jego bardzo białe zęby zdały się fosforyzować w świetle księżyca. Powiedziała: – Jakżeby mogła? Dla mnie to niebываła frajda. – Chciała jeszcze dodać kokieteryjnie, że nie czuje się „piękną kobietą”, ale postanowiła dać spokój. Nigdy w życiu nie czuła się piękniejsza.

Pływali jeszcze przez godzinę, a potem zawrócili. Była druga rano, gdy dopłynęli do doku. Zasnęła z głową na jego ramieniu. Teraz pomogła mu zacumować Morgana i oboje weszli do domu. Edwards nalał miarki czystego rumu Pussera do dużych koniakówek.

– Wyglądasz na zmęczoną – powiedział.

– Bo jestem. To był długi dzień... i noc.

– Czemu nie idziesz do łóżka? Ja muszę wcześniej wypłynąć, ale ty sobie pośpij. Czuj się, jak u siebie w domu. Odbijemy sobie, jak wrócę. Zostawię w kuchni kluczyki do mercedesa. Nie krępuj się.

– To wspaniałomyślnie z twojej strony, Eryku.

– Cieszę się, Collette, że jesteś tutaj. Nie wiem czemu, ale dzięki temu czuję się jakby

bliższy Barrie. – Popatrzył na jej twarz. – Nie obrazisz się za to na mnie? Nie chciałbym, żebyś czuła się wykorzystywana, jeśli rozumiesz, co mam na myśli.

Uśmiechnęła się, wstała i powiedziała: – Jasne, że nie. Zabawne, ale w czasie przejażdżki jachtem myślałam dużo o Barrie i też poczułam się jej bliższa przez to, że jestem tutaj. Jeśli można mówić o wykorzystywaniu, to wykorzystujemy się nawzajem. Dobranoc, Eryku. Dziękuję za uroczy wieczór.

## ROZDZIAŁ 21

Usłyszała, jak Edwards odjeżdżał i zastosowała się do jego rady: odwróciła się na drugi bok i ponownie zasnęła. Zbudziwszy się nie miała pojęcia, która jest godzina, ale w pokoju zrobiło się gorąco. Spojrzała na wolno obracający się pod sufitem wiatrak wentylatora, włożyła dres i poszła do kuchni. Tęga czarna kobieta czyściła blaty kuchenne. – Dzień dobry – powiedziała Collette.

Kobieta, odziana w kwiecistą sukienkę i sandały z rafii, uśmiechnęła się i odparła śpiewnie: – Dzień dobry pani. Pan Edwards nie ma, wyjechał.

– Tak, wiem. Słyszałam, jak odjeżdżał. Nazywam się Collette.

Kobieta wyraźnie nie chciała aż tak się spoufalać, bo odwróciła się i kolistymi ruchami dalej polerowała blaty.

Collette wzięła z lodówki dzbanek świeżo wyciśniętego soku pomarańczowego, naląła sobie dużą szklankę i wyszła na taras. Usiadła przy okrągłym białym stoliku z umieszczonym w otworze pośrodku pomarańczowym parasolem i wróciła myślami do rozmowy w kuchni. Najpewniej Edwards gościł tu tyle młodych kobiet, które kręciły się po kuchni i mówiły, jak im na imię, że gospodyni uznała, iż nie warto tych imion zapamiętywać. Przypuszczalnie nie zostawały tu nigdy na tyle długo, żeby zdążyć się zadomowić.

W dole, na przystani i w porcie, panował ożywiony ruch. Cahill przysłoniła oczy dłonią przed słońcem i znalazła w kompleksie zabudowań miejsce, gdzie stały jachty Edwardsa. Była za daleko, żeby zobaczyć, czy on tam jest, przypuszczała jednak, że wyjechał wcześniej, żeby wyprowadzić w morze wynajętą łódź. Z drugiej strony nie powiedział tego wyraźnie, więc może ma na wyspie co innego do roboty.

Wzięła z sypialni książkę Eastbrooks'a o hipnozie, wróciła na taras, usadowiła się w fotelu i zaczęła czytać od miejsca, na którym przerwała lekturę w samolocie.

W miarę czytania coraz bardziej fascynował ją fakt, że niektórzy ludzie są podatniejsi na hipnozę i że według autora ci ludzie są zdolni do niezwykłych wyczynów pod działaniem hipnozy. Eastbrooks cytował przykłady mężczyzn i kobiet przechodzących w stanie zahipnotyzowania poważne operacje bez innych środków znieczulających. W przypadku takich ludzi całkowita amnezja jest nie tylko możliwa, lecz może być z łatwością wywołana przez wykwalifikowanego hipnotyzera.

Dowiedziała się też, że wbrew temu, co się na ogół sądzi, człowiek wchodzący w stan hipnozy wcale nie śpi. Będąc pod jej działaniem faktycznie wchodzi on w stan świadomości,

w którym może się koncentrować niezwykle intensywnie i blokować wszystko inne. Pamięć „wewnątrz” wzmaga się; pod hipnozą można w godzinę opanować materiał wymagający miesięcy pracy i zapamiętać właściwie wszystko.

Szczególnie zafascynował Collette rozdział o tym, czy jest rzeczą możliwą nakłonić człowieka pod hipnozą, aby dokonał czynu podłego lub niezgodnego z prawem. Przypomniała sobie, co mówiono na uczelni, gdy chłopcy opowiadali bzdury o hipnotyzowaniu dziewcząt, żeby je skłonić do rozebrania się. Jeden z nich wysłał zamówienie na publikację reklamowaną na okładce komiksu, a obiecującą „Pełną hipnotyczną zdolność uwodzenia kobiet”. Dziewczęta chichotały, ale chłopcy próbowali namówić je, aby uległy ich nowo odkrytej sile. Żadna nie zgodziła się i sprawa poszła w zapomnienie, gdy nastąpiła nowa moda, chyba na brzuchomówstwo.

Według Eastbrooksa nie jest rzeczą możliwą zmusić człowieka zahipnotyzowanego, aby działał wbrew swym zasadom moralnym i etycznym. Można jednak osiągnąć to samo drogą „zmiany sposobu postrzegania”. Wyjaśniał dalej, że o ile na przykład nie można namówić młodej damy o dobrych obyczajach na rozebranie się, to pod hipnozą można ją przekonać, że jest sama w pokoju, gdzie panuje nieznośne gorąco. Albo też – o ile może być rzeczą niemożliwą namówić kogoś, nawet najbardziej podatnego na hipnozę, aby zamordował bliskiego przyjaciela – to można stworzyć odpowiedni „scenariusz wizualny”, a więc zasugerować mu, że to coś, co weszło do pokoju, to nie ów przyjaciel, lecz rozjuszony niedźwiedź, zamierzający zabić osobę zahipnotyzowaną; i wtedy osoba ta wystrzeli w samoobronie.

Cahill podniosła wzrok na jasnoblękitne niebo. Słońce stało nad jej głową; nie miała pojęcia, że tak długo czytała. Odniosła szklankę do kuchni, wzięła prysznic, przebrała się w to, co miała najlżejszego i najbardziej przewiewnego i wsiadła do mercedesa przez niewłaściwe drzwi. Kierownica była z prawej strony – zapomniała, że jest na wyspach należących do Wielkiej Brytanii. Żaden problem, pomyślała. Miała sporo doświadczenia z Anglii w jeździe lewą stroną drogi.

Ruszyła, nie mając najmniejszego pojęcia, dokąd pojedzie. Spodobało jej się to. Krążąc po wyspie bez konkretnego adresu i rozkładu jazdy będzie mogła poznawać ją bezpośrednio i na własną rękę szukać przygód i rozrywki.

Wjechała do Road Town, jedynej w pełni handlowej strefy BWD, zaparkowała i zaczęła spacer wąskimi uliczkami, przystając, aby podziwiać klasyczne przykłady zachodnioindyjskiej architektury: budynki pomalowane w żywe kolory, z czterospadowymi dachami połyskującymi w południowym słońcu i z ciężkimi żaluzjami pootwieranymi dla

wpuszczenia powietrza i światła. Wchodziła do sklepów – wiele z nich właśnie otwierano – i kupowała drobne prezenty do zabrania ze sobą do domu.

O drugiej wsiadła do mercedesa. Po wyjechaniu z miasta zbłądziła, ale się tym nie przejęła. Gdziekolwiek spojrziała, rozciągały się wspaniałe widoki i często przystawała na poboczu górskiej drogi, żeby napawać się ich naturalnym pięknem.

Na ostrym zakręcie spojrziała w prawo i zobaczyła duży szyld: „PUSSER’S LANDING”. Zapomniała o tym, co jej powiedział Hank Fox. Spojrzała na zegarek; była prawie trzecia, ale pomyślała, że skoro wszystko na wyspie zaczyna się późno, pewnie trwa jeszcze pora *lunchu*. Zaparkowała, przeszła pod szyldem, minęła sklep z upominkami i dotarła do tarasu restauracyjnego wychodzącego na spokojną, osłoniętą zatokę.

Zdążając ku wolnemu stolikowi blisko wody doszła do wielkiej klatki na ptaki. Była w niej duża, oswojona papuga. Collette rozejrzała się. Na tarasie znajdowało się ze dwadzieścia osób; niektórzy siedzieli przy stolikach, inni stali w małych grupkach popijając drinki na rumie. Postanowiła najpierw zająć miejsce przy stoliku i zamówić coś do jedzenia, a potem pokarmić ptaka, żeby się przekonać, czy ktoś podejdzie do niej. Poprosiła o hamburgera i piwo, i podeszła do klatki. – Hallo, staruszko – powiedziała. Ptak obrócił na nią senny wzrok. Przed klatką stała tacka z ptasim pokarmem. Wzięła kawałek jakiegoś owocu i wsunęła rękę przez otwarte drzwiczki klatki. Papuga wzięła z jej ręki owoc, posmakowała i upuściła na podłogę klatki.

– Grymaśnica z ciebie – powiedziała. Wzięła trochę nasion i podała je na wyciągniętej dłoni. Papuga dziobnęła nasionko i połknęła. – Chcesz jeszcze? – spytała. Tak ją zajęło karmienie ptaka, że zapomniała o rzeczywistym powodzie tej czynności.

– Ładna? – odezwał się męski głos.

Drgnęła, gwałtownym obróceniem głowy w kierunku mówiącego zdradzając zaskoczenie. Uśmiechnęła się nadrabiając miną i rzekła: – Tak, jest piękna.

Mężczyzna, do którego należał głos, był wysoki i tęgi. Ubrany był w workowaty kombinezon i brązową przybrudzoną koszulę. Przerzedzone czarne włosy bezładnie wiły się na jego głowie. Miał jasną skórę – z pewnością owoc mieszanego małżeństwa – i bladoniebieskie oczy. Wygląda interesująco, pomyślała Cahill.

– Nazywam ją Hank – ciągnął mężczyzna.

– Wydaje mi się podobna do lisa<sup>13</sup> – powiedziała intuicyjnie.

Mężczyzna roześmiał się. – Tak. Lis imieniem Hank. Przybyła pani na wyspy z

---

<sup>13</sup> W oryginale ang. gra słów: fox = lis, to nazwisko szefa Collette, Hanka Foxa. (*Przyp. tłum.*)

wizytą?

– Tak. Jestem ze Stanów.

– Czy nasi ludzie są dla pani mili i pomocni?

– Bardzo. – Dalej karmiła ptaka ziarenkami nasion.

– Jesteśmy z tego znani. To ważne w turystyce. Jeśli mógłbym zrobić coś dla pani w czasie jej pobytu, proszę powiedzieć mi bez wahania. Codziennie jestem tu na *lunchu*.

– To miło z pańskiej strony. Pan się nazywa...?

Uśmiechnął się i wzruszył ramionami. – Proszę mówić do mnie Hank.

– Jak lis.

– Niech pani popatrzy na mnie. Właściwszy byłby niedźwiedź. Życzę pani miłego dnia i przyjemnego pobytu.

– Dziękuję. Teraz wiem, że będzie przyjemny.

## ROZDZIAŁ 22

– Przyjemnie spędziłaś dzień? – spytał Eryk Edwards wchodząc na taras, gdzie siedziała Collette. Wykąpała się, włożyła plażowe wdzianko, w lodówce znalazła szklany dzbanek wypełniony ciemnym płynem i postanowiła spróbować. – Co to jest? – spytała Edwardsa, gdy przysiadł się do niej.

– O, znalazłaś moją dzienną porcję *maubi*. Gospodyni przygotowuje ją dla mnie. Nie ma w tym alkoholu, lecz jeśli postoi dostatecznie długo, fermentuje, przekształcając się w coś, co zbija człowieka z nóg. Robi się to z kory drzew, imbiru, majeranku, ananasa i takich tam rzeczy.

– Jest wyśmienite.

– Tak, tylko że ja potrzebuję teraz prawdziwego drinka. Pozwól, że sobie go wezmę, a potem powiem, co będziesz robić przez następne dwa dni twoich wakacji.

Wrócił z dużą szklanką wódki z martini i lodem. – Chciałabyś popłynąć na prawdziwy rejs? – zapytał.

– Bardzo – odparła. – Co znaczy prawdziwy rejs?

– Dwa dni i noc. Z samego rana Jackie zaopatrzy jacht w prowiant. Spędzimy dzień pod żaglami i wtedy pokażę ci naprawdę BWD. Znajdziemy ładne miejsce do zakotwiczenia na noc, a dni spędzimy chwytając pomyślne wiatry i oglądając jeden z boskich darów dla świata. Podoba ci się ten plan?

– Brzmi bosko – odparła. Wyglądało to inaczej, niż sądziła początkowo. Żeglowanie oznaczało brak kontaktu, zwłaszcza z punktem kontaktowym w „Pusser’s Landing”. Tamto krótkie spotkanie w jakiś sposób dodało jej otuchy.

Wiedziała jednak, że jej zadaniem jest trzymać się blisko Edwardsa i wybadać go, na ile się da. Jak dotąd udało jej się tylko stwierdzić, że jest przystojny, czarujący, i że jako gospodarz ma szeroki gest.

Wieczorem Edwards zabrał ją na kolację do hotelu „Fort Burt”, a przed powrotem do domu wstąpili na drinka na Prospect Reef. Collette przypuszczała, że punktem kulminacyjnym tego ciepłego, uroczego wieczoru będzie próba uwiedzenia jej. Leżąc potem w łóżku roześmiała się, uświadomiwszy sobie, że brak jakichkolwiek prób uwiedzenia wprowadził ją w rozterkę. Nie chciała być uwiedziona przez Eryka Edwardsa, z drugiej zaś strony było w niej coś, trochę w duszy i trochę w ciele, co bardzo tego pragnęło.

Słyszała, jak Edwards chodził po domu, i leżąc w łóżku próbowała odgadywać, co on



robi. Wyszedł na dwór, wrócił, a potem usłyszała, że zmywarka do naczyń zaczęła pracować. Zamknęła oczy i skoncentrowała się na dźwiękach dochodzących zza okna. Najwięcej hałasu robiły rzekotki. Przyjemnego hałasu. Rozmyślanie o czekających ją dwóch dniach na wspaniałym jachcie ukołysało ją do błędnego snu.

\* \* \*

Edwards nalał sobie rumu do szklanki z kostkami lodu i usiadł na tarasie. Przystań w dole była spokojna i ciemna poza światełkami błyskającymi od czasu do czasu przez małe bulaje stojących tam jachtów. Jedno z tych światełek pochodziło z jego Morgana. Pomocniczka Edwardsa, Jackie, kończyła układać na tacy jarzyny przygotowane przez nią na rejs. Przykryła tacę plastykiem i wstawiła do lodówki w kambuzie obok pozostałych artykułów spożywczych i napojów zamówionych przez Edwardsa.

Podeszła do trapu, zrobiła dwa kroki w górę i obrzuciła spojrzeniem pokład i dok. Potem wróciła do kabiny i podeszła do niskich drzwiczek prowadzących do sporego schowka, gdzie składowano zapasowe przyrządy, nadmuchiwane poduszki i sprzęt do nurkowania. Gdy otworzyła drzwiczki, padło na nią światło poruszającej się latarki. – Skończyłeś? – spytała.

Młody tubylec podczołgał się ku niej na kolanach, oświetlił latarką swą twarz i skinał głową. Dała mu znak, żeby poszedł za nią. Mężczyzna obrzucił ostatnim spojrzeniem ciemny kąt schowka. Dziewczyna nic oczywiście nie słyszała, lecz on, koncentrując całą uwagę, dosłyszał w ciszy nocy równomierne, rytmiczne tykanie.

Poszli do głównej kabiny i wygasili w niej światła. Dziewczyna znowu weszła po dwóch stopniach trapu, rozejrzała się i stwierdziwszy, że nie ma nikogo, machnęła ręką, żeby szedł za nią. Oboje szybko zeszli na nabrzeże. Wymienili spojrzenia i każde poszło w swoją stronę – Jackie w kierunku głównych budynków, a mężczyzna ruszył wąską drewnianą kładką ku małej plaży i zniknął między drzewami.

## ROZDZIAŁ 23

– Dobra robota, Jackie – powiedział Edwards, gdy szczupła dziewczyna w obcisłych szortach i bawełnianej koszulce rzuciła mu ostatnią cumę z nabrzeża.

Uśmiechnęła się i pomachała ręką.

Wyprowadziwszy łódź z przystani i skierowawszy ją na te same wody, którymi pływali dwie noce temu, Edwards oddał ster Cahill. Tym razem wzięła go bez wahania; bardzo chciała poprowadzić lśniący jacht tak fachowo, żeby zasłużyć sobie na uznanie.

– Nie wiem, jakie masz pojęcie o żeglowaniu – odezwał się Edwards – ale będziesz musiała mi pomóc.

– Niewielkie – przyznała się Cahill podnosząc w górę obie ręce – ale będę robić, co mi każesz.

– To wystarczy – orzekł Edwards. – Wyłączmy tę hałaśliwą bestię i postawmy żagle.

Przeływanie przez kanał Sir Francisa Drake’a w dzień tak bardzo różni się od przepływania nocą, jak dzień od nocy, uświadomiła sobie Cahill. Słońce padając na wodę nadawało jej fantastycznej, turkusowosrebrnej barwy. Siedziała u steru i obserwowała Edwardsa, który ubrany tylko w białe kąpielówki biegał po dachu kabiny i pokładzie dziobowym jachtu regulując naciąg fałów i olinowania ruchomego. Wielkie białe żagle wyduły się na wietrze, a ich łopot o drzewce jachtu brzmiał jak uderzenia skrzydeł gigantycznych ptaków. Skończywszy pracę Eryk stanął z dłońmi na biodrach i zadowolonym spojrzeniem obrzucił białe płótna wypełnione symetrycznie przez karaibski wiatr wiejący z prędkością dwudziestu węzłów. Cahill pomyślała, że to scena jak z filmu. Wciągnęła głęboko powietrze i obróciła twarz ku słońcu. Filmu szpiegowskiego – czy romansu?

– Dokąd płyniemy? – spytała, gdy podszedł do niej.

– Kanałem obok Wyspy Wołowej – tej, na której wylądowałaś – i dalej przez Psy.

– Psy?

– Tak. Każdy, kogo zapytasz, skąd ta nazwa, powie ci co innego. Ktoś mi kiedyś powiedział, że Sir Francis Drake wysadził tu swoje psy. Niektórzy uważają, że wyspy kształtem przypominają psy. Ja jednak myślę, że nazwę „Psy” nadano wyspom w taki sam sposób, w jaki przeważnie nadaje się tu nazwy. Komuś po prostu ta nazwa podobała się. Wyspy są trzy. Minąwszy je znajdziemy się za północno-zachodnim cyplem wyspy Virgin Gorda. Myślałem, żeby ją opłynąć i dostać się na Wyspę Moskitów.

Czy sprawdzał ją mówiąc te słowa? – zastanawiała się Cahill. Czekał na jej reakcję po

wymienieniu nazwy Wyspy Moskitów? Chyba nie, bo gdy tylko skończył mówić o planowanej trasie żeglugi, odszedł znów do swoich zajęć na dziobie.

Po trzeciej dotarli do Psów i stanęli na kotwicy opodal Marina Cay, gdzie popływali w cieplej, niewiarygodnie przezroczystej wodzie i zjedli *lunch*. Nasyciwszy głód Collette poczuła się senna, lecz gdy tylko ruszyli znowu w drogę, wrócił jej duch i energia i z zapalem zabrała się do pełnienia roli zastępcy kapitana. Przeszli między Psem Zachodnim i Wielkim Psem, opłynęli mały występ lądu – Edwards powiedział, że to Wyspa Karaluchów – a potem ruszyli prawie prosto na wschód, w kierunku cypla Anguilla Point, wystającego z Tłustej Dziewicy. W oddali zamajaczyła Wyspa Moskitów.

– Widzisz tamtą wyspę? – odezwał się Edwards wskazując na kawałek lądu po swojej lewej stronie. – To naprawdę psy lub tacy, co zeszli na psy. – Przysłoniwszy oczy dłonią Cahill zobaczyła wysepkę z dominującym nad nią wielkim domem zbudowanym na jej szczycie. Edwards podał jej lornetkę. Nastawiała ją tak długo, aż wysepka i budowla na niej stały się wyraźnie widoczne. Faktycznie cała wyspa była otoczona wysokim żelaznym płotem z rozciągniętym u góry drutem kolczastym. Po ogrodzonym terenie biegały dwa wielkie czarne dobermany. Na dachu budynku były skomplikowane anteny i wielka antena satelitarna.

Opuściła lornetkę na kolana. – Czy to prywatna wyspa?

Edwards zaśmiał się. – Tak, to własność prywatna. Właściciel wydzierżawił ją niedawno Związkowi Sowieckiemu.

Collette udała zaskoczenie. – Po co Związkowi Sowieckiemu ta wyspa?

Edwards znowu się roześmiał. – Mówią, że po to, aby ich prominenci mieli gdzie wypoczywać i relaksować się. Jednak istnieją co do tego wątpliwości.

Cahill spojrzała na niego pytająco. – Czy ludzie myślą, że tam są wojskowe urządzenia?

Edwards wzruszył ramionami i włożył lornetkę w uchwyt przy relingu rufowym. – Nikt nie wie na pewno – odparł. – Pomyślałem po prostu, że chciałabys to zobaczyć.

– I rzeczywiście – odparła.

Przeprowadził łódź wokół cypla Anguilla Point i podszedł do Wyspy Moskitów od południa. Zszedł pod pokład i na kanale 16t UKF połączył się z Drake's Anchorage, jedynym kurortem na wyspie, informując, że zacumuje w zatoce i prosi o szalupę, żeby ich zabrała na drinki i obiad. Miły kobiecy głos spytał Edwardsa, kiedy rzuci kotwicę. – Za godzinę, może półtorej – odparł. Wyłączył mikrofon, żeby spytać Cahill: – Chciałabys popływać, zanim udamy się na ląd?

– Bardzo – odparła.

– Za półtorej godziny – powiedział Edwards swojej rozmówczyni.

Zwykle Edwards podprowadzał Morgana bliżej, ale chciał, aby Cahill zobaczyła pierwszorzędną rafę do nurkowania kilka mil na wschód, w pobliżu Prickly Pear Island. Podpłynął tam, rzucił kotwicę, zszedł pod pokład, otworzył drzwiczki schowka i wyjął stamtąd dwie pary masek i płetw. Pomógł Collette założyć płetwy, poprawił maskę na jej twarzy, a potem sam włożył maskę i płetwy.

– Gotowa? – spytał.

Kiwnęła głową.

– Idziemy.

Edwards wszedł na podporę pokładową i plecami rzucił się do wody. Cahill udało się zrobić to samo i już po chwili płynęli obok siebie w kierunku wskazanej przez niego rafy koralowej.

Edwards wysunął się przed nią i pod wodą wskazał na wspaniałą rafę koralową z wielobarwnymi polipami jakby przywołującymi ich milionami „palców”. Zza rafy pojawiła się gromadka żółtych ryb i przepłynęła pod nimi tak blisko, że Cahill mogła przesunąć dłońią po jednej z nich.

Edwards wysunął głowę z wody i wypluł z ust fajkę. Cahill zrobiła to samo.

– Opłynemy rafę z tamtej strony – powiedział, wskazując głową kierunek. – Jest tam wielka...

Na początku był odgłos głuchego huku, bardziej wyczuwalny niż słyszalny z miejsca, gdzie się znajdowali. Grzmot? W taki dzień? Spojrzeli dookoła, a potem popatrzyli w kierunku, z którego przybyli. W ułamek sekundy później blisko czternastometrowy Morgan Edwardsa wyskoczył w jasnoblękitne niebo BWD niczym gigantyczna kula ognia. Z wierzchołka tej kuli posypały się tysiące odłamków i drzazg tego, co było wspaniałą łodzią żaglową.

Wybuch był ogłuszający, lecz jeszcze potężniejszy był jego skutek pod powierzchnią wody. Cahill i Edwards znaleźli się nagle w oszalałym wirze wodnym. Collette, rzucona na plecy, miała usta pełne wody. Rękami i nogami szukała czegoś, czego mogłaby się chwycić, czegoś, co pozwoliłoby jej przeciwstawić się gwałtownej sile, w której mocy się znalazła.

A potem woda uspokoiła się równie szybko, jak się wzburzyła. Deszcz szczątków leciał na nich z nieba, płonące odłamki drewnianych części jachtu wpadały do wody z wściekłym sykiem, jak meteoryty opadały wielkie kawały szkła i drewna, stali i plastyku. Cahill dostała w plecy płonąca drzazgą, ale szybko zanurzyła się i ból ustał.

Oprzytomniała już na tyle, że zaczęła się zastanawiać, co się stało i co robić dalej. Poszukała wzrokiem Edwardsa. Leżał na boku koło rafy, z wyciągniętą w niebo jedną ręką, jakby szukającą haka, żeby się go chwycić. Z wystającej nad wodą części jego twarzy płynęła krew, usta miał otwarte jak zdychająca ryba.

Cahill podpłynęła do niego. – Nic ci się nie stało? – zadała idiotyczne pytanie, odruchowo wyciągając rękę ku ranie na jego skroni.

Dźwignął się i zaczął wypluwać wodę z ust i gardła. Potrząsając głową rzekł: – Chyba mam złamaną rękę. – Cahill odwróciła się w wodzie i spojrzała na miejsce, gdzie stał jacht. Wszystko, co po nim zostało, to trochę dymiących szczątków. Wielka łódź motorowa przebiła się przez dym, opłynęła szczątki i ruszyła prosto ku nim.

Trzej młodzi tubylcy pomogli Cahill wejść do łodzi, a potem ostrożnie wciągnęli Edwardsa. Cahill popatrzyła na jego rękę i spytała: – Czy możesz nią poruszać?

Skrzywił się, próbując wyprostować rękę. – Chyba tak. Może nie jest złamana.

Teraz, już bezpieczna w łodzi, Cahill poczuła nagle, fizycznie i psychicznie, okropność tego, co się stało. Opadła na drewnianą ławkę i zaczęła dyszeć szybko i gwałtownie. – O mój Boże, mój Boże, co się stało?

Edwards nie odpowiedział. Szeroko otwartymi oczyma wpatrywał się w to, co zostało z Morgana.

– Zawieźć was z powrotem? – spytał jeden z tubylców.

Edwards kiwnął głową i powiedział: – Tak, zawieźcie nas na wyspę. Musimy zatelefonować.

## ROZDZIAŁ 24

W biurze kierownika Drake's Anchorage Cahill opatrzyła Edwardsowi rękę i głowę. Edwards zatelefonował do swego biura na Tortoli i kazał przysłać motorówkę, żeby ich zabrała na Virgin Gorda. Gdy prom z Wyspy Moskitów dowiózł ich tam, udali się zaraz do szpitala, gdzie Edwards otrzymał bardziej fachową pomoc, z prześwietleniem ręki włącznie. Nie było złamania, ale rana głowy od uderzenia metalowego odłamka była głębsza, niż przypuszczali, i wymagała założenia jedenastu szwów.

Zawieziono oboje do przystani, gdzie miejscowy pracownik z personelu Edwardsa czekał na nich z dużą motorówką. Godzinę później byli w domu.

W drodze powrotnej na Tortolę prawie nie odzywali się do siebie. Collette wciąż była w lekkim szoku. Edwards wyglądał na zupełnie przytomnego, lecz przez całą drogę na jego skurczonej bólem twarzy malował się wyraz zamyślenia.

Wyszli na taras i patrzyli na przystań.

– Tak mi przykro – powiedział.

– I mnie też – odparła. – Wiesz, cieszę się, że żyję. Gdybyśmy nie zdecydowali się popływać...

– Jest mnóstwo różnych „gdyby” – mruknął.

– Co mogło być powodem? – pytała Cahill. – Wyciek benzyny? Słyszałam o takich wypadkach na łodziach.

Nie odpowiedział. Stał ze wzrokiem utkwionym w odległe jachty. Potem wolno odwrócił głowę i rzekł: – To nie był wyciek benzyny, Collette. Ktoś zmajstrował coś na jachcie, podłożył materiał wybuchowy z zapalnikiem czasowym.

Zrobiła kilka kroków do tyłu, aż nagimi łydkami dotknęła metalowego krzesła. Opadła na nie, on zaś wciąż patrzył na przystań, wychylony na zewnątrz, z dłońmi na balustradzie tarasu. W końcu odwrócił się i oparł plecami o balustradę. – Cholernie mało brakowało, żebyś zginęła z powodu spraw, o których nic nie wiesz, i chcę, Collette, powiedzieć ci o nich.

Bardzo pragnęła usłyszeć, co on ma do powiedzenia, ale nagle poczuła silne mdłości, dreszcze i ból głowy. Wstała opierając się o poręcz krzesła. – Eryku, muszę się położyć. Nie czuję się dobrze. Czy możemy pomówić później?

– Jasne. Idź odpocząć. Jak tylko będziesz w stanie, usiądziemy i pogadamy o tym, co się stało.

Z uczuciem wdzięczności położyła się i zasnęła niespokojnym snem.

Gdy się ocknęła, leżała twarzą ku oknu. Na dworze było ciemno. Usiadła i przetarła oczy. Rzekotki wykonywały swą zwykłą symfonię. Poza tym panowała cisza.

Spojrzała na lekko uchylone drzwi.

– Eryk? – powiedziała niedosłyszalnie. – Eryk – powtórzyła głośniejszym głosem. Nie było odpowiedzi.

Spała w tym, co miała na sobie ubiegłego dnia, zdjęła tylko pantofle. Postawiła boscie stopy na chłodnej posadzce, wstała i spróbowała otrząsnąć się z senności i chłodu, który wywołał na jej ciele gęsią skórę. – Eryk? – powtórzyła raz jeszcze. Otworzyła drzwi i wyszła na korytarz. Z *living roomu* światło padało do miejsca, w którym stała. Poszła w tamtym kierunku, przeszła przez *living room* i podeszła do otwartych drzwi tarasu. Nikogo. Cisza.

Otworzyła drzwi frontowe. To samo. Przed domem stał mercedes i motocykl, lecz ani znaku ich właściciela.

Podeszła do samochodu i zajrzała do wnętrza, a potem ruszyła ku tej stronie domu, gdzie duże drzewo tworzyło naturalny dach nad białą ławeczką z kutego żelaza.

– Dobrze spałaś?

Otworzyła usta w bezgłośnym okrzyku. Odwróciwszy się ujrzała Eryka stojącego za drzewem.

– Dobrze wypoczęłaś? – spytał podchodząc do niej.

– Tak, ja... nie wiedziałam, dokąd poszedłeś.

– Nigdzie. Po prostu cieszę się przyjemnym wieczorem.

– Tak, jest... przyjemny. Która godzina?

– Dziewiąta. Zjadłabyś jakąś kolację?

– Nie jestem głodna.

– Mimo to coś przyniosę; nic specjalnego, dwa steki, tutejsze jarzyny. Za pół godziny, dobrze?

– Tak, świetnie. Dziękuję.

Pół godziny później przysiadła się do niego na tarasie. Na stole stały dwa talerze, otwarta butelka Medoca i dwa kieliszki o delikatnie wygiętych kształtach.

– No, dalej, jedz – powiedział.

– Zabawne, ale teraz czuję głód – odparła. – Niektórzy ludzie jedzą, gdy się źle czują, inni nie mogą wówczas znieść myśli o jedzeniu. Ja należę do tych pierwszych.

– To dobrze.

Spytała go, co z ręką, a on odparł, że już lepiej. – Paskudne zwicnięcie – orzekł doktor w szpitalu. Kazał Edwardsowi chodzić z ręką na temblaku, lecz Eryk zdjął go, jak

tylko wyszli ze szpitala. Na lewej skroni miał duży opatrunek uciskowy. Na policzku został nie zmyty ślad krwi.

Cahill odsunęła talerz, usiadła wygodnie w krześle i rzekła: – Mówiłeś, że chcesz mi coś powiedzieć. Przepraszam, że nie byłam w stanie wysłuchać cię wcześniej, ale teraz jestem gotowa. Czy wciąż chcesz mi to powiedzieć?

Pochylił się ku niej, z obu rękami na stole, wziął głęboki oddech i popatrzył na talerz, jakby zastanawiając się, co powiedzieć.

– Nie musisz – dodała.

Potrząsnął głową. – Nie, chcę powiedzieć. Nieomal straciłaś życie przeze mnie. Myślę, że zasługuje to na wyjaśnienie.

Cahill zastanowiła się: Barrie Mayer. Czy ona straciła życie przez niego?

Przesunął krzesło tak, aby móc skrzyżować nogi i mieć jej twarz przed sobą. Collette usadowiła się tak samo, położyła ręce na kolanach i popatrzyła mu w oczy.

– Właściwie nie wiem, od czego zacząć. – Uśmiech. – Chyba od początku, co?

Skinęła głową.

– Najlepiej będzie, Cahill, jeśli powiem ci od razu, że nie jestem tym, za kogo uchodzę. Tak, wynajmuję jachty, tu na BWD, ale to fasada. – Powiedziała sobie, że nie będzie się odzywać, wysłucha, co ma jej do powiedzenia, i później coś postanowi.

Edwards mówił dalej: – Pracuję dla Centralnej Agencji Wywiadowczej.

Zorientowała się, że Eryk jest absolutnie szczery, że nie ma pojęcia, iż ona wiedziała o jego powiązaniach. To jasne, że Barrie nie powiedziała mu, jak jej bliska przyjaciółka zarabia na życie. Przyjemnie było uświadomić to sobie. Z drugiej strony, to właśnie ona nie zachowuje się uczciwie. Zrobiło jej się wstyd.

Teraz przysłała na nią kolej, żeby coś powiedzieć. – To... to interesujące, Eryku. Jesteś... agentem?

– Chyba można to tak nazwać. Płacą mi, żebym miał tu oczy i uszy otwarte.

Cahill odczekała chwilę, żeby wyglądało, że zastanawia się nad następnym pytaniem. Faktycznie miała ich na liście tuzin. Powiedziała: – CIA ma wszędzie swoich ludzi, prawda? – Nie chciała wydać się zbyt naiwną. Ostatecznie Edwards wiedział, że pracowała kiedyś dla CIA i powinna choć trochę orientować się, jak się sprawy mają.

– To coś więcej, niż tylko utrzymywanie ludzi rozrzuconych po różnych miejscach na naszej planecie, żeby informowali, co się dzieje. Mnie przysłano tu z określonym zadaniem. Pamiętasz wysepkę, którą ci pokazałem, tę, którą wydzierżawili Rosjanie?

– Tak.



Nie powiedział nic więcej, więc pochyliwszy się ku niemu zapytała: – Myślisz, że to oni wysadzili jacht w powietrze?

– To byłoby logiczne wyjaśnienie, prawda?

– To chyba możliwe, biorąc pod uwagę fakt, że jesteś agentem drugiej strony. Ale nie wydajesz się tego pewny.

Edwards wzruszył ramionami, nalał wina do obu kieliszków i podniósł swój w toaście.  
– Za niedorzeczne przypuszczenia.

Wzięła swój kieliszek i też go podniosła. – Jakie niedorzeczne przypuszczenia?

– Mam nadzieję, że nie zrozumiesz opacznie, czemu mówię to, co chcę teraz powiedzieć. Koniec końców oboje pracujemy dla rządu Stanów Zjednoczonych.

– Eryku, nie jestem świeżo upieczoną absolwentką uczelni, zaczynającą pracę w urzędzie państwowym.

Skinął potakująco głową. – No więc dobrze. Myślę, że to CIA podłożyła ładunek na jachcie albo skłoniła kogoś, żeby to zrobił.

Od czasu wypadku na moment nie przyszło jej do głowy, że ludzie, dla których ona pracuje, zrobiliby coś takiego. Pomyślała oczywiście o Rosjanach, zastanawiała się też, czy nie zrobili tego konkurujący z Edwardsem ludzie z innej firmy wynajmującej jachty. Chciała także zapytać, czy w ogóle był w to zamieszany ktoś jeszcze. Nie było dowodów ani takich, które pozwoliłyby powiązać wybuch ze spiskiem, ani też wyeliminować jakąś naturalną przyczynę.

Lecz teraz te myśli nie miały znaczenia. Zadała jedyne oczywiste pytanie: – Czemu tak sądzisz?

– Bo... bo wiem o sprawach, które CIA wołałaby zachować w tajemnicy.

– O czym?

– O ludziach, których motywacje nie są w zgodzie z interesem nie tylko Centralnej Agencji Wywiadowczej, ale całych Stanów Zjednoczonych. Faktycznie...

Collette poczuła napięcie. Była pewna, że Edwards zaraz powie coś o śmierci Barrie Mayer.

Nie rozczarował jej. – Jestem pewien, Collette, że Barrie została zamordowana, bo wiedziała o tych samych podłych sprawach. – Cofnął głowę trochę i uniósł brwi. – Tak, wiedziała o nich ode mnie. Chyba dlatego rozmawiam z tobą w taki sposób. Wystarczy mi być odpowiedzialnym za śmierć jednej osoby. Widzieć drugą będącą tak blisko – złożył palec wskazujący i kciuk tak, że została między nimi tylko maleńka szpara – utraty życia, to już za dużo.

Cahill odchyliła się do tyłu i spojrzała w niebo, które, podobnie jak jej mózg, zasnuło się chmurami. W jej głowie kłębiły się myśli i uczucia. Wstała i podszedłszy na skraj tarasu popatrzyła w dół, na zatokę i przystań. W tym, co mówił, było sporo sensu. To samo podpowiadał jej od początku własny instynkt.

Nowa myśl przyszła jej do głowy. Może Edwards myli się. Przyjąwszy, że eksplozja była rezultatem podłożenia przez kogoś urządzenia wybuchowego, skąd wiadomo, że to nie ona miała być ofiarą zamachu? Odwróciła się ku niemu. – Sugerujesz, że Barrie zamordował ktoś z CIA?

– Tak.

– A Dawid Hubler, jej wspólnik w agencji wydawniczej?

Potrząsnął głową. – Nie sędzę, chyba że Barrie przekazała mu informacje otrzymane ode mnie.

Collette wróciła na krzesło; wypila łyk wina i powiedziała: – Może to ja miałam być ofiarą.

– Dlaczego ty?

– Bo ja... – Omal nie przekroczyła linii, jaką odkreśliła to, co może powiedzieć. Postanowiła trzymać się tej linii. – Nie wiem, to ty wzniosłeś toast za „niedorzeczne przypuszczenia”. Może ktoś chciał zabić mnie, a nie ciebie. Może silnik sam wybuchł.

– Nie, Collette, nic nie wybucha samo. Gdy ty spałaś, ja byłem przesłuchiwany przez władze. Przygotowują orzeczenie, że zniszczenie jachtu było wynikiem przypadkowego wyładowania elektrycznego do zbiornika paliwa, bo chcę, żeby tak myśleli. Nie, ja wiem. To było zamierzone.

Cahill nieomal lękała się zadać następne pytanie, wiedziała jednak, że musi. – Czego dowiedziała się Barrie od ciebie, że stało się to przyczyną jej śmierci i spowodowało, że ktoś chciał zabić ciebie?

Zaśmiał się chrapliwie, jakby mówiąc do siebie: – Mój Boże, nie mogę uwierzyć, że to robię. – Collette współczuła mu. Wypadek w pobliżu Wyspy Moskitów i śmierć Barrie sprawiły, że w swej szczerości doszedł do granicy, na którą tak bardzo go uczulano podczas szkolenia, do granicy faktycznie zakazanej. Tak samo było z jej szkoleniem. Dotknęła jego kolana. – Eryku, co wiedziała Barrie? To dla mnie strasznie ważne. Powiedziałeś przecież, że znalazłam się tak bardzo blisko utraty życia.

Edwards zamknął oczy i wydał policzki. Wypuściwszy z gwizdem powietrze przez wargi, otworzył oczy i powiedział: – W CIA są ludzie, których interesuje tylko ich własny, osobisty interes. Słyszałaś kiedyś o Projekcie Bluebird?

A więc wracamy do tego. Jason Tolker. Czy do tego zmierzał? Powiedziała: – Tak, słyszałam i o tym projekcie, i o MK-ULTRA. – W chwili, gdy wymawiała te słowa, wiedziała, że powiedziała za dużo.

Zdziwienie w jego spojrzeniu potwierdziło jej obawę.

– Skąd wiesz o tych projektach? – zapytał.

– Pamiętam je z okresu mojego szkolenia w CIA, zanim rzuciłam to i poszłam pracować do ambasady.

– To prawda, była mowa o tych projektach w ramach szkolenia. A zatem wiesz, że obejmowały one eksperymentowanie na wielu niewinnych ludziach?

Potrząsnęła przecząco głową. – Nie znam szczegółów, wiem tylko, że pracowano nad tymi projektami, a następnie zarzucono je pod presją opinii publicznej i Kongresu.

Oczy Edwardsa zwięzły się. – Wiesz, jak Barrie związała się z CIA?

Collette zastanawiała się śpiesznie. Czy powinna powiedzieć, że wiedziała o pracy Barrie w roli kuriera? Postanowiła dalej udawać zaskoczoną.

– Czy Barrie wspomniała kiedykolwiek o człowieku nazwiskiem Tolker?

Cahill uniosła brwi jakby w namyśle, a potem rzekła: – Nie, chyba nie.

– To psychiatra z Waszyngtonu. On właśnie ją zwerbował.

– Naprawdę?

– Nie wiedziałaś? Nigdy ci o tym nie mówiła?

– Nie, nie przypominam sobie nikogo nazwiskiem Tolker.

– Co mówiła ci o swojej pracy dla CIA?

Jej śmiech był wymuszony. – Niewiele. Zresztą opowiadanie mi o tym byłoby sprzeczne z profesjonalnymi zasadami tej instytucji, prawda?

Edwards potaknął ruchem głowy. – Tak, istotnie, ale Barrie nie była z pewnością największą profesjonalistką wśród kurierów wywiadu. – Wydawał się czekać na reakcję Cahill, a gdy milczała, ciągnął: – Zresztą to chyba bez znaczenia, co ci powiedziała. Faktem jest, że ten facet Tolker przyjmował ją zawodowo. Była jego pacjentką. Skorzystał z tego, żeby ją wciągnąć do roboty.

– To chyba nie jest czymś tak wyjątkowym?

– Chyba nie, chociaż naprawdę niewiele wiem o tych sprawach. Chodzi o to, Collette, że doktor Jason Tolker był mocno zaangażowany w Projekty Bluebird i MK-ULTRA – i dalej zajmuje się programami eksperymentalnymi wywodzącymi się z tych projektów.

– Czy CIA wciąż robi eksperymenty ze sterowaniem mózgiem?

– Z całą pewnością, a Tolker to jeden z super specjalistów. On manipulował Barrie.

Wciągnął ją do CIA jako kuriera i dlatego dziś nie ma jej wśród żywych. Jeszcze wina?

W świetle tego, o czym rozmawiali, absurdem było powiedzieć: – Tak, proszę – ale, to właśnie powiedziała. Edwards napełnił jej kieliszek.

Collette wróciła myślą do tego, co wyczytała w książce Eastbrookska o ludziach, których można nakłonić do czynów niezgodnych z ich wolą, jeśli hipnotyzer zmieni „scenariusz wizualny”. Czy Eryk to właśnie sugerował, że Barrie została nakloniona do pełnienia roli kuriera wbrew jej woli? Zapytała go o to.

– Niewątpliwie Barrie była niezwykle podatna na hipnozę – odpowiedział Edwards – ale w gruncie rzeczy nie to jest istotne. Ważną rzeczą jest to, że gdy się udała w swoją ostatnią podróż do Budapesztu, wiozła informacje, za które Jason Tolker zostałby powieszony głową w dół.

– Nie rozumiem.

– Tolker jako agent działa na dwie strony. – Powiedział to bezbarwnym, rzeczowym tonem. Cahill osłupiała. Wstała i przeszła przez taras.

– On jest podłym zdrajcą, Collette, i Barrie wiedziała o tym.

– Skąd? Czy jej powiedziałaś?

– Nie – Edwards pokręcił przecząco głową. – Nie, to ona mi powiedziała.

– Jak ona się dowiedziała, że Tolker to podwójny agent?

Wzruszył ramionami. – Naprawdę nie mam pojęcia, Collette. Przyciskałem ją, ale powiedziała tylko, że ma informacje i że zamierza go zdemaskować, wysadzić go z siodła. – Wyszczrzył zęby w ponurym uśmiechu. – To właściwe sformułowanie z punktu widzenia naszej małej wyprawy płetwonurkowej dzisiejszego ranka, co?

Jej uśmiech był równie ponury. Zadała mu następne oczywiste pytanie: – Komu Barrie zamierzała powiedzieć to, co wiedziała o przypuszczalnej zdradzieckiej działalności Tolkera?

– Pomyślałem – odparł Edwards – że komuś w Waszyngtonie, po powrocie z wyprawy. Ale szybko uświadomiłem sobie, że to nie miało sensu. Nie znała nikogo w Langley. Jej jedynym kontaktem z CIA był Jason Tolker...

– I ten ktoś, z kim się kontaktowała w Budapeszcie.

Edwards przytaknął i stanął przy niej na skraju tarasu. Dobiegła ich melodia, bez przerwy grana w rytmie wyspiarskim przez jakiś lokalny zespół.

Stali tak jakiś czas obok siebie, dotykając się biodrami, zagłębieni we własnych myślach. Wreszcie Edwards przemówił bezbarwnym głosem. – Wycofuję się. Nie potrzebuję łodzi wysadzanych w powietrze spode mnie.

Odwróciła się i spojrzała na jego twarz. Zmarszczki, które miał od dawna, jakby się

pogłębiły. – Czy jacht był ubezpieczony? – spytała.

Na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech. – Ubezpieczony w najbogatszej instytucji ubezpieczeniowej świata, Collette, w Centralnej Agencji Wywiadowczej.

– Trzeba się cieszyć z tego – odparła bez przekonania. Po prostu należało coś powiedzieć. W tym scenariuszu pieniądze były bez znaczenia.

Znowu się uśmiechnął. – CIA kierują źli ludzie. Nigdy nie chciałem pogodzić się z tym faktem. Dotychczas też nigdy nie powiedziałem sobie tego otwarcie. Był we mnie ten rodzaj patriotyzmu, który sprawia, że ludzie zaczynają pracować w wywiadzie. Wierzyłem w CIA i jej ludzi, naprawdę wierzyłem w wartości, jakie ona reprezentuje, i w to, co sam robiłem. – Potrząsnął głową. – Koniec z tym. W CIA roi się od Jasonów Tolkerów tego świata, ludzi, którzy myślą tylko o sobie i którym jest obojętne, kto zostanie zadeptany w tym procesie. Ja... – Położył dłoń na jej ramieniu i przyciągnął ją ku sobie. – Przez tych ludzi my oboje straciliśmy kogoś bardzo wyjątkowego w osobie Barrie Mayer. Nie znałem Dawida Hublera, ale powiększył on listę ludzi, którzy przez tamtych musieli zapłacić własnym życiem.

Zacząła coś mówić, lecz przerwał jej. – Powiedziałem Barrie, żeby trzymała się z dala od Tolkera. Projekty, w które jest zaangażowany, tkwią u korzeni wszystkiego, co jest złe w Agencji i rządzie. Wykorzystuje się niewinnych ludzi jako króliki doświadczalne nie dbając o to, co się z nimi stanie. Kłamią wszystkim, z Kongresem włącznie, że zarzucili Bluebird i MK-ULTRA. Nigdy tego nie zrobili. Dziś pracują nad nimi aktywniej niż kiedykolwiek.

Cahill naprawdę przestała cokolwiek rozumieć. – A co z funduszami? Na takie projekty trzeba pieniędzy.

– W tym cały urok takiej organizacji jak CIA, Collette. Ich nie obowiązują rozliczenia. Tak zostało ustalone od początku. Był to jeden z powodów, dla których Truman miał poważne wątpliwości na temat zakładania ogólnokrajowej organizacji gromadzącej materiały wywiadowcze. Pieniądze otrzymują poszczególni ludzie i mogą je wydawać w dowolny sposób, nie licząc się z tym, komu przyniesie to szkodę. Istnieją chyba tysiące grup terenowych, takich jak moja, firmy wysyłkowe i agencje do spraw zatrudnienia, linie lotnicze i handlarze bronią, laboratoria uniwersyteckie i małe banki, które zajmują się jedynie „praniem” pieniędzy Agencji. One śmierdzą. Nigdy nie przypuszczałem, że zacznę tak myśleć, ale te pieniądze naprawdę śmierdzą, Collette, a ja miałem je w moich rękach.

Patrzyła na niego przez dłuższą chwilę, a potem powiedziała: – Rozumiem, Eryku, wierz mi. Jeśli to prawda, co mówisz, że ktokolwiek wysadził dziś jacht, uczynił to na polecenie mojego rządu, to nie wiem, jak mogłabym dalej pracować dla rządu, nawet w

Ministerstwie Spraw Zagranicznych.

– Jasne, że nie możesz. W tym cała rzecz. Cieszę się, że jestem Amerykaninem, zawsze się cieszyłem, zawsze uważałem, że urodzić się Amerykaninem to rzadki przywilej; ale gdy się okazuje, że jestem ogniwem w łańcuchu systematycznych nadużyć kończących się morderstwem kobiety, którą bardzo kochałem, to czas skończyć z tym wszystkim.

Orkiestra u stóp wzgórza zaczęła grać zwolnioną wariację pieśni wyspiarskiej we własnej, zmysłowej aranżacji. Edwards i Cahill spojrzeli na siebie i Edwards spytał: – Zatańczysz?

Absurdalność pytania w obecnych okolicznościach sprawiła, że wybuchnęła śmiechem. On też się roześmiał, objął ją w pasie prawą ręką, lewą ujął jej lewą dłoń i poprowadził w tańcu po tarasie.

– Eryku, to absurd.

– Masz rację, to takie absurdalne, że została nam tylko jedna rzecz – tańczyć.

Przestała protestować i z gracją dała się prowadzić, cały czas myśląc, jakie to wszystko absurdalne, a zarazem jak romantyczne i piękne. Jego bliskość wywołała w jej ciele leciutką seksualną wibrację. Pocałował ją, najpierw ostrożnie, potem bardziej namiętnie, a ona odwzajemniła jego głód.

Kiedy przesuwali się tanecznym krokiem obok stołu, Edwards zręcznym ruchem wziął z niego wino i przez otwarte drzwi powiódł ją do sypialni. Tam uwolnił ją z objęcia i zaczął rozpinąć jej bluzkę. Wiedziała, że to ostatni moment na zaprotestowanie czy odsunięcie się, ale zamiast tego przyłgnęła jeszcze bliżej. Kochali się oboje z równie intensywną przyjemnością. To uczucie zmieszało się w jakiś sposób ze wspomnieniem ognistej kuli na błękitnym niebie Brytyjskich Wysp Dziewiczych.

\* \* \*

Następnego dnia Edwards wstał wcześniej. Powiedział, że musi porozmawiać o eksplozji z kilkoma urzędnikami na wyspie.

Gdy wyszedł, Cahill zaczęła zmagać się ze sprzecznymi myślami. To, co powiedział ubiegłej nocy sprawiło, że przemyślała wszystko, co robiła od czasu rozpoczęcia pracy w Centralnej Agencji Wywiadowczej. Z pewnością nie podzielała namiętnej odrazy, jaką Eryk żywił dla CIA. Nie była nawet pewna, czy wszystko, co powiedział, jest prawdą. Wiedziała tylko, że nadszedł czas na poważne przemyślenie, nie tylko jej aktualnego zadania, lecz tego,

kim właściwie jest ona sama.

Zastanawiała się, czy nie zadzwonić do Hanka Foxa w Waszyngtonie, ale bała się, że naruszy zasady bezpieczeństwa. Rozmowy telefoniczne z wysp szły do Stanów Zjednoczonych przez satelitę; rozmów mógł słuchać każdy, włącznie z Rosjanami na ich małej, prywatnej wyspie.

„Pusser’s Landing”.

W południe pojechała tam mercedesem Edwardsa, zajęła stolik, zamówiła kanapkę i colę, i podeszła do klatki z ptakami, żeby pokarmić papugę. Przy nabrzeżu zauważyła mężczyznę, który rozmawiał z nią poprzedniego dnia; na małej platformie naprawiał silnik wyjęty z jachtu. Po chwili niby przypadkiem znalazł się przy niej.

– Pomyślałam, że znów tu przyjadę na *lunch* – powiedziała. – Ostatnim razem było tu tak przyjemnie.

– To przyjemne miejsce, proszę pani – potwierdził. Rozejrzał się, sprawdzając, czy nie ma nikogo w pobliżu, i dodał: – Ale w Budapeszcie jest ładniej. Musi pani udać się tam natychmiast.

– Budapeszt? Kto...?

– Jak najszybciej, proszę pani. Już dzisiaj.

Cahill zapytała: – Czy w moim biurze podróży wiedzą o tym?

Grubas uśmiechnął się i powiedział: – Niech ich pani sama zapyta. Najpierw ma pani lecieć do Waszyngtonu.

Opuściła „Pusser’s Landing” mówiąc kelnerowi, że ma coś pilnego do załatwienia, dojechała do domu Edwardsa, szybko spakowała się i napisała do niego kartkę.

*Drogi Eryku,*

*Nie zamierzam nawet wyjaśniać, czemu odjeżdżam w takim pośpiechu, ale zapewniam cię, że to pilna sprawa. Proszę, wybacz mi. Tyle chciałabym ci powiedzieć o wczorajszej nocy, o uczuciach, jakie wzbudziła we mnie – w ogóle o mnóstwie rzeczy. Ale teraz nie ma na to czasu. Dziękuję ci za cudowne wakacje na twoich ukochanych BWD. Mam nadzieję, że wkrótce znów będziemy mogli spędzać je razem.*

*Collette*

## ROZDZIAŁ 25

Cahill wyszła z samolotu na lotnisku Dulles, wynajęła samochód i udała się prosto do domu matki, która zasypała ją pytaniami o to, gdzie była i czemu odjeżdża znów w takim pośpiechu. – W ambasadzie w Budapeszcie mają jakieś kłopoty finansowe i muszę tam zaraz wracać.

– To okropne – powiedziała matka. – Myślałam, że będę mogła spędzić z tobą chociaż dzień.

Collette objęła ją, powiedziała, że ją kocha i że oczywiście wypije z nią kawę, i pobiegła na górę pakować się.

Następną godzinę spędziła z matką w kuchni i straszliwie zapragnęła zostać tu, wrócić do dzieciństwa, gdy świat był cudowny, a przyszłość, widziana spod opiekuńczych skrzydeł rodziny i domu, była świetlana. Zmusiła się, żeby powiedzieć „do widzenia” i zostawiła matkę stojącą w drzwiach frontowych z zatroskanym wyrazem twarzy. – Wrócę niedługo – zawołała przez otwarte okno samochodu. Wiedziała, że uśmiech matki jest wymuszony, ale doceniła jej wysiłek.

Pojechała z powrotem do Waszyngtonu, weszła do budki telefonicznej i nakręciła specjalny numer otrzymany od Hanka Foxa. Gdy usłyszała młody głos kobiecy, powiedziała. – Tu biuro doktora Jayne, poproszę z panem Foxem. – Kobieta poleciła jej, żeby nie odkładała słuchawki, a w minutę później usłyszała Foxa mówiącego: – Słyszałem o wypadku. Cieszę się, że nic ci się nie stało.

– Tak, czuję się dobrze. Zaprzyjaźniłam się z kimś w „Pusser’s Landing”. Powiedział mi...

Fox przerwał jej ostro: – Wiem, co ci powiedział. Rybak w Budapeszcie jest niespokojny.

– Rybak? – A potem rozjaśniło jej się w głowie. – Horgasz – pseudonim Árpáda Hegedüsa. – Odparła. – Myślałam, że wyjechał do...?

– Nie wyjechał i chce pomówić ze swoją przyjaciółką. To ważne, żeby zobaczył się z nią jak najszybciej.

– Rozumiem – powiedziała.

– A jak tam twój chłopak na Brytyjskich Wyspach Dziewiczych?

– On... on nie jest moim chłopakiem.

– Jak z nim?



– W porządku. – Zaczęła myśleć o ostatniej rozmowie z Edwardsem, ale Fox jej przerwał.

– Możesz wyjechać dziś wieczorem?

Cahill westchnęła. Za nic w świecie nie chciało jej się wsiadać do samolotu lecącego do Budapesztu. To, czego pragnęła naprawdę, to wrócić na BWD i być z Erykiem Edwardsem, nie tylko z powodu nici intymnej zażyłości, jaka zawiązała się między nimi, lecz także dlatego, że chciała jeszcze porozmawiać o swym obecnym zadaniu, o organizacji, w której pokładała tyle ufności. Ta ufność rozwiła się. Teraz wiedziała, że i ona chce rzucić CIA.

– Będzie do mnie dzwonił Joe – powiedział Fox. – Breslin.

– Na pewno zadzwoni. Muszę lecieć. Do widzenia. – Odłożyła z trzaskiem słuchawkę na widełki, chwyciła za półeczkę pod aparatem i potrząsając nią zamruczała: – Do diabła z tobą. Do diabła z tym wszystkim.

Złapała samolot z Waszyngtonu do Nowego Jorku i z ledwością zdążyła na odlot Pan Amu do Frankfurtu w Niemczech, skąd miała bezpośrednie połączenie do Budapesztu. Zadzwoiła do Verna Wheatleya w mieszkaniu jego brata, lecz nikt nie podniósł słuchawki. Potrzebowała rozmowy z nim. Miała uczucie, że jeśli nie pomówi z kimś spoza organizacji, z kimś, kto nie był wciągnięty w jej intrygi, to załamie się zupełnie. A wiedziała, że była to najgorsza rzecz, jaka mogłaby się zdarzyć.

\* \* \*

Kiedy wysiadła z samolotu w Budapeszcie, czuła się wyczerpana, lecz wreszcie zapanowała trochę nad sobą i tym, co się z nią działo. Przechodząc przez kontrolę celną uświadomiła sobie, że znowu ma oficjalny status pracownicy ambasady Stanów Zjednoczonych. Nieważne, że faktycznie zatrudniała ją CIA. Ważny był fakt, że znowu była w znajomym otoczeniu, może nie tak kojącym jak łono matki, lepszym jednak od tego, przez co przeszła w ubiegłym tygodniu.

Dotarła taksówką do swego mieszkania i zadzwoniła do ambasady, do Joego Breslina.

– Witamy – powiedział. – Musisz być skonana.

– Jestem.

– Mamy teraz piątą. Jak myślisz, wytrzymasz, nie śpiąc, do kolacji?

– Chyba tak. Gdzie?

– „Légrádi Testvérek”.

Mimo zmęczenia słowa te wywołały uśmiech na twarzy Cahill. – Zaczynamy szaleć, co? Czy to dla uczczenia mego powrotu?

– Jeśli moje potwierdzenie sprawi ci przyjemność, to niech będzie, że tak. W rzeczywistości mój żołądek domaga się porządnego posiłku, poza tym bawi mnie ten mały, puciołowaty skrzypek.

– Uznaję, że to na moją cześć. O której?

– Wolałbym późno, ale ze względu na twój stan może spotkamy się wcześniej. Co myślisz o ósmej?

– Ósma? Będę spała jak zabita.

– Okay. Posłuchaj. Prześpij się porządnie i spotkamy się tam o dziesiątej.

Wiedziała, że nie ma sensu próbować umawiać się na inną godzinę. Powiedział, że zarezerwuje stolik na swoje nazwisko. Otworzyła swoją małą lodówkę i wtedy przypomniała sobie, że przed wyjazdem opróżniła ją doszczętnie. Były w niej tylko dwie butelki tokaju szamorodniego, ciężkiego białego wina deserowego, sześć butelek piwa Kóbanyai világos, puszka kawy i dwie puszki tuńczyka przysłane w paczce przez matkę miesiąc temu. Otworzyła tuńczyka, a uświadomiwszy sobie, że nie ma chleba, zjadła rybę prosto z puszki, rozebrała się, nastawiła budzik, weszła do łóżka i natychmiast zasnęła.

Siedzieli naprzeciwko siebie w małej salce „Légrádi Testvérek”. Owalny stolik był przykryty koronkową serwetą. Duże krzesła miały wysokie oparcia i obicia w stonowanych barwach. Na środku stolika stał dwuramienny świecznik z ozdobnymi naczyniami z fantazyjnego szkła po bokach. W jednym z nich umieszczono świeże winogrona i śliwki, w drugim jabłka i gruszki. Ściany były białe, sufit niski i łukowaty. Niski, tłusty skrzypek i wysoki, przystojny cymbalista, delikatnymi drewnianymi młoteczkami uderzający w struny swego podobnego do pianina instrumentu, grali cygańskie melodie.

– Dobrze wyglądasz – zauważył Breslin – zważywszy twój rozkład zajęć.

– Dziękuję. Nic nie przywraca lepiej rumieńców dziewczynie niż puszka amerykańskiego tuńczyka i trochę snu.

Uśmiechnął się i podniósł wzrok na właściciela, który podszedł, żeby przyjąć zamówienie. Postanowili wziąć do spółki tacę z przystawkami – kawior, jajko nadziewane małymi krewetkami w musie łososiovym, trzy rodzaje pasztetu i marynowane ostrygi. Jako danie główne Breslin zamówił wołowinę z pasztetem, a Cahill kurczęta w sosie paprykowym polane kwaśną śmietaną. Zamiast wina Breslin wziął whisky z wodą sodową, a Cahill wodę mineralną.

– No więc? – zapytał.

– No więc? – powtórzyła przedrzeźniając go. – Nie chcesz chyba całej litanii?

– Dlaczego nie?

– Bo... – Nieznacznym gestem dłoni zwróciła uwagę na publiczny charakter lokalu.

– Opuszczaj nazwiska i nie wdawaj się w szczegóły. Najpierw, co z twoim chłopakiem w tym uroczym miejscu?

Potrząsnęła głową i przysunęła się plecami do oparcia.

– Joe, powiedz, czy ty i Hank rozmawiacie ze sobą co dwadzieścia minut?

– Nie, tylko dwa, trzy razy dziennie. Co powiesz o nim? Miałaś przyjemny pobyt?

– Bardzo, poza drobnym przykrym wydarzeniem na wodzie.

– Słyszałem. Co robiliście? Nurkowaliście, czy coś w tym sensie?

– Właśnie. I dzięki temu dziś tu siedzę. A jeśli idzie o mego tak zwanego chłopaka, to jest wspaniały. Wiesz, co ci powiem? Wielu naszych przyjaciół źle o nim mówi... – Uniosła brwi, a wyrazem twarzy chciała dać do zrozumienia, że ma na myśli swego pracodawcę. – Ludzie się mylą. Jeśli jest jakiś problem, to nie z moim „chłopakiem”.

– Rozumiem – odparł Breslin. Podrapał się w nos i potarł oczy. – Możemy porozmawiać o tym bardziej szczegółowo innym razem. Czy po powrocie byłaś u swego psychoanalityka?

– Mojego... O, masz na myśli doktora Jayne.

– Kogo?

– Nieważne, Joe, mówimy o tej samej osobie. Nie widziałam się z nim od czasu spotkania z tobą w Waszyngtonie, nie czułam potrzeby. Moje zdrowie psychiczne wciąż się polepsza.

Popatrzył na nią zmrużonymi oczyma w migotliwym blasku świecy. – Czy coś cię trapi, Collette? Wszystko okay?

– Myślę, że zaczynam czuć się bardziej niż dobrze, Joe. Że wreszcie wydorzałam.

– Co to znaczy?

– To znaczy... – poczuła, że zaraz wybuchnie płaczem i pomyślała, że nigdy by sobie tego nie wybaczyła. Rozejrzała się po restauracji. Kelner przyniósł zakąski na białej porcelanowej tacy. Nalał wody do szklanek i spytał, czy życzą sobie jeszcze czegoś.

– Nie, *köszönöm szepen* – odparł uprzejmie Breslin. Kelner oddalił się i Breslin zwrócił się do Cahill. – Nie jesteś szczęśliwa, prawda?

Cahill potrząsnęła ze zdumieniem głową i zaśmiała się. Pochyliła się ku przodowi, tak że twarz jej dzieliło tylko kilka cali od świecy, i powiedziała: – A dlaczegoż to, u diabła,

miałabym być szczęśliwa, Joe?

Podniósł ręce do góry i odrzekł: – Dobra, nie będę cię naciskał. Przeżyłaś mnóstwo stresów. Zdaję sobie z tego sprawę. No, dalejże, zabierz się do jedzenia. Kosztuje mnie miesięczną pensję.

Przez cały czas trwania kolacji Cahill z tuzin razy była bliska powiedzenia mu, co ma na sercu. Oparła się jednak pokusie i poprzestała na lekkiej rozmowie.

Portier podprowadził Breslinowi jego wóz. Gdy wsiedli, Breslin zapytał: – Masz chęć zakosztować mocnego życia?

– Joe, ja... w „Miniaturze”?

– Nie, kiedy ciebie nie było, znalazłem inne miejsce. Zmiana dobrze robi, nie sądzisz?

– Skoro tak mówisz, Joe. Przy okazji zobaczymy, co nowego w Budapeszcie. Ale nie za długo, co? Jeden drink i odstawisz mnie do domu.

– Możesz mi zaufać.

Zwykle ufała, ale teraz nie była już taka pewna.

Jadąc wolno wąskimi, krętymi uliczkami po peszteńskiej stronie miasta, dotarł do Vörösmarty ter, z pomnikiem sławnego poety węgierskiego, od którego skwer wziął nazwę. Minęli szereg biur lotniczych i budynków rządowych i dotarli do Placu Engelsa, gdzie mieścił się duży dworzec autobusowy. Przed nimi była bazylika Św. Stefana. Breslin skręcił ostro na północ i po pięciu minutach jazdy znalazł się w wyjątkowo wąskiej uliczce. Sytuację pogarszały samochody gęsto zaparkowane na wąskich chodnikach; ich tyły wystawały na jezdnię. Znalazł wolne miejsce i wmanewrował swego małego renaulta między dwa auta. Wysiedli i Cahill spojrzała na uliczkę, zakończoną budynkiem parlamentu z wielką czerwoną gwiazdą na szczycie. Znowu tu jest. Węgry, Budapeszt. Czerwone gwiazdy i sowieckie czołgi. Ogarnęło ją miłe uczucie. Dziwna rzecz, ale nigdy będąc poza domem matki nie czuła się tak blisko niego, jak tu.

Bar nie miał ani szyldu, ani okien. Słaby odgłos muzyki fortepianowej wskazywał wprawdzie drogę do niego, ale trudno było znaleźć wejście wśród tuzina ciemnych drzwi w długiej betonowej ścianie stanowiącej fronton budynku.

Breslin zastukał kołatką. Drzwi otwarły się i potężny mężczyzna w czarnym garniturze, z długimi, tłustymi czarnymi włosami i zapadłymi policzkami obrzucił ich badawczym spojrzeniem. Breslin wskazał Cahill ruchem głowy. Mężczyzna odsunął się i pozwolił im wejść.

Teraz muzyka stała się głośniejsza. Pianista grał „Noc i dzień”. Melodia utworu mieszała się ze śmiechem kobiecym.

Cahill rozejrzała się. Urządzeniem klub przypominał „Miniaturę” – przy wejściu był bar, a obok niego mała salka dla tych, co chcieli słuchać gry pianisty.

– *Jó napot?* (Jak się masz?) – zwrócił się Breslin do atrakcyjnej blondynki w obcisłej sukni z czerwonego jedwabiu.

– *Jó estét* (Dobry wieczór) – powiedziała.

– *Fel tudya ezi váltani?* (Czy możesz mi to rozmienić?) – zapytał Breslin podając jej węgierski banknot dużej wartości.

Spojrzała na banknot, na niego i odsunęła się, żeby ich przepuścić do niewidocznych w półmroku drzwi za barem. Breslin skinął na Cahill, aby poszła za nim. Stał chwilę z dłonią na klamce, a potem ją przekreślił. Drzwi otwały się. Breslin przepuścił Cahill przed sobą. Zrobiła krok do wnętrza małego pokoju, oświetlonego tylko dwoma lampkami stojącymi na zniszczonym stole pośrodku pokoju. Nie było okien, a ściany osłaniały ciężkie, purpurowe zasłony.

Gdy oczy jej oswoiły się z mrokiem, uwagę jej przyciągnął mężczyzna, którego twarz wydała jej się jakby znajoma, twarz ciężka, kwadratowa, z łukami brwiowymi pokrytymi krzaczastymi brwiami tworzącymi nad policzkami dwa „daszki”. W gęstych czarnych włosach prześwitywały siwe pasma. Przypomniała sobie – Zoltan Réti, pisarz, autor z agencji Barrie Mayer.

Obok Rétego siedział Árpád Hegedüs. Dłonią przykrywał dłoń kobiecą na stoliku. Kobieta miała pospolitą, szeroką twarz, otwarte spojrzenie i rzadkie, proste włosy.

– Árpád – powiedziała Cahill. W jej głosie wyraźnie zabrzmiało zaskoczenie.

– Panna Cahill – rzekł wstając. – Jestem szczęśliwy, że panią widzę.

## ROZDZIAŁ 26

Collette patrzyła przez stół na Hegedüsa i Rétiego. Obecność Hegedüsa była bardziej zrozumiała. Wróciła przecież do Budapesztu po to, żeby się z nim spotkać. Réti to co innego; w zamieszaniu ostatnich tygodni zapomniała o nim.

– Pozwoli pani, panno Cahill, że przedstawię pannę Lukács. Magda Lukács – powiedział Hegedüs. Cahill uniosła się lekko i wyciągnęła rękę, Węgierka z wahaniem podała jej swoją i uśmiechnęła się. Cahill odwzajemniła uśmiech. Twarz kobiety była spokojna, lecz w jej oczach czaił się strach. Nie była ładna, lecz Cahill wyczuła w niej dużo kobiecości.

– Wspomniałem o paninie Lukács, gdy rozmawialiśmy ostatnim razem – ciągnął Hegedüs.

– Tak, pamiętam – odparła Cahill – lecz nie podał pan wówczas jej nazwiska. – Znowu uśmiechnęła się do Magdy. To jest ta przyjaciółka Hegedüsa. Cahill miała wielką nadzieję, że nie będzie ona go odwozić od przekazywania informacji, ale teraz, widząc uszczęśliwioną twarz Hegedüsa, była rada, że znalazł sobie tę Magdę Lukács.

Nie pamiętała, żeby kiedykolwiek widziała go szczęśliwszym i bardziej odprężonym.

Co do Rétiego, to znała go tylko z fotografii i z kontrolowanej przez władze telewizji węgierskiej. Barrie często o nim mówiła, ale Cahill nie spotkała się z nim dotąd osobiście. – Cieszę się, panie Réti – powiedziała – że wreszcie się poznaliśmy. Barrie Mayer tak często i z takim entuzjazmem mówiła o panu i pańskiej pracy.

– Pochlebia mi pani – odparł Réti. – Była cudowną kobietą i świetnym agentem literackim. Bardzo mi jej brak.

Breslin powiódł wzrokiem po zebranych i powiedział: – Przede wszystkim muszę cię przeprosić, Collette, że nie powiedziałem od razu, jak dalej potoczy się ten wieczór. Nie chciałem cię narażać na dodatkowe stresy podczas kolacji. Z tego, co słyszałem, miałaś ich już dosyć w swoim życiu. Uśmiechnęła się lekko.

– Pan Hegedüs przeszedł na naszą stronę.

– Porzuca pan Węgry? – spytała Collette.

Odpowiedział z zakłopotanym uśmiechem: – Tak. Moja rodzina jest w Rosji, a ja jestem teraz jednym z was. Przykro mi, panno Cahill, wiem, że ani pani, ani wasi ludzie nie życzyli sobie tego.

– Proszę tak nie mówić. Árpádie. Uważam, że to wspaniała wiadomość. – Przeniosła spojrzenie na Magdę Lukács. – Pani też opuszcza kraj?

Lukács potaknęła. – Tak. Razem z Árpádem.

– Naturalnie – odparła Collette. – Jestem pewna, że... – Odwróciła się do Breslina. – Ale to nie jest powód, dla którego tu siedzimy?

Breslin zaprzeczył ruchem głowy. – Nie, oczywiście, że nie. Przejście na naszą stronę jest już faktem. A tu spotkaliśmy się po to, żeby wysłuchać, co panowie Hegedüs i Réti mają nam do powiedzenia. – Uśmiechnął się. – Bez ciebie, Collette, nie powiedzieliby ani słowa.

– Rozumiem – powiedziała Collette, spoglądając po zgromadzonych. – No to zaczynamy. Jestem tu i cała zamieniam się w słuch.

Nikt się nie odezwał, więc Breslin rzekł: – Pan Hegedüs.

Teraz Hegedüs bardziej przypominał nerwowego siebie z dawniejszych czasów. Odkaszlnął, ścisnął rękę przyjaciółki, przesunął palcem po szyi, jakby chciał rozluźnić kołnierzyk koszuli, i powiedział ze sztuczną wesołością: – Jesteśmy w barze, prawda? Czy mógłbym dostać trochę whisky?

Ta prośba wyraźnie zirytowała Breslina. Westchnął, wstał, podszedł do drzwi i otworzywszy je powiedział do barmanki w czerwonej jedwabnej sukni: – Czy możemy dostać butelkę wina?

Hegedüs dodał zza pleców Breslina: – Może lepiej burbona?

Breslin odwrócił się i wykrzywił twarz w grymasie. – Burbona?

– Tak, panna Cahill zawsze...

Breslin pokiwał głową i powiedział do barmanki: – Butelkę burbona. – Potem roześmiał się i dodał: – I trochę szkockiej i ginu. – Zamknął drzwi mówiąc do Cahill: – Żeby nikt nie mógł powiedzieć, że Joe Breslin wydawał z takiej okazji gorsze przyjęcia niż Collette Cahill.

– Masz klasę, Joe – odparła Collette. Przeniosła wzrok na Zoltana Rétiego i spytała: – Czy i pan przeszedł na naszą stronę, panie Réti?

Réti zaprzeczył ruchem głowy.

– Ale czy...? – Urwała i spojrzała na Breslina. Miał twarz bez wyrazu, więc mówiła dalej: – Czy nie współpracował pan, panie Réti, z nami przez cały czas, poprzez Barrie Mayer?

– Tak.

– Pan był kontaktem dla Barrie tu, w Budapeszcie?

– Tak.

– Przekazywała panu to, co przewoziła od nas?

Uśmiechnął się. – Rzecz była nieco bardziej skomplikowana, panno Cahill.

Zapukano do drzwi. Breslin otworzył i kobieta w czerwonej sukni wniosła tacę z napojami, wiaderko z lodem i kieliszki. Postawiła to wszystko na stole i wyszła. Collette przechyliła głowę nasłuchując dźwięków fortepianu i śmiechu klientów za ścianą. Czy to miejsce jest dostatecznie bezpieczne na taką rozmowę? Zrobiło jej się wstyd, że o tym w ogóle pomyślała. Breslin uchodził za najostrożniejszego pracownika wywiadu w budapeszteńskiej ambasadzie.

– Może lepiej ja poprowadzę tę rozmowę – zwrócił się Breslin do Collette. Zatkaną ją na moment, ale powiedziała: – Jak najbardziej.

Breslin wskazał palcem na Zoltana Rétiego i rzekł:

– Zaczniemy od pana – a do Hegedüsa: – Nie ma pan nic przeciwko temu?

Hegedüs, zajęty nalewaniem burbona do wysokiej szklanki, śpiesznie pokręcił głową i odparł: – Oczywiście, że nie.

Breslin kontynuował: – Panie Réti. Panna Cahill wróciła ze Stanów, gdzie próbowała wyjaśnić, co przydarzyło się Barrie Mayer. Może pan nie wiedział o tym, ale były bardzo bliskimi przyjaciółkami.

– Owszem, wiedziałem – odparł Réti.

– A zatem wie pan również, że ani przez chwilę nie wierzyliśmy, że śmierć Barrie Mayer nastąpiła z naturalnych przyczyn.

Réti powiedział: – Została zamordowana. Tylko kretyń myślałby inaczej.

– Właśnie – zgodził się Breslin. – Jedną ze spraw, jaka nas nurtuje, to odpowiedź na pytanie, co wiozła aż tak ważnego, że musiała zostać zamordowana. O jej ostatniej podróży do Budapesztu dowiedzieliśmy się właściwie dopiero po fakcie. Nie czekaliśmy na nic z Waszyngtonu. Ale pan wiedział, że przyjeżdża.

Réti skinął głową, a jego ciężkie powieki opadły jeszcze niżej.

– Ale, panie Réti, pana przecież tu nie było. Pan był w Londynie – wtrąciła Cahill.

– Tak, zostałem wysłany przez Węgierską Radę Sztuki na międzynarodową konferencję pisarzy.

– Czy Barrie wiedziała, że pan nie będzie jej tu oczekiwał? – pytała dalej Cahill.

– Nie. Zabrakło mi czasu na skontaktowanie się z nią. Nie dano mi możliwości skorzystania z jakiegokolwiek środka łączności z nią przed jej wyjazdem ze Stanów.

– Dlaczego? – Cahill zorientowała się, że przejęła prowadzenie rozmowy od Breslina. Zapytała go spojrzeniem, czy ma coś przeciwko temu i z wyrazu jego twarzy wyczytała, że nie.

Réti wzruszył ramionami. – Mogę tylko przypuszczać, że oni... że władze



zorientowały się, iż to, co nas łączyło, było czymś więcej, niż zwykłym stosunkiem między autorem i jego agentem.

Cahill zastanowiła się nad jego słowami i zapytała: – I nic panu nie zrobili poza uniemożliwieniem powiadomienia Barrie, że pana tu nie będzie, jak ona przyjedzie? Wiedzieli, że pan robi coś dla nas i ograniczyli się do zablokowania panu kontaktu z nią?

Réti uśmiechnął się odsłaniając rzadkie, szeroko rozstawione zęby. – Nic w tym tak bardzo dziwnego, panno Cahill. Zarówno Rosjanie... jak i nasi we władzach... nie są na tyle głupi, żeby karać kogoś takiego jak ja. Nie wyglądałoby to dobrze w oczach świata, co?

Cahill uznała w myślach jego wyjaśnienie za sensowne, ale powiedziała: – A gdyby Barrie przybyła i nie znalazła tu pana, co zrobiłaby z tym, co przywiozła? Komu by to przekazała?

– Tym razem, panno Cahill, Barrie nie miała mi nic do przekazania.

– Nie?

– Nie.

– Co więc miała zrobić?

– Miała mi coś powiedzieć.

– Powiedzieć?

– Tak, tym razem to, co wiozła, miała w swojej głowie.

– To znaczy w mózgu.

– Tak. W mózgu.

W pokoju było gorąco i duszno, lecz przez ciało Cahill przeleciał dreszcz, który sprawił, że skuliła się w sobie. Czy teraz wszystko okaże się prawdą – Jason Tolker, teorie Eastbrookska o wykorzystywaniu hipnozy dla stworzenia doskonałego kuriera do przewozu materiałów szpiegowskich, takie programy jak Operacja Bluebird i MK-ULTRA, jakoby zarzucone przed laty, a faktycznie wciąż realizowane – wszystko co do joty, co jej powiedział Eryk Edwards?

Obróciła wzrok na Breslina. – Czy wiesz, Joe, co Barrie miała powiedzieć panu Rétiemu?

Breslin, który właśnie zapalił fajkę, spojrzał na nią, mrużąc oczy od dymu i odparł: – Chyba wiem.

Cahill nie spodziewała się potwierdzającej odpowiedzi. Breslin zwrócił się do Hegedüsa. – Może już czas, żeby i pan włączył się do naszej rozmowy.

Węgierski psychiatra spojrzał na Magdę Lukács, przeplukał gardło łykiem burbona i powiedział: – Łączy się to z tym, o czym powiedziałem pani ostatnim razem, panno Cahill.

Collette rzekła cicho, nie podnosząc głowy: – Doktor Tolker.

– Tak, wasz doktor Tolker...

– Co doktor Tolker?

Po nieudanym starciu Hegedüs kontynuował: – Przekazał panie Mayer informacje o najwyższej wadze dla projektu Banana Quick.

– Jakie informacje? – naciskała Cahill.

– Źródło przecieku na Wyspach Dziewiczych – odezwał się Breslin.

Cahill uniosła brwi. – Myślałam...

Breslin wzruszył ramionami. – Chyba zaczynasz rozumieć, Collette...

– Árpádie, podczas naszego ostatniego spotkania powiedział mi pan, że nie można ufać Tolkerowi.

– Tak było.

– Ale teraz wygląda, że to on jest osobą identyfikującą przeciek w Banana Quick.

– Właśnie – wtrącił Breslin. – Collette, wiesz o kim mówimy.

– Eryk Edwards.

– Właśnie.

– To śmieszne – powiedziała Collette.

– Czemu? – spytał Breslin. – Edwards był pierwszym na liście podejrzanych od samego początku. Właśnie dlatego ty... – Przerwał. – Łamali zasady. Brać wszystko, co się da, od drugiej strony, samemu nie oferując nic.

Collette miała trudności z panowaniem nad swoimi uczuciami. Nie chciała wygłaszać płomiennej obrony Edwardsa, gdyż Breslin mógłby wtedy zapytać, czemu to robi. Zmusiła się do spokoju i zapytała Breslina: – Skąd wiedziałeś, co przewoziła Barrie? Może nie ma to nic wspólnego z Banana Quick... czy Erykiem Edwardsem.

Breslin zignorował jej pytanie i skinął głową na Hegedüsa, który powiedział przeproszającym tonem: – Myliłem się, panno Cahill, co do doktora Tolкера.

– Mylił się pan?

– Zostałem wprowadzony w błąd, być może celowo, przez pewnych ludzi z moich kręgów zawodowych. Doktor Tolker nie zachował się nielojalnie wobec was.

– Tylko tyle – mruknęła Cahill.

Hegedüs wzruszył ramionami. – To nie zbrodnia pomylić się, prawda, nie w Ameryce?

Cahill westchnęła i zagłębiła się w krzesło.

– Collette – przemówił Breslin. – Fakty są oczywiste. Barrie przybywała tu, żeby...

Collette przerwała mu: – Żeby dostarczyć informację, którą doktor Jason Tolker

wszczepił jej do mózgu?

– Właśnie – potwierdził Breslin. – Proszę jej powiedzieć, panie Réti.

Réti powiedział: – Po jej przybyciu miałem coś do niej powiedzieć, co sprawiłoby, że przypomni sobie tę informację.

– Co w niej było? – spytała Collette.

– Że ten Eryk Edwards na Brytyjskich Wyspach Dziewiczych sprzedaje Sowietom informacje o Banana Quick.

– Skąd wiadomo, co miała przekazać?

– Skontaktowaliśmy się z Tolkerem – wyjaśnił Breslin.

Cahill potrząsnęła głową. Jeśli Tolker może nam zwyczajnie powiedzieć, co myśli o Eryku Edwardsie, to czemu zwracał sobie głowę wysyłaniem Barrie z tą informacją? Czemu nie poszedł z tym po prostu do kogoś w Langley?

– Bo... – Breslin urwał, po czym ciągnął dalej. – Pomówimy o tym później, Collette. Na razie trzymajmy się tego, co mogą nam powiedzieć panowie Hegedüs i Réti.

– No więc? – Cahill zwróciła się do obu Węgrów.

– Panno Cahill – zaczął Réti – przede wszystkim nie wiedziałem, co Barrie ma mi przekazać, gdy wypowiem słowa kodowe.

– Co to były za słowa? – spytała Cahill.

Réti spojrzał na Breslina, który skinieniem głowy wyraził zgodę. – Miałem powiedzieć: „Klimat się poprawił”.

– Klimat się poprawił – powtórzyła Cahill.

– Tak, dokładnie.

– A wtedy ona miała zadziałać wobec pana jak robot?

– Nie wiem. Miałem po prostu kierować się instrukcjami.

– Czyimi instrukcjami?

– Pana... – Znów spojrzenie na Breslina.

– Stana Podgorsky’ego – powiedział Breslin. – Stan od początku był kontaktem dla Barrie i pana Rétiego.

– Czemu mi tego nie powiedziano? – spytała Cahill.

– Nie było potrzeby. Obowiązki Barrie jako kuriera nie miały nic wspólnego z tobą.

– Nie jestem tego taka pewna.

– Nie zastanawiaj się nad tym. Tak jest i przyjmij to do wiadomości.

– Árpádie, kto sprawił, że zmieniłeś opinię o Jasonie Tolkerze?

– Przyjaciele. – Uśmiechnął się. – Poprzedni przyjaciele. Nie mam już przyjaciół na

Węgrzech.

– Collette, pan Réti chce nam powiedzieć coś jeszcze – wtrącił Breslin.

Wszyscy czekali. W końcu odezwał się niskim, znużonym głosem: – Barrie miała także pieniądze dla mnie.

– Pieniądze? – zdziwiła się Cahill.

– Na łapówki dla jednego z naszych urzędników, żeby dochody z moich książek mogły docierać do mnie tu, na Węgry.

– Te pieniądze były w jej teczce?

– Tak.

– Joe, Barrie otrzymała teczkę od Tolкера. Dlaczego miałby...?

– Nie – rzekł Breslin. – Te pieniądze nie pochodziły z funduszy pana Rétiego w Stanach. To były pieniądze „Fabryki Korniszonów”.

– Dlaczego?

– Tak zostało uzgodnione.

– Uzgodnione... z Barrie?

– Właśnie.

– Miała przecież pieniądze pana Rétiego, prawda? Po co jej były pieniądze CIA?

Breslin opuścił wzrok, podniósł oczy w górę i powiedział: – Później.

– Nie, nie później – upierała się Cahill. – Może jednak teraz?

– Collette, obawiam się, że zaczynasz być w to zaangażowana uczuciowo. To nie pomoże w wyjaśnieniu czegokolwiek.

– Obrażasz mnie, Joe.

To, co faktycznie czuła, to była silna świadomość własnej kobiecości i miała o to do siebie pretensję. Breslin miał rację, czytał w niej; nie przyjmowała i nie oceniała tego, co się tu mówiło przy stole, jak profesjonalistka. Chciała chronić mężczyznę, Eryka, mężczyznę, z którym spała i którego, rzecz nie do wiary, zaczynała kochać. Wtedy nie wydawało się to niewiarygodne, ale teraz – tak.

Powiodła wzrokiem po zebranych i spytała: – Czy jest coś jeszcze?

Hegedüs uśmiechnął się szerokim, wymuszonym uśmiechem. Dłoń trzymał wciąż na dłoni przyjaciółki. Powiedział: – Panno Cahill, chciałbym, żeby pani wiedziała, jak bardzo cenię... jak bardzo oboje z Magdą cenimy wszystko, co zrobiła pani dla nas.

– Niczego nie zrobiłam, Árpádie, poza słuchaniem ciebie.

– Nie, pani się myli, panno Cahill. Dzięki czasowi spędzanemu z panią moja decyzja ucieczki od ucisku Sowietów wyklarowała się i stała się znacznie łatwiejsza. – Wstał i uklonił

się. – Będę pani zawsze wdzięczny.

Cahill uznała jego zachowanie za obraźliwe. – A co z pańską rodziną, Árpádie, pańską piękną córką i wspaniałym synem? A żona. Co z nią? Czy jest pan rad z tego, że zostawia ich pan świadomie na niepewny żywot, jaki będą prowadzili w Rosji? – Chciał coś powiedzieć, lecz ona ciągnęła dalej: – Mówił mi pan, że ponad wszystko pragnie pan, żeby syn dorastał w Ameryce. Więc co, Árpádie, to były tylko słowa? – Mówiła teraz ostrzejszym tonem, odzwierciedlającym jej uczucia.

– Zostawmy to – powiedział Breslin ostrym tonem. Collette popatrzyła na niego, a potem obróciła wzrok na Rétiego. – Co będzie teraz z panem, panie Réti? Pieniądze nie dotarły do pana.

Réti wzruszył ramionami. – To samo, co przedtem. Może...

– Tak?

– Może pani mogłaby pomóc w tej sprawie.

– Jak?

– Pracujemy nad tym, panie Réti – wtrącił Breslin i zwracając się do Cahill dodał: – To jedna ze spraw, które chcę omówić z tobą, jak stąd wyjdziemy.

– W porządku. – Collette wstała i wyciągnęła rękę do Magdy Lukács. – Witamy, pani Lukács, na wolności. – Hegedüs skłonił się i wyciągnął rękę do Cahill. Zignorowała ten gest i powiedziała do Breslina: – Jestem gotowa do wyjścia.

Breslin wstał i popatrzawszy na butelki na stole powiedział ze śmiechem: – Suweniry, co?

– Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, to chciałbym...

– Oczywiście, panie Hegedüs, proszę je zabrać – powiedział Breslin. – Dziękuję wszystkim za przybycie. Idziemy, Collette, jesteś na pewno wyczerpana.

– Tak, i nie tylko to – powiedziała otwierając drzwi i wchodząc do zadymionej sali barowej. Kobieta w czerwieni stała u wyjścia.

– *Jó éjszakát* – rzucił Breslin.

– *Jó éjszakát* – powtórzyła, zegnając ukłonem Cahill.

Collette powiedziała po angielsku „*Good night*”, przeszła przez salę i stanęła na zewnątrz w chłodnym, odświeżającym powietrzu. Breslin stanął obok. Nie patrząc na niego rzekła: – Chodźmy gdzieś pogadać.

– Myślałem, że jesteś skonana – powiedział, biorąc ją pod rękę.

– Jestem zupełnie przytomna i przepełniona pytaniami, które wymagają odpowiedzi. Jesteś na to przygotowany, Joe?

– Zrobię, co będę mógł.

Jakoś wiedziała, że jego „co będę mógł” nie wystarczy, ale postanowiła wyciągnąć, co się da.

\* \* \*

Wyruszyli z miasta w kierunku Római fürdő, dawnych łaźni rzymskich, stanowiących obecnie jeden z dwóch większych campingów Budapesztu. Niebo zaciągnęło się nisko wiszącymi chmurami, odbijającymi odblask światła miasta. Różowe, żółte i szare chmury przesuwały się szybko nad nimi, niczym kawałki płótna pędzone przez niewidzialną siłę.

– Powiedziałaś, że masz pytania – zaczął Breslin.

Cahill otworzyła okno samochodu po swojej stronie i wyglądała przez nie w ciemność. Powiedziała, nie odwracając głowy: – Tylko jedno, Joe.

– No to wal.

Odwróciła się i spojrzała mu w twarz. – Kto zabił Barrie Mayer?

– Nie wiem.

– Chcesz wiedzieć, Joe, co ja myślę?

– Co?

– Myślę, że wszyscy kłamią.

Roześmiał się. – Co znaczy wszyscy?

– Wszyscy! Zaczynając od Rétiego.

– Dobra. Zacznijmy od niego. Co miałby kłamać?

– Mówiąc o pieniądzach, to raz. Wiedziałam, że Barrie miała dać łapówkę jakiejś grubej rybie z rządu w imieniu Rétiego, lecz do dziś nie miałam pojęcia, że Barrie rzeczywiście wiozła ze sobą pieniądze w teczce, która zaginęła. No dobra, powiedziałaś, że zdradzisz mi później, czemu „Firma” użyła swoich pieniędzy na przekupienie urzędnika, zamiast tego, żeby Barrie pokryła łapówkę z dochodów Rétiego, jakie zdążyła zgromadzić. Teraz jest „później”. Czekam, Joe...

Przyjrzał się jej ze swego siedzenia kierowcy, zwilżył językiem wargi, wyjął fajkę z kieszeni płaszcza deszczowego i zabrał się do jej zapalania. Cahill świetnie wiedziała o używaniu fajki dla zyskania czasu do namysłu, ale dziś irytowało ją to szczególnie. Nie poganiała go jednak, nie próbowała przyspieszyć rytuału. Odczekała, aż tytoń zajął się ogniem i Breslin zaciągnął się, i dopiero wtedy zapytała: – Pieniądze Rétiego. Po co miesza

się w to „Firma”?

– Żeby wiedział na pewno, komu je zawdzięcza.

– To się nie trzyma kupy – zauważyła. – Po co miałby być czyimkolwiek dłużnikiem? Ma swoje pieniądze. Zarobił je na książkach.

– On tak twierdził, ale myśmy go podksztalcili. Jest Węgrem, a zarabia duże pieniądze za granicą. To go stawia w trudnej sytuacji, prawda? Załatwiliśmy mu tylko sposób na położenie rąk na tych jego pieniądzech.

– Pod warunkiem, że będzie z nami współpracował.

– Jasne. Myślał, że Barrie mu to załatwi jako jego agentka literacka. – Breslin uśmiechnął się. – Nie wiedział oczywiście, że Barrie pracuje dla nas i że będzie robić to, co jej każemy. Zrobiliśmy dobry interes. Réti współpracuje z nami, a my pilnujemy, żeby dostawał dosyć pieniędzy na królewskie życie na Węgrzech.

– To jest tak... cholernie nie *fair*. Sam zarobił te pieniądze.

– I ja myślę, że to nie jest *fair*, chyba że mamy do czynienia z socjalistycznym pisarzem i jego kapitalistycznym agentem. Daj spokój. Collette, wiesz, że nic nie jest *fair* w robocie, do której zostaliśmy powołani.

– „Powołani”. Wzniośle to określasz.

– Z konieczności. Może w ten sposób łatwiej to strawisz.

Przepełniona gniewem wzięła głęboki oddech. – Przejdźmy do Hegedüsa i Jasona Tolкера. Czemu udajesz, że wierzysz w zmianę nastawienia Hegedüsa do Tolкера?

– Czemu miałbym nie wierzyć?

– Czemu nie? Joe, czy nie przyszło ci do głowy, że Árpád mógł przejść do nas, żeby nam dostarczać fałszywych informacji? A co, jeśli Tolker współpracuje z drugą stroną? Bardzo wygodne staje się przejście Hegedüsa do nas, bo odwraca naszą uwagę. Nie, mnie to nie przekonuje. Kiedy poprzednio Hegedüs powiedział mi, że Tolkerowi nie należy ufać, mówił prawdę. A teraz sam nie wierzy w to, co mówi. Kłamie.

– Dowiedz tego.

– Jak można dowieść czegokolwiek w tej idiotycznej grze?

– Słusznie, nie można. Oceniasz wszystko, co wiesz – a cholernie dobrze wiadomo, że nigdy nie wiemy dużo – słuchasz, co ci mówi intuicja i co ci radzi głowa, po czym wydajesz opinię. Moja opinia? Mamy faceta, który przeszedł do nas, i to dobrego. Pewnie, że wszyscy wolelibyśmy, żeby tu został i przekazywał nam informacje, ale nie szkodzi, że teraz jest z nami. Wie bardzo dużo o psychologii braterstwa sowiecko-węgierskiego. Wykonałaś dobrą robotę, Collette. Ładnie go zwerbowałaś. Ufał ci. Wszyscy są zadowoleni ze sposobu, w jaki

z nim postępowałaś.

– To wspaniale, czemu ty mi nie ufasz?

– Co takiego?

– Czemu nie zgadzasz się z tym, co mówi moja intuicja i moja głowa? On kłamie, Joe, może po to, żeby chronić rodzinę w Związku Sowieckim, a może, aby pokazać się przed swoimi władzami jako patriota. Nie zastanawia cię, że Sowieci spuścili go ze sznurka? Miał wracać do Rosji, bo mu nie ufają. Nie wraca i bez trudu dostaje się do nas. On kłamie. Wetknęli go między nas i jednym z jego zadań jest spowodować, żebyśmy zostawili Jasona Tolkera w spokoju.

– Czysta spekulacja, Collette. Dowody. Daj mi coś konkretnego na wsparcie twojej tezy.

Rozłożyła ręce. – Nie mam nic konkretnego, ale wiem, że mam rację.

– A Réti? – zapytał Breslin. – Po co on miałby kłamać?

– Nie wiem. Pamiętaj jednak, że był w Londynie, gdy Barrie została zamordowana.

– To znaczy?

– To znaczy, że być może zabił ją, bo wiedział, że jej teczka jest wypchana pieniędzmi.

– Jego pieniędzmi. Po cóż miałby ją za to zabijać? – Długo i powoli zaciągnął się dymem z fajki.

– Czy wiedział, ile ma mu przywieźć?

– Nie jestem pewien. Raczej nie.

– Może pan Réti doszedł do wniosku, że nigdy nie rozliczymy się z nim uczciwie. Może pomyślał, że dostanie tylko małą część z tego, co ona przewoziła. Może chciał dostać tę forszę w swoje ręce będąc zagranicą i tam je ukryć.

– Interesujące pytania.

– Nieprawdaż?

– A co z Hublerem w Waszyngtonie? On na pewno nie zginął z rąk Rétiego, Collette.

– Ale Réti mógł to zaaranżować, jeśli Hubler wiedział, co się stało. Mogli to zrobić Sowieci. A może był to czysty zbieg okoliczności, nie mający nic wspólnego z Barrie.

– Może. Czy masz jeszcze jakieś inne teorie?

– Joe, nie odrzucaj tego, co mówię. Nie traktuj mnie jak uczennicę, która wymyśla scenariusze rodem z marnych spektakli telewizyjnych.

– No, no, Collette, nie zagalopuj się. Ja jestem „biały” charakter, pamiętasz? Jestem przyjacielem.



Chciała zakwestionować to, co powiedział, ale dała spokój. Poprosiła o papierosa.

– Przecież nie palisz.

– Paliłam, kiedy jako uczennica oglądałam marną telewizję. Masz papierosa?

– Tak, w schowku na rękawiczki. Od czasu do czasu i ja miewam chęć zapalić.

Otworzyła schowek, sięgnęła do środka, znalazła pogniecioną paczkę cameli i wyjęła jednego papierosa. Breslin podał jej ogień. Zakasłała, wypuściła dym, potem zaciągnęła się raz jeszcze, wyrzuciła papierosa przez okno i powiedziała: – Myślisz, że Eryk Edwards pracuje na dwie strony?

– Tak.

– I myślisz, że to on zabił Barrie?

– Bardzo prawdopodobne.

– Czemu miałyby to zrobić? Kochał ją.

– Żeby się ratować.

– Co masz na myśli?

– Barrie wiedziała, że on jest podwójnym agentem.

– Bo Tolker jej powiedział.

– Nie, to ona powiedziała Tolkerowi. – Wyciągnął rękę i ujął ją za ramię. – Jesteś gotowa na mocne uderzenie, Collette?

– Coś mocnego? Ubiegły tydzień nie należał raczej do słabych, nieprawdaż, Joe?

– Nie, nie należał. – Zamilkł na chwilę, ładując fajkę, a potem dodał: – Twoja przyjaciółka Barrie też się sprzedała.

– Sprzedała się? Co to znaczy? Sprzedała się komu?

– Drugiej stronie. Robiła to razem z Edwardsem.

– Joe, to...

– Hej, przynajmniej mnie wysłuchaj.

Nie słuchając, wpadła mu w słowa: – Jeśli oboje byli w to zaplątani, to po co miałyby jechać na Węgry, żeby zdemaskować Edwardsa?

– Słyszałaś kiedyś o wzgardzonej kobiecie i zemście?

– Nie, Barrie.

– Dlaczego nie?

– Bo... nie zrobiłaby czegoś takiego. – Słowa te wypowiedziała już tylko z odrobiną przekonania. Myślała nad rodzajem kontroli, jaką ktoś taki jak Jason Tolker mógł sprawować nad dobrym medium, jakim była Barrie Mayer. Nie zapomniała też o tym, co przeczytała w książce Eastbrooka o „zmianie obrazu rzeczywistości” w celu wywołania w ludziach

zachowania sprzecznego z ich osobowością i podstawowymi wartościami.

– A co, jeśli Tolker zaprogramował ją, aby wystąpiła z historią o Edwardsie z... nie wiem, z zazdrości czy jakiejś urazy, czy dla ratowania własnej skóry? Może to Tolker jest podwójnym agentem i wykorzystał Barrie, żeby zatrzeć ślady. Może nastawił ją przeciwko Edwardsowi.

– Taak, być może, Collette. A kto nastawił cię przeciwko Tolkerowi?

– Nie jestem...

– Powiedzmy to inaczej, czemu tak gorąco bronisz Edwardsa?

– Tego też nie robię, Joe.

– Myślę, że robisz.

– Pomyśl jeszcze raz i przestań traktować mnie jak jakąś małą kobietkę broniącą do upadłego swego ukochanego. Jestem kobietą, Joe, i zarazem agentką CIA. Wiesz co? Jestem dobra w obu tych rolach.

– Collette, może...

– Może nic, Joe. Zapakowaliście ze Stanem to wszystko razem w coś, co uważacie za śliczną paczuszkę, dobrze obwiązaną, bez luźnych końców, bez wątpliwości. Dlaczego? Czemu jest to tak cholernie ważne, żeby rozwiązać tajemnicę morderstwa Barrie obciążając nim Edwardsa? – Uniósł brwi, jakby mówił „Znowu zaczynasz”. – Potrząsnęła głową. – Nie kupuję tego; ani trochę, Joe.

– Szkoda – powiedział.

– Czemu?

– Bo takie podejście odbija się na twoim następnym zadaniu.

Spojrzała na niego pytająco. – Jakie zadanie?

– Zlikwidowanie Eryka Edwardsa.

Chciała coś powiedzieć, lecz nie była w stanie.

– Rozumiesz, co mówię do ciebie, prawda?

– Wykończyć Eryka? Zabić go?

– Tak.

Roześmiała się, chociaż śmiech ten nie był wcale odbiciem stanu jej ducha. Breslin też zaczął się śmiać i przestał dopiero, gdy ona przestała.

– Oni nie żartują.

– Oni?

– Ci na górze.

– Oni... kazali ci polecić właśnie mnie, żebyś go zabiła?

– Uhm.  
– Dlaczego mnie?  
– Możesz zbliżyć się do niego.  
– Mnóstwo ludzi może.  
– Ty możesz bliżej i łatwiej, Collette.  
– Jak „oni” sugerują, żeby to zrobić?!  
– Wybór należy do ciebie. Jutro rano idź do Działu Technicznego i wybierz sobie broń.

– Rozumiem – powiedziała. – A potem?  
– Myślisz o tym, co po wykonaniu zadania?  
– Tak.  
– Nic. Koniec, podwójny agent w Banana Quick przestaje być problemem i możemy wracać do normalności, co może nastąpić bardzo szybko. Banana Quick gotuje się jak wulkan i może wystrzelić.

– Z powrotem do normalności tu, w Budapeszcie?  
– Jeśli zechcesz. Zwykle osoba wykonująca mokrą robotę ma wybór przyszłego miejsca pracy; może nawet iść na urlop, oczywiście płatny.

– Joe, przykro mi, ale... – Znowu zaczęła się śmiać, ale nie był to prawdziwy śmiech jak poprzednio, i on nie dołączył do niej. Pykał fajkę i czekał, aż jej nerwowa, absolutnie niezbędna reakcja przycichnie.

– Oni mówią poważnie, Collette.  
– Jestem pewna. A właściwie nie jestem. – Odczekała chwilę, a potem dodała: – Joe, to oni wysadzili jacht w powietrze, prawda? – Gdy nie odpowiadał, dodała: – Eryk wiedział o tym.

Breslin milczał dalej.

– Ja byłam na tym jachcie, Joe.

– To nie była nasza robota.

– Nie wierzę ci.

– Sowieci to zrobili.

– Po co mieliby to robić, skoro on jest po ich stronie?

Breslin wzruszył ramionami. – Może zaczął domagać się więcej pieniędzy. Może uznali, że dostarcza im złych informacji. Może nie spodobało im się, że się zadaje z urodziwą agentką CIA.

Cahill potrząsnęła głową. – Wiesz, Joe, co jest w tym niezwykłego?

– Co?

– To, że „oni” oznacza tych samych ludzi... Sowietów, CIA, wszyscy ci sami, ta sama moralność – ta sama etyka, ta sama gra.

– Nie wygłaszaj mi tu przemowy o jednakowej moralności, Collette. To na nic i wiesz o tym. Mamy system, dobry i uczciwy, który chcemy utrzymać. Ich system jest zły. Powiem ci coś jeszcze. Jeśli chcesz na to patrzeć w ten sposób, to niech to zostanie między nami. Nie dojdzie to do...

– Do diabła z nimi.

– Jak chcesz. Dałem ci zadanie. Bierzesz je?

– Tak.

– Słuchaj, Collette, zdajesz sobie sprawę, że...?

– Joe, powiedziałam, że to zrobię. Nie potrzebuję dalszych przemów.

– Naprawdę zrobisz to?

– Tak, naprawdę to zrobię.

– Kiedy?

– Wyjadę jutro.

– Mam wrażenie, że...

– Odwieź mnie do domu, Joe.

– Collette, jeśli masz jakiś cień wahania, radziłbym ci zastanowić się przez noc.

– Uczynię to. Będę dobrze spała.

– Dlaczego?

– Dlaczego co?

– Skąd ta nagła ochota zabicia Edwardsa?

– Bo... bo jestem profesjonalistką. Bo pracuję dla CIA. Robię, co mi każą. Z pewnością jest to dla dobra kraju, dla mojego kraju. Ktoś to musi zrobić. Jedźmy.

Zatrzymał wóz przed budynkiem, w którym mieszkała i powiedział: – Przyjdź rano do mnie.

– Po co?

– Żeby pomówić o szczegółach.

– Nie ma potrzeby. Powiesz w Dziale Technicznym, że się zjawię?

Westchnął. – Tak.

– Wiesz co, Joe?

– Co?

– Po raz pierwszy od czasu rozpoczęcia pracy dla CIA czuję się członkiem zespołu.

## ROZDZIAŁ 27

Następnego ranka zbudziła się zadziwiająco wypoczęta. Nie czuła kaca z powodu różnicy czasu ani picia późnym wieczorem. Wzięła szybki prysznic, włożyła kostium tweedowy w kolorze wrzosu i golf o barwie czerwonego wina i zadzwoniła po taksówkę. Pół godziny później wchodziła przez drzwi frontowe ambasady Stanów Zjednoczonych przy ulicy Szabadság tér. Facetowi z ochrony, który znał ją dobrze, machnęła przed nosem swoją przepustką, przez otwarte przez niego drzwi weszła do wewnętrznego hallu i udała się prosto do biura transportowego. Zarezerwowała tam popołudniowy lot samolotem „Malevu” do Londynu i stamtąd połączenie do Nowego Jorku na następny wieczór.

– Dzień dobry, Joe – powiedziała rześkim głosem do Breslina, z którym spotkała się w hallu.

– Halo, Collette – odparł Breslin ponuro.

– Czy możemy załatwić to teraz? – spytała.

Westchnąwszy ciężko, znacząco, Breslin odparł: – Tak, chyba tak.

Zamknął drzwi swojego pokoju biura. – Masz papierosa, Joe? – spytała miłym tonem.

– Nie. Nie zaczynaj ulegać temu nawykowi.

– Czemu nie? Wygląda, że zaczynam mieć dużo nowych nawyków.

– Słuchaj, Collette. Wczoraj późną nocą rozmawiałem ze Stanem. Próbowałem... – Popatrzył na sufit. – Chodźmy się przejść.

– Nie ma potrzeby. Załatwiłeś mi wizytę w Tech na dziś rano?

– Tak, ale... – wstał. – Chodźmy.

Nie miała wyboru, musiała wyjść z nim z ambasady i przejść przez Plac Wyzwolenia do ławki. Breslin postawił na niej nogę i zapalił fajkę. – Próbowałem wymanewrować cię z tego, Collette – rzekł.

– Po co? Przecież się zgodziłam.

– Tak, i to mnie martwi. Jak do tego doszło?

– Chyba wyjaśniłam ci to wczorajszej nocy. Chcę być profesjonalistką, członkiem zespołu. Wchodzisz do takiej organizacji jak ta, bo – żebyś nie wiem jak chciał, czy musiał, zaprzeczać swojej fascynacji filmami Jamesa Bonda, ona zawsze leży u podstaw tego kroku. Mam rację, Joe?

– Może. Rzecz w tym. Collette, że rozstawszy się z tobą udałem się do Stana i próbowałem namówić go do cofnięcia polecenia z Langley.

– Niepotrzebnie to zrobiłeś. Nie chcę, żeby traktowano mnie inaczej niż innych tylko dlatego, że jestem kobietą.

– To nie był argument, którym uzasadniałem moją prośbę – odrzekł Breslin. – Uważam, że nie powinnaś występować przeciwko naszemu przyjacielowi z BWD ze względu na związek, jaki was łączy.

– Nie łączy na żaden związek, Joe. Poleciałam tam w interesach i zrobiłam, co miałam zrobić. Zbliżyłam się do niego i o mały włos nie skończyłam jako pokarm dla ryb. Dla mnie wypełnienie zlecenia jest rzeczą absolutnie sensowną.

– Hank też tak uważa.

– Fox? To mi pochlebia. Wydaje się, że wszyscy mi ojcują, ale wiesz co, Joe?

– Co?

– Niepotrzebny mi tatuś, i to dotyczy także ciebie.

– Dziękuję.

– Nie ma za co. Jak dotąd wszyscy moi tatusiowie, z tobą włącznie, nie robią nic innego, jak tylko wysyłają swoje córki w bój. Jakaś nowa definicja ojcostwa. Wyzwolenie kobiet. No i dobrze. Teraz wróćmy do sprawy zasadniczej. Próbowaleś wyciągnąć mnie z tego, ale ci się nie udało. To dobrze, bo jestem zdecydowana to zrobić. Wszystko sobie uporządkowałam w głowie. Czego na pewno nie potrzebuję, to zasiewania w niej wątpliwości. – Roześmiała się. – Poza tym marne ze mnie medium. Szkoda, że Barrie też nie była taka.

Breslin zrobił ruch głową w stronę drugiego końca placu, gdzie dwóch mężczyzn w płaszczach i kapeluszach stało udając, że ich nie obserwują. – Chyba dosyć porozmawialiśmy – powiedział.

– Też tak myślę – odparła Cahill. – Zarezerwowałam miejsce w samolocie na popołudnie. Lepiej wróćmy i zabierzmy to, co mam wziąć ze sobą.

– W porządku. Jeszcze jedno. – Ruszył w stronę taksówek czekających na klientów. Zwolnił i Collette dołączyła do niego. – Jak będziesz w kraju, nie kontaktuj się z nikim związanym z nami. Z nikim. Rozumiesz?

– Tak. – To polecenie nie zaskoczyło jej. Charakter zlecenia, jakie miała wykonać, wykluczał kontakt z kimkolwiek nawet luźno związanym z CIA i Langley.

– Jednak – kontynuował – gdybyś w razie rzeczywistego niebezpieczeństwa potrzebowała pomocy, w Waszyngtonie powołany zostanie dla ciebie punkt kontrolny.

– Kto?

– To nieistotne. Pamiętaj tylko, że jest osiągalny w razie nagłej potrzeby. Przez

następne dwa tygodnie kontaktuj się codziennie dokładnie o szóstej. Punktem kontaktowym będzie pomnik Winstona Churchilla przed ambasadą brytyjską przy alei Massachusetts. Twój kontakt będzie tam co wieczór przez dziesięć minut, nie dłużej. Czy to jasne?

– Tak. Czy dalej mogę się kontaktować na BWD w „Pusser’s Landing”?

– Nie.

– W porządku.

Nie miała nic więcej do powiedzenia, więc weszła za nim z powrotem do ambasady, udała się do swego biura, zamknęła drzwi i podszedłszy do okna popatrzyła na szare, nagle ponure miasto Budapeszt. Zadzwoił telefon, lecz nie podniosła słuchawki. Poczowała, że jest w niej beznamiętna pustka: żadnych uczuć, obaw czy zwątpień. Nie istniało nic i był to przyjemny stan ducha.

Po dziesięciu minutach poszła do sutereny ambasady, gdzie na zamkniętych drzwiach była tabliczka „Pomoc techniczna”. Zastukała, zasuwa odsunęła się i Harold Sutherland otworzył drzwi.

– Cześć, „Rudy” – powiedziała.

– Cześć. Właź do środka. Czekałem na ciebie.

Gdy drzwi zamknęły się za nimi, Sutherland zapytał: – No więc, dziecinko, co ci jest potrzebne?

Cahill stanęła pośrodku ciasnego, zagraconego pomieszczenia: uświadomiła sobie, że „Rudy” czeka na odpowiedź. Co ma odpowiedzieć? Nie wiedziała, co jej jest „potrzebne”. Niewątpliwie byli ludzie zarabiający na życie tym, co ona miała zrobić. Zabijaniem. On i wiedzieli, czego im potrzeba do ich pracy. Ona nie wiedziała, bo zabijanie ludzi nie było wyszczególnione w kontrakcie, jaki podpisała podejmując pracę dla ambasady. Ale i ten kontrakt był kłamstwem. Nie pracowała dla ambasady, a dla Centralnej Agencji Wywiadowczej, CIA, „Firmy”, „Fabryki Korniszonów”, której jawnym zadaniem było gromadzenie danych wywiadowczych z całego świata i... i zabijanie, kiedy było to konieczne dla wykonywania tej pracy.

Przeszła kursy w czasie szkolenia w CIA na „Farmie”, uczące zabijania, chociaż nigdy nie było to jasno sformułowane. Nazywali to „samoobroną”. Były też inne określenia: „technika likwidacji”, „neutralizacja”, „zabezpieczenie operacji”.

– Lecisz dokądś? – spytał Sutherland.

Jego poważny ton zaskoczył ją. Spojrzała na niego i z wymuszonym uśmiechem odparła: – Tak.

– Chodź ze mną.

Przeprowadził ją obok biurka i rzędów półek od podłogi do sufitu zapchanych nieoznakowanymi pudłami, i dalej, do pokoiku na zapleczu. Była to miniaturowa strzelnica. Cahill nie wiedziała w ogóle o jej istnieniu. Brała udział w ćwiczeniach w strzelaniu na głównej strzelnicy ambasady, która była niewiele większa, tylko dłuższa.

Znajdował się tam stół, dwa krzesła i grubo wyściełana ściana odległa o trzy metry. Wykładzina ściany była podziurawiona. Spojrzała na sufit. Podobnie jak pozostałe ściany został wyłożony materiałem dźwiękochłonnym.

– Siadaj – powiedział Sutherland.

Usiadła na jednym z krzeseł, a on znikł między półkami. Chwilę później przyniósł białe tekturowe pudło. Postawił je na stole, otworzył i wyjął purpurowy woreczek zaciągnięty sznurkiem. Przyglądała się, jak go otwierał. Wyjął z niego coś z białego plastyku, co kształtem przypominało mały rewolwer. Z pudła wy dobył drugi woreczek zawierający plastikową lufę. Jediną metalową częścią była mała sprężyna.

– Dziewięćmilimetrowy – powiedział waząc elementy rewolweru w swej dużej, zrogowaciałej dłoni. – Taki jak austriacki Glock 17, tylko z plastikową lufą. Amerykański. Dostaliśmy je w zeszłym tygodniu.

– Rozumiem.

– Spróbuj go złożyć. To proste.

Przyglądał się, jak manipulowała częściami, a potem pokazał, jak się to robi. Po złożeniu rewolweru powiedział: – Sprężynę trzymaj w torebce, resztę zapakuj do walizki i owiń w ubrania, chociaż to niepotrzebne. Prześwietlenie nic nie wykryje.

Spojrzała na niego. – A kule?

Wyszczерzył zęby. – Chodzi ci o amunicję? Dostaniesz ją w każdym sklepie z przyborami sportowymi w miejscu, do którego się udajesz. Chcesz wypróbować?

– Nie. Ja... Tak, chętnie.

Pokazał jej, jak go ładować i powiedział, żeby oddała strzał ku wykładanej ścianie. Cahill ujęła broń obu dłońmi i pociągnęła za spust. Czekwała na odrzut, ale praktycznie go nie było. Huk odgłosu był też słabutki.

– Potrzebujesz tłumika?

– Nie, chyba nie.

– To dobrze. Już jest opracowany, ale go jeszcze nie mamy. Teraz go rozłóż. Będę patrzył, jak to robisz.

Rozłożyła i złożyła rewolwer czterokrotnie.

– Dobrze. Masz już pojęcie. Coś jeszcze?



– Nie... nie wiem, „Rudy”. – Właściwie chciałaby powiedzieć, że udaje się na wykonanie zadania, którym jest zabicie kogoś, zabicie mężczyzny, z którym spała, wykończenie go dla dobra jej kraju i wolnego świata. Oczywiście nie powiedziała nic. Było już na to za późno i zabrzmiałoby nieprofesjonalnie.

– „Rudy”.

– No?

– Chciałabym trochę kwasu pruskiego i detonator.

Uniósł brwi. – Po co ci to? – spytał.

– Potrzebne do wykonania mego zadania.

– Tak? Powinienem... – Wzruszył ramionami i uniósł z krzesła swoje ciężkie ciało. – Joe kazał mi dać ci wszystko, czego zażadasz. Na pewno ci to potrzebne?

– Tak. Na pewno.

Przygotowanie tych rzeczy zajęło mu kilka minut. Gdy przekazywał jej paczuszkę, zdumiał ją jej mały rozmiar.

– Wiesz, jak się tego używa?

– Nie.

Pokazał jej. – To wszystko, co trzeba zrobić – powiedział. – Podsuwasz to pod nos i pociągasz za tę sprężynę. Upewnij się, że nie będzie to twój własny nos. Tak na marginesie, to w razie czego użyj szybko tego. – Podał jej paczuszkę z dwoma ampułkami. – Nitro. Jeśli dostaniesz porcję kwasu pruskiego, rozbij sobie pod nosem te ampułki, bo inaczej... – Wyszczrzył zęby i poklepał ją po ramieniu. – Bo inaczej stracę moją ulubienicę.

Jego słowa wstrząsnęły nią, lecz i ona uśmiechnęła się i rzekła: – Dziękuję, „Rudy”. Masz dla mnie jakieś mądre rady?

– Tak. Kilka.

– Jakie?

– Uciekaj, dziecko, z tego interesu. Wracaj do domu, zacznij pracować w jakimś Banku, wyjdź za mąż i wychowaj dwójkę dobrych obywateli.

Chciało jej się płakać, ale opanowała łzy. – Jeśli o to chodzi – odparła – to zamierzałam zostać naczelnym prokuratorem Stanów Zjednoczonych.

– To niewiele lepsze od tego, co robisz teraz. – Potrząsnął głową i powiedział: – Chciałabyś pogadać?

Bardzo, bardzo chciała, lecz zamiast tego odparła: – Nie, muszę lecieć. Jeszcze się nie spakowałam. Chodzi mi o resztę rzeczy. – Popatrzyła na pudełko trzymane w rękach. Sutherland włożył tam rewolwer, fiolkę z kwasem pruskim, detonator i zapakował wszystko

starannie, jak prezent ślubny.

– Powodzenia, mała – powiedział. – Wracasz tu niedługo?

– Tak, myślę, że tak. Chyba że zdecyduję się pracować w banku. Dzięki „Rudy”.

– Uważaj na siebie.

## ROZDZIAŁ 28

Był to stały dowcip krążący wśród pracowników ambasady – linie lotnicze „Malév”, narodowe węgierskie linie lotnicze, sprzedawały bilety pierwszej klasy na swoje loty, lecz siedzenia, posiłki i obsługa były w niej identyczne jak w tylnej części samolotu. Taki kompromis między komunizmem i wolnym rynkiem. Dla Cahill latanie pierwszą klasą było raczej niecodzienne. Zgodnie z polityką „Firmy” wszyscy, z wyjątkiem szefów placówek, podróżowali klasą turystyczną. Lecz gdy weszła do Wydziału Transportu, otrzymała bilety pierwszej klasy na wszystkie odcinki jej podróży. Młoda kobieta zajmująca się sprawami podróży w ambasadzie ze zdziwieniem uniosła brwi wręczając Cahill bilety. Rozśmieszyło to ją i już miała chęć powiedzieć: – Nie, to nie pomyłka. Mordercy zawsze podróżują pierwszą klasą.

Teraz, w odległości trzydziestu tysięcy stóp między Budapesztem i Londynem, sprawa nie była już tak zabawna. Była w niej jakaś symbolika, o której wolałaby nie myśleć. Coś jak ostatnia wieczerza czy ostatnie życzenie.

Przeszła przez kontrolę celną na Heathrow i udała się tam, gdzie przypuszczalnie stała Barrie, kiedy podstawiono jej pod nos kwas pruski. Długo wpatrywała się w twardą podłogę, patrzyła, jak setki par butów przechodzą po niej. Czyż nie wiedzą, po czym chodzą? Cóż za okropne miejsce na śmierć, pomyślała odchodząc wolnym krokiem. Wzięła taksówkę stojącą przed dworcem i kazała jechać pod numer 11 na ulicę Cadogan Gardens.

– Tak, mamy pokój – odparła dyżurna recepcjonistka. – Przykro mi, że pokój, w którym tak się dobrze pani mieszkało poprzednim razem, jest zajęty, ale mamy ładną jedynekę w tylnej części hotelu.

– Każdy będzie dobry – powiedziała Cahill. – Wyjechałam w ostatniej chwili, nie miałam czasu na rezerwację.

Na kolację zamówiła gotowanego łososa na zimno i butelkę wina. Gdy portier wyszedł, zamknęła dobrze drzwi, rozebrała się, wyjęła mały plastikowy rewolwer z walizki, a sprężynę, kwas pruski i detonator z torebki – i ułożyła wszystko na stole obok tacy. Spróbowała białego wina z butelki otwartej przez portiera. Było schłodzone i mocno wytrawne.

Z apetytem zjadła łososa i wypiła pół butelki wina. Przez cały czas gdy jadła, oczy miała utkwione w mechaniczne zabawki do uśmiercania, które przywiozła ze sobą.

Zadzwonił telefon. – Czy kolacja smakowała pani? – zapytał portier.

– Tak, dziękuję – odparła Cahill.

– Czy życzy sobie pani coś jeszcze?

– Nie, nie, dziękuję.

– Czy mam zabrać tacę, madam?

– Nie, nie musi pan. Jutro rano. Czy zechce pan załatwić dla mnie budzenie o dziesiątej?

– Tak, madam.

– I śniadanie do pokoju. Dwa jajka sadzone, bekon, grzanki, kawa, sok pomarańczowy.

– Tak, madam. Życzę miłego wieczoru.

– Dziękuję.

Stanąła w oknie i patrzyła, jak ostry wiatr strąca liście z drzew na ulicę. Ludzie wyprowadzali psy na spacer; ktoś próbował zaparkować zbyt duży samochód w zbyt małym miejscu.

Podeszła do stołu i wzięła do ręki biały plastikowy rewolwer, złożyła jego części i trzymając go w obu dłoniach wycelowała w olejny obraz wiszący na dalszej ścianie, przedstawiający wazon pełen róż. Rewolwer nie był nabity; będzie musiała kupić naboje po przybyciu na Brytyjskie Wyspy Dziewicze. Nigdy dotąd nie kupowała amunicji i zastanawiała się, czy potrafi zrobić to, nie tracąc pewności siebie. Zupełnie jak nastolatek – pomyślała – nieśmiało kupujący prezerwatywy.

Nacisnęła kilkakrotnie spust, usiadła na tapczanie, rozebrała broń, złożyła ją i powtórzyła te czynności kilkanaście razy. Zadowolona z siebie wzięła ostrożnie detonator i sprawdziła sprężynę, upewniwszy się przedtem, że nie ma w nim ampułki z kwasem pruskim.

Wykręciła miejscowy numer. Odpowiedział od razu.

– Josh, tu Collette Cahill.

– Collette, jak miło słyszeć twój głos. Jak się czujesz?

– Ja też się cieszę, Josh, że cię słyszę. Czuję się wspaniale. Jestem w Londynie.

– Hej, to świetnie. Czy możemy się zobaczyć? Co myślisz o kolacji jutro wieczorem?

Podzwonię po ludziach.

– Bardzo bym chciała, Josh, ale jestem tu w interesach i muszę wyjechać jutro wczesnym wieczorem. Właściwie dzwonię, żeby cię o coś poprosić.

– Dla ciebie wszystko. O co chodzi?

– Potrzebuję zdjęcie.

– Szukasz fotografa?

– Nie, potrzebne jest mi czyjeś zdjęcie. Myślałam, że może mógłbyś mi je wyszukać w aktach.

Roześmiał się. – Wiesz, że nie powinienem tego robić.

– Tak, wiem, ale byłoby to dla mnie naprawdę bardzo pomocne. Nie muszę go zabierać, wystarczy, że będę je miała jutro rano na jakąś godzinę czy dwie.

– Będziesz je miała – jeśli jest u nas takie zdjęcie. Czyja to ma być fotografia?

– Agenta literackiego z Londynu, nazwiskiem Mark Hotchkiss.

– Nie wiem, czy mamy jakieś materiały związane z agentem literackim, ale sprawdzę. Znalazłabyś go prędzej w prasowej kostnicy<sup>14</sup>.

– Wiem, ale nie mam czasu.

– Sprawdzę jutro z samego rana. Gdzie możemy się spotkać?

Podala mu adres hotelu. – Przynajmniej cię jutro zobaczę – powiedział. – Jeśli przyjdę z fotografią, będziesz mi dłużna szybki *lunch*, na mój rachunek.

– Wspaniale. Do zobaczenia koło południa.

Josh Moeller i Collette współpracowali ze sobą na stanowisku nasłuchowym CIA w Anglii. Szybko się zaprzyjaźnili; łączyło ich podobne poczucie humoru i dyskretne lekceważenie biurokratycznych zasad i przepisów kierujących ich życiem i pracą. Przyjaźń przekształciła się w krótki romans tuż przed przeniesieniem Cahill do Budapesztu. To przeniesienie zakończyło romans formalnie, lecz oboje wiedzieli, że uczucie ich zmarło śmiercią naturalną jeszcze wcześniej; jedna z tych sytuacji, gdy przyjaźń okazuje się silniejsza i ważniejsza dla obu stron, niż uczucie. Początkowo pisywali do siebie przesyłając listy między Londynem i Budapesztem, głównie pocztą dyplomatyczną, lecz wkrótce przestali korespondować, jak to bywa z najlepszymi przyjaciółmi, szczególnie gdy przyjaźń jest na tyle silna, aby wykluczała potrzebę częstego kontaktu.

Następnie Collette zamówiła rozmowę międzykontynentalną. Po dziesięciu minutach połączono ją z BWD. W telefonie odezwał się głos sekretarki Edwardsa.

– Czy zastałam pana Edwardsa? – spytała Cahill sprawdzając na zegarku różnicę czasu.

– Nie, proszę pani, nie ma go. Jest w Stanach.

– W Waszyngtonie?

– Tak, proszę pani. Czy to panna Cahill?

Cahill zdumiało to pytanie. – Tak, to ja.

---

<sup>14</sup> Prasowa kostnica (ang. newspaper morgue) notki prasowe o żyjących sławnych ludziach, przygotowane na wypadek ich śmierci. (*Przyp. tłum.*)

– Pan Edwards powiedział, że jeśli pani zadzwoni, mam panią poinformować, że zatrzymał się w hotelu „Watergate”, w Waszyngtonie D.C.

– Jak długo tam będzie?

– Sądzę, że jeszcze tydzień.

– Dziękuję, bardzo dziękuję. Skontaktuję się tam z nim. Ostatni telefon, do matki w Wirginii.

– Collette, gdzie jesteś?

– W Londynie, mam, ale przyjadę do domu za parę dni.

– Ach, to cudownie. – Pauza. – Dobrze się czujesz?

– Tak, mam, dobrze. Myślę... myślę, że może wrócę do domu na dobre.

Nawet mimo złego połączenia usłyszała w telefonie, że matkę aż zatkało. – Dlaczego? – spytała. – To znaczy, bardzo by mnie to ucieszyło, ale... czy na pewno wszystko w porządku? Może masz jakieś kłopoty?

Collette roześmiała się głośno, żeby dać do zrozumienia, że nie. Powiedziała tylko: – Mnóstwo rzeczy się dzieje, mam, i może najlepsza z nich, to wrócić i zostać w domu na stałe.

Połączenie zaczęło się przerywać, więc Cahill dodała szybko: – Do widzenia, mam. Do zobaczenia za jakiś tydzień.

Wiedziała, że matka coś mówi, ale nie rozumiała słów, a potem połączenie przerwało się.

Przez większą część nocy chodziła po pokoju, brała i sprawdzała przywiezioną ze sobą broń – rozmyślała; myśli w jej głowie galopowały jak szalone, coraz to inna osoba z jej życia pojawiała się na pierwszym planie – Barrie Mayer, Mark Hotchkiss, Breslin, Podgorsky, Hank Fox, Jason Tolker, Eryk Edwards – wszyscy oni i chaos, jaki spowodowali w jej małym światku. Czy było tak prostą rzeczą przywrócić porządku nie tylko w jej życiu, lecz także w tak skomplikowanym i ważnym przedsięwzięciu geopolitycznym jak Banana Quick? Ostateczne rozwiązanie – mówiła sobie – leżało na stoliku do kawy – biały plastikowy rewolwer ważący kilka uncji i urządzenie sprężynowe, którego wyprodukowanie kosztuje kilka dolarów; przyrządy, których jedynym przeznaczeniem jest pozbawianie życia.

Potrafiła już prawie zrozumieć, czemu mężczyźni zabijają na rozkaz. Kobiety też, w tym wypadku. Co warte jest jedno życie opłatane wieloma warstwami „większego dobra”? Poza tym wyeliminowanie Eryka Edwardsa nie było jej pomysłem. Nie było zgodne z wartościami, które były jej bliskie, prawda? Poczekaj jednak, jest coś więcej – powiedziała sobie chodząc po pokoju i przystając po to tylko, żeby wyjrzeć przez okno lub popatrzeć na

narzędzia pracy na stoliku. Miała pomścić śmierć bliskiej przyjaciółki. Barrie zginęła z ręki kogoś, kto patrzył na życie i śmierć z tej samej perspektywy, którą kazano jej przyjąć. W końcu nieważne, kim była osoba, która odebrała życie Barrie – agent sowiecki, doktor nazwiskiem Tolker, ludzie o tak różnych charakterach jak Mark Hotchkiss i Eryk Edwards – ktokolwiek to uczynił, odpowiadał przed innym bogiem, tym, którego ona powinna teraz wzywać, jeśli ma zrealizować swój czyn.

Starając się uporządkować myśli, jakie ją nachodziły od chwili, gdy Joe Breslin polecił jej zabić Eryka Edwardsa, poczuła się zafascynowana procesem przebiegającym w jej duszy, jak gdyby była kimś, kto z boku obserwował Collette Cahill próbującą dojść do ładu ze sobą. To, co kazano jej zrobić – do czego się faktycznie teraz zabierała – było czynem tak irracjonalnym, że gdyby go jej zaproponowano w jakimkolwiek innym momencie jej życia, natychmiast wybuchnęłaby śmiechem. Ale teraz było inaczej. Wykrystalizowało się w niej, ku zdumieniu i rozbawieniu potencjalnego obserwatora, poczucie słuszności i racji, usprawiedliwiający nawet akt morderstwa. Co ważniejsze, można to było zrobić. Ona mogła to zrobić. Nie poddała się, nie uciekła z samochodu Breslina i nie ukryła się w swoim mieszkaniu ani nie wyleciała pierwszym samolotem z Budapesztu. Zgodziła się na tę misję i starannie wybrała broń, w sposób podobny do wybierania maszyny do pisania czy temperówki do ołówka niezbędnych do pracy w biurze.

Czuła się otepiała.

Mieszały się w niej różne uczucia.

I nie odczuwała strachu, co byłoby najbardziej przerażającą obserwacją ze wszystkich poczynionych przez potencjalnego świadka.

Rano usłyszała pukanie do drzwi. Zapomniała, że zamówiła śniadanie. Wskoczyła z łóżka i powiedziała przez drzwi: – Chwileczkę – potem przeszła do *living roomu*, szybko zgarnęła swoje „narzędzia” ze stolika i wrzuciła je do szuflady biurka.

Otworzyła drzwi i wpuściła portiera niosącego tacę. Był to ten sam człowiek, z którym rozmawiała w czasie swego poprzedniego pobytu w hotelu i który powiedział jej o trzech mężczyznach, co przyszli po rzeczy Barrie Mayer.

– Czy będzie pan miał służbę przez cały dzień? – Spytała.

– Tak, madam.

– Dobrze – powiedziała. – Chciałabym coś panu później pokazać.

– Proszę tylko zadzwonić, madam.

Josh Moeller przybył kwadrans po dwunastej i przyniósł kopertę, którą wręczył jej po powitalnym uścisku, mówiąc lekko zdziwionym tonem: – Mieliśmy to w naszych aktach. Nie

wiem czemu, chociaż rzeczywiście trochę nas w tym roku gonili, żebyśmy uzupełnili naszą kolekcję fotografii. Można by pomyśleć, że Wielka Brytania stała się wrogiem, sądząc po sposobie, w jaki zbieramy materiały na każdego.

Collette otworzyła kopertę i popatrzyła na lśniące czarno-białe oblicze Marka Hotchkissa. Na zdjęciu znać było ziarno – zostało widocznie skopiowane z innej fotografii.

Moeller powiedział: – Myślę, że zdjęcie pochodzi z gazety, czy jakiegoś magazynu literackiego.

Cahill spojrzała na niego i spytała: – Macie jakieś materiały o nim?

Moeller wzruszył ramionami. – Chyba nie, chociaż muszę się przyznać, że nie sprawdziłem. Powiedziałaś, że potrzebne ci zdjęcie.

– Tak, wiem, Josh. Właśnie tego potrzebowałam. Bardzo ci dziękuję.

– Dlaczego interesujesz się nim? – spytał.

– Długa historia – odparła – sprawy osobiste.

– Znajdziesz czas na obiecany mi *lunch*?

– Tak, z największą chęcią, ale muszę wpierw coś zrobić.

Zostawiła go w pokoju i zeszła na dół, gdzie portier sortował pocztę. – Przepraszam – powiedziała – czy poznaje pan tego człowieka?

Portier poprawił na wielkim nosie okulary do czytania i patrzył na zdjęcie, to odsuwając je, to przysuwając do oczu. – Tak, proszę pani, chyba poznaję, ale nie wiem skąd.

Powiedziała: – Pamięta pan tych trzech mężczyzn, którzy przyszli zabrać rzeczy mojej przyjaciółki, panny Mayer, zaraz po jej śmierci?

– Tak, to on. Był jednym z panów, którzy byli tu tamtego dnia.

– Czy to zdjęcie pana Hublera, Dawida Hublera?

– Właśnie, proszę pani. To jest pan, który się przedstawił jako współpracownik pani przyjaciółki. Powiedział, że nazywa się Hubler, chociaż nie mogę sobie przypomnieć, jak miał na imię.

– Nieważne – powiedziała Cahill. – Dziękuję panu.

Cahill i Moeller zjedli *lunch* w pubie przy Sloane Square. Przyrzekli sobie być w kontakcie i uściskali się, a potem on wsiadł do taksówki. Patrzyła, jak zniknął za rogiem, następnie poszła śpiesznie do hotelu, starannie spakowała rzeczy, kazała w recepcji przywołać taksówkę i pojechała prosto na lotnisko Heathrow na lot pierwszą klasą do kraju.



## ROZDZIAŁ 29

W Nowym Jorku Cahill wysiadła z samolotu i udała się do najbliższego publicznego telefonu, gdzie, nakręciwszy numer informacji w Waszyngtonie D. C, zapytała o numer „Watergate Hotel”, a gdy go jej podano, zapytała w centrali hotelowej: – Czy pan Eryk Edwards nie zmienił jeszcze numeru apartamentu?

– Proszę wybaczyć, ale...

– Przepraszam – przerwała. – Jestem w Waszyngtonie z francuskimi udziałowcami firmy pana Edwardsa. Gdy byłam tu poprzednio, okazało się, że zmienił apartament. Czy wciąż jest pod numerem 845?

– Zaraz... nie, według tego, co mam zapisane, mieszka pod numerem 1010. Połączę panią.

– Och, proszę się nie trudzić. Nie chciałam po prostu przyprowadzać Francuzów do niewłaściwego apartamentu. – Roześmiała się. – Pani wie, jacy są Francuzi.

– No cóż... dziękujemy za telefon.

Collette odwiesiła słuchawkę i westchnęła. Operatorzy central hotelowych nie podają numerów pokoi gości, ale są na to sposoby – trzeba narobić zamieszania. Nakręciła ponownie numer hotelu „Watergate” pytając, czy są wolne apartamenty.

– Jak długo będzie pani u nas? – usłyszała pytanie.

– Trzy dni. Może dłużej.

– Tak, mamy dwa apartamenty dla dyplomatów, po 410 dolarów za dobę.

– To mi odpowiada – odparła Cahill. – Czy ma pani jakiś na niższej kondygnacji? Mam fobię wysokich pięter.

– Najniżej jest na ósmym. Wszystkie apartamenty dyplomatyczne są na wyższych piętrach.

– Ósme? Dobrze, niech będzie. – Podała swoje nazwisko, numer karty kredytowej American Express i powiedziała, że wieczorem przyleci do Waszyngtonu.

Przejazd z lotniska Kennedy’ego na La Guardia potrwał dłużej niż lot na krajowe lotnisko w Waszyngtonie. Opuściwszy samolot natychmiast poszła do centrum telefonicznego, poprosiła o waszyngtońską książkę usług i przedsiębiorstw, i przejrzała listę sklepów ze sprzętem sportowym. Znalazła jeden w Maryland, w odległości kilku przecznic i podjechała tam taksówką w momencie, gdy właściciel miał już zamykać sklep. – Potrzebuję naboju – powiedziała nieśmiało, jak nastolatek kupujący prezerwatywy.

Uśmiechnął się. – Chodzi pani o amunicję.

– Tak, chyba amunicję. To dla mego brata.

– Jaką?

– Chwileczkę, tylko spojrzę; dziewięciomilimetrową, do małego rewolweru.

– Bardzo małego – zauważył. Pogrzebał w szufladzie za kontuarem i wyjął stamtąd pudełko. – Czy coś jeszcze?

– Nie, dziękuję. – Oczekiwała pytań, żądania podania adresu, przedstawienia dowodu tożsamości. Nic z tych rzeczy – zwykły zakup. Zapłaciła, podziękowała i wróciła na ulicę z pudełkiem naboju w torebce.

Doszła pieszo do „Watergate” i wpisała się do rejestru hotelowego, obrzucając przy tym hall uważnym spojrzeniem.

Gdy tylko znalazła się w swoim apartamencie, rozpakowała się, wzięła gorący prysznic i w hotelowym szlafroku wyszła na balkon opasujący budynek, z którego widać było rzekę Potomac i ogromne, połyskujące bielą Centrum Kennedy’ego. Noc była piękna, lecz rozsadzana energią Cahill nie była w stanie ustać w jednym miejscu dłużej niż kilka sekund.

Weszła do *living roomu*, umeblowanego reprodukcjami antyków, odszukała w torebce skrawek papieru i nakręciła zapisany na nim numer. Telefon w mieszkaniu brata Verna Wheatleya dzwonił ośmiokrotnie, zanim Wheatley odezwał się. Ledwie usłyszał jej głos, wrzasnął w słuchawkę: – Gdzie się u diabła podziewałaś? Mało nie dostałem szału starając się cię odnaleźć.

– Byłam w Budapeszcie.

– Czemu nie powiedziałaś mi, że wyjeżdżasz? Po prostu znikasz, nie racząc nawet mnie powiadomić.

– Vern, próbowałam dzwonić, ale telefon nie odpowiadał. To nie była podróż dla przyjemności. Musiałam wyjechać natychmiast.

Z jego tonu poznała, że zignorował jej słowa. Powiedział chłodno: – Muszę zaraz się z tobą zobaczyć. Gdzie jesteś?

– Ja... czemu chcesz się ze mną widzieć?

– Może dlatego, że spaliśmy ze sobą. Może zwyczajnie chcę cię znów zobaczyć. A może mam coś cholernie ważnego do omówienia z tobą. – Zaczęła coś mówić, lecz on dodał szybko: – Coś, co może uratować życie nam obojgu.

– Czemu nie powiesz mi tego po prostu przez telefon? – powiedziała. – Jeśli to takie ważne...

– Widzisz, Collette, są rzeczy, o których ci nie mówiłem, bo... no, bo nie był na to

właściwy moment. Teraz nadszedł ten moment. Gdzie jesteś? Zaraz tam będę.

– Vern, muszę coś załatwić, zanim będę mogła rozmawiać z tobą. Jak tylko to zrobię, będę potrzebować rozmowy z kimś. Proszę cię, spróbuj zrozumieć.

– Do diabła, Collette, przestań...

– Vern, powiedziałam, że mam coś do załatwienia. Zadzwoń do ciebie jutro.

– Nie zastaniesz mnie tu.

– Nie?

– Wybywam stąd. Właśnie wychodziłem, gdy zadzwonił telefon. Miałem zamiar go nie odbierać.

– Chyba popadłeś w panikę.

– Tak, można tak powiedzieć. Zawsze się trochę denerwuję, gdy ktoś chce mi poderznąć gardło albo wysadzić w powietrze mój wóz.

– O czym ty mówisz?

– O czym mówię? Powiem ci, o czym mówię. O tej bandzie wariatów, dla której pracujesz. Mówię o kupie psychopatów, którzy zaczynają od obrywania skrzydeł muchom i strzelania z rewolweru do ptaków, zanim przerzucą się na ludzi.

– Vern, nie pracuję już dla CIA.

– Gadaj zdrow, Collette. Czy to jeden z kursów na „Farmie”? Kurs kłamstwa? Do jasnej cholery muszę z tobą natychmiast się zobaczyć.

– Vern, ja... no dobrze.

– Gdzie jesteś?

– Spotkajmy się gdzieś.

– Może zjemy kolację?

– Nie jestem głodna.

– Ale ja tak. Jestem w nastroju na coś greckiego, coś jak dramat czy tragedia. Czekaj na mnie za godzinę w „Tawernie”.

– Gdzie to jest?

– Pennsylvania Avenue, południowy wschód. Za godzinę?

Colletteomal się nie wycofała, ale zdecydowała się odbyć to spotkanie. Ostatecznie to ona zadzwoniła do niego. Po co? Nie umiała odpowiedzieć. Ogarniająca ją słabość, potrzeba rozmowy z kimś, kogo znała i sądziła, że może mu zaufać. Pomówić o c z y m? Że wróciła do Waszyngtonu, żeby kogoś zamordować? Nie, o tym nie będzie mowy. W jego głosie była desperacja. To o n potrzebował rozmowy. Dobra, wysłucha go, i koniec.

Ubierając się przeleciała myślami to wszystko, co Joe Breslin powiedział jej na temat

Verna. Przybył do Waszyngtonu, aby w taki czy inny sposób zdemaskować CIA, a zwłaszcza ich doświadczalne programy z zakresu sterowania mózgiem. Jeśli to prawda – a była pewna, że tak, na podstawie ich króciutkiej rozmowy przed chwilą – to nie można mu ufać, tak samo jak pozostałym. Nic już nie było proste. Życie zwykłą prawdą musi być zarezerwowane dla mnichów, zakonnic i naturalistów, a jest za późno, by stać się kimkolwiek z nich.

Wjechała windą na dziesiąte piętro i przeszła obok apartamentu 1010. Serce biło jej szybko z obawy, że natknie się na Edwardsa. Ale nie spotkała go. Wróciła do windy i zjechała do hallu. W hotelu był duży ruch. Głównym wyjściem wyszła do miejsca, gdzie stał długi rząd czarnych limuzyn z szoferami w uniformach czekającymi na pojawienie się ich bogatych i potężnych pracodawców lub klientów. Z innego rzędu podjechała taksówka. Cahill wsiadła i powiedziała: „Tawerna”, Pennsylvania Avenue, południowy...

Kierowca odwrócił się ze śmiechem. – Wiem, wiem – powiedział. – Jestem Grekiem.

Weszła do pomieszczenia, które kierowca nazwał „dobrą grecką restauracją”, i od razu usłyszała grecką muzykę i głośny śmiech z baru na dole. Zeszła tam, szukając Wheatleya, ale go nie było. Nie powiedział, gdzie się spotkają, ale uznała, że będzie to bar. Zajęła jedyny wolny stół, zamówiła białe wino, odwróciła się i spojrzała na greckiego muzyka, przystojnego młodego człowieka o czarnych, kręconych włosach, który uśmiechnął się i głośniejsz potrafił struny swego instrumentu. Przypomniła jej się Budapeszt. Odwzajemniła uśmiech i powiodła spojrzeniem po innych gościach na sali. Był to wesoły, głośny tłumek, i pomyślała, że dobrze byłoby być w nastroju – czy może raczej w sytuacji – która umożliwiłaby radosną zabawę. Cóż, nie było to możliwe, nie w jej obecnym stanie ducha.

Popijając wino spoglądała na zegarek; Wheatley spóźnił się już dwadzieścia minut. Była zła. Właściwie nie chciała z nim się spotkać, ale on tak nalegał. Popatrzyła na rachunek położony przed nią przez barmana, zapłaciła dodając napiwek i ruszyła ku schodom. Wheatley właśnie schodził po nich. – Przepraszam za spóźnienie – powiedział potrząsając głową. – Nie mogłem nic na to poradzić.

– Właśnie wychodziłam – odparła lodowatym tonem.

Wziął ją pod rękę i poprowadził na górę do jadalni. Połowa stolików była wolna. – Siadaj – rzekł. – Umieram z głodu.

– Vern, ja naprawdę nie mam czasu na...

– Nie poganiaj mnie, posiedź godzinę, aż napełnię swój żołądek i dostarczę ci pokarmu dla twoich myśli.

Kierownik wskazał im stół w rogu sali, dość odległy od innych. Collette usiadła na krześle pod ścianą, a Wheatley zajął miejsce naprzeciwko.

Zamówili butelkę białego wina. Wheatley potrząsnął głową i wyszczerzył w uśmiechu zęby. – Możesz człowieka doprowadzić do szaleństwa.

– Nie miałam takiego zamiaru, Vern. Moje życie stało się... – Uśmiechnęła się. – Było ostatnio co najmniej chaotyczne.

– Moje też nie było wypełnione nudną codziennością – odparł. – Zamówmy jedzenie.

– Powiedziałam, że nie jestem głodna.

– To zjesz coś małego.

Przejrzał menu, skinął na kelnera i zamówił *moussake*, nadziewane liście winogron i sałatkę z bakłażanów dla obojga. Gdy kelner odszedł, Wheatley przechylił się przez stolik i powiedział, patrząc jej w oczy: – Wiem, kto zabił twoją przyjaciółkę, Barrie Mayer, i wiem dlaczego. Wiem, kto zabił twego przyjaciela, Dawida Hublera, i czemu został zabity. Wiem o ludziach, dla których pracujesz, przede wszystkim jednak wiem, że my oboje możemy skończyć jak dwójka twoich nieżyjących przyjaciół, jeśli czegoś nie zrobimy.

– Zwolnij trochę, nie nadażam – przerwała, czując rosnące podniecenie. Wyobraźnia podsunęła jej wielki znak zapytania: „A co, jeśli?” Co, jeśli Breslin i inni myślą się? Jeśli Eryk Edwards nie jest faktycznie podwójnym agentem i nie zabił Barrie Mayer? Po raz pierwszy od wyjazdu z Budapesztu przyznała przed sobą, jak bardzo chciała, żeby tak było...

Wheatley powiedział: – W porządku, będę mówił po kolei. A nawet zrobię coś lepszego. – Na podłodze przy jego krześle stała teczka. Wyjął z niej grubą kopertę i podał Collette.

– Co to jest? – spytała.

– To, moja droga, jest główny zarys artykułu, jaki piszę o CIA. Jest tam też pierwsze dziesięć rozdziałów mojej książki.

Myśl jej błyskawicznie pomknęła do Dawida Hublera i do telefonu, który przywiódł go na ulicę Rosslyn, i na śmierć. Nie musiała pytać, Wheatley powiedział sam: – To ja telefonowałem do Hublera i prosiłem, żeby spotkał się ze mną w tej alei.

To przyznanie mocno ją ugodziło, nie była jednak nim zaskoczona. Zawsze zastanawiał ją fakt, że Wheatley był tam w tym samym czasie. Wyraz jej twarzy skłonił go do mówienia dalej.

– Od miesiący, Collette, jestem w kontakcie z pewnym informatorem w Nowym Jorku. To były szpicel – mam nadzieję, że cię nie obraziłem, pracujesz w tej samej branży.

Nie zareagowała, więc ciągnął dalej: – Tym moim kontaktem jest psycholog, który kiedyś pracował w CIA. Zerwał z Agencją szereg lat temu i omal nie stracił życia przy tej okazji. Od tych ludzi nie odchodzi się tak zwyczajnie, nieprawdaż?

– Nie wiem – odparła Cahill. – Nigdy nie odchodziłam. – Było to tylko połową prawdy. Wyjeżdżając z Budapesztu przyrzekła sobie, że po wykonaniu zadania nigdy nie wróci nie tylko do tego miasta, lecz do żadnej pracy związanej z Centralną Agencją.

– Kiedy więc ktoś próbował go zabić, mój obecny informator przemyślał szybko sprawę i doszedł do wniosku, że najlepiej będzie podać do publicznej wiadomości wszystko, co wie. Gdy to uczyni, po co go zabijać? Wyeliminowanie go miałyby sens tylko w przypadku, gdyby w ten sposób można było uniknąć ujawnienia.

– Mów dalej – rzekła.

– Wspólny przyjaciel skontaktował nas ze sobą i zaczęliśmy rozmawiać. To właśnie sprowadziło mnie do Waszyngtonu.

– Nareszcie trochę zwykłej szczerości – zauważyła Collette, niezbyt dumna z zadowolenia, jakie zabrzmiało w jej głosie.

– Tak, Collette, to musi działać na ciebie odświeżająco, zważywszy fakt, że cały czas nie byłaś szczerą wobec mnie.

Kusiło ją, żeby wdać się z nim w dyskusję, lecz dała spokój. Niech mówi dalej.

– Mój kontakt zetknął mnie z kobietą, która była obiektem doświadczeń w Projektach Bluebird i MK-ULTRA. Próbowali z nią wszystkiego; tak manipulowali jej mózgiem, że już nie wie, kim jest. Słyszałaś o facecie nazwiskiem Eastbrooks?

– Psycholog, który wiele pracował nad hipnozą – odparła znudzonym tonem.

– Tak, słusznie, ale czemu miałbym być zdziwiony? Przypuszczalnie wiesz na ten temat więcej, niż mógłbym sobie wyobrazić.

Potrząsnęła głową. – Nie orientuję się zbyt dobrze w tych projektach CIA z przeszłości.

Parsknął śmiechem. – Z przeszłości? Collette, praca nad tymi projektami idzie intensywniej niż kiedykolwiek, a ktoś, kogo dobrze znasz, jest jednym z motorów i animatorów tej kontynuacji.

– Któż to taki?

– Twój przyjaciel, doktor Jason Tolker.

– On nie jest moim przyjacielem, tylko...

– Tylko spałaś z nim? Nie wiem, ale może mam całkiem niewłaściwą definicję przyjaźni. Spałaś ze mną. Czy jesteś moją przyjaciółką?

– Nie wiem. Jedyne powód, dla którego znów zbliżyłeś się do mnie, to bliski dostęp do kogoś związanego z...

– Z CIA?

– A nie było tak?

– To, co powiedziałaś przed chwilą, że skontaktowałem się z tobą, bo jesteś w CIA, jest tylko częścią prawdy. Przyznajesz, że jesteś w CIA? A praca w ambasadzie to przykrywka?

– To nie ma znaczenia i nie życzę sobie być stawiana w sytuacji zmuszającej mnie do wyjaśnień, co robię z moim życiem. Nie masz prawa.

Pochylił się ku niej, a jego głos zabrzmiał chrapliwie: – A CIA nie ma prawa niszczyć niewinnych ludzi, nie mówiąc o ich zabijaniu, jak to zrobiono z twoimi przyjaciółmi, Barrie i Hublerem.

Collette cofnęła się ku oparciu krzesła i rozejrzała po restauracji. Odgłosy z baru na dole, pomieszane z dźwiękami muzyki, docierały na górę, ale tu, gdzie siedzieli, było stosunkowo spokojnie i pusto.

Wheatley usiadł wygodnie. Uśmiechnął się ciepło i przemówił do niej równie ciepłym tonem: – Collette, będę z tobą stuprocentowo szczery. Potem możesz zdecydować, czy też chcesz być ze mną szczerą. Odpowiada ci to?

Odpowiadało.

– Kobieta, o której wspomniałem, ta, co była obiektem eksperymentowania, jest prostytutką. CIA zatrudnia mnóstwo prostytutek. Wykorzystuje się je, aby zwabiały mężczyzn do apartamentów i pokoi hotelowych, gdzie są mikrofony i kamery. Kobiety te wsypują narkotyki do szklanek swoich partnerów, a psychiatrzy stoją za dwustronnymi lustrami i patrzą, co się będzie działo. To obrzydliwa gra, lecz przypuszczam, że uzasadniają ją twierdzeniem, że druga strona też to robi i że idzie o „obronę narodową”. Nie wiem, czy tak jest naprawdę, czy nie, ale wiem, że wskutek tego cierpi wielu niewinnych ludzi.

Cahill chciała już włączyć się do rozmowy, lecz dała spokój. Odwróciła tylko ku niemu głowę, uniosła brwi i powiedziała: – Mów dalej.

Jej zachowanie wyraźnie go zirytowało, szybko jednak opanował się i ciągnął dalej: – Przybyłem do Waszyngtonu zorientować się, czego uda mi się dowiedzieć, czy te eksperymentalne projekty są wciąż kontynuowane. Na dzień przed zabójstwem Hublera otrzymałem telefon od kobiety, prostytutki, która powiedziała, że ktoś z CIA chce mówić ze mną. Nie, to nie było dokładnie tak. Ta osoba była skłonna sprzedać mi informacje. Powiedziano mi, że mam się z nią spotkać w tej alei w Rosslyn. Pomyślałem, że najpierw powinienem zbadać grunt u wydawcy książek, dowiedzieć się, czy mogę liczyć na pieniądze potrzebne na zapłacenie informatorowi. Wiedziałem, że moje pismo nie zapłaci, a sam oczywiście nie miałem pieniędzy.

Zastanawiałem się nad skontaktowaniem z ludźmi w Nowym Jorku, i wtedy przyszedł

mi na myśl Dawid Hubler. Mówiłaś mi dużo o nim i o tym, że Barrie Mayer miała do niego wielkie zaufanie i praktycznie zostawiła mu swoją agencję. Pomyślałem, że będzie dla mnie najlepszy i zadzwoniłem do niego. Dawid bardzo się sprawą zainteresował. Faktycznie powiedział mi, że jeśli informacje, o których mówię, są aktualne, będzie mógł dać mi przypuszczalnie sześciocyfrową zaliczkę. Chodziło o to, że chciał na własne uszy usłyszeć, co tamta osoba ma do sprzedania, więc poprosiłem go, żeby spotkał się ze mną. Minutę po odłożeniu słuchawki wiedziałem, że to był błąd. Pojawienie się nas obu mogło wystraszyć faceta, ale pomyślałem, że jakoś to załatwię. Chcesz wiedzieć, co się stało?

– Oczywiście.

– Spóźniłem się, ale Hubler przyszedł na czas. Rzecz jasna, że nie było nikogo sprzedającego informacje. Była to zasadzka. Gdybym przybył o ustalonym czasie, i sam, dostałbym igłą w serce.

Jego opowieść była bez wątpienia przekonująca. Jeśli to, co powiedział, jest prawdą, to znaczy... – Masz problemy – zauważyła.

– Właśnie – odrzekł. – Chodzą za mną wszędzie. Zeszłej nocy jechałem przez Rock Creek Park i ktoś zepchnął mnie z drogi. A w każdym razie próbował. Schrząnął robotę i uciekł. Myślę, że założyli podsłuch na telefon mojego brata, a mój wydawca w Nowym Jorku powiedział mi, że telefonowano z agencji zatrudnienia sprawdzając moje referencje w związku z posadą, o jaką ubiegam się w innym piśmie. A ja nie występowałem o pracę w żadnym piśmie. Żadne biuro zatrudnienia nie sprawdzało moich referencji. Ci faceci nie cofną się przed niczym.

– Co zamierzasz zrobić? – zapytała.

– Po pierwsze, być wciąż w ruchu. Po drugie, chcę przyjąć zasadę mojego informatora z Nowego Jorku: spisać na papierze wszystko, co mi wiadomo i upewnić się, aby ten papier znalazł się możliwie jak najszybciej w odpowiednich rękach. Nie ma sensu zabijać kogoś, kto już wszystko wygadał.

Cahill spojrzała na grubą kopertę. – Dlaczego mi to dajesz?

– Bo chcę, żeby ktoś inny miał to w ręku, w razie gdyby coś mi się stało.

– A dlaczego ja, Vern? Wydaje mi się, że jesteś pełen wątpliwości co do mnie. Myślałam, że będę ostatnią osobą, której to dasz.

Wyszczrzył zęby i ujął jej dłoń poprzez stół. – Pamiętasz, Collette, co napisałem w twoim pamiętniku?

– Tak, oczywiście – odparła miękko. – Jestem jedyną dziewczyną na tym świecie, która nigdy się sobie nie sprzeniewierzy.



– I wciąż tak uważam, Collette. Wiesz, co jeszcze czuję?

Spojrzała mu w oczy. – Co?

– Jestem w tobie zakochany.

– Nie mów tak, Vern. – Potrząsnęła głową. – Nie znasz mnie.

– Myślę, że znam, i dlatego dzielę się z tobą tym, co wiem. Chcę, żebyś to przechowała, Collette – powiedział stukając palcem w kopertę. – Chcę, żebyś przeczytała jej zawartość i wyszukała ewentualne luki.

Odsunęła kopertę w jego stronę. – Nie, nie chcę takiej odpowiedzialności. Nie mogę ci pomóc.

Jego twarz, przedtem odprężona i pogodna, teraz stwardniała. Jego głos także. – Myślałem, że zostając prawnikiem, złożyłaś jakąś przysięgę na temat takich głupstw jak sprawiedliwość, uczciwość i naprawianie krzywd. Myślałem, że żał ci niewinnie krzywdzonych ludzi. Przynajmniej tak zawsze mówiłaś. Co to było, Collette, szkolna retoryka, którą się zarzuca w momencie, gdy stykasz się z realnym światem?

Jego słowa ubodły ją, poczuła ból i złość. Gdyby poddała się bólowi, wybuchnęłaby płaczem, ale gniew wziął górę nad innymi uczuciami. – Vernie Wheatleyu, nie wygłaszaj mi kazania o ideałach. Wszystko, co mi tu mówisz, to dziennikarska retoryka. Siedzisz tu nauczając mnie, co jest słuszne, a co nie, mówisz, dlaczego wszyscy powinni przyłączyć się do ciebie i robić nagonkę na nasz własny rząd. Może jest jakieś uzasadnienie dla tego, co robi taka organizacja jak CIA. Może są nadużycia. Może druga strona robi to samo, tylko gorzej. Może naprawdę chodzi tu o obronę kraju, a nie tylko o slogan. Może na tym świecie dzieją się rzeczy, o których ani ty, ani ja nie mamy pojęcia, nie potrafimy nawet zacząć pojmować ich znaczenia dla innych ludzi – ludzi nie mających praw, jakie my mamy w wolnym społeczeństwie.

Salatka z bakłażanów pozostała nietknięta. Kelner zabrał ją i przyniósł nadziewane liście winogron i *moussake*. Jak tylko się oddalił, Collette powiedziała do Verna: – Odchodzę.

Wheatley chwycił ją za rękę. – Proszę, Collette, nie rób tego – powiedział. W jego głosie brzmiała szczerść. – Okay, każde z nas wygłosiło swoją mowę. Teraz pomówmy jak dwoje dorosłych ludzi i zastanówmy się, co właściwie powinniśmy zrobić.

– Ja już się zastanowiłam – powiedziała zabierając rękę.

– Słuchaj, Collette, przepraszam, jeśli zbyt dużo powiedziałem. Nie chciałem, ale czasem to mi się zdarza. Chyba mam naturę bestii. Nie tylko szpiedzy są osamotnieni, dziennikarze też potrzebują przyjaciół. – Roześmiał się. – Myślę, że mam na świecie tylko jednego przyjaciela. Ciebie.

Opadła z powrotem na krzesło, spojrzała na kopertę i doznała tego samego uczucia, jakie ją ostatnio tak często ogarniało – że staje się coraz bardziej nieuczciwa. Potrafiła doskonale wyrecytować oficjalne stanowisko, ale bardziej niż cegokolwiek innego pragnęła tej koperty i poznania jej treści. Była zdecydowana przeczytać jej zawartość. Może były tam rzeczowo wyjaśnione wydarzenia, które spowodowały w niej tak duży zamęt.

Świadomie łagodniejszym tonem powiedziała: – Vern, może masz rację, mnie też jest przykro. Ja tylko... Nie chcę być jedyną osobą odpowiedzialną za tę kopertę.

– Dobrze – zgodził się. – Weźmy to oboje na siebie. Zostań ze mną na noc.

– Gdzie?

– Mam pokój w hoteliku przy Foggy Bottom, blisko „Watergate”. „Allen Lee”. Znasz to miejsce?

– Tak. Przyjaciele odwiedzający mnie w czasie studiów zatrzymywali się tam.

– Pomyślałem, że jest wystarczająco niskiej klasy na to, żeby mnie tam nie szukali, chociaż to raczej naiwne rozumowanie. Wpisałem się do rejestru pod zmyślnym nazwiskiem Joego Blacka. Dobrze na pseudonim?

– Niezbyt oryginalne – powiedziała uświadamiając sobie, że nie powinna zatrzymywać się w „Watergate” pod własnym nazwiskiem. Było już za późno, żeby się tym martwić. – Vern, myślę, że będzie lepiej, jeśli teraz odejdę i każde z nas samo przemyśli całą sprawę.

Chciał protestować, lecz Collette wzięła go za rękę i powiedziała poważnym tonem: – Proszę cię. Potrzebuję czasu na przetrawienie tego, co mi powiedziałaś. Mogę go wykorzystać na przeczytanie twojego artykułu i książki. Zgoda? Skontaktujemy się jutro. Przrzekam.

Na jego twarzy wyraźnie malowało się przygnębienie, ale nie spierał się.

Przesunął kopertę z powrotem ku niej. Popatrzyła na nią, wzięła do rąk i przytuliła ją do siebie. – Zadzwoń do ciebie, do „Allen Lee”, powiedzmy jutro około czwartej po południu.

– Chyba tak musi być. Ja nie mogę do ciebie zadzwonić. Nie wiem, gdzie się zatrzymałaś.

– I niech tak zostanie do jutra.

Zmusił się do pogodniejszego wyrazu twarzy i zapytał uprzejmym tonem: – Na pewno nie chcesz nic zjeść? Jedzenie mają tu dobre.

– To samo powiedział kierowca mojej taksówki. Że dają tu „dobrze po greckiemu”. – Uśmiechnęła się. – Nie jestem zwolenniczką kuchni greckiej, ale w każdym razie dziękuję. – Gdy jego twarz znów posmutniała, pochyliła się, pocałowała go w policzek i szepnęła mu do ucha: – Proszę cię, Vern. Mam wiele do przemyślenia i najlepiej zrobię to w samotności. –

Wyprostowała się i wiedząc, że nie ma już nic więcej do powiedzenia, szybko wyszła z restauracji.

Z taksówki wysiadła para ludzi i Cahill wsiadła do niej.

– Dokąd?

– Poproszę do... – Omal nie kazała mu zawieźć się do biura doktora Jasona Tolкера na Foggy Bottom.

Co za głupota. Zupełnie jak podawanie nazwy nieznanej restauracji w nadziei, że kierowca będzie wiedział, jak tam trafić.

Podążyła wyraźnie adres Tolкера.

## ROZDZIAŁ 30

W budynku Tolкера paliło się światło. To dobrze, pomyślała, płacąc kierowcy. Nie chciała dzwonić do doktora przed swoim przybyciem. Gdyby go tu nie było, pojechałaby do niego do domu. Znalazłaby go tak czy inaczej.

Zadzwoniła. Głos Tolкера w domofonie zapytał: – Kto tam?

– Collette. Collette Cahill.

– Ach, tak. Jestem w tej chwili zajęty. Czy może pani przyjechać później? – Nie odpowiedziała. – Coś bardzo pilnego? – Uśmiechnęła się, wiedziała, że zadaje to pytanie ze względu na kogoś, kto był z nim. – Nacisnęła przycisk „Mów”. – Tak, coś bardzo pilnego, doktorze.

– Rozumiem. No cóż, proszę wejść i poczekać w poczekalni, panno Cahill. Wyjdę do pani za kilka minut.

– To świetnie, doktorze. Dziękuję panu.

Zabrzącał buczonek, przekręciła gałkę i uchyliła drzwi. Przed wejściem poklepała kieszeń w płaszczu deszczowym. Wyczuła dłonią znajomy już kształt małego rewolweru. Głęboki oddech przywrócił jej zdecydowanie.

Weszła do recepcji i rozejrzała się. Dwie niewielkie lampy stojące na stoliku rozsiewały przyćmione światło. Stłumione głosy i jasność wydobywająca się spod drzwi gabinetu wskazywały na obecność co najmniej dwóch osób. Podeszła bliżej i nadstawiła uszu. Usłyszała najpierw głos Tolкера, potem kobiety. Słyszalne były tylko pojedyncze słowa: „...Nic na to nie poradzę... Nienawidzę cię... Uspokój się, bo...”

Collette wybrała krzesło, które stało naprzeciw gabinetu. Chciała już wyjąć rewolwer z kieszeni płaszcza, gdy drzwi biura otworzyły się nagle, wypuściła więc z dłoni rewolwer, który ześliznął się w głąb kieszeni. Do pomieszczenia recepcyjnego weszła piękna i wyjątkowo wysoka Azjatka, ubrana w obcisłe dżinsy, pantofle na wysokich obcasach i kurtkę z norek; za nią szedł Tolker. Kobieta usiłowała dojrzeć twarz Collette w półmroku pokoju. – Dobranoc – rzekł Tolker. Dziewczyna popatrzyła na niego; na jej twarzy malowała się nienawiść. Przeszła przez pokój, obrzuciła Collette ostatnim, dezaprobuującym spojrzeniem i wyszła. Po chwili drzwi frontowe zamknęły się z hukiem.

– Halo – odezwał się Tolker do Collette.

– Halo. Pacjentka?

– Tak. A co pani sądziła?

– Nic. Miło, że zgodził się pan zobaczyć ze mną bez uprzedzenia.

– Staram się dostosowywać. Cóż to takiego pilnego?

– Ostry atak paniki, wszechogarniający lęk, paranoja, obsesyjno-kompulsywna potrzeba odpowiedzi.

– Odpowiedzi na co?

– Na... na pytanie, dlaczego moja przyjaciółka nie żyje.

– Nie mogę pani w tym pomóc.

– A ja uważam inaczej.

Spojrzał ostentacyjnie na zegarek.

– To nie potrwa długo.

– Tego może pani być pewna. Proszę pytać.

– Wejźmy do środka.

– To jest... – urwał widząc, jak z kieszeni płaszcza wysunęła się jej ręka z rewolwerem. – A to po co?

– Narzędzie perswazji. Czuję, że może pan jej potrzebować.

– Odłóż to, Collette. James Bond nigdy nie wywierał na mnie wrażenia.

– Myślę, że ja mogę... wyrzucić na panu wrażenie.

Gwizdnął i westchnął z rezygnacją. – Dobrze, wejźmy, ale bez rewolweru.

Poszła za nim do biura, wciąż trzymając rewolwer w dłoni. Gdy odwrócił się i zobaczył to, powiedział ostro: – Niech pani schowa tę cholerną pukawkę.

– Proszę usiąść, doktorze Tolker.

Zrobił ruch w jej stronę. Collette podniosła rewolwer i wycelowała w jego pierś. – Powiedziałam siadać.

– Pomieszało się pani w głowie, co? Pani jest szalona.

– To cecha mego zawodu.

– Proszę posłuchać, ja... – Skinęła głową w kierunku skórzanego fotela. Tolker usiadł na nim. Collette siadła w fotelu naprzeciwko, założyła nogę na nogę i patrzyła na niego. Z pewnością nie zareagował zbyt nerwowo, ale zauważyła w nim niepokój, co ją ucieszyło.

– Mów – rzekła. – Zaczynaj od początku i niczego nie pomijaj. Opowiedz mi o Barrie, o tym, jak trafiła do ciebie jako pacjentka, jak ją hipnotyzowałeś, zdobyłeś nad nią kontrolę, wciągnąłeś do CIA, żeby potem... powiem to... potem ją zabić.

– Pani oszalała.

– Znów ta fachowa diagnoza. Zaczynaj! – Uniosła rewolwer, aby dodać siły swym słowom.

– Wie pani wszystko, bo powiedziałem wszystko. Barrie była moją pacjentką, leczyłem ją. Mieliśmy romans. Zasugerowałem, żeby zaczęła pracować jako kurier dla CIA, a ona zgodziła się chętnie, nawet, powiedziałbym, z entuzjazmem. Przewoziła materiały do Budapesztu, materiały otrzymywane ode mnie, których treści nie znałem, to znaczy wręczałem jej teczkę, zamkniętą na klucz, i wyruszała z nią. Ktoś ją zabił. Nie wiem kto, ale nie ja. Proszę mi uwierzyć.

– Dlaczego miałabym uwierzyć?

– Bo...

– Kiedy Barrie wyjechała w ostatnią podróż do Budapesztu, to, co przewoziła, nie znajdowało się w jej teczce, ale w jej głowie, bo tam to umieściłaś.

– Chwileczkę, to...

– Taka jest prawda, doktorze Tolker. Nie jestem jedyną osobą, która wie o tym. To jest sprawa znana ogólnie, w każdym razie teraz.

– Co z tego? Program tego wymaga.

– Co to była za informacja?

– Nie mogę tego powiedzieć.

– Myślę, że lepiej będzie, jak powiesz.

Wstał. – A ja myślę, że lepiej będzie, jak pani sobie stąd pójdzie.

Collette podniosła kopertę otrzymaną od *Verna* – Wie pan, co tu jest w środku?

Spróbował powiedzieć lekkim tonem: – Pani... szpiegowskie pamiętniki.

Nie podjęła tego tonu. – Mój przyjaciel badał projekty, w których brał pan udział. Zrobił dobrą robotę. Chce pan jakiś przykład?

– Mówisz o Vernie Wheatleyu?

– Tak.

– On ma poważne kłopoty.

– Poradzi sobie.

– Ta sytuacja przerasta go. Proszę mówić dalej. Wiem wszystko o nim i o pani. Cóż za gafa, Collette, żeby agentka wywiadu sypiała z pisarzem.

– Zostawię to bez komentarza. Oboje z Vernem wiemy, że zaprogramował pan Barrie, aby twierdziła, że Eryk Edwards z BWD jest podwójnym agentem. Tak było?

Ku jej zaskoczeniu nie zaprzeczył. Zamiast tego powiedział: – Przypadkiem to prawda.

– Nie przypadkiem. To pan jest podwójnym agentem, doktorze.

Oskarżenie i ciężar koperty, mimo że żadne z nich nie znało jej zawartości, sprawiły, że rozmowa się urwała. Tolker przerwał milczenie zapytując uprzejmie: – Może drinka,

Collette?

Nie potrafiła opanować uśmiechu. – Nie.

– Cokę? Mam na myśli tę sproszkowaną?

– Jest pan wstrętny.

– Po prostu staram się być towarzyski. Barrie zawsze to we mnie lubiła.

– Niech pan to sobie daruje.

– Chciałaby pani spędzić kilka chwil z naszą zmarłą przyjaciółką?

– Co?

– Mam ją nagraną na taśmie. Nie chciałem się przed panią demaskować, bo oczywiście i mój głos jest tam nagrany. Ale zrobię to.

– Nie, dziękuję – odparła Collette, myśląc w duchu co innego. Jej głos zdradził, co czuła naprawdę.

Zrobił dokładnie to, co należało. Nie odzywał się, usiadł tylko głębiej w fotelu, założywszy nogę na nogę, ze skrzyżowanymi rękami i z uśmiechem na twarzy.

– Co to za taśma? Z seansu hipnotycznego?

– Nie, nic związanego z leczeniem. To byłoby szalenie nieprofesjonalne. Taśma, o której mówię, jest raczej natury osobistej.

– Kiedy Barrie była... z panem?

– Kiedy bardzo była ze mną, właśnie tu, w tym biurze, po pracy.

– Pan to nagrał?

– Tak. I nas też nagrywam.

Cahill popatrzyła w prawo i lewo szukając w pokoju miejsca, gdzie była umieszczona kamera.

– Tam – powiedział Tolker lekkim tonem, wskazując na obraz w drugim końcu pokoju.

– Czy. Barrie wiedziała?

– Może to obejrzymy?

– Nie, ja...

Podszedł do półek z książkami, na których były porządnie ustawione setki kaset video z nalepkami. Wyjął jedną, uklęknął przed magnetowidem połączonym z trzydziestocalowym ekranem, włożył taśmę, nacisnął przyciski i ekran ożył.

Collette odwróciła głowę i patrzyła na ekran z boku, jak dziecko oglądające horror, które chce uniknąć krwawej sceny, a równocześnie bojące się, żeby jej nie przegapić. Tolker wrócił na fotel i powiedział zadowolonym z siebie tonem:

– Przyszła tu pani, Collette, żądając odpowiedzi. Proszę patrzeć uważnie. Znajdzie ich pani wiele na ekranie.

Cahill odwróciła wzrok patrząc w miejsce, skąd rejestrowała ich kamera. Kątem oka zobaczyła na ekranie nagą postać. Patrzyła teraz wprost na ekran. To była Barrie, spacerująca po gabinecie Tolкера z kieliszkiem w dłoni. Podeszła do niego, siedzącego na fotelu w ubraniu.

– No chodź, jestem gotowa. – Słowa były niewyraźne, a śmiech był śmiechem pijanej kobiety. Gdy nie odpowiadał, usiadła mu na kolanach i pocałowała go. Jego ręce przebiegły po jej ciele...

– Ty gnido – powiedziała Collette.

– Nie osądzaj mnie – odparł Tolker. – Ona też tam jest. Patrz dalej. Będzie coś więcej.

Na ekranie ukazała się nowa scena. Barrie, wciąż naga, siedziała po turecku na dywanie. W cieniu majaczyła naga postać mężczyzny – przypuszczalnie Tolкера. Wiedział, rzecz jasna, jak się uplasować, aby nie znaleźć się w bezpośrednim zasięgu kamery i światła. Barrie trzymała szklaną płytkę, na której była nasypana kupka kokainy. Przyłożyła słomkę do nosa, pochyliła się do przodu, drugi koniec słomki wetknęła w proszek i zaczęła go wciągać.

Cahill wstała. – Wyłącz to cholerne obrzydlistwo – powiedziała.

– Jeszcze się nie skończyło. Dopiero się rozkręca.

Podeszła do magnetowidu, nacisnęła przycisk STOP i obraz znikł z ekranu. Wiedziała, że Tolker podszedł i stanął za nią. Szybko opadła na kolana, odwróciła się i wycelowała rewolwer w jego twarz.

– Spokojnie, spokojnie – powiedział. – Nie zamierzam zrobić ci krzywdy.

– Odsuń się.

Zrobił, jak kazała. Cahill stała, niezdolna wypowiedzieć ani słowa.

– Widzisz? – zaczął Tolker. – Twoja przyjaciółka nie była taka święta, za jaką ją uważałaś.

– Nigdy nie uważałam jej za świętą – odparła Cahill. – Poza tym, to nie ma żadnego związku z tym, jak zmarła.

– Ależ tak, ma – rzekł Tolker. Usiadł w fotelu i pociągnął łyk swojego drinka. – Masz rację, Collette, to dobre dla dzieci. Jesteś gotowa na wersję dla dorosłych?

– O czym ty mówisz?

– Barrie była zdrajczynią. Sprzedawała informacje Erykowi Edwardsowi i Sowietom. – Westchnął i upił ze szklanki następny łyk. – O Boże, była taka niewinna w tej sytuacji. Nie odróżniała Sowietów od buddyjskiego mnicha. Świetna agentka literacka, marna agentka



wywiadu. Powinienem był to przewidzieć i nie wciągać jej. Cóż, co się stało, to się nie odstanie.

– Nie była zdrajczynią – powiedziała Collette, znowu bez przekonania. Tak naprawdę to niewiele wiedziała o swej bliskiej przyjaciółce. Video, które obejrzała – obraz tak niepodobny do Barrie, jaką znała – sprawił, że wezbrał w niej gniew. – Jak śmiesz nagrywać ludzi w ich...

Tolker zaśmiał się. – W ich co, w najintymniejszych momentach? Zapomnij o taśmie, myśl o tym, co powiedziałem ci przed chwilą. Zamierzała wydać Edwardsa i to właśnie było powodem jej śmierci. Próbowałem ją powstrzymać, ale...

– Nie, nie próbowałeś. To właśnie ty nastawiłeś ją przeciwko Erykowi.

– Mylisz się, Collette. Mylisz się w wielu sprawach. Oczywiście, powiedziała mi, że Edwards działa na dwie strony, a ja namawiałem ją, żeby go zdemaskowała. A wiesz dlaczego? – Cahill milczała. – Bo to był jedyny dla niej sposób, żeby uratować własną skórę. Wiedzieli o niej.

– Kto?

– Anglicy. Jak myślisz, czemu pojawił się ten bufon Hotchkiss?

Cahill była zaskoczona. – Co o nim wiesz? Dlaczego...?

– Przyszłaś tu po odpowiedzi – odrzekł Tolker stojąc. – Dostaniesz je ode mnie pod warunkiem, że oddasz mi broń, usiądziesz i zamkniesz się! – Wyciągnął rękę; wyraz jego twarzy mówił, że stracił już cierpliwość.

Przez chwilę Cahill zastanawiała się, czy oddać mu rewolwer. Już miała mu go podać, lecz gdy zrobił ruch, żeby go chwycić, cofnęła rękę. Teraz już widać było z jego twarzy, że ogarnia go wściekłość. Zrobił to, co będzie konieczne. Zrobi jej krzywdę.

Collette patrzyła na niego roziskrzonym wzrokiem; rosło w niej pragnienie użycia małego plastikowego rewolweru – pragnienie zabicia go. Nie chodziło już o to, czy był odpowiedzialny za śmierć Barrie, ani o jakiś racjonalny proces myślowy związany z jej pracą czy zadaniem. Raczej było to skutkiem obsesji, w jaką popadła: żeby podejmować działanie, naciskać przycisk, telefonować, pociągnąć za spust, żeby skończyć z tym chaosem w jej życiu.

A potem znów przyszło jej na myśl, że istnieje jakiś szczególny porządek, według którego sprawy się rozgrywały, jakaś logika mówiąca „ciesz się tą pragmatyczną rolą, jaką odgrywasz, Collette. Jesteś agentką CIA. Jesteś upoważniona do zabijania, do naprawiania krzywd. Nic ci się nie stanie. Oczekuje się od ciebie zdecydowanego działania, bo stawką jest twój kraj. Jesteś członkiem sił wymuszających stosowanie prawa. Dostałaś broń, żeby jej

użyć, aby wprowadzać w życie polityczną filozofię wolności i równego startu, po to, żeby złe moce nie zniszczyły tego cennego sposobu życia”.

Myśli te rozjaśniły jej umysł. Uspokoila się. – Nie doceniasz mnie – rzekła.

– Wynoś się.

– Kiedy uznam to za stosowne. Hotchkiss. Jaka rolę odegrał?

– On...

– Skąd ty w ogóle o nim wiesz?

– Nie mam ci nic więcej do powiedzenia.

– Powiedziałeś, że Brytyjczycy wiedzieli, iż Barrie jest zdrajczynią. Czy dlatego właśnie pojawił się tu Hotchkiss?

– Tak.

– Namówiłeś Barrie, żeby weszła z nim w spółkę?

– Tak było dla niej najlepiej. To była umowa.

– Umowa?

– Tak. To ją uratowało. Nasi ludzie zgodzili się na to.

– Bo uwierzyli ci, że ona i Eryk Edwards są zdrajcami.

– Nie, Collette. Bo wiedzieli, że są zdrajcami. Dali pieniądze matce Barrie, żeby zrzekła się praw do agencji. Barrie miała przekazać zarządzanie agencją Hublerowi, ale jej matka miała otrzymywać część dochodu przypadającą na Barrie. Ta stara suka z rozkoszą przyjęła gotówkę.

– Ile?

– To nie ma znaczenia. Każda suma była za duża. To ona stworzyła osobę, którą stała się Barrie: zagubioną, żalną psychopatkę, spędzającą swe dorosłe życie na unikaniu rzeczywistości. To się zdarza. Ludzie z dużą zdolnością zapadania w trans hipnotyczny, tacy jak Barrie, zwykle mają za sobą nieszczęśliwe dzieciństwo.

Przez twarz Collette przemknął wymuszony uśmiech. – Doktorze Tolker, czy pan wie, co chcę zrobić?

– Powiedz mi.

– Albo napluć ci w twarz, albo cię zabić.

– Dlaczego?

– Nigdy nie próbowałeś pomóc Barrie wydostać się z koszmaru dzieciństwa. Przeciwnie, pewne jej cechy z tego wynikające postanowiłeś wykorzystać. Jesteś podły.

– A pani irracjonalna. Może to cecha kobieca. Agencja powinna przemyśleć sprawę zatrudniania kobiet. Stanowisz dobry przykład na niekorzyść.

Collette nie odpowiedziała. Chciała ostro zareagować, a równocześnie nie potrafiła znaleźć argumentów przeciwko temu, co mówił. Obrona równouprawnienia kobiet jakoś nie wydawała się tu istotna.

Twarz Tolкера i głos Tolкера, dotychczas chłodne i rzeczowe, nabrały teraz miękkości. Uśmiechnął się. – Coś ci powiem – rzekł. – Zaczniemy od początku, teraz, tej nocy. Żadnych głupich rewolwerów, żadnych przykrych uwag. Napijmy się czegoś, zjedźmy kolację. Dobre wino i kojąca muzyka zlikwidują wszelkie różnice zdań między nami. Jesteśmy po tej samej stronie. Wierzę w ciebie i w wartości, jakie reprezentujesz. Lubię cię, Collette. Jesteś piękną, mądrą, utalentowaną i uczciwą kobietą. Zapomnij, proszę, po co tu dziś przysłaś. Jestem pewien, że masz inne pytania, na które mogę odpowiedzieć, lecz nie w atmosferze rozgoryczenia i nieufności. Bądźmy przyjaciółmi i rozmawiajmy o tych sprawach jak przyjaciele, tak jak rozmawiałaś z Barrie. – Uśmiechnął się szerzej. – Jesteś niewiarygodnie piękna, zwłaszcza gdy gniew toruje sobie w tobie drogę i nadaje twej twarzy...

Rzucił się w jej kierunku. Przed chwilą przełożyła rewolwer do lewej ręki. Kiedy wystartował, Collette upuściła kopertę Verna i brzegiem wyprostowanej sztywno prawej dłoni uderzyła go w szyję. Tolker padł na dywan. Gramoląc się, kłął wypluwając jakieś słowa. Stali naprzeciwko siebie oddychając szybko, z oczyma rozszerzonymi gniewem i strachem.

Collette zaczęła wolno przesuwając się tyłem ku drzwiom, mocno trzymając w obu dłoniach rewolwer, małą lufą wycelowany w jego pierś.

– Chodź tu – powiedział.

Bez słowa cofała się dalej, starając się opanować to przekłete drżenie rąk. Instynktownie wiedziała, że on znowu zaatakuje.

– To wszystko jest odwrotnie niż myślisz – rzekł. Niemal czuła, jak Tolker napina swe ciało, niby sprężynę, która, raz zwolniona, ma uderzyć jak najszybciej i jak najdalej. Sprężyna została zwolniona i leciała w jej kierunku. Równocześnie jej dwa palce na spuście zwarły się: rozległ się niemal dziecinny „pop” rewolwera – jak wystrzelający korek butelki szampana, jak trzask łamanej suchej gałązki albo dźwięk gryzionych chrupek.

Cofnęła się, a on upadł u jej stóp z rozrzuconymi rękoma. Podniosła kopertę, wybiegła przez drzwi na ulicę, gdzie – zreflektowawszy się, że wciąż trzyma w dłoniach rewolwer – wrzuciła go do kieszeni płaszcza i pewnym krokiem poszła w kierunku najbliższego ruchliwego skrzyżowania.

Wróciła do swego apartamentu w hotelu. Światelko na telefonie wskazywało, że ktoś zostawił wiadomość. Zadzwoniła do centrali. – Ach, tak, panna Cahill. Dzwonił jakiś mężczyzna. Powiedział – operatorka roześmiała się. – To dziwna wiadomość. Ten pan

powiedział: Koniecznie musimy pomówić jak najszybciej o Winstonie Churchillu.

– Nie podał nazwiska?

– Nie. Powiedział, że pani będzie wiedziała, kto dzwonił.

– Dziękuję.

Collette wyszła na balkon i popatrzyła na rozedrgane światła Foggy Bottom. Co powiedział jej Joe Breslin? – Mogła kontaktować się co wieczór o szóstej z kimś przy posągu Churchilla; osoba ta nie będzie czekać tam dłużej niż dziesięć minut.

Wróciła do salonu, zaciągnęła zasłony, włożyła szlafrok i usiadła w głębokim fotelu oświetlonym lampą stojącą na podłodze. Na kolanach miała kopertę od Verna Wheatleya. Wyjęła z niej kilka kartek, westchnęła i zaczęła czytać. Odłożyła zawartość koperty dopiero, gdy pierwszy promień światła słonecznego przedarł się przez szparę w zasłonach. Wywiesiła na drzwiach zawieszkę „Nie przeszkadzać” i spokojnie poszła spać.

## ROZDZIAŁ 31

Sen. To było to, czego potrzebowała najbardziej. Mały podróżny budzik na stoliku nocnym przy łóżku wskazywał 3.45. Przespała bez przeszkód prawie dziesięć godzin. Teraz wydawało jej się, że wydarzenia ubiegłego wieczora w ogóle nie miały miejsca, albo przydarzyły się komuś innemu.

Było wpół do piątej, gdy wyszła spod prysznic. Stojąc w łazience przed lustrem i czesząc włosy przypomniła sobie, że miała zadzwonić do Verna. Wyszukała numer hotelu „Allen Lee”, nakręciła go i poprosiła o połączenie z pokojem pana Blacka. – Przepraszam, że dzwonię tak późno – powiedziała. – Przespałam cały dzień.

– Nie szkodzi. Przeczytałeś to, co ci dałem?

– Czy przeczytałam? Tak, dwa, a może trzy razy. Czytałam całą noc.

– I co?

– Vern, rzucasz poważne oskarżenia.

– Czy są niesłuszne?

– Nie.

– Dobra, opowiadaj. Jak zareagowałaś na...?

– Czemu nie możemy omówić tego osobiście?

Wydał okrzyk radości. – To się nazywa postęp. Naprawdę chcesz umówić się ze mną na randkę?

– Nie miałam na myśli randki, tylko trochę czasu na porozmawianie o tym, co napisałeś.

– Powiedz gdzie. Jestem do twojej dyspozycji.

– Muszę spotkać się z kimś o szóstej. Może o siódmej?

– Z kim masz się spotkać? – zapytał. Poczula rozdrażnienie, ale nic nie powiedziała.

Vern dodał: – Och, nie ma sprawy. Panna Cahill działa incognito. Znana na uniwersytecie z tego, że największe szanse na sukces miała występując w stroju szpiegowskim.

– Vern, nie jestem w nastroju do twoich sarkastycznych uwag.

– Tak. No cóż, i ja nie mam nastroju do żartów. Słyszałaś kiedyś o „Operacji Ośmiornica”?

Zastanawiała się przez chwilę. Zaczęła coś mówić o Hanku Foxie, ale przerwała i powiedziała krótko: – Nie.

– To wydział CIA prowadzący komputerowy rejestr pisarzy, przynajmniej tych, którzy

nie popierają tej przeklętej Agencji. Jestem pierwszy na liście. – Gdy milczała, dodał: – A oni opiekują się takimi jak ja, Collette. Opiekują się. – Zaśmiał się z goryczą. – Dranie wykańczają nas, taka jest ich opieka.

– Gdzie się spotkamy o siódmej? – spytała.

– Może podjechałabyś po mnie tu, do hotelu?

– Nie, spotkajmy się w barze hotelu „Watergate”.

– Stawiasz? Drinki kosztują tam majątek.

– Jeśli muszę. Do zobaczenia tutaj... tam, o siódmej.

Znalazła wolną taksówkę i kazała się zawieźć do ambasady brytyjskiej przy Massachusetts Avenue. Gdy dojeżdżali, skierowała wzrok na posąg. Stał w odległości mniej niż stu metrów od głównego wejścia, w kępie krzewów, tuż przy chodniku. Kierowca okrążył go, żeby Collette mogła wysiąść przed bramą wejściową do ambasady. Zaczęło padać i w powietrzu czuć było chłód. Podniosła kołnierz płaszcza deszczowego i wolno skierowała się w stronę posagu. Był imponujący, naturalnej wielkości, lecz czas pokrył Churchilla patyną, tak że barwą zlewał się z listowiem. Pewnie by mu się to nie spodobało.

Na Massachusetts Ave panował duży ruch, lecz ulewny deszcz zwalniał jego tempo. Nieliczni piesi mijający Cahill byli pracownikami ambasady brytyjskiej, opuszczającymi jej budynek po skończonej pracy. Spojrzała na zegarek: dokładnie szósta. Zlustrowała wzrokiem ulicę szukając kogoś, kto mógłby być zainteresowany jej osobą, lecz nikogo takiego nie zauważyła. Ale oto po drugiej stronie szerokiej alei ukazał się mężczyzna. Wyszedł z Normanstone Park, jednak było za ciemno, a on był zbyt daleko, by mogła dojrzeć jego twarz. Miał postawiony kołnierz trencza i ręce schowane w kieszeniach. Dłuższą chwilę czekał na przejście przez ruchliwą ulicę, aż wreszcie zdarzyła się przerwa. Skorzystał z niej i ruszył przez jezdnię długim powłóczystym krokiem. Nareszcie.

Czekając poczuła, że ktoś zbliża się z prawej strony. Odwróciła się i ujrzała innego mężczyznę idącego ku niej chodnikiem. Na głowie miał kapelusz. Szedł przygarbiony, z opuszczoną głową, chroniąc się przed deszczem. Collette zapomniała o deszczu i teraz uświadomiła sobie, że ma mokre buty i włosy. Znów szybko spojrzała w lewo. Mężczyzna z parku znikł. Teraz spojrzenie w prawo. Ten w kapeluszu prawie zrównał się z nią. Stała wyprostowana czekając, że podniesie głowę i powie coś, lecz on minął ją z opuszczoną głową i ze wzrokiem utkwionym w chodniku.

Wzięła głęboki oddech i otarła wodę z twarzy i oczu.

– Panno Cahill – usłyszała z lewej strony. Po akcencie natychmiast poznała, że to Brytyjczyk. Odwróciła się i spojrzała na pociągłą roześmianą twarz Marka Hotchkissa.

– Co pan tu robi? – spytała szybko, a pytanie to odzwierciedlało jedyną myśl zajmującą w tej chwili jej głowę. Co on tu robi?

– Przyszła pani dokładnie na czas – ciągnął miłym tonem. – Przepraszam za kilka minut spóźnienia. Ten ruch, i w ogóle, pani rozumie.

Chociaż trudno jej było zaakceptować jego obecność, nie miała wyboru. To on jest osobą, z którą miała skontaktować się tu, pod pomnikiem Winstona Churchilla. – Może wyszlibyśmy spod tego cholernego deszczu i wstąpili gdzieś, gdzie moglibyśmy porozmawiać.

– To pan zostawił wiadomość w moim hotelu?

– Tak, a kóżby inny? Chodźmy do mego biura. Mam pani parę rzeczy do powiedzenia.

– Pańskiego biura? Ma pan na myśli biuro Barrie?

– Jak pani woli. To jedno i to samo. Chodźmy, stojąc tu przemakam coraz bardziej. Marny ze mnie londyńczyk, że zapominam parasola. Chyba za długo przebywam w Stanach.

Wziął ją pod ramię i poprowadził z powrotem ku wejściu do ambasady brytyjskiej. Minęli budynek, skręcili w lewo, w Observatory Lane, mijając Obserwatorium Marynarki Wojennej USA po prawej stronie, i po przejściu jeszcze około stu metrów doszli do jaguara w kolorze szampana. Jaguara Tolкера. Hotchkiss otworzył drzwi i gestem zaprosił, aby wsiadła. Collette stała i patrzyła na niego bez słowa.

– No dalej, niech pani wsiada. – Głos jego nie był już taki miły jak przedtem.

Schyliła się, żeby wsiąść, zawahała się, wyprostowała, cofnęła kilka kroków i utkwiała w nim twarde spojrzenie. – Kim pan jest?

Wyraz jego twarzy świadczył o rozdrażnieniu.

– Nie mam czasu odpowiadać na głupie pytania – rzekł ostro. – Wsiadać...

Cofnęła się bardziej wysuwając prawą rękę w geście samoobrony. – Czemu pan tu przyszedł? Pan nie ma nic wspólnego z... – Stał z wyciągniętymi rękami usiłując nakłonić ją, żeby wsiadła. Naraz wsunął prawą dłoń do kieszeni płaszcza.

– Nie! – krzyknęła. Obróciła się i zaczęła biec z powrotem w kierunku Massachusetts Avenue. Potknęła się, zgubiła jeden pantofel, lecz biegła dalej czując jak miotane wiatrem strugi wody smagają jej twarz. Nie zwalniając biegu obejrzała się, zrzuciła drugi pantofel i zobaczyła, że Hotchkiss, który biegł za nią, stanął i zawołał: – Wracaj tu!

Biegąc dalej dotarła do alei i przebyła z powrotem drogę do posągu Winstona Churchilla; mijała inne ambasady pędząc przez kałuże, z przemoczonymi stopami. Przystanąła dopiero, gdy zabrakło jej tchu, i spojrzała za siebie. Jaguar Hotchkissa dojechał

do rogu i czekał na przerwę w ruchu, żeby skrócić w prawo. Ulicą nadjeżdżała wolna taksówka. Collette zeszła z chodnika na jezdnię i usiłowała zatrzymać ją gorączkowymi ruchami. Kierowca nacisnął na hamulec zatrzymując jadących za nim. Powietrze wypełnił ryk klaksonów i stłumione przekleństwa. Wskoczyła na tylne siedzenie, zatrzasnęła drzwi i powiedziała: – Proszę do „Watergate”, do hotelu, a jeśli jedzie za panem jasny jag, niech pan zrobi wszystko, żeby go zgubić.

– Hej, paniusiu, o co chodzi? – spytał młody kierowca.

– Niech pan rusza – błagam.

– Jak panusia każe – odparł, ostro wrzucając bieg i naciskając gaz, aż koła zaczęły ślizgać się po mokrym asfalcie.

Cahill popatrzyła przez tylną szybę. Widzialność była słaba, ale z tyłu zobaczyła z tuzin aut. Nie było wśród nich jaguara.

Odwróciła się i powiedziała do kierowcy: – Proszę zjechać z tej ulicy i pojechać przez park.

Kierowca zrobił, jak kazała i wkrótce stanął przed głównym wejściem „Watergate Hotel”.

Cahill była wyczerpana. Upewniwszy się, że Hotchkiss nie jedzie za nimi, bezsilnie osunęła się na siedzenie ciężko oddychając.

– Proszę pani, nic pani nie jest? – spytał kierowca odwracając się do niej.

Otworzyła oczy i jakoś zdołała się uśmiechnąć. – Nie, nic. Bardzo panu dziękuję. Wiem, że to wszystko wygląda dziwnie, ale... – Nie było potrzeby dalszych wyjaśnień. Dała mu dwadzieścia dolarów i powiedziała, że reszty nie trzeba. Kierowca podziękował. Dopiero gdy wysiadła, zdała sobie sprawę ze swego stanu. Bose stopy krwawiły, a pończochy na nich były w strzępach.

– ... wieczór – powiedział portier stojący pod krytym podjazdem.

Cahill, z całą godnością, na jaką potrafiła się zdobyć, przeszła dumnie obok niego rzucając: – Paskudna noc – i weszła do hallu, czując na sobie wzrok portiera obserwującego każdy jej krok.

W hallu jak zawsze panował ruch i Cahill uznała, że to dobrze dla niej. Ludzie zbyt byli zajęci wchodzeniem, wychodzeniem i rozmowami, aby zwracać uwagę na bosą, zmokłą kobietę.

Podeszła do windy obsługującej jej piętro i nacisnęła guzik „W górę”. Spieszyła się, więc miganie światełek oznaczających piętra na tablicy zjeżdżającej w dół windy zdawało się trwać wieczność.



– Cholera – mruknęła, spojrzeniami rzucającymi na lewo i prawo sprawdzając, czy ktoś się nią nie interesuje. Nie zauważyła nikogo. Popatrzyła na świetlne cyfry; winda zatrzymała się na dziesiątym piętrze. Pomyślała o Eryku Edwardsie i apartamencie 1010. Czy stanęła, żeby go zabrać? Zbieg okoliczności, ale...

Odsunęła się od drzwi, aby nie znaleźć się w polu widzenia zdążających do windy osób, ale wciąż mogła widzieć podświetlone cyfry. Winda stanęła na piątym piętrze, a potem na trzecim. Duża grupa uczestników jakiegoś zjazdu, która tymczasem napłynęła do hallu, wyszła, odsłaniając jej widok na stoliki i miękkie fotele, gdzie dobrze ubrani ludzie sączyli przedobiednie koktajle. To, co zobaczyła, początkowo wydało jej się nierealne, lecz już po sekundzie uświadomiła sobie, że to żadne złudzenie. Siedział sam przy stoliku, ze szklanką w ręku, z nogą swobodnie założoną na nogę; całą uwagę miał zwróconą na kobietę przy sąsiednim stoliku. Cahill szybko odwróciła głowę tak, że mógł widzieć tylko jej plecy.

Drgnęła, gdy drzwi windy otworzyły się nagle. Stojąc twarzą do ściany kątem oka przebiegła twarze wychodzących. Było ich dwunastu, lecz Eryka Edwardsa nie było wśród nich.

Gdy tylko winda opróżniła się, weszła do niej z boku, plecami ciągle odwrócona do części hallu, gdzie podawano koktajle. Nacisnęła guzik z cyfrą „osiem”, potem przycisk „Zamknąć drzwi”. Winda wciąż stała, a ona cisnęła guzik, w duszy przeklinając fakt, że nie ma to wpływu na działanie windy. Jak przycisk „Czekać” na skrzyżowaniach ulicznych – pomyślała. Jedno i drugie to placebo.

Do windy wszedł mężczyzna w tweedowym garniturze i kobieta w długiej sukni i futrze. Udała, że nie widzi ich spojrzeń skierowanych na jej białe stopy i trzymała wzrok utkwiony w przyciskach kontrolnych. Gdy drzwi już się zamykały, jakiś mężczyzna zatrzymał je ręką, a gdy znów się otworzyły, wszedł, a za nim dwie nastolatki. Jedna z nich zauważyła białe stopy Cahill, szturchnęła drugą i obie zachichotały.

Wreszcie drzwi zamknęły się i winda ruszyła w górę. Nastolatki, oglądając się, wysiadły pierwsze, potem mężczyzna, który zatrzymał zamykające się drzwi. Na ósmym piętrze Cahill wysiadła kulejąc. Mężczyzna w tweedach i dama w futrze zaszeptali coś niezrozumiale do siebie. Och, wyglądać przyzwoicie.

Podeszła do drzwi swego apartamentu i otworzyła je. Pokojówka zasłała już łóżko na noc i na poduszce zostawiła dwie czekoladki w folii. Cahill zamknęła drzwi od wewnątrz i założyła łańcuch. Szybko zdjęła całkiem przemokły płaszcz deszczowy i rzuciła go na podłogę, a za nim resztę tego, co miała na sobie. Woda ściekająca z ubrań rozmyła plamkę krwi na dywanie z jej zranionej stopy. Odkręciła kurek i weszła pod bardzo gorący prysznic.

Po dziesięciu minutach wyszła, wytarła się ręcznikiem, znalazła w torebce plaster opatrunkowy i zalepiła małe skaleczenie na stopie.

Wchodząc do pokoju nie zauważyła, że światełko sygnalizujące w aparacie telefonicznym świeci się. Podniosła teraz słuchawkę i powiedziała swoje nazwisko. – Tak, panno Cahill, jest dla pani wiadomość od doktora Tolкера. Powiedział, że bardzo chce z panią porozmawiać i że będzie dziś wieczorem w hotelu. Może pani skontaktować się z nim przez gońca hotelowego.

– Nie, ja... Tak, bardzo dziękuję, zrobię to, ale później.

Wiadomość od Tolкера nie była takim zaskoczeniem, jakim było ujrzenie go siedzącego w hallu z kieliszkiem wina. Myślała, że go zabiła. Jeśli finansowane przez CIA badania nie wyprodukowały doskonałych kopii, to był jak najbardziej żywy. Ucieszyło ją to i zarazem przeraziło.

Podniosła znów słuchawkę, nakręciła numer hotelu „Allen Lee” i poprosiła o połączenie z pokojem pana Blacka. Nikt nie odpowiadał. Telefonistka zapytała: – Czy może pani jest panną Collette Cahill?

– Tak.

– Pan Black musiał wyjść, ale zostawił wiadomość na wypadek, gdyby pani zadzwoniła. Powiedział, że będzie z powrotem o dziesiątej. W ostatniej minucie wypadło mu coś bardzo pilnego do załatwienia.

Collette pomyślała, że jej westchnienie rozczarowania telefonistka mogła usłyszeć nawet bez telefonu. Zamknęła oczy i przygnębionym tonem powiedziała: – Dziękuję.

Stojąc nago przy telefonie nagle poczuła chłód i osłabienie. Nie rozpakowując walizki wyciągnęła z niej dzinsy i puszysty różowy sweter, włożyła je, a nogi wsunęła w białe tenisówki.

Zapaliła wszystkie światła, popatrzyła na walizkę na podłodze. Po chwili wahania podeszła do niej i otworzyła wewnętrzny schowek. Wsunęła do niego rękę i wyjęła ampułki z kwasem pruskim i nitro, a także detonatorek w kształcie cygara. Usiadła na fotelu pod lampą, złożyła przyrząd, załadowała mały, biały plastikowy rewolwer i wrzuciła wszystko do torebki. Siedząc spokojnie i bawiąc się paskiem torebki nasłuchiwała odgłosów, oczyma przebiegając każdy centymetr dużego pokoju.

Panujący w nim głęboki spokój źle na nią działał. Wstała, żeby włączyć telewizor, i wtedy zadzwonił telefon. Staneła jak wryta na środku pokoju. Odebrać? Nie. Tolker i Mark Hotchkiss wiedzieli oczywiście, że zatrzymała się w „Watergate Hotel”, a nie chciała rozmawiać z żadnym z nich. Vern nie znał jej adresu. Co za idiotka ze mnie! – pomyślała.

Dlaczego zachowała się tak tajemniczo wobec niego? Teraz jawił się jej jako jedyna w Waszyngtonie istota ludzka, której mogła zaufać. Co za ironia! – powiedziała sobie, wspominając jego nieszczerze zachowanie do czasu ich wspólnej kolacji ubiegłej nocy.

Tym, co nagle sprawiło, że w jej oczach stał się godny zaufania, był fakt, że spośród wszystkich w jej ostatnim okresie życia tylko Vern był spoza Agencji. Faktycznie będąc poza nią, próbował wdrzeć się do niej w dążeniu do jej zdemaskowania i unieszkodliwienia. Tak wiele z tego, co napisał, było prawdą, w każdym razie zgodne z tym, co wiedziała. Choć nie użył wielu słów, by to wyrazić, ze stronic jego książki wyłaniał się wniosek, że to Jason Tolker był odpowiedzialny za śmierć Barrie Mayer i Dawida Hublera. Wszystko wydało się jej teraz takie jasne. Stojąc na środku pokoju miała uczucie, jakby jaskrawe światło oświetliło przed nią prawdę.

Árpád Hegedüs kłamał w małym barze w Budapeszcie. To, co powiedział jej wcześniej w ramach przyjaźni, było prawdą; i to, co sugerowała Joemu Breslinowi, miało sens. Hegedüs przeszedł na ich stronę jako zdrajca, aby siać dezinformację wśród Amerykanów. Tolker sprzedawał Sowietom informacje o wynikach eksperymentów ze sterowaniem mózgiem, prowadzonych w Stanach Zjednoczonych. Co więcej, według tego, co napisał Wheatley, wykorzystywał on różne zahipnotyzowane osoby do przekazywania tych informacji.

Wheatley nie wspominał w swoim rękopisie o Eryku Edwardsie. Możliwe, że nawet nie wiedział o nim. Cahill szybko wymyśliła jednak scenariusz, w którym Tolker, widząc w Edwardsie zagrożenie z powodu jego bliskich stosunków ze zbyt gadatliwą Barrie, przekonał ludzi z Banana Quick, że Edwards jest podwójnym agentem sprzedającym informacje drugiej stronie. Jak inaczej można byłoby wytłumaczyć oskarżenie go o działanie na dwie strony? I znów nie było namacalnych dowodów na poparcie jej tezy, lecz wspierała ją łączna waga wszystkiego, co się wydarzyło, każdej, najdrobniejszej nawet posiadanej przez nią informacji.

Wiedziała, że mogłaby uzasadnić swoje początkowe, instynktowne odczucia wobec Tolkera, ale teraz nie miało to już znaczenia. Namalowany przez nią obraz był dostatecznie dobry. W tym momencie najważniejszą rzeczą, jaką dyktował jej rozum, było unikanie Tolkera i Hotchkissa, odnalezienie Verna i wspólne z nim znalezienie kontaktu z kimś z CIA, komu można by zaufać. Zastanawiała się, kto mógłby być tą osobą. Jedyną, jaka przyszła jej na myśl, był Eryk, lecz to było ryzykowne. Otaczała go aura kontrowersyjności. Mimo to był dla Cahill jedynym człowiekiem, poza Wheatleyem, który wydawał się podchodzić do spraw prostolinijnie. Pomyślała też o Hanku Foxie, ale odsunęła tę myśl. Mimo ojcowskiego stosunku do niej był za bardzo jednym z nich.

Telefon przestał dzwonić. Collette wróciła na fotel, otworzyła torebkę i przesunęła palcami po gładkiej, plastikowej powierzchni rewolweru. Mark Hotchkiss! Spotkanie z nim wzburzyło ją. Kim był? Agentem brytyjskiego wywiadu na kontrakcie? W ogólnościowej siatce CIA wielu było takich. Oczywiście bliskie stosunki robocze Hotchkissa z Tolkerem zaintrygowały i przeraziły ją. Jest w tym jakiś sens, pomyślała. Tolker nie wykończyłby fizycznie Barrie i Dawida Hublera. Tego rodzaju brudna robota to nie był ani jego styl, ani rola. Ale Hotchkiss mógł być faktycznym zabójcą, działającym pod kierunkiem Tolkera. Tak, to wyglądało logicznie.

Zacisnęła powieki i potrząsnęła głową. Po co szukać sensu w systemie, który w znacznej mierze był nonsensowny? W tajemnym świecie wywiadu zbyt wiele było ukrytych spraw domagających się odpowiedzi, ignorujących zwykłą logikę ludzką. Przyjaciele. Wrogowie. Trzeba by mieć tablicę wyników, żeby odróżnić graczy po przeciwnych stronach. Geograficznie Hotchkiss był w miejscach, gdzie mógł zabić Barrie i Dawida. Możliwe, rzecz jasna, że nie był w ogóle związany z Tolkerem. Zabijając Mayer i Hublera mógł działać wyłącznie z ramienia wywiadu brytyjskiego. Podczas szkolenia wbijano im do głów, że w szpiegostwie nie ma sprzymierzeńców ani żadnych krajów, w których sprawy nie powinni się wtrącać. Ostatnio dowiedział tego Izrael; powszechnie było też wiadomo, że Brytyjczycy mają wielu agentów w Stanach Zjednoczonych.

Znów odezwał się telefon. Po raz drugi Cahill zignorowała go. A potem dotarł do niej inny odgłos.

Ktoś stukał do jej drzwi.

## ROZDZIAŁ 32

Powoli, cicho podeszła do drzwi i przystawiła do nich ucho. Męski głos powiedział: – Collette? – Nie potrafiła go rozpoznać. Nie był to Hotchkiss; ani śladu akcentu brytyjskiego. – Collette.

Stała cicho, bez ruchu, z małym rewolwerem u boku; zmysły miała maksymalnie wyczulone. Wyrzała przez wizjer, ale nie zobaczyła nikogo. Ten, kto wołał ją po imieniu, stał pod ścianą, poza zasięgiem szerokokątnej soczewki wizjera. Nie miała sposobu zorientować się, czy ten ktoś wciąż tam jest. Korytarze były wysłane dywanem tłumiącym kroki. Podeszła do telefonu i ponownie zadzwoniła do Verna w nadziei, że wrócił wcześniej. Nie wrócił.

Chodząc tam i z powrotem po *living roomie* zastanawiała się nad następnym krokiem. Kusilo ją, żeby zrezygnować z bezpieczeństwa w zamkniętym na klucz pokoju, lecz właśnie potrzeba bezpieczeństwa powstrzymywała ją od wyjścia, przynajmniej chwilowo. Wiedziała jednak, że w końcu będzie musiała opuścić pokój, żeby udać się do „Allen Lee”. Czy powinna, czy może czekać, aż wróci Wheatley i poprosić go o przybycie do „Watergate”? Na oba pytania odpowiedziała sobie przecząco.

Spojrzała na telefon, a potem przeczytała w instrukcji, jak połączyć się z innym pokojem w hotelu. Po chwili namysłu podniosła słuchawkę, nakręciła podaną w instrukcji cyfrę i numer 1010. Telefon dzwonił długo. Już miała go odłożyć, gdy usłyszała zdyszany głos Edwardsa.

– Eryku. Tu Collette.

– Nie wierzę. Tajemnicza dama znów się pojawia. Pozwól, że złapię oddech. Gimnastykowałem się. Gdzie jesteś?

– Jestem... jestem w pobliżu.

– Wiedziałem, że jesteś w Waszyngtonie. Powiedziała mi moja sekretarka. Jak długo tu zostaniesz?

Chciała powiedzieć „na zawsze”, ale zamiast tego odparła: – Naprawdę nie wiem. Chciałabym się z tobą zobaczyć.

– Miałem nadzieję, że zechcesz – powiedział. – Było mi naprawdę przykro z powodu sposobu, w jaki zniknęłaś mi z oczu na BWD.

– Musiałam. Bardzo przepraszam.

– Nie masz za co przepraszać i dziękuję za karteczkę. Jestem umówiony na kolację późno wieczorem, ale...

- Naprawdę muszę zobaczyć się dziś z tobą, Eryku.
- Nie możesz przyjść zaraz? Moglibyśmy wypić drinka, zanim się przebiorę.
- Collette odczekała chwilę i powiedziała: – Tak, mogę być za dziesięć minut.
- Mam nadzieję, że nie będziesz mi miała za złe, że twój gospodarz będzie spocony.
- Na pewno nie. Czy będziemy sami?
- Na pewno. Co proponujesz?
- Nic. Za dziesięć minut.
- Świetnie, jestem w apartamencie 1010.
- Tak, wiem.

Po odłożeniu słuchawki włożyła płaszcz deszczowy i wsunęła rewolwer do kieszeni. Przewiesiła torebkę przez ramię i podszedłszy do drzwi jeszcze raz przyłożyła ucho do chłodnego metalu. Z zewnątrz nie dochodził żaden odgłos. A potem dobiegł ją szcęk talerzy i czyjeś pogwizdywanie – pracownik hotelu mijał jej pokój wioząc na wózku jedzenie. Odczekała, aż szcęk ucichł i znów zrobiło się cicho. Bardzo ostrożnie zwolniła łańcuch, obróciła gałkę klamki i otworzywszy drzwi popatrzyła na korytarz w prawo i w lewo. Był pusty. Upewniła się, że ma klucz, wyszła za próg i zamknęła za sobą drzwi.

Windy były po lewej stronie w odległości około trzydziestu metrów. Ruszyła szybkim krokiem w tamtym kierunku, gdy nagle zza zakrętu w hallu za windami wyszedł Mark Hotchkiss. Stała, odwróciła się i ujrzała Jasona Tolкера zbliżającego się z drugiej strony, z ręką na temblaku, częściowo zakrytą luźno wiszącą marynarką. Nie zauważyła tego na dole. – Collette – powiedział Tolker. – Chcę z panią pomówić. Bardzo proszę.

– Niech pan odejdzie – odparła i zwrócona plecami do wind wsunęła rękę do kieszeni płaszcza.

Tolker dalej szedł w jej stronę, mówiąc: – Collette, niech się pani nie wygłupia. Robi pani wielki błąd. Musi mnie pani wysłuchać.

– Zamknij się – rzuciła wyjmując rękę z kieszeni. Wycelowała w jego pierś trzymany w dłoni rewolwer. Stał jak wryty. – Tym razem nie spudłuję.

– Panno Cahill, cholernie głupio się pani zachowuje – odezwał się Hotchkiss za jej plecami.

Obejrzała się przez ramię i pokazała mu broń. – Trzymajcie się z dala ode mnie, albo zabiję was obu. Nie żartuję.

Obaj mężczyźni stanęli i patrzyli, jak Collette idzie w kierunku wind obracając głowę raz w jedną, raz w drugą stronę, jak widz na meczu tenisowym, i trzymając ich obu w swoim polu widzenia.

– Bierz ją – ryknął Tolker.

Hotchkiss wyciągnął ręce na boki i ruszył w jej stronę. Oczekała do chwili, gdy już miał ją chwycić i kolanem uderzyła go mocno w krocze. Bez tchu padł na kolana, rękami trzymając się za stłuczone genitalia.

Collette podbiegła do wind i nacisnęła przycisk „W dół”. Prawie natychmiast jedne drzwi otworzyły się. Winda była pusta. Weszła do niej tyłem mówiąc: – Nie ważcie się iść za mną. – Drzwi zamknęły się, tłumiąc jej słowa.

Spojrzała na tabliczkę z przyciskami i nacisnęła „siedem”. Winda zjechała o jedno piętro w dół. Wsiadła, pobiegła korytarzem i dopadła do drugiego zespołu wind za rogiem. Naciskała guzik jak szalona, aż któraś winda zatrzymała się. Było w niej dwoje ludzi. Weszła i nacisnęła „dziesięć”.

Para wysiadła razem z nią na dziesiątym piętrze. Oczekała, aż weszli do pokoju, minęła ich drzwi i ruszyła prosto do numeru 1010. Zastukała. Eryk Edwards natychmiast otworzył drzwi. Miał na sobie granatowe spodenki gimnastyczne i szarą koszulkę sportową bez rękawów. Zlepione potem włosy opadały mu na opalone czoło.

– Halo, Eryku – powiedziała.

– Witam cię – odparł cofając się, aby mogła wejść. Zamknął drzwi i przekręcił klucz.

Przeszła na środek pokoju i spojrzała na dwie sztangi i parę ręczników rzuconych na podłogę. Była odwrócona plecami do Eryka.

– Nie pocałujesz mnie przynajmniej na powitanie? – spytał z tyłu. Odwróciła się, westchnęła, spuściła oczy; jej ciało zaczęło drżeć, a z oczu spłynęły na policzki wielkie łzy.

Opanowała się, podniosła na niego wzrok i powiedziała: – Eryku, jestem taka zdezorientowana i przerażona. Czy wiesz, po co jestem tu w Waszyngtonie?

– Nie. Powiedziałaś tylko, że masz tu coś do załatwienia.

– Ale ty wiesz co?

Zaprzeczył ruchem głowy i uśmiechnął się. – Nie, i nie będę wiedział, dopóki mi nie powiesz.

– Przysłano mnie tu, żebym cię zabiła.

Spojrzał na nią, jakby była małym dzieckiem schwytanym na kłamstwie. Powiedziała: – To prawda, Eryku. Chcieli, żebym cię zabiła, a ja zgodziłam się.

– Kazać ci mnie zabić, to jedna sprawa – rzekł, podchodząc do fotela przy oknie – a zgodzić się, to druga. Czemu miałabyś chcieć mnie zabić?

Rzuciła płaszcz na tapczan. – Nie chcę. To znaczy nie chciałam. Nie miałam nigdy zamiaru.

Zaśmiał się. – Wiesz, jesteś niesamowita.

Potrząsnęła głową, podeszła do niego i upadła na kolana przed fotelem. – Niesamowita? Na pewno nie. Wszystko mi się w głowie poplątało i straciłam wszelkie złudzenia.

– Straciłaś złudzenia, co do czego? Naszych dobrych przyjaciół w Langley?

Potaknęła ruchem głowy. – Co do tak zwanej „Firmy”, wszystkich w moim życiu, do samego życia. – Wzięła głęboki oddech. – Chcieli, żebym cię zabiła, bo myślą, że jesteś podwójnym agentem sprzedającym Sowietom informacje o Banana Quick.

Mruknął coś i wzruszył ramionami.

– Kiedy przybyłam do ciebie z prośbą o radę na temat wakacji na BWD, kłamałam. Kazali mi to zrobić. Chcieli, żebym zbliżyła się do ciebie i wysondowała, co tam robisz.

Pochylił się do przodu, dotknął jej policzka i powiedział: – Wiedziałem o tym, Collette.

– Wiedziałeś?

– No więc, nie na pewno, ale miałem mocne przeczucie. Jednak nie przejąłem się tym, z dwóch powodów. Po pierwsze, zakochałem się w tobie. A po drugie, pomyślałem, że po tym, jak o mało nie wyleciałaś w powietrze ze mną i jachtem, stracisz chęć na tę brudną robotę. Czy miałem słuszność?

– Tak.

– Gdy zdarzy się coś takiego, wszystko nabiera właściwych wymiarów, prawda? Widzisz wtedy, jak mało ty lub ja znaczymy dla nich. Możemy iść i nadstawiać karku za ich zwariowane poczucie obowiązku i patriotyzm, ale jak się robi gorąco, to okazuje się, że nie ma ludzi niezastąpionych. Żadnych pytań, tylko zlikwidować jakichś ludzi i dalej ciągnąć to całe udawanie.

Jego słowa wywierały na nią duży wpływ, jak zawsze, gdy słowa wyrażają nasze myśli. Wróciła pamięcią do Hotchkissa i Tolкера, i do spotkania z nimi. – W hotelu jest dwóch ludzi, którzy próbowali zatrzymać mnie w korytarzu.

Wyprostował się w fotelu. – Kto taki? Znam ich?

– Tak. Jeden to Jason Tolker, psychiatra, który miał pod swoją kontrolą Barrie. Zrobił jej pranie mózgu, Eryku. Ten drugi to Anglik, nazywa się Mark Hotchkiss, ten, który przejął agencję Barrie.

Na spokojnej twarzy Eryka pojawił się groźny wyraz. Wyrzwał przez okno. – Znasz go? – spytała Collette.

– Słyszałem o nim. Jest z brytyjskiego wywiadu, stary wyjadacz, który podobno



świetnie się spisał na Bliskim Wschodzie, czy coś takiego.

Cahill powiedziała: – Myślę, że Barrie i Dawida Hublera zabił Tolker, może nie bezpośrednio, ale jestem przekonana, że maczał w tym palce.

Edwards wciąż patrzył milcząco w okno. W końcu odwrócił się do niej i rzekł: – Collette, mam dla ciebie propozycję.

– Propozycje?

Uśmiechnął się z wysiłkiem. – Nie tego rodzaju, co myślisz, chociaż może i to jest zapisane w kartach. Tak jak z Barrie, gdyby... – Czekala, żeby dokończył myśl, lecz zamiast tego powiedział: – Z całą jej inteligencją Barrie nie miała jednej dziesiątej twojej bystrości, Collette.

– Bystrość to cecha, jaką sobie teraz najmniej przypisuję.

Położył ręce na jej ramionach i delikatnie pocałował ją w czoło. – Przeżyłaś w swoim życiu więcej, niż większość ludzi może sobie wyobrazić. Nie tylko widziałaś zgniłe bebechy CIA, to co nazywają wywiadem, ale stałaś się ofiarą Agencji, tak jak ja. Barrie nie rozumiała tego. Nigdy nie uświadomiła sobie, jak była przez nich wykorzystywana.

Cahill przysiadła na piętach. – Nie rozumiem – powiedziała.

– Myślę, że sprawa Barrie nie ma już znaczenia. Ona nie żyje. Ale z tobą to co innego. Mogłabyś... mogłabyś wejść w miejsce pozostawione przez nią, jakby przez pamięć na nią. – Twarz mu pojaśniała, jakby to, co właśnie powiedział, stanowiło wielkie odkrycie. – Tak, Collette, mogłabyś spojrzeć na to jak na zrobienie czegoś dla pamięci Barrie.

– Na co mam tak spojrzeć?

– Na zrobienie czegoś dla naprawienia krzywd, dla zemsty za wszystko, co się stało z ich powodu, ze stratą twojej przyjaciółki i tego młodego człowieka, który u niej pracował, włącznie. Collette, mogłabyś zrobić coś bardzo ważnego dla świata.

– Co masz na myśli?

– Przyłącz się do mnie.

Z jej twarzy mógł wyczytać, że nie rozumiała, o co mu chodzi. Pochylił się ku niej i powiedział niskim ojcowskim tonem: – Collette, chciałbym, żebyś dokładnie przemyślała wszystko, co się stało w ciągu ubiegłych tygodni, zaczynając od śmierci Barrie Mayer. – Popatrzył badawczo w jej twarz. – Wiesz, czemu Barrie zginęła, prawda?

– Czasem myślę, że wiem, ale nigdy nie jestem pewna. A ty wiesz... na pewno?

Skrzywił się, jakby miał przykry smak w ustach. Powiedział tym samym, poważnym tonem: – Barrie nie żyje, bo mnie nie słuchała. Na początku tak, i to było dla niej dobre, lecz później zaczęła słuchać innych.

– Tolкера?

– Tak. Miał niezwykle wpływ na nią. Ostrzegałem ją, próbowałem z nią dyskutować, lecz za każdym razem, gdy była u niego, zdobywał kontrolę nad inną małą częścią jej umysłu.

– Wiedziała, że tak było, ale...

– Ale co?

– Po co miałyby ją zabijać, jeśli była mu tak posłuszna?

– Bo w tym ich całym głupim programie sterowania mózgiem jest drobna wada, Collette. Wydają miliony, niszczą jedno życie ludzkie za drugim, a wciąż nie mogą – i nigdy nie potrafią – stworzyć istoty, nad którą mieliby totalną kontrolę. To nie jest możliwe i oni o tym wiedzą.

– Ale oni...

– Tak, nie przestają wydawać pieniędzy i próbować. A dlaczego? Ci zboczeńcy, którzy pracują nad tymi projektami, tacy jak Tolker, wyżywają się w tym. Podają przesadne wyniki i wciąż obiecują przełom, a ci, co dostarczają pieniędzy, uzasadniają wydawanie na to milionów twierdząc, że druga strona robi to samo, ale na większą skalę. Barrie mogła być manipulowana przez Tolкера, lecz nie stała się jego własnością. Może byłoby lepiej dla niej, gdyby miał ją na własność. Albo uważał, że ma.

Collette milcząco zastanawiała się nad tym, co powiedział Eryk.

– Tolker nafaszerował Barrie kłamstwami na mój temat – ciągnął Edwards – które nastawiły ją przeciwko mnie. To była tragiczna pomyłka z jej strony. Nie wiedziała, komu zaufać i w końcu włożyła wszystkie karty do ręki niewłaściwego gracza.

Cahill podeszła do stolika, oparła na nim ręce i pochyliła się ze wzrokiem wlepionym w jego powierzchnię. Chociaż bardzo chciała, nie potrafiła w pełni przyswoić sobie tego, co mówił Eryk. Wszystko było tak zawile, oferowało więcej pytań niż odpowiedzi.

– Eryku, dlaczego zabito Barrie? Co takiego wiedziała, że zamordowanie jej stało się konieczne? Kto tak bardzo ucierpiałby na pozostaniu jej przy życiu, że doprowadziło ich to do takiego czynu?

Podszedł bliżej do niej. – Musisz zrozumieć, Collette, że Barrie знаła ryzyko wiążące się z tym, co robiła.

– Działając jako kurier? Eryku, przewożenie od czasu do czasu materiałów do Budapesztu nie powinno być stanowić takiego ryzyka.

– Chyba, że to, co przewoziła, mogło być interpretowane jako zgubne dla „Firmy”.

– Czemu miałyby być zgubne? Pracowała dla „Firmy”, prawda?

– Z początku, a później... Słuchaj, Collette, pozwól, że pozostanę z tobą szczerzy, tak

jak byłem dotychczas. Nie będę próbował łagodzić tego, co chcę powiedzieć, ani owijać słów w bawełnę. Barrie dostrzegła słuszność współpracy z... z drugą stroną.

Collette potrząsnęła głową. – Nie. Nie uwierzę, że Barrie mogła pracować na dwie strony. Przykro mi, ale nie, nie mogę się z tym zgodzić.

– Musisz, Collette. Bądź otwarta i nie myśl o tym automatycznie jako o czymś złym. To, co robiła, było szlachetne na swój sposób.

– Szlachetne? Mówisz przecież, że była zdrajczynią.

– Semantyka. Czy próba osiągnięcia równowagi na tym świecie jest aktem zdrady? Nie sądzę. Czy zdradą jest ratowanie życia tysięcy ludzi, w tym wypadku Węgrów? Jasne, że nie. Banana Quick od samego początku było źle pomyślane, skazane na niepowodzenie, jak Zatoka Świń, próby ratowania szacha w Iranie i wszelkie inne niefortunne projekty podejmowane przez nas w imię wolności. Jeśli Banana Quick zostanie zrealizowane, przyniesie w rezultacie jedynie śmierć niewinnych ludzi na Węgrzech. Barrie nie rozumiała tego z początku, ale w końcu ją przekonałem.

– Ty ją przekonałeś?

– Tak, i chcę również ciebie przekonać do tego samego. Pragnąłem uczynić to od chwili, gdy cię poznałem, lecz nie miałem pewności, jak to przyjmiesz. Teraz myślę, że dasz się przekonać, jak Barrie, gdy tylko zrozumiała.

– Mów dalej.

– Chcę, żebyś zaczęła pracować ze mną, walczyć z tym szaleństwem. Chcę, abyś podjęła pracę w punkcie, gdzie Barrie ją przerwała. Chcę, abyś... pomagała mi w dostarczaniu informacji tam, gdzie zrobią one najwięcej dobrego; do ludzi, których nazywasz drugą stroną.

Cahill poczuła, że żołądek podszedł jej do gardła, że traci grunt pod nogami. Więc to, co mówili, jest prawdą. Eryk jest podwójnym agentem i to on zwerbował Barrie. Nie wiedziała, co ma mówić, jak zareagować, czy rzucić się na niego, czy wybiec z pokoju. Opanowała się jednak i powiedziała spokojnym głosem: – Zawsze cię broniłam. Mówiłam im, że mylą się co do ciebie. Ale to ja się myliłam. – Po tych słowach, wypowiedzianych spokojnym głosem, wybuchła: – Do diabła z tym! Do diabła z tobą! Myślałam, że Tolker jest podwójnym agentem i że to przez niego przeciekają informacje o Banana Quick. Wierzyłam w to naprawdę, a ty mi tu mówisz, że to ty. Draniu! Wysłałeś Barrie na śmierć, a teraz chcesz, żebym ja znalazła się w tym samym położeniu.

Pokręcił wolno głową. – Collette, stać cię na wiele więcej, niż Barrie. Ona była taka naiwna. Przez to popadła w tarapaty, przez to zginęła. Gdy wtajemniczałem Barrie, nie miałem pojęcia, jak bardzo jest podatna na sterowanie przez kogoś takiego, jak Tolker.

Powiedziała mu wszystko, a on ją przekonał, żeby ich informowała o mnie. Wiedziała za dużo. Normalnie nigdy bym do tego nie dopuścił, ale zakochałem się w niej. Robię to zbyt łatwo i często, wbrew memu dobru.

– Miłość? Nazywasz miłością do kobiety wciąganie jej w sprzedawanie własnego kraju?

– Miłość przybiera różne formy. Nasza była pięknym partnerstwem, prywatnie i zawodowo, dopóki Tolker nie zatrzał wszystkiego. Collette, ona robiła duże pieniądze na naszej spółce, znacznie większe niż dostawała z CIA.

– Pieniądze? To dla ciebie ważne?

– Oczywiście. I dla niej też było. Nie ma przecież nic złego w pieniądzach, prawda? Powiem ci coś. Zejdź na chwilę na ziemię i wysłuchaj mnie. Odwołam moje wieczorne spotkanie i zjemy kolację u mnie w pokoju. Pozwoli nam to lepiej się poznać. – Roześmiał się. – Możemy zacząć od punktu, w jakim rozstaliśmy się na BWD. Żadnych warunków, Collette. Nie musisz się zaraz godzić na współpracę. Nic nie stracimy rozmawiając o tym.

– Nie chcę o tym rozmawiać – powiedziała.

– Nie masz wielkiego wyboru.

– O czym ty mówisz?

– Już tkwisz w tym po uszy, za dużo wiesz. To brzmi sensownie, prawda?

– Wcale nie.

Wzruszył ramionami, pochylił się, wziął do ręki sztangę i przesunął ją kilka razy nad głową. – Zrobimy układ. Masz tylko wrócić do Budapesztu i powiedzieć im, że jestem czysty. Dam ci materiały obciążające Tolкера kontaktowaniem się z Sowietami. To wszystko, co masz zrobić, Collette: powiedzieć im, że zdobyłaś te materiały i przekazujesz je jako dobry pracownik „Firmy”. Już oni zajmą się Tolkerem i...

– I co, wykończą go?

– To nie nasza sprawa. Wiedziałas, że Barrie wiozła prawie dwieście tysięcy dolarów na przekupienie jakiegoś węgierskiego biurokraty?

Nie odpowiedziała.

– Mam te pieniądze.

– Zabiłaś ją, a potem je zabrałaś. – Sama była zdziwiona, że mogła to powiedzieć takim rzeczowym tonem.

– Nieważne, jak je dostałem. Ważne, że połowa będzie twoja za oczyszczenie mnie. A potem dużo więcej, jeśli zdecydujesz się pomagać mi na dłuższą metę. Zastanów się nad tym, kupa pieniędzy odłożonych na czas emerytury. – Znów roześmiał się zataczając koła sztangą.

– Myślę, że za jakiś rok wycofam się i chcę mieć dość pieniędzy na uruchomienie własnej wypożyczalni jachtów, a nie atrapy, która nie należy do mnie. Co chcesz za rok, Collette? Dom w Szwajcarii, awionetkę, tyle pieniędzy w zagranicznym banku, żebyś potem nie potrzebowała pracować? Masz to wszystko. – Upuścił sztangę na podłogę i powiedział: – No więc jak? Kolacja? Szampan? Wzniesiemy toast za coś czy kogoś, za kogo zechcesz, a potem możemy...

– Pójść do łóżka?

– Jak najbardziej. Wiele lat temu przyjąłem zasadę niedopuszczania, aby cokolwiek mi w tym przeszkodziło, zwłaszcza jeśli w grę wchodzi piękna i inteligentna kobieta, jak ty, która... – Potrząsnął głową. – Która sprawiła, że znów się zakochałem.

Podeszła do tapczanu, żeby wziąć płaszcz, ale on zastąpił jej drogę i chwycił za szyję, palcami naciskając tętnice. Widziała mięśnie napięte pod skórą jego obnażonych ramion i wściekłość malującą się na twarzy. – Przystaję być miły – powiedział, popychając ją przez pokój do sypialni. Pchnął ją na łóżko i jednym ruchem rozerwał jej sweter na piersi.

Stoczyła się z łóżka, przeczołgała się przez pokój do drzwi, dźwignęła się na nogi i pobiegła do *living roomu*. Porwała płaszcz i chciała schować się za tapczan, żeby wyjąć rewolwer, lecz on był szybszy; ledwie zdążyła wydobyć rewolwer z kieszeni, gdy Eryk złapał ją za rękę i wykręcił ją. Biały, plastikowy rewolwer upadł na podłogę.

– Ty suko – zacharczał. – Zabiłabyś mnie, co?

Przez moment poczuł się tak dotknięty, że rozluźnił uchwyt palców na jej dłoni. Wyrwała się i podbiegła do dużego stolika z telewizorem, na którym zostawiła torebkę, złapała ją i zaczęła rozglądać się, gorączkowo szukając miejsca, gdzie mogłaby się schować, nabrać tchu i przygotować detonator. Nie było takiego miejsca – mogła uciec tylko do sypialni. Wbiegła tam i chciała zatrzasać za sobą drzwi, lecz on bez trudu otworzył je i pchnął ją tak silnie, że potoczyła się w stronę łóżka. Leżąc na plecach i kolanami trzymając się łóżka, gorączkowo szukała detonatora w torebce.

Eryk stał nad nią i mierzył ją wściekłym wzrokiem. – Nie rozumiesz tej gry, prawda? Czy zastanowiłaś się nad konsekwencjami decyzji ubarwienia swego życia pracą dla „Firmy”? Może myślałaś, że będziesz mogła bawić się w szpiega, a potem uciec do mamusi, gdy to zaboli?

– Ja... proszę, nie rób mi krzywdy – powiedziała. – Torebka upadła na podłogę, lecz Collette zdążyła schwycić naładowany detonator i ukrywszy go w prawej dłoni odrzuciła rękę do tyłu, na łóżko.

– Nie chcę tego – odparł. – Nie robię krzywdy ludziom dla zabawy, chociaż czasem...

czasem to konieczne, to wszystko. Nie doprowadzaj mnie do tego, żebym musiał zrobić ci krzywdę.

– Nie będę – odparła. Eryk utkwiał wzrok w jej obnażonych piersiach. Uśmiechnął się.  
– Piękna z ciebie kobieta. Zobaczysz, Collette, że w końcu będziemy razem. To będzie piękne. Zarobimy forszę, potem wyjedziemy gdzieś i wspaniale się razem zabawimy.

Pochylił się i oparł ręce po obu stronach jej głowy, tak że jego twarz znalazła się tuż nad jej twarzą. Pocałował ją w usta, a ona zmusiła się, żeby odwzajemnić pocałunek jak tamtej nocy, którą spędzili razem. Eryk odsunął głowę i powiedział: – Jesteś piękna.

Wtedy Collette podniosła rękę i przycisnęła detonator do jego warg. Kciukiem wyciągnęła włącznik i ampułka eksplodowała mu w twarz tysiącem drobniutkich odłamków szkła. Stracił oddech i upadł na kolana, rękami szarpiąc koszulkę. Twarz miał wykrzywioną bólem.

Cahill też odczuła wpływ kwasu – jej twarz była zbyt blisko jego twarzy. Sięgnęła ręką do otwartej torebki, znalazła małą fiolkę nitro i rozbiła ją sobie pod nosem. Głęboko wdychając modliła się, żeby zawartość fiołki zadziałała.

– Ja... – odezwał się Edwards. Wił się teraz z bólu na podłodze, z jedną ręką wyciągniętą w górę z wyrazem błagania na twarzy w tej ostatniej chwili życia. Cahill leżała na brzuchu z głową w nogach łóżka i szeroko otwartymi oczyma patrzyła, jak on dyszy. W ostatniej, przedśmiernej konwulsji wykręcił głowę na bok i wytrzeszczywszy na nią oczy, skonał.

## ROZDZIAŁ 33

Tydzień później udała się w ostatnią podróż do Budapesztu, żeby się zwolnić z pracy i załatwić wysyłkę swoich rzeczy z powrotem do Stanów Zjednoczonych.

Joe Breslin wyszedł po nią na lotnisko i zawiózł ją do jej mieszkania. – Właściwie nie ma tu dużo – powiedziała. – Chyba głupio zrobiłam, że w ogóle tu przyleciałam.

– Nie musiałaś martwić się pakowaniem – rzekł Breslin zapalając fajkę. – Zrobilibyśmy to za ciebie. Masz piwo?

– Nie wiem. Idź zobacz.

Wrócił z kuchenki z butelką Kőbányai világos i szklanką. – Chcesz trochę? Jest tego dużo.

– Nie.

Usiadł na ławce w zagłębieniu okna, a ona oparła się o ścianę. Splotła ręce i stała tak ze skrzyżowanymi nogami i zwieszoną głową. Po chwili westchnęła, spojrzała na niego i powiedziała: – Joe, do końca życia będę nienawidzić ciebie i wszystkich w CIA.

– Naprawdę jest mi przykro z tego powodu – odparł.

– I mnie też. Może, jeśli kiedyś dorosnę i zacznę rozumieć wszystko, co się wydarzyło, przestanę czuć się tak pełna nienawiści.

– Może. Wiesz, nikt z nas nie lubi robić tego, co musimy robić.

– Nie wierzę w to, Joe. Myślę, że w Agencji jest wielu ludzi lubiących to, co robią. Ja też myślałam, że lubię.

– Odwaliłaś dobry kawał roboty.

– Naprawdę?

– Nie widziałem, żeby ktoś tak radził sobie z Hegedüsem, jak ty.

– Mówił prawdę o Tolkerze, czy tak?

– Uhm. Chciałbym, żeby „Rybak” był dalej na swoim miejscu. Teraz nie mamy z niego żadnego pożytku.

Westchnęła z irytacją.

– O co chodzi? – spytał.

– „Teraz nie mamy z niego żadnego pożytku”. Tak to jest, prawda, Joe? Ludzie tak długo mają wartość, jak długo mogą coś dawać. A potem... natychmiastowa odprawa.

Nie odpowiedział.

– Opowiedz mi o Hotchkissie – poprosiła.

Breslin wzruszył ramionami i pyknął fajkę. – MI-6, dawny agent, który przetrwał. Oni – Brytyjczycy – ulokowali przed laty Hotchkissa w agencji literackiej. Dobry pretekstu dla podróży i trzymania ręki na pulsie wszystkiego, co się dzieje w branży literackiej. W większości krajów literatura znaczy polityka. Trzymanie go w tej branży opłacało im się. Nie mówią jak, przynajmniej nie nam, ale w jakiś sposób zorientowali się, że Barrie przeszła na drugą stronę i że pracowała z Edwardsem. Napuścili na nią Hotchkissa. – Breslin zaśmiał się z podziwem. – Hotchkiss zrobił lepszą robotę, niż się spodziewali. Nakłonił Barrie, aby rozważyła dopuszczenie go do spółki.

– Rozważyła? Przecież byli wspólnikami.

– Właściwie nie. Papiery były podrobione. Przypuszczamy, że w noc poprzedzającą jej śmierć twoja przyjaciółka powiedziała Hotchkissowi, żeby się odczepił. Ta ewentualność była rozważana od dawna. W przewidywaniu, że ze spółki może nie wyjść, sporządzono papiery i sfalszowano jej podpis.

– Ale dlaczego...?

– Dlaczego co? Po co im to było? Od samego początku Brytyjczycy mieli pretensję o Banana Quick. Uważali, że przejęliśmy inicjatywę i że pozostawimy ich w nieświadomości zbyt wielu spraw. Odpowiedź? Znaleźć kogoś, kto wie, co jest grane, na przykład Barrie Mayer. Jeśli znali jej ruchy, to prawie tak jakby chodzili do łóżka z Edwardsem.

– A Jason Tolker?

Breslin mocno zaciągał się fajką. – Zabawna rzecz z Tolkerem. On naprawdę kochał Barrie Mayer, lecz znalazł się między młotem a kowadłem. Brytyjczycy podejrzewali, że ona pracuje na dwie strony, ale nie mieli pewności. Tolker wiedział na pewno. On jeden, poza Edwardsem. Ale co ma zrobić z tą wiadomością? Wydać ich i zniszczyć Barrie? Tego nie mógł zrobić, więc zaczął nad nią pracować i próbował przekonać ją, aby rzuciła Edwardsa i wydała go, w nadziei, że to ocali jej skórę. Działał skutecznie, zbyt skutecznie. W końcu postanowiła zrobić to, lecz Edwards nie mógł do tego dopuścić. Dlatego ją zabił. Tyle poszło na marne. Odpisali Banana Quick na straty.

Cahill patrzyła na niego z niedowierzaniem, a potem szybko podeszła do szafy. Nie chciała, żeby zobaczył, że jej oczy zaszyły łzami. Oczekała chwilę i opanowawszy się wyjęła niebieski blezer i włożyła go na białą bluzkę. – Chodźmy – powiedziała.

– Stan chce mówić z tobą przed twoim odjazdem – rzekł Breslin.

– Wiem. Co to ma być, odprawa?

– Coś w tym sensie. Wyłoży ci zasady. Musi to zrobić z każdym, kto nas opuszcza. Istnieją przepisy, rozumiesz, o ujawnianiu tajemnic i takich rzeczach.



- Nie będzie z tym problemu.
- A co z twoim przyjacielem, dziennikarzem?
- Vernem? Nie martw się, Joe, nie powiem mu, co zaszło, co rzeczywiście zaszło.
- A książka, którą pisze.
- Co chcesz od tej książki?
- Miałaś ją w rękach. Czy może nam zaszkodzić?
- Tak.
- Chcielibyśmy wiedzieć, co w niej jest.
- Nie ode mnie.
- Collette, zrób mu przysługę i namów go, żeby dał sobie z tym spokój.
- To brzmi jak rozkaz.
- Usilna prośba.
- Odmawiam.

Zaczęła otwierać drzwi, lecz Joe zatrzymał ją mówiąc: – Jesteś pewna, Collette, że chcesz tak absolutnego zerwania? Hank Fox powiedział ci, jakie masz możliwości wyboru, zanim tu przyszłaś. „Firma” dba o ludzi wykonujących specjalne zadania i robiących to dobrze. Mogłabyś spędzić pół roku w dowolnym miejscu na naszej planecie, na nasz koszt, pozbierać się i spędzić tam tyle czasu, żeby to wszystko przestało wyglądać tak okropnie. Potem dobra posada z powrotem w Langley, więcej pieniędzy, co tylko chcesz. Ludzie, którzy...

– Ludzie, którzy dokonują zabójstwa, są otaczani dobrą opieką. Joe, ja nie zabiłam Eryka Edwardsa. Chciał mnie zgwałcić. Zachowałam się, jak każda inna kobieta – tyle że miałam plastikową broń, fiolkę z zabójczym kwasem i błogosławieństwo wiodącej agencji wywiadowczej mojego kraju. Zabiłam go w obronie własnej, nie z innego powodu.

– Czy to ważne? Robota została wykonana.

– Cieszę się, Joe, że wszyscy są zadowoleni. Nie, Joe. Chcę, żeby dziesięć tysięcy mil dzieliło mnie od CIA. Wiem, że jest w niej sporo dobrych ludzi, których naprawdę obchodzi los ich kraju i którzy starają się robić to, co należy. Problem w tym, Joe, że w Agencji jest nie tylko wielu ludzi, którzy nie są tacy, lecz że definicja słów „to, co należy”, jest zawsze niejasna. Chodźmy. Pozwól, że Stan wyjaśni mi te przepisy, a potem pójdziemy na obiad. Będzie mi naprawdę brakowało węgierskiej kuchni.